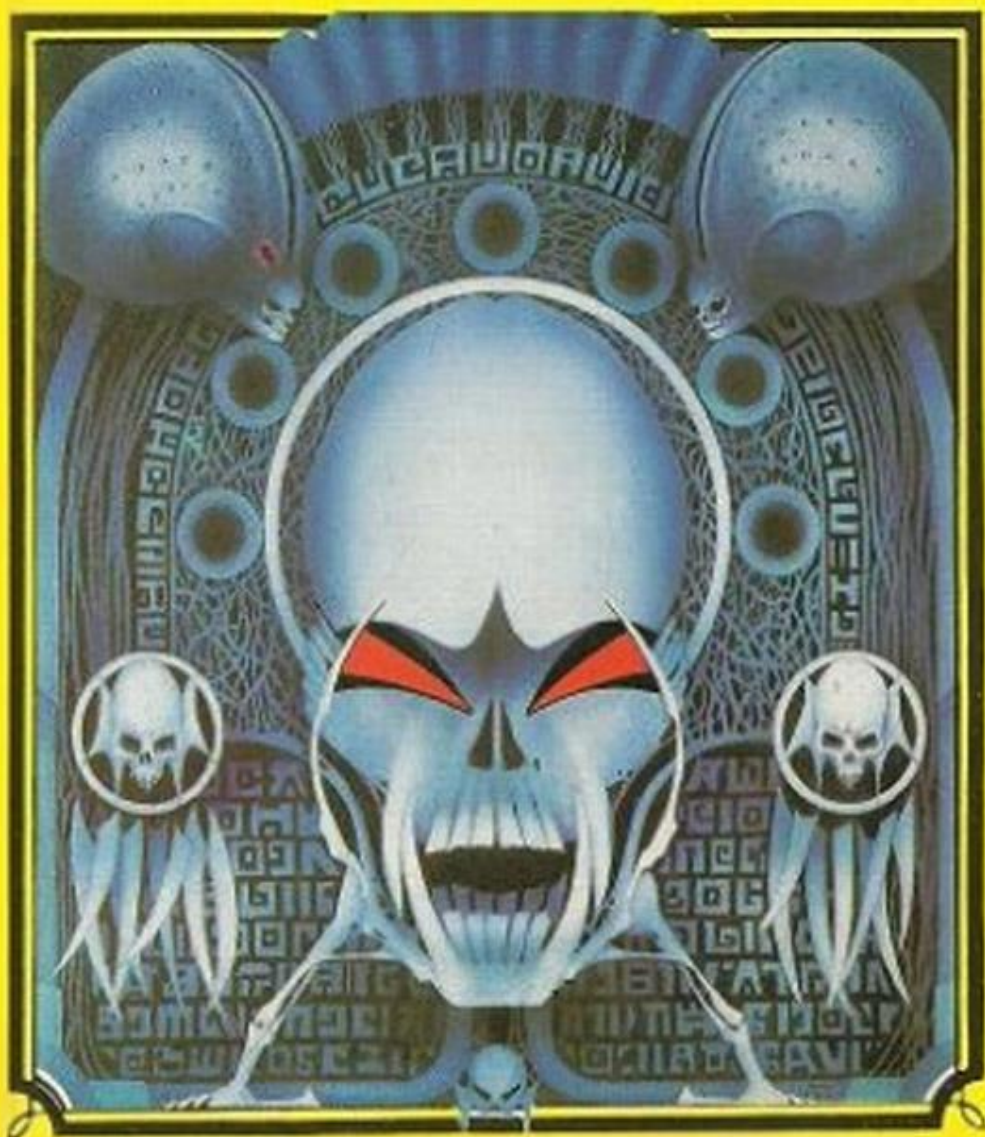


FRANCIS STEVENS

CYTADELA
STRACHU



Francis Stevens
(właśc. Gertrude Barrows Bennett)

Cytadela strachu

Tłumaczyła: Anna Reszka

Tytuł oryginału: The Citadel of Fear

Wydanie oryginalne 1970 (1918)

Wydanie polskie 1992

„Cytadela strachu” to przygodowa powieść fantasy z rozbudowanym wątkiem niesamowitym. W Tlapallan, zaginionym mieście zbudowanym przez starożytną cywilizację istniejącą na terenach Meksyku, znajduje się aztecki posąg, inkarnacja „wysublimowanej nienawiści uosobionej w czarnym kamieniu - marmurowym wizerunku demona, którego powierzchnia marszczyła się pod dotykiem dłoni jak żywe ciało, demonicznego boga Azteków Nacoc Yaotla, tego, który rozbudzał nienawiść, emanacji Zła, tego, który miał umożliwić najbardziej niezwykłą i złowrogą inwazję, jaka kiedykolwiek zagrażała ludzkiej rasie!”.

Spis treści:

Robert Weinberg - ZAPOMNIANA DAMA FANTASY	4
Rozdział I. Ukryty wśród wzgórz	8
Rozdział II. Dziewczyna z ćmami	25
Rozdział III. Strażnicy Wzgórz	34
Rozdział IV. Tlapallan lub	48
Rozdział V. Złoto	58
Rozdział VI. Czarny posąg	66
Rozdział VII. Płaszcz Xolotla	73
Rozdział VIII. Przed Czarną Kaplicą	81
Rozdział IX. Mówi Maxatla	91
Rozdział X. Pierwsza wizyta	102
Rozdział XI. Czerwono-czarny ślad	116
Rozdział XII. Opinia pana MacClellana	123
Rozdział XIII. Sprzedaż domu	128
Rozdział XIV. Druga wizyta	134
Rozdział XV. Trzecia wizyta	138
Rozdział XVI. Dom	147
Rozdział XVII. Niespodzianka i rozczarowanie	162
Rozdział XVIII. Głos	173
Rozdział XIX. Cliona przyjmuje gościa	185
Rozdział XX. Czwarta wizyta	203
Rozdział XXI. Cliona spotyka się z obcym	216
Rozdział XXII. Stwórca goblinów	222
Rozdział XXIII. „Pan Strachu”	227
Rozdział XXIV. Samotny wędrowiec	233
Rozdział XXV. Biała zwierzęca łapa	234
Rozdział XXVI. Do Undine	252
Rozdział XXVII. Dziwna ofiara i jeszcze dziwniejszy zwycięzca	255
Rozdział XXVIII. Rywale	257
Rozdział XXIX. Złota butelka	267
Rozdział XXX. Ponownie stróżówka	273
Rozdział XXXI. Dziwna bitwa	277
Rozdział XXXII. Walka w drzwiach	281
Rozdział XXXIII. Jedyny zwycięzca	295

Robert Weinberg - ZAPOMNIANA DAMA FANTASY

Zapowiadając druk *Cytadeli strachu* w odcinkach Francis Stevens w magazynie *The Argosy*, wydawca Bob Davis stwierdził: „Jest to jedna z najznakomitszych, jeśli nie najbardziej niezwykła i frapująca opowieść, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się publikować. Sięgając magicznego szczytu siły wyobraźni, jednocześnie absorbuje i wywiera nieodparte wrażenie dzięki swojemu naprawdę ścisłemu związkowi z rzeczywistością. Ta opowieść wzburza krew, porusza serce, pobudza wyobraźnię motywami grozy i suspense'u.” Fakt, że Davis był edytorem, który kupił wszystkie wczesne powieści Edgara Rice Burroughsa, Maxa Branda i Abrahama Merritta, czyni to stwierdzenie jeszcze bardziej godnym uwagi. Z tej notatki wydawniczej i następnych wynikało jasno, że Davis uważał Francis Stevens za jednego ze swoich najlepszych pisarzy.

H. P. Lovecraft, który później został uznany za największego twórcę fantastyki grozy dwudziestego wieku, komentując *Cytadelę strachu*, pisał w liście do *Argosy*: „...gdyby napisał ją sir Walter Scott lub Ibanez, tę cudowną i tragiczną alegorię wychwalano by pod niebiosa... Stevens, według mnie, należy do naszych najwybitniejszych pisarzy.”

A. Merritt, jeden z wielkich literatury fantastycznej, był zagorzałym wielbicielem Stevens i przyczynił się do przedrukowania jej powieści w latach czterdziestych (w magazynach).

W początkach jej kariery wielu fanów sądziło, że Stevens może być pseudonimem Merritta.

Jednakże mimo uznania, jakie wzbudzały jej dzieła, Francis Stevens jest jedną z zapomnianych postaci literatury fantastycznej. W ciągu minionych czterdziestu lat opublikowano w formie książkowej zaledwie trzy jej powieści, a ich nakłady są od dawna wyczerpane. Należy mieć nadzieję, że po wznowieniu *Cytadeli*

strachu oraz innych powieści Stevens zajmie właściwe miejsce w dziedzinie fantastyki.

O sobie Francis Stevens napisała:

Urodziłam się w Minneapolis w stanie Minnesota. Rodzice mieli zamiłowania literackie, więc wychowałam się wśród książek, choć musiałam porzucić naukę pod koniec szkoły średniej i pójść do pracy. Miałam trochę zdolności rysunkowych i chciałam zostać ilustratorem. Przez kilka lat studiowałam nocami, ale w końcu zarzuciłam to. Swoją pierwszą opowieść napisałam, kiedy miałam siedemnaście lat i pracowałam w biurze administracji domu towarowego. O ile pamiętam, miała tylko jedną zaletę, a była nią dość wydumana oryginalność. Oczywiście, w ocenie pisarzy, była to znakomita opowieść, ale mimo to byłam bardzo zaskoczona, kiedy *The Argosy*, pierwszy magazyn, do którego się zwróciłam, przyjął ją.

Erudyta i wydawca fantastyki, Lloyd Arthur Eshbach, był pierwszym miłośnikiem fantasy, który odkrył całą tajemnicę, ledwie wspomnianą w notce biograficznej o Stevens zamieszczonej w *The Argosy*. W *The Heads of Cerberus*, wydanej w twardej oprawie w 1953 roku, Eshbach ujawnił, że Francis Stevens to pseudonim Gertrudy Barrows Bennett.

Urodzona 18 września 1884 roku, Gertrude Barrows mieszkała w Minneapolis. W 1909 roku poślubiła Anglika, Stewarta Bennetta, z którym przeniosła się do Filadelfii. Niespodziewana śmierć męża zmusiła ją do podjęcia pracy sekretarki, by utrzymać siebie i córkę. Kilka lat później, po śmierci ojca, musiała się również zaopiekować chorą matką. Ciężar opieki nad małym dzieckiem i starą matką sprawiał, że wiele czasu spędzała w domu, co prawdopodobnie uczyniło z niej pisarkę.

Wykorzystywanie pseudonimu Francis Stevens wiąże się zapewne z charakterem utworów, które pisała. Choć wśród pisarzy związanych z *The Argosy* były także kobiety, nie zajmowały się one jednak literaturą przygodową ani fantastyczną. Ten typ literatury rezerwowali sobie mężczyźni, a przynajmniej tak sugerowały nazwiska autorów. Byli wśród nich George Allan

England, Abraham Merritt, Max Brand, Charles Stilson, Edgar Rice Burroughs i wielu innych. Kobieta nie pasowała do takiego towarzystwa. Jak wiele kobiet przed nią i po niej, Gertrude Bennett wiedziała, że łatwiej jest zmienić nazwisko niż rodzaj pisarstwa.

Bennett nie była płodną pisarką. W tygodniku *The Argosy* opublikowała powieści: „*The Nightmare*”, „*The Labyrinth*”, *Cytadela strachu*, *Claimed*, „*Serapion*” i „*Avalon*” oraz kilka opowiadań. W 1919 roku firma *Street & Smith* utworzyła czasopismo publikujące „inne” opowiadania i powieści - *The Thrill Book*. Utwory Francis Stevens doskonale pasowały do profilu tego magazynu i zanim zostało zlikwidowane, ukazała się w nim powieść *The Heads of Cerberus*. Specjalista od groszowych magazynów, Will Murray, odkrył niedawno, że *The Thrill Book* zakupiła kilka innych utworów Francis Stevens, w tym przynajmniej dwie powieści, ale nie zostały one opublikowane z powodu śmierci magazynu. Na nieszczęście powieści te, wraz z kilkoma opowiadaniem Stevens, znajdowały się w pudle z rękopisami w archiwach *Street & Smith*, które zaginęło wiele lat temu. Tak więc jest mało prawdopodobne, by odnaleziono kiedykolwiek nie opublikowane powieści Stevens.

Krótką powieść „*Sunfire*” wydrukowały w 1923 roku świeżo powstałe *Weird Tales*. Niewątpliwie została ona napisana dużo wcześniej, a dostarczona w momencie kiedy otworzył się nowy rynek.

Wszystko wskazuje na to, że Francis Stevens przestała pisać w 1920 roku. Po śmierci matki mogła zostawić córkę u przyjaciół i wrócić do pracy w pełnym wymiarze godzin. Choć pisanie mogło być przygodą, nie dawało jednak dużo pieniędzy. Niewiele wiadomo o Francis Stevens ponad to, że na początku lat trzydziestych przeniosła się do Kalifornii. List wysłany do niej przez córkę w 1939 roku wrócił do nadawcy. Późniejsze próby odnalezienia jej przez wydawców również okazały się bezowocne.

Cytadela strachu jest powieścią doskonale nadającą się do prezentacji Francis Stevens. Pod wieloma względami jest to jej

najciekawsze osiągnięcie. Ta długa historia, licząca ponad 90 000 wyrazów, toczy się wartko i pełna jest fantastycznych wydarzeń. Mimo to wydarzenia nie dominują w powieści na tyle, by występujący w niej bohaterowie byli papierowymi postaciami. Jest to opowieść o nieszczęściach i tragediach, do których nieuchronnie prowadzi chciwość ludzka. Historia zaginionej rasy łączy się w niej z najdziwniejszymi fantastycznymi pomysłami.

Przygotowując to wydanie do druku, wydawca (Carroll & Graf) sięgnął do pierwotnej wersji drukowanej w odcinkach w *The Argosy* w 1918 roku. Redaktor *Famous Fantastic Mysteries* (Słynnych Fantastycznych Tajemnic) znany był z tego, że często skracał powieści, by dopasować je do objętości magazynu przedruków. Na szczęście porównanie dwóch wersji pokazuje, że dokonano jedynie kosmetycznych zmian. Uwspółcześiono kilka drobiazgów (woalki i opończe zmieniono na kapelusze i płaszcze). Ze względu na tempo akcji zmniejszono ilość rozdziałów w stosunku do pierwodruku. W wersji *The Argosy* powieść miała 52 rozdziały. Wersja z *Famous Fantastic Mysteries*, zachowując pełny tekst, liczyła 33 rozdziały. Z tego samego względu, wznowienie liczy również 33 rozdziały. Innymi słowy, tekst ma taki sam kształt jak sześćdziesiąt pięć lat wcześniej.

A więc według słów Boba Davisa, jest to opowieść o „wysublimowanej nienawiści, uosobionej i żyjącej w czarnym kamieniu - marmurowym wizerunku demona, którego zimna powierzchnia marszczyła się pod dotykiem dłoni jak żywe ciało - o Nacoc-Yaotlu, tym, który rozbudzał nienawiść, emanacji Zła, tym, który miał umożliwić najbardziej niezwykłą i złowrogą inwazję, jaka kiedykolwiek zagrażała ludzkiej rasie”. Oto, przed wami, Cytadela strachu.

Rozdział I. Ukryty wśród wzgórz.

- Nie zostawiaj mnie... Wszystko...

Słowa były ledwo zrozumiałe, ale wysoki człowiek, z trudem brnący na przedzie przez miękki, zapadający się piasek, usłyszał je i nie odwracając głowy zatrzymał się. Stał z opuszczoną głową i ramionami, jak gdyby promienie bezlitosnego, nagiego słońca miały rzeczywisty ciężar, który przygniata do ziemi. Jego towarzyszy, wlokący się naprzód resztkami sił, zgiął się nagle w pół i upadł twarzą na piasek.

Wysoki mężczyzna spojrział apatycznie na wstrząsany drgawkami kształt. Następnie uniósł głowę i przez czerwoną mgłę popatrzył na otaczające ich rozległe miejsce męczarni, w którym tkwili jak w pułapce.

Słońce, pomyślał, powiększyło się monstrualnie i połknęło całe niebo. Ani skrawka błękitu. Mosiądz nad głową, miękkie, rozpalone do białości żelazo pod nogami, a wszystko zabarwione na czerwono przez krwawą mgłę na umęczonych piaskiem oczach. Poza obszarem o promieniu dwudziestu metrów obraz zamazywał się i znikał, wewnątrz jednakże coś zatrzepotało, pacnęło o ziemię i niezdarnie ruszyło przez piasek, z na w pół rozpostartymi skrzydłami i opuszczoną żółtą głową, zuchwałę w nienasyconej i wstrętnej ciekawości.

- Ty! - wyszeptał ochryple mężczyzna i potrząsnął w kierunku stworzenia wielką czerwoną pięścią. - Nie zrobisz sobie obiadu ani ze mnie, ani z niego, dopóki mogę ruszać nogami!

Powiedziawszy to uklęknął przy leżącym, zarzucił sobie na szyję jego bezwładne ramiona, pochylił potężne plecy, by podtrzymać ciało, i podniósł je. Zataczając się, stał przez chwilę na rozstawionych nogach, a później na nowo rozpoczął chwiejny marsz. Kondor leniwie usunął mu się z drogi i wzbiwszy się w powietrze, podjął cierpliwe krążenie.

Po wiekach piekła, gdzie, skazany na wieczność dźwigał nieznośny ciężar przez morze ognia, wysokiemu mężczyźnie

wróciła świadomość. Stwierdził nagle, że leży na brzuchu, a ramiona i piersi zanurzone są w płynnym chłodzie, i że łyka wodę tak szybko i łakomie, jak tylko na to pozwala spuchnięty język i wargi.

Dzięki samokontroli, która uratowała życie dwóm ludziom, zmusił się do przerwania picia, ale leżał nadal w wodzie, pluskał się jak dziecko ledwo mogąc uwierzyć w jej istnienie, i dziękował jednocześnie Bogu za wodę, że jest. Wróciło mu życie i jasność widzenia; zobaczył strumień, który oznaczał zbawienie dla wysuszonych słońcem tkanek.

Był to głęboki, wąski, wartki potok, którego ciemne wody mknęły szybko, szarpiąc jego ręce z całą siłą rwącego prądu.

Wypływał ze skalnej gardzieli i znikał znowu za zakrętem między skałami.

Gdzie się podziało rozpalone do białości piekło? Znajdował się teraz w cieniu, błogosławnym, chłodnym, ożywym. Był jednak sam.

Siłą woli, oderwawszy się od wody, wysoki mężczyzna przetarł oczy i rozejrzał się. Niedaleko leżał podłużny brunatny kształt, pokryty smugami szarego piasku, który wydawał się biały w gęstwinie czarnych włosów u jednego z końców.

Wysoki mężczyzna wstał bardzo ostrożnie i zrobił niepewny krok w kierunku skulonej postaci. Następnie mokrą czerwoną pięścią potrząsnął w stronę szerokiej, migoczącej przestrzeni, która rozciągała się za cieniem skał.

- Zgubiłeś nas - zamruczał, wydając prawie dziecinny, triumfujący chichot - i nigdy nas nie dostaniesz, nigdy, póki mogę ruszać nogami!

Później zabrał się do cucenia towarzysza, którego przeniósł przez mękę na własnych plecach. Obmył mu twarz i rozważnie niósł ratunek, zwilżając poczerwiałe, wysuszone wargi i język. Sam wypił więcej i szybciej. Powiedział mu o tym bolący żołądek i płuca.

Drugi mężczyzna, mając przyjaciela, który go pielęgnował, nie musiał w ten sposób ryzykować życiem. Piasek zmyty z twarzy zostawił na niej małe białe strużki; mięśnie szyi zaczęły się poruszać konwulsyjnymi skurczami łkania.

W trakcie swych czynności wysoki mężczyzna rzucił przelotne spojrzenie na gardziel, z której wypływał strumień. W dole była pustynia, wyżej - niedostępne skały i nagie obszary kamieni spiętrzonych ku niebu. Oślepli i pozbawiony czucia, wiedziony jakąś wewnętrzną siłą, raczej instynktem niż zmysłami, wyrwał siebie i swego towarzysza z gorących, suchych szponów pustyni. Czy wzgórze miały okazać się łaskawsze? Była tu woda, ale co z pożywieniem?

Spojrzał ponownie w stronę gardzieli i zobaczył, że obok rwącej wody jest dość miejsca, żeby mógł tamtędy przejść człowiek. W dół strumienia dryfowała zielona, pokryta liśćmi gałąź, pędząc, okręcana przez prąd.

Jak stygnie płynne żelazo wyciągnięte z ognia, tak pustynia ochłodziła się po zachodzie słońca. Nieznośna biel stała się tajemniczą purpurą z zawieszonym nad nią sklepieniem łagodnego, delikatnego błękitu, który pogłębił się, ściemniał, roziskrzył milionami błyszczących klejnotów.

A pod gwiazdami bładziły chłodne, nocne wiatry, jak skradający się, niewidzialni włóczędzy. Dotarli w górę, między skały, targając, jakby osobliwymi palcami, włosy zbiegłych więźniów słońca.

Kiedy ich zimny oddech dotarł do rozgrzanych ciał, niższy mężczyzna zadrżał we śnie. Jego towarzysz przysunął się i wziął w ramiona nie przykryty kocem kształt, aby podzielić się z nim własnym ciepłem i niewyciężoną żywotnością.

Nadszedł świt, nikły ślad mrocznego światła. Gwiazdy zbladły i po chwili zgasły, a szafranowy blask zmienił na krótko pustynię w złoto.

Jeden z mężczyzn spał krótko, a drugi długo, ale to ten pierwszy wstał zwawo z nagiej skały i zachęcał tamtego do działania.

- Potrafimy radzić sobie sami - stwierdził z ufnym optymizmem.
- Dowiedliśmy tego tym razem i chociaż zimna woda jest kiepskim śniadaniem, trudno znaleźć lepszą zachętę. Chodźmy teraz. Niech pan wstanie na własne nogi, panie Kennedy, żebyśmy mogli zacząć poszukiwania.

Tamten drugi podniósł się niechętnie. Jego twarz była gładko ogolona, nie licząc ciemnej szczeciny po trzydniowym rozwodzie z brzytwą, a czarne włosy, czarne, czujne oczy i cera zbrązowiała od meksykańskiego słońca nadawały mu prawie wygląd Indianina.

Jego towarzysz natomiast był z typu piegowatych blondynów, którzy z trudem się opalają, a jego młoda pospolita twarz płonęła czerwienią pod strzechą niemal równie ognistych włosów. Mający ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupły, żyłasty, z szerokimi ramionami i wąski w biodrach, Celin O'Hara wyglądał na tego, kim był - dzielnego młodego Irlandczyka, który pełnię mocy miał jeszcze osiągnąć, ale który nawet w wieku dwudziestu lat przewyższał większość mężczyzn siłą i żywotnością. Pod znoszoną flanelową koszulą grały mięśnie, jednak nie w zbitych wzgórkach, lecz długich, łagodnych łukach, które zapowiadały wytrzymałość bez końca.

- Chodźmy - powtórzył. - Czekają na nas ze śniadaniem w górze arroyo.

- Kto? Och, jeszcze jeden z twoich nonsensownych dowcipów, co? Czy nie możemy nawet umrzeć z głodu, żebyś z tego nie żartował?

- Dlaczego mielibyśmy umrzeć z głodu, człowieku? Niech więc pan to zje na poprawę humoru.

Rzucił coś, co Kennedy złapał ochoczo i nie patrząc nawet, wbił zęby w szarozieloną skórę.

- Lechera, prawda? - przełknął i ugryzł ponownie. - Gdzie ją zdobyłeś?

Tamten wskazał na pędzący strumień.

- Płynęła tu zeszłej nocy i wyciągnąłem ją myśląc, że będzie pan rano potrzebował odrobinę zachęty.

- Tylko jedna? - zapytał Kennedy, rzucając szybkie, łakome, podejrzliwe spojrzenie.

- Tylko jedna.

Po pośpiesznym zjedzeniu mlecznego mięszu ciemny mężczyzna zmył lepki sok z twarzy i rąk, i odwrócił się, szczerząc zęby.

- Jesteś więc głupcem, że dałeś mi całą, tak wielkim głupcem, że trudno mi w to uwierzyć. Ile zjadłeś tak naprawdę?

Rude brwi Irlandczyka ściągnęły się. Odwrócił się.

- Dałem panu wszystko, żeby uwolnić się od dźwigania pana - odparował. - Miałem wczoraj tego dosyć.

Wielkimi krokami ruszył teraz w górę strumienia, a Kennedy podążył za nim, patrząc wilkiem na jego kołyszące się plecy.

- Posłuchaj, Boots - zawołał po chwili. - Wiesz, że nie miałem nic złego na myśli. Uratowałeś mi życie, przynajmniej to, i... dziękuję ci za gruszkę.

„Boots” - przezwisko to prawdopodobnie pochodziło od pary ogromnych butów ze skóry wołowej, w których młody Irlandczyk wyruszył w podróż przez pustynię - rzucił krótko do tyłu: „W porządku” - i wytrwale kroczył naprzód. Nie był człowiekiem, który sprzeczałby się o tak błahą sprawę.

Jeśli chodzi o obecny cel podróży, to najlepszą rzeczą której mógł się spodziewać nawet taki optymista jak Boots, byłaby jakaś nie uprawiana kotlina, gdzie zdołaliby przez pewien czas przeżyć na dzikich owocach i drobnej zwierzynie, którą można upolować bez broni.

Jałowy, nie zamieszkały, opuszczony nawet przez Indian region miał złą opinię. „Collados del Demonio”, „Diabelskie Wzgórza”, jak nazywali je Meksykanie. Aż do Cuachitin, na skraju pustyni, poszukiwacze dotarli bez kłopotu. Były to czasy, kiedy Porfirio Diaz nadal jeszcze trzymał Meksyk za gardło żelaznym uściskiem

i w rezultacie nawet „puerco gringo” mógł podróżować bezpiecznie przez ten kraj.

Ale Cuachitin nie zachęciło ich do dalszego marszu. Kennedy na próżno usiłował namówić kilku mieszkańców tej indiańskiej osady, żeby posłużyli im za przewodników. Złoto? A, tak, jest złoto na wzgórzach. Złoto w bryłach tak dużych jak twoja pięść, tak. Ale są tam również demony.

Czyż nie było wiadomo, że w dawnych czasach cały Anahuac zamieszkiwali giganci? Nawet teraz, podczas zaorywania nowych pól, człowiek mógł łatwo natknąć się na ich olbrzymie kości. Straszne białe duchy grasowały po wzgórzach. Polowały tam, mając za towarzyszy duchy białych kugarów. Zwykły urywać głowy ludziom i połykać je wraz z ich duszami, jak ziarna melona. Nie, nie! Nie zrobiono jeszcze koca ani nie wykuto noża, które uchroniłyby człowieka przed zjedzeniem, razem z duszą, przez diabły!

W ogromnej, na wpół zbutwiałej, brązowej, podobnej do dziwnego pnia rzeczy, którą w końcu wyciągnęli, żeby poprzeć swoją opowieść o gigantach, Kennedy rozpoznał kość udową mastodonta! Poszukiwacze stracili nadzieję na przezwycięzenie przesądów, których korzenie tkwiły w prehistorii, i wyruszyli dalej samotnie.

To prawda, że dotarli do celu, do wzgórz, ale jedynym wyposażeniem, jakie im zostało, były gołe ręce, a jedynymi zapasami - nadzieja na to, co mogła zaoferować ta kraina.

Prowadziła ich ocieniona od góry przez wystające urwiska, kręta ścieżka przy potoku. Gardziel poszerzyła się. Dotarli do ostrego zakrętu skalnych ścian i minęli go.

- O święci! - rozległ się nagły okrzyk Bootsa. - Panie Kennedy, widział pan kiedykolwiek coś podobnego?

Kennedy nie odpowiedział. Gdyby gardziel otworzyła się na piekło z płonąca siarką, nikt nie mógłby zatrzymać się bardziej gwałtownie ani wpatrywać się z większym zdumieniem.

Ich odczucia, jednakże, były dalekie od przerażenia. Dla podrażnionych piaskiem i zmęczonych słońcem oczu widok, który się im ukazał, wydawał się niemal rajem.

Strome, gęsto porośnięte lasem wzgórza, biegnące równoległe do siebie, tworzyły wspaniałe kwitnący i pełen owoców wąwóz. Jego środkiem wił się strumień, płytki i szeroki między łagodnymi brzegami, a tworzący mroczną kipieli wirów w miejscu, gdzie zbliżał się do skał.

Niezależnie od kwiatów, owoców i skrzęcej się rzeki, okolica miała swojski wygląd. Drzewa owocowe tworzyły regularne rzędy. Pina nonas wznosiły swoje ostre kolce w wyrównanych, karnych szeregach. Brązowa ścieżka biegła wzdłuż strumienia do tego, co potwierdzało sens istnienia całej reszty - lśniących białych murów na wyżej wzniesionym krańcu wąwozu.

- Plantacja! - wykrzyknął w końcu Kennedy. - Plantacja na Collados del Demonio! A przecież z tego, co wiadomo, w promieniu dwustu kilometrów od tego miejsca nie ma nawet skrawka uprawnej ziemi.

Boots wyszczerzył wesoło zęby.

- Raporty kłamały! Może natknęliśmy się na dom samego diabła ze wzgórz. Jeśli tak, to winien jest nam śniadanie za wytropienie go!

Głodni mężczyźni, myśląc tylko o jednym, skierowali się prosto do tych plam lśniącej bieli, które, jak przypuszczali, oznaczały dom ranczera.

W pomarańczowych gajach bujnie rosły obok siebie kwiaty i pełne złote kule. Sączyńce, mleczone grusze, śliwy, obwieszane milionami dojrzewających owoców, świadczyły o żyznej ziemi i łagodnym klimacie. Chmary motyli, karmazynowych, niebieskich, metalicznozielonych, dzieliły powietrze z kolibrami, których upierzenie mogłoby zawstydzić spinakery. Obdarzone melodyjnym głosem niebieskie wróble, dzikie kanarki i barwne małe papużki ozdabiały drzewa tęczowymi ognikami.

- To Eden bez... - zaczął Boots, kiedy „trrr!”, z głębokiej trawy okalającej ścieżkę dobiegł ostry sygnał ostrzegawczy.

Boots w żartobliwym pozdrowieniu ukłonił się w kierunku dźwięku. - Proszę o wybaczenie, Panie Grzechotniku! Eden, wąż i wszystko inne, to właśnie zamierzałem powiedzieć.

- Nie wystrzel z którymś z twoich głupich żartów, kiedy znajdziemy się w tamtym domu - warknął Kennedy. - Niektórzy Meksykanie są drażliwi jak diabli.- Ach, przecież zaraz uspokoiłby ich pan swoim spojrzeniem spode łba - zaśmiał się Boots. - Ale... cóż to, nie podziwia pan tego widoku, panie Kennedy? To nie żadne ranczo, ale prawdziwa hacjenda, ni mniej, ni więcej!

To była prawda. Zamiast zwykłego, otynkowanego na biało domu drobnego ranczera, rzadziejące drzewa ukazały znacznie bardziej okazałą budowlę. Rozległa, o niskim dachu i ścianach ledwo widocznych spod oplatających je winorośli, była rezydencją, której właścicielem mógł być tylko bardzo bogaty Meksykanin. Odnalezienie jej wśród tych wzgórz było równie zaskakujące, jak odkrycie pałacu w sercu dżungli na Borneo.

Z jednego komina, przypuszczalnie nad kuchnią, unosiła się wąska smużka dymu. Była to jedyna widoczna oznaka życia. Dopiero teraz uderzyło ich, że w całym wąwozie nie widzieli nawet jednego peona zajętego pracą na plantacji.

Hacjenda wydawała się bardzo cicha. Za murami ogrodzenia nie zaszczekał żaden pies ani nie zapał kogut. Gdyby nie zgiełk ptasich głosów, mogłoby się zdawać, że zawędrowali do kotliny zaczarowanej w bezruchu.

- Dym świadczy o ogniu, a ogień o jedzeniu - stwierdził Boots. - Kucharz już się obudził i to wstyd, jeśli reszta śpi, kiedy słońce wzeszło dwie godziny temu. Wejdziemy czy zapukamy, panie Kennedy? Pan lepiej wie, co uważa się za stosowne w tych stronach.

- Zapukaj - usłyszał krótką radę swojego towarzysza.

Ten podejrzliwie przyglądał się hacjendzie, ale ponieważ podejrzliwość była normalną postawą Kennedy'ego wobec świata, Boots nie zwrócił na to uwagi.

Śmiało podszedł do drewnianej bramy, która była otwarta, a przez sklepione przejścia ukazywał się przyjemny widok wewnętrznego dziedzińca z palmami, jaskrawymi oleandrami i szumiącą fontanną. Głośno uderzył pięścią w skrzydło otwartych wrót.

Prawie natychmiast wezwanie to przyniosło odpowiedź. Spomiędzy palm, tupiąc bosymi nogami, wypadło dziecko i raptownie zatrzymało się, kiedy zauważyło, że przybysze to obcy. Była to dosyć ładna dziewczynka w wieku trzech, czterech lat, z kręconymi czarnymi włosami, błyszczącymi, poważnymi czarnymi oczami i skórą zaskakująco różową i białą jak na meksykańskie dziecko. Jej jedyny ubiór stanowił brązowy fartuszek z włókna agawy, czysty jednakże i pracowicie wyhaftowany.

- Buenos dias, chiquita - przywitał ją Boots, którego hiszpański, mimo okropnego akcentu, na ogół spełniał swoje zadanie. - Esta usted sola en la casa? (Czy jesteś sama w domu?)

Ciemna, kędzierzawa głowa poruszyła się w poważnym zaprzeczeniu. Następnie na okrągłej uśmiechniętej twarzy pojawiły się dołeczki, dziewczynka podbiegła do gigantycznego przybysza i wyciągnęła pulchne ramionka w łatwej do rozpoznania prośbie. Irlandczyk odpowiedział śmiechem, podniósł dziecko w górę i posadził na niebotycznej wysokości swoich pleców.

Kennedy zmarszczył się z irytacją i znudzeniem.

- Czy mamy tu stać cały dzień? - zapytał.

Pochyliwszy się do przodu, dziecko zerknęło na niego zza rudej głowy szybko wybranego przyjaciela.

- Idź sobie - rozkazała spokojnie. - Rudy człowiek miły, wejdź. Czarny człowiek idź sobie, idź, odejdź stąd! - Swój rozkaz, wypowiedziany nieoczekiwanym, dziecinnym angielskim,

podkreśliła szerokim machnięciem ręki w kierunku bezkresnych przestrzeni otaczających hacjendę.

Wybuch radości Bootsa spowodowany tym krótkim wyborem i odprawieniem miał dwa następstwa. Irytacja Kennedy'ego wzrosła, a z jakichś drzwi, które zasłaniało jedno skrzydło wrót, wyszedł mężczyzna i szybkim krokiem ruszył w ich stronę. Ubrany w nieskalaną biel, zadbany i pewny siebie, wyglądał na pana tej hacjendy.

- O co chodzi? Niech pan postawi to dziecko, sir! Kim jesteście i jak się tutaj dostaliście?

Irlandczyk wzruszył ramionami lekko urażony.

- Panience nic nie grozi - zaprotestował. - Szukamy jedynie jedzenia i schronienia, za które chętnie zapłacimy, i ruszamy dalej w drogę.

Nic nie odpowiedziawszy, mężczyzna podszedł, zdjął dziewczynkę z wysokiego siodła i postawił ją na ziemi.

- Biegnij do domu, córeczko - polecił krótko.

Ona jednak rozplakała się i krótkimi ramionkami otoczyła zakurzone buty Irlandczyka. Ten zaś, przewidując grożące młodej damie kłopoty, pochylił się i delikatnie ją odsunął.

- Mam w domu małą siostrzyczkę, dziewczynko - powiedział. - Jest bardzo do ciebie podobna, tylko oczy ma niebieskie jak chabry. No, nie płacz. Zobaczymy się jeszcze.

Ponieważ nadal trzymała się go kurczowo, ojciec nachylił się, podniósł ją i ustawił w pożądanym kierunku.

- Idź! - nakazał z umiarkowaną surowością, która tym razem odniosła skutek.

Boots popatrzył za nią z żalem, gdyż lubił dzieci. Istotnie, miał ją znowu zobaczyć, tak jak obiecał; nie poznał jej jednak, choć to rozpoznanie i tak nie oszczędziłoby mu straszego, gorzkiego bólu. Ale teraz była dla niego tylko małą dziewczynką, która niechętnie odchodziła na polecenie ojca, i idąc, odwróciła się, żeby pomachać mu na pożegnanie pulchną rączką.

Po zniknięciu córki zachowanie ojca stało się swobodniejsze.

- Zaskoczyliście mnie - wyjaśnił. - Rzadko nas tu ktoś odwiedza, ale nie chciałem być niegościnnie. Przychodźcie z...

- Pustyni. - Zwięzłość Bootsa świadczyła o jego oburzeniu. Czy ten facet myśli, że on jest wilkołakiem pożerającym dzieci, i dlatego z takim lękiem odesłał córkę do domu?

Kennedy był bardziej wylewny. Natychmiast wdał się w relacjonowanie ich ostatnich cierpień, a ściślej mówiąc, swoich własnych, i zanim opowieść dobiegła do połowy, wyglądało na to, że z niechęci gospodarza nie pozostał nawet ślad wrogości.

- Wchodźcie, wchodźcie! - zawołał. - Nie może mi pan opowiadać takiej historii stojąc tutaj. Wejdźcie, a ja znajdę dla was coś do jedzenia, chociaż nie mam pojęcia, co to będzie. Moi ludzie... - urwał i zawahał się mając dość dziwną minę.

- Moja służba ma dzisiaj wolne - dokończył wreszcie. - Zrobię, co tylko można i proszę, żebyście wybaczyli mi wszelkie niedogodności spowodowane ich nieobecnością.

Obaj mężczyźni, nieco zaskoczeni, chętnie wyrazili swoją zgodę.

Mają dzisiaj wolne! pomyślał Boots. Ciekawe, gdzie mogli pójść? Czy on urządza pikniki dla swoich peonów? Różni się więc bardzo od innych panów, których spotkałem w tym kraju wyzyskiwaczy.

Zaprowadziwszy ich do wielkiej, chłodnej i wysokiej jadalni z galeryjką, gospodarz zniknął, a potem wrócił, niosąc tacę pełną łupów z własnej wyludnionej kuchni.

Jedzenie, składające się z kurczaka, nieuniknionych tortilli, batatów w cukrze, bananów i innych owoców, było tak typowo meksykańskie, jak cała hacjenda. Nic jednak nie wskazywało na to, by w żyłach ich gospodarza płynęła hiszpańska krew.

Żaden Latynos nie mówi po angielsku tak, jak gdyby to był jego ojczysty język, a co więcej, chociaż gospodarz oczy miał ciemne, a włosy, choć mocno przyprószone siwizną, prawie czarne, było coś w jego żywej, wyrazistej twarzy, co przywodziło na myśl jakąś północną rasę.

- Pochodzi pan ze Stanów? - zapytał Kennedy. Pytanie było zbyt obcesowe jak na kurtuazyjną rozmowę, ale mężczyzna skinął głową.

- Tak, jestem Amerykaninem. Kalifornijczykiem, chociaż moi rodzice urodzili się nad fiordem Christiania.

- A, Norweg, nieprawdaż? - W oczach Bootsa zabłysła aprobata. Znał jednego czy dwóch Norwegów i uważał ich za wspaniałych, silnych, uczciwych ludzi. - Bardzo mi miło pana poznać, panie...

- Nazywam się Svend Biornson! - Ton był tak prowokująco szorstki, że goście odruchowo spojrzeli ze zdumieniem na mówiącego. Jeśli jednak spodziewał się, że wywoła nieco inne wrażenie, rozczarował się. Spozrzegł to natychmiast i roześmiał się, jak gdyby chciał zatuszować dziwne zmieszanie.

- Przepraszam, że nie przedstawiłem się wcześniej. Na tym odludziu zapomina się cywilizowanych obyczajów. A teraz, jak sądzę, chętnie umylibyście się i przebrali w świeże ubrania. Proszę za mną, panowie.

Do chłodnego, przestronnego pokoju, do którego ich zaprowadził, wchodziło się z jednej z dwóch galeryjek otaczających jadalnię. Z trzech okien, przez które można było wyjść na inną długą, otwartą galerię, mieli widok na patio. Do swej dyspozycji mieli dwa łóżka nakryte kunsztownymi koronkowymi kapami, meble z plecionej trawy i wikliny oraz łazienkę z wielkimi, porowatymi dzbanami zimnej wody.

Kiedy Kennedy omiół to wszystko spojrzeniem, jego oczy przyciągnęło coś, co stało na półce nad jednym z łóżek. Bez pytania zdjął przedmiot i przyjrzał mu się z ciekawością.

Był to posążek mający około dwudziestu pięciu centymetrów wysokości, wykonany z wypolerowanej, lecz nie glazurowanej porcelany. Twarz, chociaż płaska, miała osobliwie wesoły i życzliwy wyraz. Na głowie znajdowało się coś w rodzaju infuły ozdobionej czarnymi kropkami. Ubiór składał się z tuniki, na której czerwona, niebieska i złota emalia imitowała haft, złotego kołnierza, getrów w podobne kropki jak nakrycie głowy i matowoczarnych sandałów.

Na lewym ramieniu znajdowała się okrągła tarcza. Prawa ręka dzierżyła laskę zakończoną wygiętą szyją i głową węża, wystającą z krezy czy też obręczy z piór.

Był to bardzo piękny okaz sztuki ceramicznej, ale Kennedy miał inny powód do podziwu i zainteresowania.

- Quetzalcoatl, prawda? - powiedział. - Z Cholula, czy też może znalazł go pan gdzieś w tych stronach?

Biornson, który nie zauważył zachowania Kennedy'ego, odwrócił się błyskawicznie. Ku zdziwieniu obu mężczyzn jego twarz zrobiła się trupioblada, jak gdyby doznał strasznego wstrząsu.

- Quetzalcoatl! - wykrzyknął drżącym głosem. - Sir, co pan wie o Quetzalcoatlu?

Kennedy spojrział na niego w całkowitym osłupieniu.

- Jak to? - Podniósł posążek. - Nie przypuszczałem, że istnieją jeszcze jakieś inne oprócz tego, który znajduje się w muzeum w Meksyku. Czy zna pan jego wartość?

Bładość powoli zniknęła z twarzy Biornsona, nerwowo zaciśnięte ręce rozluźniły się. Znowu wydał z siebie ten swój dziwny zakłopotany śmiech i wyjął porcelanowego bożka z rąk Kennedy'ego.

- Zapomniałem, że ta rzecz tutaj jest - mruknął. - Należy do mojej żony. Bardzo byłaby zmartwiona, gdyby posążek stłukł się. Maskotka, rozumieją panowie. To oczywiście przesąd, ale nie gorszy niż rzucanie soli przez ramię lub nieprzechodzenie pod drabiną i inne takie głupstwa. Zaniosę go do jej pokoju, jeśli nie macie panowie nic przeciwko temu. Czy czegoś wam nie potrzeba? Zatem zostawiam was. Najlepiej prześpijcie się, nie ma nic lepszego od sjesty. Obiad będzie, kiedy tylko zechcecie...

Nadal mrużąc oderwane, gościnne frazesy i przyciskając mocno do siebie posążek, Biornson wręcz uciekł z pokoju.

- Co dolega biedakowi? - spytał Boots. - Czy myśli, że ukradniemy mu jego chińskiego karzełka, jak pan sądzi?

Kennedy popatrzył na niego wilkiem i wzruszył ramionami.

- Sądzę - odparł - że ten Biornson, jeśli takie jest jego prawdziwe nazwisko, jest dosyć dziwny i dlatego, póki jesteśmy w tym domu, musimy uważać na jego dziwactwa.

Chociaż obaj byli zmęczeni, zaśnięcie nie przyszło im łatwo. Było coś przygniatającego w tej wielkiej, cichej hacjendzie. Tajemnica panującej w niej pustki, tajemnica samego jej istnienia w połączeniu z dziwnym zachowaniem gospodarza wypełniły im umysł wątpliwościami. Leżeli cicho, niespokojnie, podczas gdy na zewnątrz rósł senny upał i umilkło nawet krzykliwe ptactwo.

W tej ciszy w końcu zasnęli i było już późne popołudnie, kiedy obudzili się.

- A przy okazji, panie Kennedy - odezwał się Boots - jeśli wybaczy mi pan zmianę tematu, co to był za bibelot, który Biornson wyrwał panu z ręki? Quetz... Quetz... jak to się nazywało?

- Quetzalcoatl. Dzieło starej azteckiej sztuki. Na Yukatanie można znaleźć w ruinach najróżniejsze kamienne i terakotowe posążki, ale nie takie jak ten.

- A ten Quetz... jak mu tam na imię, kim on był? Może jednym z pogańskich bożków?

- Panem powietrza. Upierzonym wężem. - Kennedy zazwyczaj chętnie mówił, kiedy mógł popisać się swoją wiedzą. - Według tradycji był człowiekiem, kapłanem, którego później uznano za boga, ze względu na charakter i dobre uczynki. Mówi się, że panował w epoce największego rozkwitu państwa Anahuac i kiedy opuszczał swój lud, obiecał, że wróci na czele rasy ludzi białych, jak on sam. Powinieneś bowiem wiedzieć, że był białym bogiem. Dlatego też, kiedy pojawili się pierwsi Hiszpanie, miejscowa ludność uwierzyła, że ich utracony bóg dotrzymał obietnicy. Jego posążki są dość powszechne, ale nie z porcelany o takiej jakości. Biornson zaskoczył mnie i jak głupiec zdradziłem mu prawdziwą wartość tego przedmiotu, ale i tak mógłbym dać mu za niego dobrą cenę i jeszcze wyjść na tym korzystnie. W Nowym Jorku można by zażądać od kolekcjonera niemal każdej sumy.

- Niech pan się nie oszukuje, że Biornson nie znał jego wartości! Można było dostrzec w jego oczach, że ją zna.

- Tak czy owak, co myślisz o Biornsonie?

- Miły człowiek o spokojnym głosie... z wyjątkiem pierwszej chwili.

- Czy zauważyłeś, jak zastanawiał się nad swoim nazwiskiem? Svend Biornson! Gotów jestem przysiąc, że jest inne, i to takie, że ma powód je ukrywać.

Ale odpowiedź drugiego mężczyzny była zimna i celna.

- My, Irlandczycy, nienawidzimy wężycieli. Jest pan gotowy, żeby zejść na dół?

Pominąwszy pełne obrazy spojrzenie, Kennedy nic nie odpowiedział. Ponieważ jednak ich najkrótsze nawet rozmowy kończyły się zazwyczaj sprzeczką, Boots zignorował to spojrzenie i wyszedł na galerię prowadzącą do jadalni. W domu nadal nie było słycać żadnych odgłosów życia, ale kiedy zeszli na dół i znaleźli drogę na patio, stwierdzili, że jest tam Biornson i że nie jest sam.

Na kamiennej ławce obok fontanny siedziała kobieta. Była wysoka, smukła i niezwykle piękna. Boots pomyślał, że jej ciemne oczy i włosy oraz dziwnie różowobiała cera przypominają mu dziecko, które pierwsze ich przywitało. Ubrana była w prostą suknię z jakiegoś jedwabistego, zielonego materiału i kiedy rozmawiała z Biornsonem, pieszczotliwie dotykała ręką długich, miękkich uszu białego ogara, którego głowa spoczywała na jej kolanach. Wydawało się, że nikt z tej trójki nie zauważył zbliżania się gości, ale kiedy podeszli bliżej, kobieta uniosła twarz, na której odmalował się przestach i czujność.

Poderwała się na równe nogi, a pies, jakby naśladowując ją, stanął obok na tylnych łapach. W tej pozycji bydlę było prawie tak wysokie, jak jego pani, a z gardła wydobywał mu się złowrogi pomruk.

- Spokój! - krzyknął ostro Biornson. Położył rękę na karku zwierzęcia i zmusił je do opadnięcia na cztery łapy. - Panowie, nie spodziewałem się, że wstaniecie tak wcześnie.

Złapał ogara za jedwabistą, białą sierść, ponieważ nie miał obroży, i z tego niepewnego uchwytu zwierzę nieposłusznie wyrwało się do przodu. Jego oczy płonęły dziko, groźniejsze niż obnażone kły, i ponieważ wyglądało na to, że pies gotuje się do skoku, Biornson otoczył ramionami jego szyję. Ten momentalnie odwrócił się i próbował dosięgnąć jego twarzy kłapiącymi szczękami.

Kobieta, której ciemne, przestraszone oczy utkwione były w obcych, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z niewłaściwego zachowania swojego pupila. Powiedziała do niego kilka cichych, niezrozumiałych słów i ogar, którego tak rozwścieczyła interwencja Biornsona, uspokoił się natychmiast.

Chwilę później leżał na ziemi przy jej nogach.

- Wspaniały pies - pochwalił Boots - a pani świetnie nad nim panuje. Czy mogę zapytać, jaka to rasa?

Zanim kobieta zdołała odpowiedzieć, wtrącił się Biornson.

- To zwykły ogar wyżynny - powiedział szybko. - Astrid, to są ci panowie, o których ci mówiłem.

Później dokonał bardziej oficjalnej prezentacji i, jak Boots oczekiwał, przedstawił tę damę jako swoją żonę.

Imię „Astrid” miało skandynawskie brzmienie, a jej uroda mogła być równie norweska, jak pochodzenie męża, ale mieli za mało czasu, żeby się jej przyjrzeć. Zamruczała kilka nieśmiałych słów powitania, przeprosiła gości i zostawiła ich w towarzystwie Biornsona.

Kiedy ubrana na zielono postać z biegnącym tuż obok niej białym ogarem zniknęła w cienistym wnętrzu domu, oczy jednego z mężczyzn śledziły ją z błyskiem zainteresowania, wywołanego wcale nie przez jej urodę.

Rzeczą, która zastanowiła Archera Kennedy'ego, był akcent kobiety. Mógłby przysiąc, że nie był on ani amerykański, ani

norweski, ani hiszpański. Jej wygląd charakteryzował się czymś, co różniło ją od innych białych kobiet, które w życiu widział. Na pewno jednak w tych rękach o różowych paznokciach ani w policzkach jak płatki róży nie płynęła ciemna krew.

Odrzucił ten problem jako nieistotny i odwrócił się do swego gospodarza.

Rozdział II. Dziewczyna z ćmami.

- Panie Kennedy, powinniśmy wcześniej pójść spać, gdyż sądzę, że wyruszymy jutro rano, jak tylko uda się nam pożyczyć lub kupić jakiś środek transportu.

Boots wstał i niecierpliwym gestem wyrzucił brązowy papieros.

Była teraz dziewiąta wieczorem i przez pół godziny, po kolejnym posiłku zjedzonym wspólnie, trzech mężczyzn siedzieli w milczeniu.

W ciągu popołudnia i wieczora zakłopotanie Biornsona wyrażało się wyraźnym chłodem i rezerwą. Zbyszał ich pytania lub spokojnie zostawiał je bez odpowiedzi, ale między jego brwiami pojawiła się zmarszczka, zaczął przyglądać się swoim gościom zwięzonymi oczami, a zaciśnięte usta i wyraz namysłu na twarzy świadczyły o tym, że stanowili dla niego problem przez duże P.

Boots, który miał więcej życiowej mądrości, niż wskazywał na to jego wiek i niedbałe maniery, sam zaczął patrzeć podobnie. Ludzie, którzy mają jakiś sekret do ukrycia, czasami załatwiają swoje problemy w nieprzyjemnie krótki sposób, a ten wąwóz z pewnością był sekretem.

Szaleństwem byłoby sądzić, że taki żywy klejnot wśród jałowych Collados del Demonio tylko przez przypadek utrzymał się w tajemnicy przed światem. Normalnym biegiem rzeczy plantacja stałaby się słynna, choćby z powodu niezwykłego odosobnienia.

Jakim sposobem i z jakiego powodu Biornson zapobiegł rozprzestrzenieniu się takiej wieści? Od razu wyczuli coś złego w tym wąwozie. W miarę upływu czasu, gdy dziwne zachowanie gospodarza stawało się coraz bardziej widoczne, zaczęli przypuszczać, że nic nie było tutaj w porządku.

Na propozycję nieco zirytowanego Bootsa Biornson wstał z podejrzaną skwapliwością i Kennedy'emu nie pozostało nic innego, jak pójść w jego ślady, choć w mroku rzucał ponure

spojrzenia. Przez wiele godzin czekał z cierpliwością kota przy mysiej dziurze, aż ich gospodarzowi wymknie się jakieś nieostrożne słowo lub zdanie, które dałoby mu klucz do najprawdopodobniej intratnej tajemnicy.

Ale on i młody Boots stanowili niedobraną parę i Kennedy był bardziej zły niż zaskoczony, że niecierpliwość tamtego położyła kres jego czatowaniu.

Po raz drugi odprowadziwszy ich do sypialni przy galerii, Biornson podał Bootsowi mały potrójny świecznik, który niósł, i krótko życzył im dobrej nocy. Następnie zamknął za sobą ciężkie drzwi i sekundę później dobiegły do nich łatwe do rozpoznania odgłosy, po których dały się słyszeć niespieszne kroki oddalającego się gospodarza.

Kennedy skoczył z przekleństwem na ustach do drzwi i szarpnął na próżno za klamkę. Jak już wcześniej poinformowały go uszy, drzwi były nie tylko zamknięte na klucz, ale również zaryglowane.

Ogarnięty nagłą wściekłością schwytanego w pułapkę człowieka, kopnął je i uderzył w nie pięścią. Później, z tą samą dziką i bezużyteczną energią, skoczył przez pokój i zaatakował solidne drewniane okiennice, które były zamknięte, kiedy weszli, chociaż w pierwszej chwili nie zauważył tego.

Boots, nadal trzymając świecznik, stał na środku pokoju i patrzył na swojego towarzysza spod ściągniętych z troską brwi. Po chwili postawił świecznik, zrobił krok do przodu i chwyciwszy Kennedy'ego za ramię, siłą posadził go w wiklinowym fotelu.

- Takie zachowanie nic nie pomoże - powiedział z dezaprobatą.
- Chce pan przestraszyć panią Biornson swoim bębnieniem i krzykami, zachowując się jak zjawia zwiastująca śmierć? Jeszcze nie ma pan podejrzanego gardła i raczej to panu nie grozi.

- Ty młody głupcze! - warknął tamten. - Mamy tu siedzieć cicho, aż to zrobią? Użyj tego swojego wielkiego cielska i pomóż mi wyważyć drzwi, zanim wróci ten przeklęty zbój!

- Nie wróci.

- Skąd wiesz?

- Byłoby to nierozsądne. Po co miałby przyjmować nas przez cały dzień, pilnować, trzymać z dala żonę i dzieciaka, żeby nie zdradzili go jakimś słowem, gdyby zamierzał nas zamordować w nocy? Przecież spaliśmy przez kilka godzin i wystarczyłoby pchnięcie nożem, żeby załatwić sprawę. To jeszcze lepiej, bo wzbudził w nas czujność tym zamykaniem drzwi i okiennic.

- Mordercy nie myślą logicznie. - Kennedy'emu minęły pierwsza wściekłość i strach, a zastąpiła je zimna nienawiść do człowieka, który ich uwięził. - Byłeś głupcem, kiedy dałeś mu do zrozumienia, że w pasach mamy pieniądze. Możesz sobie czekać, jeśli chcesz zostać zarżnięty jak prosiak i obrabowany, ale moje motto brzmi: uderzać pierwszemu i to uderzać mocno. Pomóż mi się stąd wydostać, a pokażę ci, jak się postępuje z takimi jak Biornson.

- Chce pan tego? A teraz proszę mnie posłuchać, panie Kennedy, i zapamiętać, że choć jest pan starszy ode mnie i być może bardziej wykształcony, to z nas dwóch w ostatecznym rozrachunku ja jestem górą. Nie będzie pan sprawiał więcej kłopotów, lecz położy się lub posiedzi tutaj w fotelu, aż do czasu, kiedy uznam, że należy działać. Wtedy zrobi pan to, co powiem, i nic innego. Zrozumiał pan?

Kennedy nie odpowiedział, tylko popatrzył na niego ponuro, ale Boots wydawał się zadowolony i pewny, że uzyskał jego zgodę. Odwrócił się, pobieżnie zbadał drzwi i okiennice, a później rzucił się na łóżko i zamilkł.

Minął jakiś czas. Świece dopaliły się do końca i w zamkniętym pokoju zrobiło się nieznośnie gorąco, ale mężczyźni nadal nie odzywali się do siebie.

Raz czy dwa Kennedy wstał, przeszedł się w tę i z powrotem po pokoju, napił się wody z glinianego naczynia stojącego na stole. Gigantyczna postać na łóżku nie poruszyła się jednak. Żelazne mięśnie zapadłego w zimowy sen niedźwiedzia nigdy nie były bardziej rozluźnione niż mięśnie Irlandczyka, kiedy nie miał okazji, by ich użyć.

W końcu jednak ziewnął, przeciągnął się i usiadł.

- Teraz możemy iść - oznajmił spokojnie. - Niech pan zdmuchnie świece!

Chwycił za brzeg okiennicy. Pchając ją lekko na zewnątrz, obluzował śruby i opuścił ją delikatnie na galerię.

Drugi mężczyzna posępnie poszedł w ślady władczygo Irlandczyka, gdy ten wyszedł na balkon. Wokół nich, ciemne i ciche, wznosiły się mury hacjendy. Nigdzie nie było żadnego światła.

Kiepski to strażnik, który polega jedynie na drzwiach i okiennicach, pomyślał Boots. O braku doświadczenia najlepiej świadczy to, że nawet nie kazał psu nas pilnować... przynajmniej miejmy nadzieję, że nie kazał!

Z butami zawieszonymi na szyi ostrożnie wszedł na balustradę; chwilę później zawisł, trzymając się rękami brzegu balkonu, a potem skoczył i wylądował prawie bezszelestnie, mimo całej swojej wagi, na twardym, glinianym patio.

Kennedy uczynił to samo, ale nie chcąc ryzykować złamaniem nogi, naprędce splótł z prześcieradła linę i opuścił się po niej, robiąc przy tym znacznie więcej hałasu niż Irlandczyk.

Wyglądało jednak na to, że nikt się nie obudził, i trzy minuty później znaleźli się razem bezpiecznie poza hacjendą. Kiedy już wydostali się z pokoju, nic nie przeszkadzało im w dalszej ucieczce, gdyż drewniane wrota były zaledwie przymknięte, ani nie zaryglowane, ani nie strzeżone.

Wokół nich noc była tak czarna, tak przytłaczająco nieruchoma, że sprawiało to wrażenie, jakby otaczała ich jakaś zwarta masa. Znajdowali

się w okolicy, gdzie deszcz, jeśli w ogóle pada, to w krótkich chwilach między jednym a drugim ukazaniem się słońca zza przelotnych chmur. Tej nocy świat przykryty był gęstymi chmurami jak pokrywą, która przyciskała powietrze do ziemi, sprężając je i czyniąc tak ciężkim, że trudno było oddychać.

- Zbliży się burza - wyszeptał Boots. - Nie brałem tego pod uwagę.

- A co brałeś pod uwagę? - Ton Kennedy'ego był nieprzyjemnie ostry. - Kolejną łąźnię piaskową? Jeśli jesteś zbyt tchórzliwy, żeby rozprawić się z Biornsonem, pozwól, że wrócę sam. Ręczę, że go znajdę i tak go załatwię, że chętnie da nam zapas jedzenia i wszystko co może nam się przydać... jeśli jeszcze będzie żywy.

- Na to wszystko będzie dosyć czasu jutro. O rany, człowieku, czy nie masz za grosz ciekawości? Przeprowadziłem pana tutaj, żeby odkryć tajemnicę, którą Biornson tak usilnie stara się ukryć, a jedyne, o czym jest pan w stanie myśleć, to zemsta i rozlew krwi! Ten wąwóz to nie sama plantacja. To ogromna hacjenda. W wąwozie nie ma wystarczającej ilości upraw, żeby ją wyżywić. Zauważyłem zresztą, że wyższy jego koniec prowadzi do miejsca lub rzeczy, którą Biornson chce ukryć. Odkryjemy, co to jest, a później zostawimy tego biedaka w spokoju, jeśli tak bardzo się nas boi. Chciałbym jednak to coś zobaczyć, choćby tylko po to, żeby uświadomić mu jego błąd, który popełnił, zamykając nas tak nieuprzejmie.

Drugi mężczyzna zaklął, gdyż natknął się na kolczaste liście agawy, i rezultat tego był oplakany, a później wdepnął w wodę, zanim zorientował się, że już dotarli do strumienia. Boots natomiast był wesoły.

Pojawiające się od czasu do czasu w oddali błyskawice pozwalały im na mgnienie oka zobaczyć drogę, ale i tak stale potykali się w nieruchomej ciemności, a prowadził ich jedynie wydeptany szlak pod stopami i delikatny szmer i plusk wody obok. Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma i trudna, a potok płynął coraz szybciej między coraz wyższymi brzegami.

Pojawiła się kolejna błyskawica, jaśniejsza i bliższa. Boots zatrzymał się tak gwałtownie, że Kennedy nadepnął mu na piętę.

Po ich prawej stronie ukazał się las gigantycznych paproci, a tuż przed nimi, jak się okazało, wyrosła ogromna szara postać o płaskiej, patrzącej z ukosa, wyszczerzonej twarzy.

Jak błysk flesza, światło pojawiło się i zniknęło. Znowu byli ślepi, ale idący z przodu mężczyzna wyciągnął ręce i dotknął rzeczy, którą dostrzegł w przelocie.

- Kamień! - W głosie Bootsa zabrzmiała lekka ulga. - To tylko wielki posąg obok ścieżki. - Boots zapalił zapalną i uniósł ją wysoko.

Okolo dwóch metrów nad jego głową szara twarz spoglądała w dół złośliwie. Jej grymas wyglądał jak żywy w migoczącym świetle - żywy i groźny, ale Boots wyszczerzył się w odpowiedzi znacznie życzliwiej.

- Ty biedny pogański bożku! Nastraszyłeś mnie, wiesz? Czy to Aztek, jak pan sądzi, panie Kennedy?

- Oczywiście, to Tlaloc, bóg wzgórz i deszczu, jeśli się nie mylę. Tak, u podstawy ma wycięty krzyż Tlaloków. Dokąd idziesz?

- Wyżej, żeby się upewnić. Pójdziemy do przejścia, które, jak przypuszczam, prowadzi z wąwozu na wzgórze. Chciałem zobaczyć właśnie to, co jest dalej.

Ścieżka była bardzo wąska, a daleki, cichy szum wody docierał tutaj słabo. Z jednej strony była ciemność i wrażenie przestrzeni, z drugiej zaś - wielkie paprocie, o czym świadczyły przypadkowe muśnięcia na twarzy i rękach roślin, które wyciągały cienkie liście-palce nad dróżką.

Ścieżka nagle skończyła się, przynajmniej tak się wydawało. Stopy zapadały się w mech lub miękki torf, a Boots nieoczekiwanie wpadł na pień drzewa. Obaj mężczyźni zatrzymali się i przez chwilę stali, wahając się.

Panowała niesamowita cisza. Żadnego szelestu wśród paproci, żadnego krzyku nocnego ptaka. Przycichło nawet zwykłe bzykanie owadów; stało się tak ciche, że wydawało się jedynie częścią ogólnego spokoju. Pokrywa chmur ciężko zwisała nad ziemią. Gęste powietrze uciskało bębenki uszne, podobnie jak przy nagłym zejściu do głębokiej kopalni lub studni.

W pewnej chwili, gdy mężczyźni spojrzeli w ciemność przed sobą, ich uwagę przyciągnęła słaba, blado-fioletowa poświata w niewielkiej od nich odległości, niewysoko nad ziemią. Rosła tam trawa - proste, cienkie źdźbła rysujące się delikatnie na tle tego tajemniczego światła.

Posuwając się naprzód, Boots zerkał na nie zaintrygowany. Kiedy zbliżył się, światło stało się jaśniejsze i przybrało wyraźniejszy odcień fioletu, a z trawy coś wzbiło się w powietrze i odleciało na opalizujących skrzydłach.

Był to ogromny, podobny do ćmy owad, o ponad dwudziestopięciocentymetrowej rozpiętości skrzydeł; poświata pochodziła od jego odwłoku koloru bladego ametystu, rozpalonego w środku zimnym ogniem. Szerokie skrzydła, przezroczyste jak bańki mydlane, załamywały światło bijące od stworzenia, tworząc kolorową, migotliwą sieć.

Bootsowi zaparło dech z zachwytu, ale komentarz Kennedy'ego był jak zwykle wybitnie praktyczny.

- Coś takiego! Za to cudo można by dostać kupę pieniędzy od każdego muzeum. Jak sądzisz, jest tutaj więcej takich okazów?

Ćma siadła w wysokiej trawie, a bijący stamtąd blask ponownie znaczył jej obecność. Dwaj mężczyźni ostrożnie ruszyli w tamtym kierunku.

Wyglądało na to, że znaleźli się na czymś w rodzaju górskiej łąki, choć trudno było określić jej wielkość czy też ogólny zarys. Kiedy szli przez nią, tu i ówdzie wzbijały się w górę świecące, migotliwe ćmy i z szelestem przelatowały przez trawy.

- Jak sen o żywych mydlanych bańkach - zamruczał Boots. - Czy nie byłoby świętokradztwem schwytać teraz jedną z tych piękności i stłumić płonące w niej życie?

- Jak na młodego człowieka o twoich wymiarach nie ma w tobie za grosz zmysłu praktycznego... ho-ho!

Istniał powód tego okrzyku zdumienia.

Boots spojrział w bok, a tam, między dwoma smukłymi drzewami, dotykając ich rękami, stała postać tak wyjątkowo i

zadziwiająco stosowna w tym miejscu, że obaj mężczyźni przez chwilę zastanawiali się wręcz nad jej realnością.

Była to dziewczyna w wieku piętnastu lub szesnastu lat, o ile liczyła swój wiek według ziemskich kryteriów, w co Boots ze swej strony poważnie wątpił. Czy to elf, czy też zwykła śmiertelniczka, dziewczyna była bardzo piękna. Skórę miała równie białą jak Astrid, żona Biornsona, i patrzyła na nich cudownymi, ciemnymi oczami, nie ze strachem, lecz ze zdziwieniem i ciekawością, które dorównywały ich własnym.

Wokół czarnej gęstwiny jej włosów krążyły świecące ćmy. Jedna, wolno machając skrzydłami, przywarła do nagiego ramienia.

Kennedy szybko otrząsnął się z osłupienia i pomyślał, że ćmy przywiązane są cienkimi nitkami, podobnie jak robaczki świętojańskie, które kobiety z tropików umieszczają sobie we włosach. Bootsowi jednakże zdawało się, że dziewczyna jest ni mniej, ni więcej tylko ucieleśnionym duchem tych stworzeń, trzymającym je przy sobie więzami wspólnego pochodzenia.

Rzeczywiście, suknia, którą miała na sobie, układała się w miękkie zielone fałdy, przywodzące na myśl pokryty meszkiem odwłok ćmy, a naszyjnik na smukłej szyi, rzucając delikatne ogniki, sam wyglądał jak żywy. Klejnoty w nim, gładkie i owalne, iskrzyły się i jarzyły przy każdym oddechu dziewczyny.

Pod skorupą nieokrzesańca dużego, pospolitego, rudowłosego Bootsa kryła się cała romantyczność, cała zdolność do uwielbienia, które cechowały jego celtyckich przodków. Stał zapatrzony, niemal bojąc się oddychać, żeby obraz nie rozwiął się w ciężkim, nocnym powietrzu lub nie odpłynął w dal przez trawy.

Kennedy'emu krążyły po głowie inne myśli. Dla niego dziewczyna była dziewczyną, czarodziejskie ćmy - poręcznymi latarniami, dzięki którym widział coś, co było tak bardzo godne pożądania.

- Co za opale! - zawołał cicho. - Spójrz na nie, człowieku! Ależ ta indiańska dziewczyna ma majątek na szyi. Na Jowisza, właśnie

tutaj wyrównamy rachunki z Biornsonem! W tych wzgórzach są kopalnie

opali i z jakiegoś powodu on nie chce, żeby dowiedziano się o tym. Przynajmniej raz poszedłeś w odpowiednim kierunku, chłopcze! Natknęliśmy się na jego ceną tajemnicę!

Rozdział III. Strażnicy Wzgórz.

Zanim Boots pojął, co jego towarzysz ma na myśli i odgadł jego zamiar, Kennedy już przebył niewielką odległość, jaka dzieliła ich od uroczej zjawy. Jak dziecko, które nigdy nie zaznało krzywdy, dziewczyna patrzyła na niego poważnie, oczami szeroko otwartymi z ciekawości.

Kiedy jednak Kennedy jedną ręką chwycił ją za ramię, a drugą złapał naszyjnik, wydała lekki okrzyk i próbowała się cofnąć. Ćmy sfrunęły z niej w panice, oślepiając Kennedy'ego świecącymi odwłokami, uderzając go po twarzy opalizującymi skrzydłami. Puścił naszyjnik, żeby opędzić się od nich.

Wtedy dopiero Boots ruszył do przodu, ale zanim dotarł do celu, ostry wystrzał zmącił nocną ciszę i kula zaświszczała tak blisko głowy Kennedy'ego, że ten odskoczył i instynktownie zasłonił się rękami.

- Nie ruszaj ich! - rozkazał surowy głos.

Boots, który przystanął po strzale, ujrzał niewyraźną, białą postać, kierującą się w ich stronę. Migotało przed nią jeszcze więcej ciem, w ich upiornym świetle nowo przybyłym okazał się Biornson.

Ukradkowe wyjście jego gości nie pozostało, mimo wszystko, nie zauważone i, sądząc po ciągle jeszcze dymiącej strzelbie, którą trzymał gotową do strzału, oraz po determinacji w zachowaniu, mężczyzna zamierzał jak najszybciej podjąć się na nowo roli strażnika.

Na jego widok dziewczyna wydała cichy, ptasi szczebiot radości. Zaczęła mówić miękkim, cichym głosem, posługując się językiem obcym dla obu słuchających, lecz pełnym płynnych, melodyjnych dźwięków.

Biornson odpowiedział jej w tym samym języku, choć jego akcent był bardziej wymuszony i chropawy. Przez cały czas miał oczy utkwione w Kennedy'ego i wymierzoną w niego strzelbę. Skończył mówić, dziewczyna odpowiedziała mu krótko.

Następnie Biornson skierował wylot lufy na Bootsa, który od chwili wystrzału stał nieruchomo.

- Hej ty, stań tam! Obok swojego przyjaciela.

Boots usłuchał go. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wyglądała cała scena: jeden mężczyzna próbuje porwać dziewczynie klejnoty, drugi biegnie, by pomóc mu w kradzieży.

- Panie Biornson - zaczął. - Wcale nie miałem zamiaru...

- Milczeć! Ty wielki rudy zbirze, mam oczy i widziałem, co się tutaj działo. I wcale mnie to nie dziwi. Przejrzałem was, kiedy tylko stanęliście w bramie. Odwróćcie się teraz, obaj. Widzicie tamtą latarnię?

Widzieli. Była to latarnia, którą niósł, by oświetlić sobie drogę, i którą zostawił na ścieżce za łąką.

- Maszerujcie prosto i ostrożnie w stronę tej latarni. Pamiętajcie, że jeśli was zabiję, jedynie oszczędzę sobie kłopotów.

Kennedy trząsał się z bezsilnej złości, ale Boots był nie tyle zły, co poruszony. Znalazł się w sytuacji wielu innych, niewinnych, nierozważnych ludzi, oskarżonych o czyn dokonany przez towarzysza-łajdaka. Ale dyskusja musiała poczekać. Wyglądało teraz na to, że nie pozostało im obu nic innego, jak posłuchać.

Niedaleko od miejsca, gdzie stała dziewczyna, patrząca za nimi w zamyśleniu, Kennedy stąpnął na niewidoczny kamień i upadł na kolana. Widząc to, Biornson domyślił się przyczyny i czekał, aż tamten się podniesie. Podniósł się, w ręku miał kamień, o który się potknął.

Odwróciwszy się z nerwową szybkością, wynikającą ze złości i temperamentu, Kennedy cisnął kamieniem prosto w uzbrojonego mężczyznę stojącego za nimi. Bardziej dzięki szczęściu niż celności, trafił Biornsona dokładnie między oczy, tak że ten rozrzucił ramiona, zatoczył się i upadł do tyłu, na trawę.

Z krzykiem, przypominającym bardziej głos żbika niż człowieka, Kennedy doskoczył do leżącego mężczyzny, wyrwał mu strzelbę i przystawił lufę do skroni. Palec położył na spuście.

W następnej chwili mózg Biornsona rozprysnąłby się, gdyby nie ręka, która odtrąciła strzelbę.

- Ty... skończony... cymbale! - zazgrzytał Kennedy, starając się odzyskać broń. - Daj mi to zrobić... daj mi to zrobić, mówię!

Potknąwszy się o ciało ofiary, Boots wypuścił strzelbę, a Kennedy z triumfalnym warknięciem odskoczył i przyłożył ją do ramienia. Ale kiedy wymierzył, niebo nad nimi rozdarło się, a z postrzępionej szczeliny buchnął oślepiający ogień.

Piorun przetoczył się po chmurach z grzechoczącym, podobnym do wydawanego przez wybuchającą petardę odgłosem, porozrywał je i uwolnił powstrzymywany potop, który przez cały czas wisiał nad ziemią. Chmury opróżniły się w potężnej eksplozji, która nastąpiła po tym grzechocie i wyładowaniu atmosferycznym.

Przestraszony i zbity z tropu, Kennedy nie wystrzelił, a Boots znowu skoczył i zwarł się z nim.

Wokół nich drzewa, łąka i wzgórza migały przez zasłony deszczu jak sceny w starym filmie.

Przemoczeni, ogłuszeni przez bezustanny ryk deszczu i grzmotów, dwaj mężczyźni zataczali się i potykali. Wśród tej kotłowaniny Boots początkowo nie potrafił odebrać przeciwnikowi strzelby i chociaż z łatwością mógłby gołymi rękami zabić mniejszego od siebie mężczyznę, nie miał wcale takiego zamiaru.

W pewnej chwili walkę przerwało im coś znacznie bardziej nagłego i straszego niż burza, w której utonęły wszelkie ostrzegawcze hałasy.

Z przesłaniającej wszystko ulewy zwała się na nich sfera widmowo białych kształtów. Zwierzęta; wielkie, warczące, białe bestie, z oślinionymi pyskami i wilczymi kłami.

Walczący ze sobą mężczyźni, powaleni przez ich impet, w jednej chwili znaleźli się pod stosem wijących się, rozszalałych zwierząt.

Zaskoczony tym całkowicie niespodziewanym atakiem, Boots nie próbował nawet analizować, co się stało. Na dnie świadomości pojawiło się niewyraźne uczucie zdziwienia, że uroda elfa i spokój sprzed kilku minut zmieniły się w całą serię kataklizmów. Poza tym czuł, że niezliczone szczęki i pazury rozrywają mu ciało i że toczy szaloną, nierówną walkę o życie swoje i Kennedy'ego.

U niektórych ludzi instynkt opiekuńczy jest nie do wykorzenia. Ponieważ Archer Kennedy był jego towarzyszem i był słabszy od niego, mimo wszystkiego, co wcześniej zaszło, Boots jak zawsze był gotowy poświęcić dla niego życie.

Upadli tak, że jego ciało osłoniło drugiego mężczyznę. To był przypadek. Ale wysiłek, który sprawił, że w ciągu całej tej obłądnej bitwy ich pozycje pozostały takie same, nie był przypadkiem, i Boots drogo zapłacił za to, że służył jako tarcza.

Pragnął wywalczyć choć tyle, by podnieść się, gdyż wtedy miałby większe szanse. Kiedy leżał na ziemi, jedyne, co mógł robić, to dusić każde pokryte futrem gardło w zasięgu ręki i bronić własnej szyi przed wściekłymi kłami.

Walka trwała przez pełne dwie minuty.

Jeden z białych demonów przywarł ciasno do piersi Bootsa, a ciężkim bokiem przygniótł mu twarz. Boots miał palce zaciśnięte na gardle innego. Nie mógł jednak oddychać przez mokre futro, a trzeci przeciwnik wczepił mu się w prawe ramię. Na całym ciele czuł ugryzienia i ostre pazury.

Niewiele już brakowało, żeby podstępnie zaskoczony, oślepiiony, przygnieciony Boots został rozszarpany na strzępy, kiedy nagle wśród deszczu rozległ się tupot nóg.

Boots nie usłyszał go. Pierwszą zmianą, jaką zauważył, było to, że z jakiegoś powodu większość z jego warczących, wyjących prześladowców przestała nagle warczeć, wyć, a nawet gryźć. Wtedy zdał sobie sprawę, że zniknął przygniatający go ciężar.

Brudne tchórze! Zrezygnowały z walki i uciekły. Zostały tylko dwa, które znajdowały się w jego uścisku. Boots odetchnął głęboko z dzikiej radości, wzmocnił chwyt, stoczył się z

Kennedy'ego, który, jak się bardzo obawiał, do tego czasu został wgnieciony w błoto, i uklęknął nad nim. Przy okazji przydusił kolanem do ziemi głowę jednej z szamoczących się, białych bestii. Ta, którą przez cały czas ścisnął za gardło, przestała walczyć o życie, więc puścił ją.

Z twarzą uwolnioną od zasłaniającego ją futra, Boots wyprostował się klęcząc nadal i rozejrzał za resztą bandy.

Chociaż deszcz nadal lał się strumieniami, iluminacja, jaką tworzyły błyskawice, stała się rzadsza i Boots nie był pewien, czy to, co widzi, jest realne.

Czyżby rzeczywiście otaczał go krąg dziwnych, wysokich, białych ludzi? Przy każdym rozbłysku wydawało mu się, że ich widzi. Wysokich ludzi, nienaturalnie wysokich; deszcz ściekający po nagich, lśniących ramionach; toczony mięśnie, mokre, połyskujące bielą; surowe blade twarze, utkwione w niego oczy; machające ręce wskazujące na niego.

W jego celtyckim umyśle błysnęło dzikie podejrzenie, że stoją tam te same bestie, które go zaatakowały. Wilkołaki, stworzenia nie będące ani ludźmi, ani zwierzętami, lecz mogące przyjmować obie postacie.

Białe stworzenie, które przyciskał kolanem, skręcało się słabo. Jedno już zadusił. Tutaj było jeszcze jedno, którego diabolicznym sztuczkom mógł położyć kres.

Opuścił ręce i namacał jego gardło, ale osunął się na chlupoczącą, stratowaną trawę. Jego ostatnim świadomym odczuciem był żal, że nie wykończył przedtem „człowieka-wilka” i jak pierwszy lepszy słabeusz umiera od licznych ran.

- Niech się pan rozchmurzy bo pomyślę, że trudno pana zadowolić. To cud nad cudy, panie Kennedy, że ostatecznie pozwolili nam ująć z życiem, choć twarz Biornsona jest mocno poharatana kamieniem, którym pan w niego cisnął.

Owinięty bandażami, leżąc na wypchanym trawą sienniku w małym,

ceglanym pokoju, który od trzech dni był ich więzieniem, Boots patrzył z naganą na swego współtowarzysza niewoli.

Biornson złożył im właśnie krótką wizytę i po jego odejściu posępne oblicze Kennedy'ego stało się jeszcze bardziej ponure niż zwykle. Patrzył teraz na Irlandczyka z cieniem jakiegoś dziwnego strachu w oczach.

- Tlapallan! - zamruczał cicho. - Tlapallan! Czy on rzeczywiście powiedział „Tlapallan”, czy też przyśniło mi się to?

- Powiedział tak - zapewnił drugi. - Ale dlaczego, jeśli mogę zapytać, jego słowa miałyby napełnić pana rozpaczą. To ładne, mocne słowo, przyznaję, choć nigdy nie wymówiłbym go tak jak Biornson czy nawet pan, ale...

- Tlapallan! - Kennedy powtórzył to słowo, jak gdyby Boots wcale się nie odzywał. - Nazwał to miejsce Tlapallan... i jeśli to prawda... ale to nie może być prawda! Quetzalcoatl... Tlapallan... nie, nie; nie można wierzyć w to, co niemożliwe, a jednak...

Opuścił głowę, a jego głos przeszedł w niezrozumiałe mruczenie.

Była to całkiem nowa dla Bootsa strona charakteru starszego mężczyzny, toteż przyglądał mu się ze zdumieniem graniczącym z przestrawieniem. Uczciwie mówiąc, ich sytuacja była dość kłopotliwa, ale zachowanie i słowa Kennedy'ego w ciągu ostatnich kilku minut sugerowały jakąś nową zagadkę, nowe niebezpieczeństwo związane z tym jednym wyrazem, co Boots uznał za lekko niepokojące.

Od trzech dni byli uwięzieni. Ich celę, pustą, zbudowaną z pomalowanych na żółto cegieł czy też raczej pustaków, oświetlał w dzień złoty blask, który przedostawał się przez małe okrągłe okienko wychodzące na wybrukowaną alejkę i mur z mocno wypolerowanego białego kamienia. Dokąd mogła prowadzić ta alejka lub co znajdowało się za murem - nie wiedzieli praktycznie nic.

To miejsce nie było częścią hacjendy. Tak twierdził Kennedy, który był przytomny, kiedy go tutaj prowadzono. Znajdowali się -

było to niemal pewne - gdzieś za przełęczą, którą Boots tak bardzo pragnął znaleźć. Na tym kończyła się ich wiedza, a zaczynała tajemnica, wobec

której sekret wąwozu bladł do rozmiarów zwykłej błahostki.

Po ucieczce białych psów - kiedy Boots odzyskał przytomność i przypomniał sobie zwierzę, które widział na patio, porzucił myśl o „wilkołakach” jako czysty nonsens - Kennedy zataczając się wstał. Chociaż na wpół uduszony od wgniecenia w błoto, nie był poza tym ranny.

Jednakże, ledwo wstał, związano mu ręce i nałożono opaskę na oczy. Powlekli go bezradnego jacyś ludzie znacznie silniejsi od niego, tak że walka z nimi byłaby daremna.

Prowadzony jak dziecko przez dwóch rosyłych mężczyzn, słyszał ich wnikliwą rozmowę nad głową.

- Wielkie, niezdarne gbury - powiedział złośliwie, kiedy opisywał tę sytuację. - Musieli być jeszcze potężniejsi niż ty, Boots, a przecież jesteś dość duży. Szli tak, pomrukując, jak para kompletnych głupców; mówili tym samym szwargotem, co ta dziewczyna z opalami. Kiedy próbowałem zadać pytanie, jeden z tych zbirów uderzył mnie w twarz.

Spodziewał się, że zabiorą go z powrotem do wąwozu i kiedy po przejściu sporego dystansu, głównie w dół, dotarli do miejsca, gdzie dotknął stopami twardej nawierzchni, wziął ją w pierwszej chwili za dziedziniec hacjendy.

Kiedy jednak szli dalej, skręcając, schodząc po niezliczonych kondygnacjach schodów, przechodząc przez jakieś korytarze - poznawał je po echu i po tym, że przestawał padać deszcz - później znowu przez otwartą przestrzeń i odkryte schody, beznadziejnie mu się wszystko pomieszało.

W końcu, gdy zaczął sądzić, że ten obłądny marsz w dół będzie trwał wiecznie, rozwiązano mu ręce i popchnięto, tak że poleciał na łeb na szyję.

Później zamknęły się jakieś drzwi i nastąpiła cisza. Zerwał opaskę z oczu. Wokół panowała ciemność. Bojąc się poruszyć,

żeby nie wpaść w jakąś otchłań, Kennedy skulił się i trwał w tej pozycji przez kolejny, na pozór nieskończenie długi czas, aż światło poranka zastąpiło wyimaginowaną przepaść pustą, nagą celą, w której teraz przebywali.

Wtedy był sam, ale później dołączył do niego wniesiony na noszach Boots, od stóp do głów jedna masa bandażu. Gdyby wrócił z sali operacyjnej miejskiego szpitala, opatrunki te nie mogłyby być zręcznie założone, tylko noszowi różnili się nieco od sanitariuszy takiego zakładu leczniczego.

Boots, nieprzytomny wtedy i przez następne kilka godzin, nie widział ich, ale Kennedy opisał tamtych w swój charakterystyczny sposób. Dzicy, powiedział, w pióropuszcach, spoceni, półnędzy barbarzyńcy. Choćby ich skóra była tak biała, jak by pragnęli, nie zmylili go. Byli to Indianie. Wprawdzie bardzo umięśnieni i o szczególnie jasnej skórze, ale tylko Indianie.

Jego ton sugerował, że Indianin to rodzaj człekokształtnej istoty, której roszczenia do równości z nim należy zdecydowanie odrzucić. Chociaż ich fizyczne proporcje były nieporównywalne z wymiarami olbrzymów, którzy odwołali psy, okazali się jednak wystarczająco rośli, by Kennedy zachował swoją opinię o nich tylko dla uszu Bootsa.

Jeden, który mówił dość zrozumiałą angielszczyzną, polecił mu, żeby opiekował się „dużym, rudym człowiekiem”, i poinformował go, że jeśli pacjent nie wyzdrowieje, będzie to jego, Kennedy'ego, wina, gdyż „synowie Tlapotlazenany” wykonali już swoją część zadania. Co więcej, napomknął, że ci sami potomkowie wspomnianej rodzicielki będą uważali śmierć pacjenta za osobistą zniewagę i prawdopodobnie odpłacą odpowiedzialnej za to osobie w bardzo przykry sposób.

Później noszowi wyszli i od tej pory w celi nie pojawili się już, z jednym wyjątkiem, żadni goście. Jedzenie i picie wstawiał w nocy do środka strażnik, którego nigdy nie widzieli.

Odpadki z poprzedniej doby zabierano w ten sam sposób.

Takie warunki, pomyślałby ktoś, nie mogły szybko przywrócić do zdrowia człowieka, który w kilkunastu miejscach miał ciało

rozorane do kości. Ale wydawało się, że z Bootsem jest całkiem dobrze. Obudził się z jasną głową, bez gorączki, i chociaż praktycznie niezdolny do żadnego ruchu, upierał się, że powodem tego jest bardziej nadmiar bandażu niż rany pod nimi. Jednak Kennedy, być może pamiętając

ostrzeżenie noszowego, nie pozwalał na zdjęcie żadnego z nich i usługiwał swemu towarzyszowi z troskliwością, która zdumiewała tego ostatniego.

Późnym popołudniem trzeciego dnia usłyszeli odgłos kroków na bruku. Drzwi otworzyły się i zanim zamknęły się, ze swego siennika Boots dostrzegł w przelocie kołyszące się śliwy i okazałe postacie barbarzyńców. Człowiek, który wszedł, miał jednak bardziej banalną powierzchowność, z wyjątkiem głowy, z powodu ilości bandażu dorównującej tej na ciele Bootsa.

Dopiero kiedy tamten odezwał się, Boots rozpoznał w nim Svenda Biornsona.

Wyraźnie ignorując Kennedy'ego, podszedł, stanął nad zakutym kształtem leżącym na sienniku i spojrzał na niego pochylając głowę.

- Wygląda na to, że ma pan dosyć, przyjacielu - pozdrowił Bootsa,

Ponieważ w tym stwierdzeniu była prawda, i ponieważ Boots czuł, że jest na znacznie gorszej pozycji, wysilił się na szczególnie szczęśliwy uśmiech.

- Ależ skąd - zaprotestował. - To były bardzo zabawne figle! Niech mi pan da spróbować znowu, kiedy stanę na nogi, a ręczę, że poskromię parę tych salonowych piesków. A jak dzisiaj pańska twarz, panie Biornson?

- To nadal jest twarz. - Ton miał raczej ponury. - Byłoby gorzej, gdyby pański przyjaciel postawił na swoim i strzelił, więc nie mogę narzekać.

- Pan Kennedy jest trochę porywczy - przyznał Boots - ale pan z pewnością nie jest człowiekiem, który miałby komuś za złe

uczynek dokonany pod wpływem wzburzenia, zwłaszcza że nie doszło do najgorszego?

Biornson zaśmiał się.

- Co za niezwykła obrona. Wezmę ją pod uwagę, a tymczasem chciałbym podziękować panu za odsunięcie lufy od mojej głowy. Dowiedziałem się o tym od córki Quetzalcoatl, którą pański przyjaciel zamierzał okraść; to kolejny postępek, który, jak sądzę, zalicza pan do wybacznego rodzaju „nic się nie stało”?

- Córka... nie ma pan chyba na myśli dziewczyny z krainy czarów, ze świecącymi ćmami we włosach? Niech mi pan nie mówi, że ona ma tyle lat, żeby być dzieckiem starego, dawno zmarłego pogańskiego boga!

Biornson rzucił nerwowe spojrzenie w stronę zamkniętych drzwi.

- Proszę być ostrożnym! Niech pan w Tlapallan nigdy nie nazywa Quetzalcoatl zmarłym bogiem! Strażnicy Wzgórz są panu przychylni. Podziwiają pańską siłę i odwagę; rzadko zdarza się, żeby człowiek gołymi rękami zabił psa Nacoc-Yaotla. Ale mówić coś przeciwko Quetzalcoatlowi - to wielka zbrodnia. Tylko życiem można okupić taką obrazę.

- Więc pan w to wierzy! - Ciekawość Bootsa była ogromna, ale powstrzymał się od pytań, pomyślawszy, że Biornson będzie bardziej rozmowny, jeśli się go tylko lekko nakłoni do mówienia.
- Gdyby mnie pan nie ostrzegł, mógłbym nieostrożnymi słowami urazić ich uczucia! To są wspaniali, potężni, przystojni mężczyźni, i mają takiego samego ducha uczciwej walki jak pan, panie Biornson.

- Miło, że pan to mówi. - Głos tamtego był poważny, ale między bandażami oczy mu mrugały. - Uczciwe słowa dorównują uczciwej grze w Killarney, co?

- Kerry - sprostował Boots. - Ale mówiłem to szczerze.

- Wierzę panu. Mówił pan prawdę również o Tlapallanach. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, co będzie z panem i pańskim przyjacielem, ale Astrid obiecała, że wstawi się za wami, ja też

zrobię wszystko, co w mojej mocy. Jeśli chodzi o pańskie rany, to bractwo Tlapotlazenany ma cudowne leki i spodziewam się, że za jakiś tydzień stanie pan na nogi. Ma pan powód, by być wdzięcznym, że Strażnicy Wzgórz w porę odwołali psy. Jeszcze chwila i nie byłoby z was co zbierać.

- Strażnicy Wzgórz - powtórzył Boots w zamyśleniu. - Więc było w tym więcej prawdy niż fantazji, kiedy mówiono nam o białych gigantach, choć duchy pum, z którymi mieli polować, to po prostu psy, a w każdym z tych ludzi niewiele jest ze zjawy. To wszystko jest niezwykle interesującym odkryciem. Przygoda w sam raz dla mnie, chociaż jej początek i koniec są dobrze ukryte, a środek - zupełnie niezrozumiały.

Cierpliwy wędkarz rzuciwszy przynętę odczekał chwilę, ale Biornson potrząsnął głową.

- Dla pańskiego dobra - powiedział - lepiej, żeby pan nie rozumiał. Powiem panu szczerze, że wzgórza te chronią tajemnicę, z którą nie pozwolono stąd się wydostać jeszcze żadnemu człowiekowi. Kiedy pierwszy raz przyszliście do mojego domu, tak się złożyło, że nikogo nie było w kotlinie. Trafiliście na czas Święta Tlaloca i wszyscy zebrali się w Tlapallan. Należymy do tej samej rasy i zrobiłbym wiele, żeby was uratować, ale wiecie, co wynikło z moich wysiłków.

- Ja nie wiem - odparł Boots. - Między jedną tajemnicą a drugą kręci mi się w głowie!

- Lepiej umrzeć z ciekawości niż spotkać los, od którego próbuję was uchronić.

Spojrzał z politowaniem na pospolitą, dobroduszną twarz Irlandczyka, na uśmiechnięte usta i odważne oczy.

- Mówiłem wam, że wśród tych wzgórz kryje się tajemnica. Teraz mówię wam, że jest tam również coś... strasznego... sposób w jaki...

Urwał ogarnięty niewytłumaczalnym strachem i minęła chwila, zanim odzyskał głos.

- Kiedy mówię wam, że jesteście teraz uwięzieni w siedzibie Nacoc-Yaotla, nic to dla was nie znaczy, ale dla mnie oznacza to groźbę i przerażenie, o których nigdy nie myślę, gdy tylko mogę tego uniknąć! Kiedy byłem tutaj po raz pierwszy, jako więzień, ja, który nigdy nie przywiązywałem znaczenia do religii, zacząłem spędzać całe noce na modlitwach, błagając Boga, żeby to wszystko okazało się nieprawdą lub żeby pozwolił mi zapomnieć! A jednak, kiedy mogłem uciec, nie zrobiłem tego. Chociaż zostając ryzykowałem nie tylko swoją duszę, ale również zdradzałem wiarę. Nie odszedłem! Poznałem po waszych twarzach, że nigdy nie słyszeliście o Svendzie Biornsonie. Być może to wyobraźnia wyolbrzymiła moją sławę w świecie i dlatego moje zniknięcie nie pozostawiło żadnego śladu. Mimo to wiem, że w pewnych kręgach było inaczej. Ale to wszystko wydarzyło się tak dawno temu!

Zamilkł znowu.

- Pewnie tak - powiedział Colin. - Jeśli to było tak dawno temu, musiałem być wtedy małym, ciemnym nicponiem z Kerry. Nic dziwnego, że nigdy nie słyszałem o panu.

- Sam byłem wtedy młody - odpowiedział tamten zadumany. Równie dobrze mógł mówić do siebie, zamiast do Colina, roztrząsając swoją sprawę przed wewnętrznym trybunałem, podobnie jak robi to każdy człowiek. - Młody i porywczy. Teraz wiem, jak młody byłem wtedy, pomimo pozycji, jaką osiągnąłem w archeologii. I bardzo próżny również. Dwadzieścia pięć lat i wyznaczony na kierownika ekspedycji naukowej! Ciekawe, kto zrobił na Yukatanie te rzeczy, których ja miałem dokonać? A moi ludzie? Czy ktokolwiek przeżył i wrócił z relacją? Wybici przez Indian, i biedny młody Biornson także! Widzę drogich siwobrodych, którzy mnie wysłali, jak potrząsają głowami i wzdychają nad kolejną zaginioną, wschodzącą gwiazdą nauki i również z powodu nie wykonanej pracy. A ja, wybrany przez nich, mogłem później dostarczyć im wieści, które rozślawiłyby uniwersytet na cały świat... ale... zakochałem się i związałem swój

los z Tlapallan! Zdradziłem wiarę i zaufanie, zmarnowałem młodość! Nie taką przyszłość wróżono Svendowi Biornsonowi!

- Jeśli to wszystko, co ma pan na sumieniu - pocieszył go Boots - to niewiele w porównaniu z innymi ludźmi! Z pewnością, znosić światu opowieści to interesujące zajęcie, ale nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby pana potępiać za porzucenie go. Sądząc po pańskim zachowaniu, myślałem, że ma pan na sumieniu morderstwo i podpalenie!

Biornson poruszył się niecierpliwie. Wydał się niespokojny.

- Jestem głupcem! - powiedział. - Czym jest nauka lub naukowa reputacja dla takiego prostego chłopca jak pan?

Oczywiście, że nie może pan zrozumieć! Ale... to nie tylko to! Są jeszcze moi przyjaciele, ten lud. Czasami myślę, że są ostatnimi potomkami zapomnianej rasy, starszej niż Toltekowie czy Majowie, czy też nawet Olmekowie, którzy nie zostawili archeologii nic oprócz wspomnienia. A czasami... przychodzą mi na ich temat do głowy inne myśli, myśli, których nie potrafię ubrać w słowa, gdyż nie istnieją słowa zdolne je wyrazić. Wiem, że mówią językiem azteckim w całej jego starożytnej czystości, a jednak z pewnością nie ma w nich azteckiej krwi. Jak by nie było, są dobrymi, szczerymi towarzyszami, a moja żona jest jedną z nich, ale czasami zastanawiam się, czy nie... czy nie zatraciłem duszy, żyjąc tutaj! Mówię zbyt dużo... nie potrafi pan tego zrozumieć i nie powinien pan. Niech pan wraca do swojego ludu i do swojego Boga...

Urwawszy nieoczekiwanie, Biornson chwycił rękę zaskoczonego Irlandczyka i mocno ją uściśnął.

- Chłopcze - jego głos był ochrypłym szeptem - nigdy nie oddawaj pokłonów bogom obcej rasy! Nigdy! Ani dla piękności, ani dla miłości, ani dla bogactwa, ani dla przyjaźni! Ani dla cudów, ani dla dziwów! Mówił pan o tajemnicach. Jest tutaj tajemnica, o której mógłbym opowiedzieć... ale miałby pan później chorą duszę... chorą... może nawet odwróciłby się pan od swojego Chrystusa, jak ja to zrobiłem, Boże dopomóż mi!

- Jestem dobrym katolikiem - powiedział Boots poważnie i prosto.

- Więc niech pan nim zostanie! Znajdujecie się w mieście, gdzie jest nadmiar litości i dobroci, a ich korzenie tkwią w potwornym okrucieństwie. Gdzie piękno miesza się z rzeczami strasznymi, gdzie wielbi się łaskawych bogów mających moc diabłów! Nie próbujcie poznać serca Tlapallan! Odejdźcie, jeśli was wypuszczą, i natychmiast zapomnijcie, że kiedykolwiek postawiliście stopę na Collados del Demonio!

Nie pożegnawszy się, lecz jeszcze raz uściskawszy mu dłoń, Biornson wyszedł.

Umysł Kennedy'ego znów opanowała ta myśl. Tlapallan!

Biali Ludzie z Tlapallan! O ile ten mit jest prawdą, pomyślał, to wszystko jest możliwe, wszystko!

Przez resztę popołudnia materialista siedział, rękami obejmując głowę, milczący i ponury, aż Boots, który nie wierzył w cuda, poddał się, nie próbując dalej dociekać przyczyn wzburzenia drugiego mężczyzny. Spokojnie zasnął.

Rozdział IV. Tlapallan lub...

- Czy mamy tu gnić przez wieczność?

Zerwawszy się na równe nogi, Kennedy patrzył tak, jak gdyby to z powodu krnąbrnego uporu jego towarzysza nadal byli więźniami.

Sześć dni minęło od wizyty Biornsona, a nic się nie zmieniło w ich sytuacji, ani nie dowiedzieli się niczego więcej.

Boots, którego rany zagoiły się z szybkością świadcząca albo o niezwykle silnym organizmie, albo o skuteczności zastosowanych leków, wstał leniwie i przeciągnął się.

- Jeszcze kilka godzin do nocy. Zauważył pan, jak tu zawsze spokojnie, panie Kennedy?

- Spokojnie jak w grobie. Cicho jak na pustyni. Przez te dni nie myślałem o niczym innym, jak tylko o tej ciszy. Zastanawiałem się, ile czasu potrwa, zanim dotrze do ciebie jej znaczenie.

- Ma pan niefortunną skłonność do zatrzymywania dla siebie myśli, które pana dręczą. Nieważne, jak bardzo jestem tępy. Niech pan będzie dla mnie tak dobry i powie, co to oznacza, jeśli pan wie.

- Powiem, jeśli zamkniesz się na chwilę. To całkiem jasne. Oznacza to, że twój drogi przyjaciel Biornson jest szczególnie zdolnym kłamcą... Że cała jego gadanina o Quetzalcoatlu i Tlapallan to kompletne bzdury. Mówiłem ci od początku, że w tych wzgórzach są kopalnie. Teraz jestem tego podwójnie pewny. Przypuśćmy, co jest zapewne prawdą, że Biornson jest człowiekiem dobrze znanym wśród miejscowych z niekorzystnej strony, a w konsekwencji człowiekiem, który nie śmie prosić rządu o koncesję górnictwą. Przypuśćmy jeszcze, że widzi korzyści wynikające ze złej sławy otaczającej te wzgórza. Cóż prostszego, jak umocnić ją przy pomocy paru ubranych na biało ludzi i sfory psów, a potem zbijać w sekrecie fortunę?

- Potrafię wymyślić parę prostszych historyjek - powiedział Boots w zamyśleniu - chociaż nie twierdzę, że pan się myli. Ale

co z tego? - Wskazał na gładki biały mur na wprost okna. - Może to tylna strona górniczego szybu? Musi być wspaniały, sądząc po tym białym marmurze.

- To - odparł Kennedy - jest część tych samych ruin, przez które pierwszej nocy prowadzono mnie z zawiązanymi oczami. Gwarantuję ci, że znajdujemy się w mieście Azteków, czy też może Majów. Ale to miasto jest tak samo martwe, jak minione cywilizacje tych ludów. Kiedy tylko wydostaniemy się z tej celi, obiecuję ci widok pustych ruin, niczego więcej.

- Ma pan głowę na karku - przyznał Boots raczej smutno. - Podejrzewam, że ma pan rację. A miałem nadzieję, że zobaczę obce, dziwne miasto z bajki, razem z jego kapłanami i tłumami bijącymi pokłony swoim fałszywym bogom, a może także krwawą ofiarę czy coś innego równie interesującego.

Przynajmniej raz starszy mężczyzna roześmiał się, ale w śmiechu dźwięczała tylko pogarda.

- Od ciekawości dzieci i głupców ochroń nas dobry Boże! Biornson wyczarowuje przerażający sen, a ty gotów jesteś płakać, że to nieprawda! Czy wiesz, co to jest Tlapallan?

- Od tygodnia próbuję wydusić to z pana. - Odpowiedź Bootsa zabrzmiała trochę gorzko.

- W starej mitologii Anahuacu Tlapallan było miastem białych czarowników. Miało rządzić legendarną społecznością, kiedy Quetzalcoatl opuścił Chollulan. Na Yukatanie nadal oczekują, że wróci na czele magicznej rasy białych gigantów, którzy mają oddać na powrót cały Meksyk pod panowanie Azteków. To sprytne ze strony Biornsona, że użył tej legendy jako stracha na wróble. Jego ludzie są przebrani do tej roli i założę się, że niejeden Indianin lub Meksykanin przestraszył się

ich i sfory psów idących za nimi. Podziwiam jednak jego odwagę, że próbował narzucić tę iluzję także mnie. Nie chciał tego robić. Był śmiertelnie przestraszony, że natkniemy się na którąś z jego inscenizacji, zanim zdąży się nas pozbyć. Kiedy tak się stało, postanowił złapać byka za rogi i spróbował oszukać nas

przy pomocy naszej własnej wyobraźni, podobnie jak przez lata robił z Indianami.

- A co może osiągnąć, trzymając nas tutaj w zamknięciu i... co z tym dziwnym językiem, którym oni wszyscy mówią?

- Aztecki. Słyszałeś go w paru indiańskich wioskach, ale ci tutaj mają dziwny akcent, który, przyznaję, oszukał nawet mnie. To jakieś białe, wyżynne plemię, nad którym Biornson zdobył władzę, ale możesz mi wierzyć, że cała ta sprawa to staranna mistyfikacja. Jeśli idzie o resztę, to trzyma nas tutaj i właściwie nie wie, co z nami zrobić. Przypuszczam, że jakieś resztki przyzwoitości sprawiają, że waha się przed zabójstwem, a z drugiej strony, boi się nas wypuścić. Gdybyś mi pozwolił zabić go wtedy, gdy miałem okazję, byłibyśmy dzisiaj wolnymi ludźmi. Z czego się śmiejesz?

- Nic takiego... po prostu ze zdumiewającej różnicy między morderstwem a zabiciem kogoś. Jeśli wydostaniemy się stąd dzisiaj w nocy, to zadowolili pana, gdy unikniemy rozlewu krwi?

Kennedy ożywił się trochę.

- Masz jakiś plan?

- Mam swoje mięśnie - brzmiała spokojna odpowiedź. - Jeśli ten świetny aktor, pan Biornson, sądzi, że kilka małych zadrapań unieszkodliwiło mnie całkowicie, to się łądzi. Mam nadzieję, że strażnik, którego przysłała nam z jedzeniem, to silny chłopak, bo szkoda byłoby marnować odzyskane siły na jakiegoś mizeraka!

Jak Boots kiedyś zauważył, fakt, że nie dawano im żadnego światła po zachodzie słońca, nie był wielką stratą, ponieważ i tak nie mieli na co patrzeć oprócz siebie nawzajem, a do tego aż nadto wystarczał długi, pusty dzień.

Dzisiaj jednak było to bardzo korzystne. Jeśli oni nie widzieli strażnika, to i on nie mógł ich widzieć.

Przy takich okazjach drzwi nigdy nie otwierano szeroko. Na zewnątrz był łańcuch, ograniczający otwór do kilkunastu centymetrów. Przez niego ktoś niewidoczny wsuwał do środka przyniesione rzeczy: owoce, placki kukurydziane, gotowaną

fasolę, czy też znacznie rzadziej, podridę z siekanego kurczaka i pieprzu - proste lecz obfite jedzenie. Do picia była woda i rodzaj słabego, słodkawego piwa w porowatych, glinianych naczyniach, które trzymały chłód.

Kennedy nigdy nie uczynił żadnej próby zaatakowania osoby przynoszącej posiłki. Po pierwsze, był łańcuch, a po drugie, z wyjątkiem sytuacji, gdy przyparty do muru wpadał we wściekłość lub gdy stała za nim przeważająca siła, zupełnie nie miał w sobie wojowniczego ducha.

Kiedy Boots wyzdrowiał, sytuacja zmieniła się i strażnik miał pecha, że o tym nie wiedział. Dziewięć razy podchodził do drzwi, wykonywał swój dobroczynny obowiązek i odchodził nie napastowany, ale podczas dziesiątej wizyty spotkało go inne przyjęcie.

Kennedy, przynajmniej raz grający chętnie drugie skrzypce, otrzymał instrukcje i około godziny dziesiątej nie podejrzewający niczego człowiek nadszedł alejką, klapiąc obutymi w sandały nogami.

Postawił koszyk i odsunął wielką zasuwę z litej miedzi, zastukał ostrzegawczo i otworzył drzwi na szerokość, na jaką pozwalał łańcuch.

Jak było w zwyczaju, zanim Kennedy wziął świeży prowiant, wypychał na zewnątrz naczynia z poprzedniego dnia, i tym razem rozpoczął od dzbana na wodę, dużego i ciężkiego, który podał w czekające za drzwiami ręce. Kiedy macające palce dotknęły dzbana, Kennedy puścił go. Zrobił to bardzo sprytnie.

Dzban, niepewnie chwycony, wyśliznął się i strażnik instynktownie opuścił ręce, żeby go złapać.

Kiedy pochylił się, z mroku wyskoczyło długie ramię i zacisnęło mu się wokół szyi. Przez jedną, pełną zaskoczenia chwilę strażnik był bezradny.

Spełniło się życzenie Bootsa. Miał przeciwnika nie byle jakich rozmiarów i niewygodnym chwytem przez drzwi nie mógł go

utrzymać. Nawet szybciej, niż się spodziewał, tamten wyrwał się, ale Kennedy wykonał tymczasem swoje zadanie.

Ich szanse zależały od sposobu zamocowania łańcucha. Jeśli był zamykany na kłódkę, porażka zapewniona. Ale nie. Na jego końcu znajdował się hak zaczepiany na pierścieniu zamocowanym w ścianie. Kennedy w tym samym momencie, co jego sojusznik, wyciągnął ramię, przesunął dłoń po ogniwach łańcucha, znalazł hak... pierścień... ledwo go dosięgnął czubkami palców... i dokładnie wtedy, gdy wróg uwolnił się z gniewnym pomrukiem, łańcuch zagrzechotał i upadł.

Kiedy Irlandczyk atakuje, pędzi jak wściekły pocisk - mięśnie, umysł i duch.

Ledwo ogromny strażnik zdążył się wyprostować, gdy runął w tył, prosto na ścianę znajdującą się za nim.

Wszystko, oczywiście, odbywało się w ciemności. Nie wiadomo, czy pomyślał, że atakuje go człowiek, czy też szalejący demon, ale chociaż pierwszy atak Bootsa pozbawił go oddechu, przyszedł do siebie błyskawicznie.

Irlandczyk znalazł się w zwarcu, które przypominało uścisk niedźwiedzia grizzly, i chociaż jego żebra nie były z tektury, odczuły ten straszny chwyt. Prawym przedramieniem trafił tamtego w podbródek, odrzucając mu głowę w tył, a sam wyrwał się z wielkim wysiłkiem. Kiedy olbrzymi przeciwnik rzucił się w pościg, dosięgnął go cios, po którym z trzaskiem runął na bruk.

Podniósł się jednak tak sprężysto, że wzbudziło to zazdrość Bootsa. Mimo wszystkich przechwałek, dopiero co wygoiły się rany. W połączeniu z dziewięcioma dniami bezruchu sprawiało to, że Irlandczyk nie był w najlepszej formie. A ich strażnik był wielką, ciemną, milczącą istotą, niewyraźnym cieniem, który przewyższał go o dobre pięć centymetrów; strasznie masywnym cieniem, z żelaznymi muskularni i odwagą równie wielką, jak jego własna.

Chyba po raz pierwszy w życiu Boots próbował uniknąć ataku przeciwnika. Niedźwiedzi uścisk ostrzegł go.

Było zbyt ciemno, żeby mógł szybko uciekać. Potknąwszy się o kosz z owocami, upadł i natychmiast zwała się na niego lawina ludzkich ciał. Padały ciągle pośród rozdeptanych pomarańczy i pękających melonów. Połączone w jedną postać, wstawały i padały na niego, żeby znowu się podnieść.

Żebra Bootsa trzeszczały, a oddech był chrapliwy i zdyszany. Wtedy przeciwnik, którego nogę trzymał jak w kleszczach, pośliznął się na rozgniecionych owocach i runął na bok. Przyszedł do siebie w jednej chwili, ale już nie zdążył się wyprostować.

Lewe ramię Bootsa zamknęło się ciasno wokół jego pasa, prawe znalazło się pod brodą. Sapiąc, dławiąc się, z plecami wyginającymi się coraz większym łukiem, poddawał się nieubłaganemu naciskowi na gardło. W tył, coraz bardziej w tył; pot lał się Irlandczykowi po twarzy, krew tryskała z otwartych na nowo ran, ale wiedział, że trzyma wroga w pozycji, z której nic go nie może uratować.

W końcu, zgięta niemal wpół, ogromna postać nagle znieruchomiła. Przeciwnik osłabł albo miał złamany kręgosłup. Sekundę później Boots gniótł mu kolanami pierś, a rękami wyduszał z niego ostatnie tchnienie.

- Właśnie tak, chłopcze! Zabij go... zabij go... zabij go!

Warczący szept za plecami podziałał na Irlandczyka jak strumień zimnej wody. Było w nim coś tak podłego, tak bestialskiego, jak gdyby najskrytsza częśćka jego samego, częśćka, którą prawdziwy człowiek tłumi w sobie i ukrywa, pojawiła się nagle obok niego i przemówiła głosem Kennedy'ego.

Oderwał ręce od bezbronnego gardła. Wstał szybko i w milczeniu. Przez jedną chwilę Kennedy był tak blisko śmierci, jak powinien być człowiek, który szepcze o morderstwie do ucha zwycięzcy.

Wtedy Boots przypomniał sobie, jak nędzną kreaturą jest Archer Kennedy i opuścił wielkie ręce.

- Niech pan wraca do celi - powiedział spokojnie. - Walczyli tutaj dwaj mężczyźni i atmosfera nie jest odpowiednia dla takich jak pan. Niech pan rusza!

I Kennedy poszedł.

I znowu na wypchanym trawą sienniku w kącie leżał olbrzymi, obandażowany kształt. Tym razem jednak twarz była również zawinięta, a ręce i nogi związane grubymi, mocnymi sznurami w sposób, który uniemożliwiał jakiegokolwiek ruchu.

W ciemności rozbrzmiewał stłumiony jęk, ale nie było nikogo, kto by go mógł usłyszeć.

Wzdłuż białego muru na zewnątrz posuwały się ostrożnie dwie postacie.

- Skąpy ten ubiór, który zabrałem tamtemu chłopakowi - zamruczał niski głos. - Czułbym się przyzwoiciej, gdybym założył na siebie koc, jak początkowo zamierzałem.

Jedynym komentarzem było chrząknięcie.

- Pióra - kontynuował Boots - są dobre na swoim miejscu. Do dekorowania kapeluszy, w miotełkach i na skrzydłach ptaków; nie ma tam odpowiedniejszej rzeczy niż pióra. Ale związać kilka razem i pozawieszać tu i ówdzie na osobie o słusznych rozmiarach, jak moja... nazwanie tego kompletnym ubraniem to duża przesada! Oto koniec naszej podróży, jeśli nie... tak, jest furtka i chwała Bogu, nie zamknięta. A teraz do pańskiego miasta ruin i grobowców. Szkoda, że tak ciemno i nie zobaczymy ich - zakończył Boots.

Aleja, która biegła prosto między dwiema wysokimi ścianami, kończyła się inną, równie wysoką ścianą. Jednakże, zgodnie ze słowami Bootsa, była w niej furtka. Drzwi, chociaż nie zaryglowane, były zdumiewająco ciężkie. Boots musiał użyć całej swojej siły, żeby w końcu wolno otworzyły się do środka.

- Jezus Maria! - wyszeptał Kennedy.

Boots nie powiedział nic. Był całkowicie pochłonięty widokiem.

Od pierwszej chwili wiedział, że jest to właśnie owo martwe miasto grobów i ruin, o którym mówił Kennedy, miasto z legendy; Tlapallan, żyjące, wspaniałe, rzeczywiste.

I to jakie! Z pewnością było to najdziwniejsze miasto, miasto niedostępne oczom śmiertelnika.

Spodziewali się, że za furtką znajdą się na dnie kotliny lub w jej pobliżu. Zamiast tego, pod nimi była około stumetrowej głębokości przepaść.

Wyszli na otoczony balustradą balkon, z którego schody, zbudowane z kamienia, prowadziły w dół pionowej, czarnej ściany ogromnego urwiska.

Myśleli, że otaczać ich będzie ciemna noc. Ale widoczność była dobra, a podnóże skały omywały blade fale świetlistego jeziora.

To dziwne białe morze ciągnęło się daleko wzdłuż i wszerz.

Jego wody, jeśli można je nazwać wodami, usiane były dziesiątkami wysepek. Naokoło niego, jak zaokrąglone, olbrzymie ramiona śpiących gigantów, majaczyły się posępne wzgórza.

Światło jeziora nie było oślepiające. Raczej wydawało się, że z chwilą, gdy noc pochłonęła słońce, Tlapallan uwięziło dzień w swoich głębinach. Każda kolorowa świątynia i pałac na wysepkach, każda przepiękna wielowiosłowa barka i galera ślizgająca się po powierzchni wody ukazywały się często i wyraźnie, jak gdyby było samo południe, a nie prawie północ.

Obraz wyraźny i niezwykły. Po pierwsze, nie było refleksów świetlnych. Po drugie, cienie były nienaturalne. Dolna część przedmiotów była najjaśniejsza, górna zaś tonęła w cieniu. Światło było odwrócone. Jak gdyby niebo znajdowało się pod stopami, a nie nad głową.

Nad wszystkim panowała wielka cisza, którą odczuwali wcześniej w swojej celi i interpretowali jako ciszę wyludnienia. A jednak nie była to tak doskonała cisza, jak im się wydawało, gdyż przenikał ją lekki szum, przypominający szelest liści w odległym lesie lub pomruk fal na drugim brzegu.

Na wielu wyspach, w ogrodach i pod kwitnącymi drzewami poruszały się sylwetki mieszkańców Tlapallan. Do stojących na skale nie docierał jednak żaden głos, nie szybowała żadna pieśń.

Statki pływały w tę i z powrotem, poruszane siłą mięśni rozebranych białych wiosłarzy, którzy pracowali w całkowitym milczeniu. Jakie ładunki przewozili przez odwrócone niebo, między wyspami tak cudownie kolorowymi, jak chmury oświetlone zachodzącym słońcem?

Nocny ruch, ktoś mógłby pomyśleć, w pływającym mieście ze snu.

Kennedy odwrócił się od balustrady. Stali wysoko na skale, w widmowym półmroku. Widział swojego towarzysza jako niewyraźną gigantyczną postać w narzuconym na potężne ramiona płaszczu z powiązanych ze sobą papuzich piór, które wyszły z walki w nie najlepszym stanie. Powiększał ją jeszcze hełm w kształcie głowy ogromnej papugi, wystający mocno nad twarz. Złoty dziób zakrzywiał się w dół nad czołem, rozwarty, okrutny, rzucający na twarz swój złowrogi cień.

I postać ta stała tak dziwnie nieruchomo.

Spojrzenie Kennedy'ego powędrowało w kierunku nieziemskiego widoku w dole i wróciło. Ogarnęło go straszne poczucie nierealności, zwątpienia.

Czy to był jego prostoduszny, niezmordowanie pogodny towarzysz z obozu i ze szlaku? Czy też była to istota, na jaką wyglądał: upiór jakiegoś dawnego tolteckiego wojownika, potężny, straszny, z założonymi, zakrwawionymi ramionami, spoglądający na legendarne miasto swoich splamionych krwią bogów?

Szeroka pierś uniosła się ciężkim westchnieniem, wprawiając złoty dziób w groźne drzenie. Z cienia papuziej głowy dobiegł uroczysty głos.

- A nie mówiłem, kapłani, procesje i pełno pozłacanych bożków? Do diabła z nimi wszystkimi! Oto widok, dla którego

warto mieć dwoje oczu! Shan McManus nigdy nie widział czegoś takiego, kiedy przebywał przez dwanaście miesięcy w Blake Hill!

- Boots! - wykrzyknął Kennedy z dziwnym naciskiem.

- Co?

- Och, nic. Chciałbym, żebyś zjął ten hełm. Wygląda absurdalnie.

- Nie zdejmę - odpowiedział Boots zdecydowanie. - Nie wiem, jak wygląda, bo widziałem go tylko po ciemku, ale czuję, że nadaje mi dostojny wygląd, a co więcej, stanowi część mojego przebrania. Jak moglibyśmy wsiąść na jedną z tych eleganckich łodzi, które widzimy, z tą moją gołą, rudą głową, krzyczącą wszystkim dokoła: „Irlandczyk”?

Może pan prosić, o co chce, z wyjątkiem wiązki tych piór, które teraz pozwolą mi dostosować się do mody. Widzi pan tamtą pełną łódź? Nie ma pasażera, który by nie był upierzony jak ptak w dżungli. Chociaż, niech pan zauważy, że wiosłarze są mniej dbali o ubiór. Jeśli nie ma dla pana pierzastego stroju, panie Kennedy, może pan ściągnąć ten, który ma pan na sobie, i wiosłować.

- Czy naprawdę jesteś tak szalony, żeby proponować dostanie się na jedną z tych łodzi? Przecież, ty głupcze, zdemaskują cię natychmiast. Nie znasz nawet języka.

- Mogę się nie odzywać - brzmiała spokojna odpowiedź. - Mam upierzenie jak każdy mieszkaniec miasta. A jeśli odkryją, kim jestem naprawdę, to gwarantuję panu, że będzie awantura. I co z tego? Niech pan idzie albo zostanie tutaj, panie Kennedy. Jest mi to obojętne.

Jedyną odpowiedzią było spojrzenie pełne zarówno gniewu, jak i rozpacz, i kiedy Boots postawił stopę na długich schodach prowadzących w dół do jeziora, starszy mężczyzna nie uczynił żadnego ruchu, żeby pójść w jego ślady.

Rozdział V. Złoto.

Archer Kennedy miał dwa powody, żeby nie towarzyszyć Bootsowi w jego lekkomyślnej wyprawie. Jednym była całkiem racjonalna obawa, że zostaną zdemaskowani i niemal natychmiast uwięzieni z powrotem.

Drugi, choć mniej racjonalny, był znacznie poważniejszy. Zanim Boots przebył połowę drogi w dół, Kennedy wrócił do furtki.

Bał się. Bał się jak nigdy w życiu, chociaż poczuł przedsmak tego strachu, kiedy Biornson odwiedził ich w celi i mówił o bogach i Tlapallan.

Mityczne miasto nad jeziorem zimnego ognia, po którym w majestatycznej ciszy pływały widmowe łodzie, nie mieściło się w jego koncepcji świata. Nie był go ciekawy. Nie pragnął dowiedzieć się o nim niczego więcej. Nic go ono nie obchodziło. Dręczyła go jedynie rozpaczliwa chęć, by uciec nie tylko z Tlapallan, ale także od samej myśli o Tlapallan.

Kiedy ruszył w drogę powrotną przez kotlinę, nawet pustynia wydawała się przyjemnym wspomnieniem wobec tego, co niedawno ujrzał. W jakiś sposób musiał dostać się do wąwozu. Musiał zaopatrzyć się w żywność, wodę i jakieś pojemniki, dotrzeć do gardzieli i bez względu na to, jak męcząca byłaby podróż, wrócić do zwariowanego, ale rzeczywistego świata.

Doszedłszy do celi, w której byli uwięzieni, przystanął na chwilę, by upewnić się, dzięki słabym odgłosom docierającym przez okno, że strażnik nadal tam jest, a później pośpiesznie ruszył dalej. Stwierdził, że również z tej strony aleja kończy się murem i furtką. Tę ostatnią otworzył z pewnym trudem i znalazł się w ukrytym przejściu, ciemnym jak nora oraz przejmująco chłodnym i wilgotnym jak piwnica. Ciągnęło się tylko w jednym kierunku, prostopadłym do alei, więc nie miał kłopotu z wyborem drogi.

Trafił teraz stopą na coś, co okazało się pierwszym stopniem kamiennych schodów. To było pocieszające. Tamtej nocy prowadzono go w dół wieloma kondygnacjami.

Stąpił po nich ostrożnie, gdyż cisza nie mogła już dłużej zwodzić go pewnością, że jest sam. Dotarł na sam szczyt. Znajdowały się tam drzwi, drewniane drzwi, które otworzyły się łatwo pod wpływem dotknięcia.

Za nimi było światło. Przekroczwszy próg znalazł się w pustym, prostokątnym pomieszczeniu, z podłogą i ścianami z kamienia, łukowatym otworem prowadzącym do miejsca, skąd wydostawało się światło, ciepłe i złote, choć stamtąd, gdzie stał, Kennedy nie mógł dostrzec jego źródła.

Przeklął je w myśli. Człowiek czy zwierzę, każdy uciekinier boi się światła, które zdradza jego obecność.

A przecież za nim znajdowała się tylko cela wraz z jej związanym i bez wątpienia rozwścieczonym lokatorem... i ta furtka prowadząca do jeziora, które pragnął zapomnieć.

Po cichu przeszedł po kamiennych płytach i skradając się, ruszył wzdłuż ściany. Bardzo ostrożnie wystawił głowę, żeby zerknąć przez łukowaty otwór.

I wtedy naprawdę zapomniał o niepokojącej niesamowitości Tlapallan. Patrzył i patrzył zachwyconym wzrokiem. Było tam coś, co mogło wymazać tysiące nieprzyjemnych wspomnień.

Było tam coś, co Kennedy rozumiał i kochał wielką, namiętą miłością.

Złoto.

Tony złota. Chociaż uwielbiany przez niego metal był pocięty i odlany w wiele kształtów, do Kennedy'ego nie przemawiała wcale jakość wykonania. Upajał się samym tworzywem, zachwycającą żółtopomarańczową barwą, ciężarem, wyglądem, wrażeniem ciepła.

W serce Kennedy'ego wstąpiła niezwykła odwaga i sam Boots nie mógłby przekroczyć tego progu z większą pogardą dla niebezpieczeństwa.

Pokój oświetlały cztery lampy zawieszona na masywnych złotych łańcuchach i w ich blasku miejsce było pełne przepychu i wspaniałości lśniącego metalu. Nawet ściany wyłożone zostały płytkami ze złota.

Na kamiennej półce, biegnącej wokół całego pokoju, stały tuziny urn, naczyń, waz, masywnych i topornych, ale efektownych. Na podłodze porozstawiane były najróżniejsze duże przedmioty: coś w rodzaju chrzcielnicy, której misa, długa jak ciało człowieka, opierała się na grzbietach trzech kuguarów o niemal naturalnych rozmiarach; podobne do tronu krzesło; dwie lub trzy skrzynie o różnych kształtach i wymiarach; kilka pięcioramiennych świeczników, z których każdy był wyższy od człowieka i ważył znacznie więcej, niż człowiek mógłby udźwignąć.

Wszystko ze złota. Wszystko z czystego metalu, boskiego, pięknego, bez żadnych domieszek, tak miękkiego w swojej czystości, że Kennedy mógłby, pełen czci, zrobić na nim ryse paznokciem.

Ktoś, kto ustawiał tu te skarby, nie postarał się zrobić tego porządnie. Wały się wszędzie, poustawiane byle jak, a wydeptane, kamienne płyty, nie strzeżona droga, którą przyszedł, zdawały się wskazywać na to, że pokój stanowił zwykłe przejście dla licznych stóp.

Była to jak gdyby rupieciarnia jakiejś publicznej budowli, do której niedbale wrzucano nie używane meble i przedmioty, kiedy zachodziła taka potrzeba. Rupieciarnia dla złota!

Oczy Kennedy'ego błyszczały. Takie niefrasobliwe traktowanie przedmiotu pragnień całego świata świadczyło o niewiarygodnym bogactwie.

Na końcu pokoju było drugie wejście. Wisiały w nim dwie kotary, czarne, proste, wykonane z ciężkiej tkaniny bez ozdób, surowe w okazałym otoczeniu, podobnie jak sutanna trapisty na dworze króla.

Co się za nimi kryło? Co to za budynek, stojący wysoko na skale, oddalony od pałaców na wysepkach! Magazyn? Wydawało

się to możliwe... prawdopodobne. A to był tylko jeden pokój i do tego zewnętrzny pokój.

Jakie bogactwo... jakie niewiarygodne ilości klejnotów mogły ukazać inne pokoje! Jeszcze więcej złota... i szlachetnych kamieni.

Znikąd nie dobiegał najmniejszy dźwięk. Kennedy'ego fascynowały kotary. Podszedł do nich śmiało na palcach, rozsunał, zawahał się jedynie na moment... i wszedł.

Kotary zasunęły się za nim i zawisły prosto jak przedtem, czarne, podniszczone, ponure... surowe w tym wspaniałym otoczeniu jak szata inkwizytora w danej Hiszpanii.

Pewność siebie i ufność w pożyczone upierzenie, okazywana przez Bootsa, były bardziej żartem niż przekonaniem o skuteczności przebrania. Przed opuszczeniem więzienia przemył i zabandażował dwie głębokie rany, które podczas walki otworzyły mu się na udzie i na ramieniu. Ale ponieważ, oprócz hełmu i płaszcza, jedyny ubiór strażnika stanowił rodzaj krótkiej spódniczki, uszytej z miękkiej, bawełnianej tkaniny i wykończonej u dołu piórami, białe bandaże, nie mówiąc o drobnych skaleczeniach, wyglądały niebezpiecznie podejrzanie. Wiązki papuzich piór nie zakrywały ich najlepiej.

Oczywiście, wśród mieszkańców Tlapallan mogli być inni ranni bohaterowie. Ale Boots był przekonany, że dzentelmeni o jego cerze i wyglądzie byli tam na tyle rzadcy, że jego pojawienie się wywoła niebezpieczne komentarze.

Z tych powodów zamierzał dokonać długiej i uważnej obserwacji, zanim zwróci na siebie uwagę kogoś z przewoźników. Oprócz większych statków widać było parę małych łódek, członów z jedno-lub kilkuosobową załogą, które tu i ówdzie przemykały po srebrnej tafli. Samotnego właściciela czółna, zresztą, powinno być łatwiej oszukać... lub pokonać niż całą załogę barki.

Kiedy znalazł się na poziomie jeziora, napotkał nieoczekiwaną przeszkodę. Im bliżej podchodził do połyskującego obszaru, tym trudniej mu było na niego patrzeć.

Z góry widok nie był bardziej oślepiający, niż gdy patrzyło się na zwykłą taflę spokojnej wody tuż po zachodzie słońca, kiedy niebo wydaje się ciemniejsze niż jego odbicie. Ale gdy stał tak jak teraz, nad samym brzegiem, cała urozmaicona scena stopiła się w płynną jasność, która zmuszała go do zamknięcia oczu i uświadamiała mu, że Tlapallanie muszą posiadać organy wzroku równie niezwykle, jak ich środowisko, o ile nie noszą przydymionych okularów, czego do tej pory nie zauważył.

Lepiej, żeby było ciemno, pomyślał niezadowolony, niż tak jasno, że nic nie widać. Co mam teraz zrobić?

Schody skończyły się przy szerokim, kołyszącym się pomoście z połączonych ze sobą bali. Kiedy stanął na nim, wahając się, czy czekać, aż oczy przyzwyczają się do panującego wokół blasku, czy też zrezygnować z całej przygody, do jego uszu dotarł lekki, głuchy odgłos po prawej stronie.

Mrużąc oczy, mógł jedynie dostrzec kształt jakiejś małej łodzi. Następnie cichy, czysty głos wymówił zdanie w ptasim tlapallańskim języku.

Boots, jak to było w jego zwyczaju, wychodząc niebezpieczeństwu naprzeciw, odwrócił się i śmiało ruszył w kierunku głosu. Chociaż wątpliwe, żeby wiedział, gdzie się znajduje, w jego zachowaniu ani w kroku nie było żadnego wahania.

Śmiałość jest często zbawienną postawą, ale w tym wypadku była błędem.

Zmylony pierwszym odezwaniem, przyjął za rzecz zrozumiałą, że łódź i pomost znajdują się tuż obok siebie. Niestety. Między nimi był kilkumetrowy odstęp i kierując się ku ciemnej plamie, która była wszystkim, co widział, Boots pewnym ruchem dał krok do przodu i wpadł do połyskującej wody.

Nieoczekiwana kąpiel zawsze jest wstrząsem. Ale w Tlapallan kąpiel okazała się tak wielkim szokiem, że Boots zapomniał o wszelkiej rozwadze, ogarnięty tylko jednym pragnieniem, żeby wyskoczyć na brzeg.

W chwili gdy jego ciało dotknęło wody, poczuł ukłucie jakby miliona rozgrzanych do czerwoności igieł. Zanurzenie się we wrzącym oleju nie mogłoby być bardziej bolesne.

Poszedł prosto na dno i wynurzył się ledwo żywy, tak że mógł tylko bezradnie chwycić powietrze rękami, i pomyślał, że jego debiut w Tlapallan może dla niego oznaczać pożegnanie się z życiem.

Podstawiono mu jednak pióro drewnianego wiosła; zareagował natychmiast, chwytając za nie kurczowo. Zawirowała wokół niego parząca ciecz, uderzył piersią o coś twardego i sekundę później, wyciągnięty do połowy z wody, leżał górną częścią ciała na pływającej przystani.

Jakoś wgramolił się na nią cały. Choć ociekał wodą i był tak słaby, że przez ponad minutę leżał twarzą do pomostu, uświadomił sobie, że ból natychmiast ustał. Może, pomyślał, kiedy się jest całkowicie ugotowanym, przestaje się cokolwiek odczuwać.

Ktoś delikatnie trącił go stopą.

- Wstań! - Głos niewidocznej osoby nadał chrapliwemu angielskiemu wyrazowi śpiewną miękkość. Poza tym, głos ów należał do kobiety, młodej kobiety, albo Boots nigdy nie słyszał, jak mówi dziewczyna.

Mimo że wątpił, czy został na nim choć skrawek zdrowej skóry, spróbował posłuchać. Okazało się to zdumiewająco łatwe. Ból całkowicie zniknął, a on sam się czuł nie gorzej niż przed wpadnięciem do wody. Przyczyną jego cierpień musiała być jakaś inna właściwość niż wysoka temperatura i rzeczywiście przeżycie Bootsa przypominało mocno naelektryzowaną kąpiel.

Zamiast swojej wybawczyni widział bezkształtną plamę i modlił się, chociaż bez wielkiej nadziei, żeby ona nie widziała go lepiej.

Zgubił nakrycie głowy, a pożyczone pióra rozlepiały się w mokre strąki. Dwadzieścia lat to wiek, kiedy mężczyzna krępuje się w obecności kobiety, a do tego Boots czuł, że wygląda haniebnie.

Wepchnięto mu coś w rękę. Był to zgubiony hełm.

- Przykryj głowę - powiedział głos, który z najwyższym spokojem zdawał się obejmować panowanie nad nim i nad sytuacją. - Masz piękne włosy, ale ich kolor jest tu nie spotykany. U nas żaden człowiek nie ma takich... takich wesołych włosów. Tylko Tlatlanquetezatlipoca. On jest rudy, jak ty, ale to bóg, który nie ma synów w Tlapallan. Powiedz mi, czy pomalowałeś swoje włosy na czerwono, ponieważ jesteś synem Tlatlanquetezatlipoki?

- Mój ojciec nazywa się O'Hara - dość desperacko wygadał się Boots.

- O'Hara? - wymówiła to jak dwa osobne słowa. - On nie mieszka w Tlapallan. Przyrowadź go tutaj, a zbudujemy mu czerwony dom świetniejszy od siedziby Tlatlanquetezatlipoki, który nie ma dzieci.

- Jesteś uosobieniem dobroci - zaprotestował oszołomiony - ale biedaczysko nie żyje.

- Więc nie był prawdziwym bogiem - stwierdził głos z dezaprobatą. - Prawdziwi bogowie nigdy nie umierają. Powinieneś zapomnieć o nim i służyć innemu. Tlaloc jest potężny. Pozwól, żeby twoje włosy znowu stały się czarne i zostań synem Tlaloca. Ale dlaczego zamykasz oczy? Czy to dlatego, że oczy O'Hary są zamknięte po śmierci? Nie myśl więcej o zmarłym bogu, lecz otwórz oczy i spójrz na mnie.

Uchwycił się ostatniego władczego polecenia jako nieco bardziej zrozumiałego niż pozostałe.

- Czy są otwarte, czy zamknięte, twoja uroda jest przede mną ukryta. Należy za to winić światło, a nie mnie. Jest zbyt oślepiające!

Zdawało się, że to stwierdzenie zdziwiło nową znajomą równie mocno, jak jęgo wprawiły w oszołomienie jej uwagi. Minęło parę

chwil, zanim uwierzyła, że nadmiar światła naprawdę oślepił tego przybysza z zewnętrznego świata.

To, że uznała go za obcego, było oczywiste od początku, i jej spokojne przywitanie w połączeniu ze znakomitą, choć dziwnie akcentowaną angielszczyzną, było tak zaskakujące, jak wszystkie inne doświadczenia w tej krainie niespodzianek.

- Jeśli naprawdę nie możesz mnie zobaczyć - powiedziała w końcu - zabiorę cię tam, gdzie blask Tonathiu - boga słońca - nie jest tak wielki. Tonathiu siedzi w głębi Tonathiutl, żeby odpocząć po całodziennym podróży. Jego duch płynie przez wody i jest najjaśniejszy tam, gdzie dotyka brzegów ziemi, którą kocha. Wokół samej Tonathiutl duch nie jest tak jasny, jak tutaj. Ciekawa jestem, czy oczy mojego pana, Svenda, są tak słabe, jak twoje? Muszę dowiedzieć się od Astrid. To interesujące i dziwne. Chodź.

Dość chętnie Boots przyjął pomocną dłoń tajemniczej młodej osoby i parę chwil później bezpiecznie znalazł się na dnie sporego czółna, zrobionego ze skór naciągniętych na szkielet z bambusa. Nawet gdyby jej słowa były tysiąc razy bardziej niezrozumiałe, a ryzyko bez porównania większe, Boots i tak by je podjął i wsiadł do czółna.

Ale chociaż niewiele rozumiał z tego, co dziewczyna mówiła, wydawała się zadziwiająco przyjacielska i czuł, że przygoda rozwija się pomyślnie.

Rozdział VI. Czarny posąg.

Duży kolisty pokój, wysoki jak rotunda jakiejś potężnej katedry, wypełniony stale buchającymi kłębami białej pary, widoczny był jedynie dzięki sinemu blaskowi bijącemu z dziwnej, świecącej płaszczyzny, która była jego podłogą.

Dotarwszy w poszukiwaniu niedbale przechowywanych bogactw do tego miejsca, Archer Kennedy zatrzymał się... i cofnął.

Za czarnymi kotarami znalazł się w szeregu korytarzy oświetlonych wiszącymi lampami, takimi jak te z zewnętrznego pokoju. W gładkich białych ścianach tych korytarzy nie było drzwi. Szedł, z każdym krokiem mając coraz więcej wątpliwości, jednak nadal wiedziony był swoim nieodpartym pragnieniem. Zszedł w dół schodami, które zaprowadziły go do wysokiego, łukowatego wejścia, gdzie teraz stał, zaglądając do jeszcze wyższego pomieszczenia.

Szukał złota i klejnotów. I było tutaj złoto i klejnoty. Wokół rotundy, na poziomie podłogi biegł występ, na którym w niewielkich odstępach stały podobne do tronów krzesła, wszystkie odlane ze szczerego złota. Za nimi na białej, kolistej ścianie błyszczały ich odbicia, jak złoto zanurzone w mleku.

Wysoko w górze wznosiła się ogromna kopuła, a przez opary jej sklepienie jarzyło się płomieniami, szkarłatnymi, zielonymi, błękitnymi. Tkwiły tam lśniące oczy milionów kamieni, samych opali, tych najbardziej żywych i najnieszczęśliwszych pechowych klejnotów.

Ale Kennedy, miłośnik złota i poszukiwacz kamieni szlachetnych, zaledwie rzucił okiem na te wspaniałości. Bogactwo to dobra rzecz, ale trzeba żyć, żeby się nim cieszyć. A było tam coś, co łatwo mogło pozbawić Kennedy'ego tej przyjemności.

Miejsce miało kształt katedralnej rotundy, ale podłoga była jak... była inna niż wszystkie, jakie kiedykolwiek widział.

Było to coś w rodzaju sztucznego moczaru lub bagna, gdzie z parującego szlamu wyrastało blade, oślisłe sitowie, a kuliste

grzyby świeciły sinym, fosforyzującym światłem. Z jego powierzchni unosiły się stale, krętymi smugami i spiralami, kłęby pary i Kennedy czuł w nozdrzach przejmującą wilgoć wyziewów.

Było to bagno jak ze snu, a jego realność była realnością nocnej zjawy. Ale nie o tym pomyślał Kennedy w pierwszej chwili.

Przypuśćmy, że pewien człowiek, idąc korytarzami budynku użyteczności publicznej, natyka się nagle na otwarte wrota piekła pełnego diabłów. Jego pierwszym uczuciem równie dobrze może być strach przed tymi diabłami, jak i zdziwienie, skąd się tam wzięło piekło.

Blade sitowie i kuliste grzyby były dziwne i odrażające, jak jakiś nowy, wilgotny krąg piekła. Ale między nimi poruszały się kształty; skradały się i czołgały; wilcze, dzikie kształty, które byłyby śnieżnobiałe, gdyby nie błoto przylepione do jedwabistej sierści. Widział już kiedyś podobne kształty. Tej nocy na przełęczu jedynie przypadek i zacięta walka jego towarzysza uratowały go przed rozerwaniem na strzępy przez takie właśnie stworzenia.

- Białe psy strażników... tutaj! - zamruczał Kennedy i spostrzegł, że wokół bagna, po którym biegały, nie było ogrodzenia.

Jak zwykle psy, natychmiast wyczuły jego obecność. Trzy z nich, chlapiąc i grzęznąc w błocie, podbiegły do samego skraju trzciny, i widząc w ich oczach dziki głód, spodziewał się ataku, który oznaczałby koniec. Atak jednak nie nastąpił. Kennedy stał spokojnie, nie był to objaw odwagi, lecz obawy, że na pierwszy sygnał ucieczki bestie rzucą się za nim w pościg.

Kiedy jednak mijały sekundy, a białe psy trzymały się nadal w granicach bagna ani nie uczyniły żadnego wysiłku, żeby je przekroczyć, fizyczne przerażenie zastąpił inny rodzaj strachu. Dotarła do niego nagle niesamowitość tego odkrycia.

Gdzie w naturze mogło być takie przykryte kopułą, zimne, parujące bagno, z białymi trzciniami, świecącymi grzybami i tarzającymi się w błocie, podobnymi do wilków mieszkańcami?

Same zwierzęta stanowiły wybryk natury. Gdyby to były płazy, gady, stworzenia żyjące na bagnach, może byłyby straszne, ale w zrozumiały sposób. Ale psy? Białe ogary. Na tym zwariowanym świecie psy nie rodzą się ani nie żyją na bagnach!

A jednak tutaj chlapały się i polowały, poruszały trzciny, wyskakiwały z nich, żeby popatrzeć dzikimi, nieprzyjaznymi oczami, lub tarzały wciąż na nowo swoją jedwabistą sierść w miękkim błocie wokół jakiegoś gigantycznego samotnego grzyba, który wyglądał jak kula jarząca się bladym światłem.

A te trony! Jacy widzowie mieli zwyczaj na nich zasiadać i jakie nieprawdopodobne widowiska oglądać?

Można by ścierpieć białego psa, białą trzcinę lub fosforyzującego grzyba, każde z osobna. Ale zgromadzone na bagnie, pomnożone, otoczone złotymi tronami, przykryte wysadzaną klejnotami kopułą, tworzyły podejrzaną i niesamowitą kombinację.

Nagle mężczyzna pojął, że zobaczył zbyt wiele.

Przestraszył się psów, ale nie odważył się uciec przed nimi.

Teraz znowu przestraszył się myśli i uciekł, choć niezbyt daleko, od tego nieubłaganego prześladowcy, od którego nie można uciec.

W połowie schodów zatrzymał się i przykucnął, nasłuchując uważnie. Od łukowatego wejścia dobiegało tylko przypadkowe chlupotanie i szelest sitowia. A jednak skądś dobiegł dźwięk niepodobny do tamtych, pierwszy, jaki usłyszał od chwili, kiedy uciekli z celi, w której byli uwięzieni.

Były to pomieszane, niewyraźne odgłosy - klap, klap, szur, klap - które dla Kennedy'ego nie były wcale miłe. Oznaczały, że tymi samymi korytarzami, którymi tak ukradkiem przemykał, zbliżało się wiele obutych w sandały stóp.

Wyprostował się i stanął sztywno, z zaciśniętymi rękami i zgiętymi łokciami, trzęsąc się jak człowiek chory na malarię.

Złapali go. Nie wiedział, jaka czeka go kara... coś niejasnego i straszego. Ci ludzie nie byli już dla niego dłużej „po prostu

Indianami o szczególnie jasnej skórze”. Byli Białymi Ludźmi z Tlapallan, mistycznym ludem, dla którego nie było miejsca w tym materialnym świecie.

Ściśnięty strachem, Kennedy stał bez ruchu i dygotał.

Klap, klap, szur. Byli już teraz bardzo blisko. Nadchodzili uroczyście i wolno. Sam brak pośpiechu wydawał się groźny. Wiedzieli, że tutaj jest! Wiedzieli, że nie może im uciec. Wiedzieli...

Odwróciwszy się gwałtownie, popędził z powrotem po schodach w dół. Instynkt nakazywał mu ukryć się.

Skoczył przez łukowate wejście. Ta strona bagna nie nadawała się na kryjówkę, chyba że postanowiliby przyłączyć się do tarzających się w sitowiu psów. Niezbyt mu to przypadło do gustu, więc wbiegł na otaczający pomieszczenie występ i ruszył wąskim przejściem między rzędem tronów a bagnem.

Ku przerażeniu Kennedy'ego, kilka bagiennych psów próbowało pójść w jego ślady. Gdyby wskoczyły na kamienny występ, mogłyby go z łatwością dogonić, ale żaden nie uczynił podobnej próby. Zapadając się, rozbryzgując błoto, grzęznąc, ścigały go ciężkimi susami, z dzikimi oczami utkwionymi przez cały czas w uciekiniera.

Nie wątpił, że te warczące bestie pragnęły go rozszarpać. Wydawało się, że nic im w tym nie przeszkodzi. Ale przebiegł już połowę drogi wokół rotundy, a jeszcze żadna łapa nie dotknęła ścieżki, którą uciekał.

Chociaż szukał jakiegoś miejsca do ukrycia się, cała jego uwaga, ze strachu przed prześladowcami, skupiona była na bagnie. I w ten sposób z całym rozpędem wpadł na jakiś duży przedmiot, który zatarasował mu drogę. Uderzenie było tak mocne, że zupełnie stracił oddech i przez moment stał, próbując złapać powietrze. Później zobaczył to, co z drugiej strony rotundy zasłaniały kłęby pary.

W tym miejscu biały, marmurowy występ stawał się szerszy przed czymś, co wyglądało na głęboką, wąską niszę. Na tym

poszerzonym występie, przed wgłębieniem, ustawionych nie niedbale, lecz w dekoracyjnym porządku, stało mnóstwo złotych naczyń, jakie widział w zewnętrznym pokoju. Rzecz, na którą wpadł, była kolejną złotą chrzcielnicą z trzema kugarami niemal naturalnej wielkości i misą długą jak ciało człowieka. Dwie inne chrzcielnice, identyczne jak pierwsza, stały tuż za nią, a za nimi znowu ciągnął się dalej rząd tronów.

Po obu stronach niszy dwa wielkie kandelabry wznosiły, po pięć każdy, swoje złote ramiona, na których osadzone były długie świece, podobne do tych, jakie zwykle palą się przy trumnie nieboszczyka. Owe świece nie paliły się jednak i wewnątrz niszy, której strzegły, było bardzo ciemne. Ściany rotundy zbudowane zostały z czystego białego marmuru, ale wgłębienie wykonano z kamienia czarnego jak nie polerowany heban. Światło pochodzące od grzybów, rozproszone i przytłumione przez parę, ledwo wnikało do czarnej niszy.

Szukał miejsca do ukrycia się i wyglądało na to, że je znalazł, a jednak wzdragał się przed zbadaniem tych czarnych czeluści.

Bez żadnego powodu był przekonany, że coś tam jest... coś żywego.

Jak już wspomniano wcześniej, jego ciekawość była zwykle ściśle podporządkowana bardziej praktycznym względom. Tak łatwo mu przyszło powściągnąć ciekawość co do żywej istoty, która czaiła się w ciemności za sinym, nienaturalnym bagnem, że nawet panika nie mogła go początkowo zmusić do zbadania sprawy.

Białe psy przestały na niego zwracać uwagę i obejrzawszy się za siebie, stwierdził, że jest sam po tej stronie bagna. Niepewne światło i wyziewy nie pozwalały mu dostrzec drugiej strony, ale usłyszał, jak bestie rozchlapują błoto gdzieś dalej. Wracały w stronę wejścia i domyślił się, dlaczego. Psy nie ignorują ani wroga, ani przyjaciela, a nawet stąd, gdzie stał, słychać było znowu równomierne szuranie wielu zbliżających się sandałów.

I znowu uciekinier zajrzał do niszy, na próżno próbując dostrzec coś w nieprzeniknionym mroku. Podobnie jak na schodach, strach

popychał go naprzód i jednocześnie powstrzymywał, a zresztą, jak mogłoby cokolwiek żywego znajdować się w tej niszy? Nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk, nic się nie poruszało, nie oddychało.

Wyzywając się od obdarzonych zbytnią fantazją głupców, Kennedy wziął się w garść, zrobił krok do przodu i postawił jedną stopę na czarnej podłodze, tam gdzie łączyła się z białą występu. Zamarł.

Żadne światło nie docierało w głąb. Był tego całkowicie pewien, a jednak w chwili, kiedy jego stopa przekroczyła linię, zaczął widzieć, o ile istnieje oprócz białego i czarne światło. „Postrzeżał” byłoby lepszym określeniem, ale jakkolwiek by nazwać tę raptem uzyskaną zdolność, dała mu ona przynajmniej poczucie widzenia i to w niezwykle żywy sposób. Dzięki niej przekonał się, że niesłusznie przeklął swoją wyobraźnię, gdyż rzeczywiście coś czaiło się w wąskiej niszy. Zobaczył tam twarz.

Chociaż wydawało się, że czarne jak otaczająca je ciemność oblicze nie odbija żadnego światła, każdy jego rys stał się dla Kennedy'ego tak wyraźny, że nie można go było zapomnieć.

Nie była to dobra twarz. W rzeczywistości żadne zło nie mogłoby być zbyt podłe, żeby to brzydactwo nie śmiało się z niego. Gęba ropuchy jest szeroka, brzydka... i raczej śmieszna. Usta w tej twarzy były równie szerokie jak u ropuchy i miały wąskie wargi, ale ich grymas w żadnym razie nie był zabawny. Był to napięty, okrutny grymas, który wcale nie świadczył o poczuciu humoru. Okrutny i straszliwie czujny.

Czujność przejawiała się w samym rozszerzeniu nozdrzy. Oczy, jak szparki, były również bardzo czujne.

Cała twarz, jakby wysunięta do przodu na naprężonej szyi, sprawiała wrażenie wyczekiwania na coś, ale zawarta w niej groźba nie stanowiła zwykłej groźby śmierci. Gdyby była świadkiem tortur, to nie ofiara, lecz kat przyciągnąłby całą jej uwagę. Nie ból, lecz okrucieństwo, nie występki, lecz występna natura... Nawet rozkład moralny całej ludzkości nie mógłby

zaspokoić jej ambicji, ani zło całego rodu diabłów ugasić pragnienia kryjącego się za zwężonymi oczami.

Nieugięty, Kennedy śmiało stał na wprost niej. Jego spojrzenie było tak nieruchome, że mógłby przez całą wieczność nie mrugnąć powieką, a mimo to, nie patrząc w dół, uświadomił sobie stopniowo, że poniżej tej twarzy jest ciało. Wiedział, że istota siedzi w kucki, naga, a palce obejmujące podciągnięte kolana są długie, niebezpieczne, perfidne.

Po raz pierwszy Archer Kennedy nie czuł strachu ani chęci ucieczki. Te palce były jedynie odpowiednim symbolem tego, co wyrażała twarz... a twarz przyciągała go.

W naturze różnych ludzi istnieją, można powiedzieć, pewne puste obszary. Pustki, które czekają, by je wypełnić. I tak jedni tęsknią za pięknem, drudzy za miłością, inni za dobrocią, a jeszcze inni, być może, za zwykłą namiętnością.

Znalazłszy je, człowiek zapełnia pustkę i jest szczęśliwy. Podobnie Kennedy. Pragnął złota, ale za tym pożądaniem krył się inny, dotkliwszy brak... pustka, o której nie wiedział, której nawet sam sobie nie uświadomił. Twarz wypełniła ją.

Jak gorliwy buddysta odwraca się od ziemskich rozrywek, siedzi w pozycji lotosu i pogrąża się w mistycznej kontemplacji, tak Archer Kennedy chciałby stać tam przez długi, długi czas, zadowolony, że w końcu pustka, której istnienia się nie domyślał, została wypełniona.

Ale po marmurowym występie rotundy zbliżało się wiele stóp i w każdej chwili bagienne wyziewy mogły przestać go chronić przed odkryciem.

Rozdział VII. Płaszcz Xolotla.

- Panienska od świecących ciem. - Boots ukląkł i rozpromieniony patrzył na swoje vis-à-vis, jak ktoś, kto spotyka starego znajomego. Poruszone zręcznymi i energicznymi pociągnięciami wiosła, czółno szybko oddaliło się od pływającej przystani, przemknęło przez coś, co wyglądało jak szeroki pas oślepiającego ognia, aż wreszcie, kilkaset metrów od brzegu, Boots stwierdził, że blask stał się znacznie mniej nieznośny. W rzeczywistości widział bardzo dobrze i pierwsze spojrzenie skierował nie na wyspy, czy też na statki, lecz na dziewczynę, która najwyraźniej wzięła go pod władczą opiekę.

- Jeśli będziesz tak podskakiwał, pogniewamy się - ostrzegła go.

- Nie ruszę nawet palcem - krzyknął Boots - bo nie mogę wyobrazić sobie większego nieszczęścia niż zakończyć tę znajomość, zanim naprawdę się zaczęła. Więc poznałaś mnie od razu, tak jak ja ciebie.

Próbowała patrzeć poważnie i surowo, ale wysiłki te zakończyły się wybuchem niepohamowanej wesołości.

- Och - wykrzyknęła lekko - jak można by cię nie poznać? Jesteś... jesteś taki inny niż moi bracia z Tlapallan!

Opanowało go znowu zakłopotanie i o ile jego twarz była przedtem czerwona, to teraz płonęła.

- Wasz ubiór jest wspaniały i piękny, ale być może nie jest zbyt twarzowy dla Irlandczyka.

- Ale podobasz mi się właśnie taki, jaki jesteś! Chciałabym jednak, żebyś mi powiedział, jak to się stało, że masz na sobie głowę Xolotla i jego paradny płaszcz. Czy dał ci je na dowód przyjaźni?

- Można tak powiedzieć. - Boots przypuszczał, że Xolotl to pokonany strażnik i że wskazana jest ostrożność. I wtedy ostrzegł go błysk w tych rozbawionych, ciemnych oczach. - Wiesz, że to nieprawda! - oskarżył ją.

- Mam nadzieję, że go nie zabiłeś - odpowiedziała w zamyśleniu. - Jeśli go zabiłeś, to jako obcego, mogę cię oddać Nacoc-Yaotłowi. Zabiłeś go?

Gdyby zapytała go o godzinę, pytanie nie mogłoby być zadane bardziej obojętnym tonem.

- Nie - powiedział Boots krótko, oburzony.

Po ustach znowu przemknął jej figlarny uśmiech.

- Więc będę się z niego śmiała! Xolotl to samochwała. Myśli, że powinien biegać po wzgórzach ze strażnikami. Ale jest tylko małym chłopcem, który bardzo wyrósł. Pewnego dnia, o ile nie zginie i ukończy swój nowicjat, by służyć Nacoc-Yaotłowi, wyjdę... jak to mówi mój pan Svend?... wyjdę za niego za męża. Ale zawsze będę się z tego śmiać, że zabrałeś mu paradny płaszcz.

Ponownie zaskoczony, Boots próbował zmienić temat.

- Dobrze mówisz po angielsku. Może nauczyłaś się go od pana Biornsona?

- Och, całe moje bractwo mówi po angielsku. Mój pan Svend zjawiał się tutaj, kiedy byłam małym dzieckiem. Chociaż był obcy, oszczędzili go z powodu jego mądrości i znajomości bogów. Wydawało się, że zapomniano o bogach wszędzie, oprócz Tlapallan. Ale on mówił naszym językiem, a później połączył... ożenił się z córką Quetzalcoatla. Dzięki temu wszedł do naszego bractwa, chociaż z jakiegoś dziwnego powodu nie mieszka w Tlapallan, lecz zbudował sobie dom w kotlinie. Wkrótce będzie... jakie jest to określenie Astrid... ach, tak, ostatnim krzykiem mody będzie posługiwanie się angielskim. Inne bractwa również nauczyły się go trochę, ale wcale ich do tego nie zachęcamy. Nie sądzisz, że brzmi znacznie bardziej dystyngowanie niż stary język?

- Być może, ale kiedy mówisz w swoim własnym języku, brzmi to jak śpiew ptaków.

- Ale ptaki są takie zwyczajne, nieprawdaż? Spójrz! Tam jest Tonathiutl. Jeśli nie zależy ci, by służyć Tlalokowi, zostań synem Tonathiu, który czasami jest tak czerwony, jak twoje piękne,

pomalowane włosy. A wtedy może wyjdę za ciebie, a nie za Xolotla!

Powiedziała to tonem osoby obdarzającej kogoś nieprawdopodobną łaską, ale dla Bootsa sprawy toczyły się zbyt szybko. Choć była tak śliczna, jej nieczułe uwagi o śmierci Xolotla i równie nieczuła zaborczość wobec niego samego nie pokrywały się zupełnie z jego wyobrażeniami o przyzwoitości.

- Pomyślę o tym - mruknął i po raz pierwszy naprawdę zwrócił uwagę na otoczenie.

Znajdowali się już daleko na płynnej, srebrnej tarczy, pod którą, według wierzeń Tlapallan, Tonathiu, bóg-słońce, chował się w ciągu tych godzin, kiedy reszta świata jest ciemna i pozbawiona jego ducha. Dlatego przez całą noc tylko woda świeciła jak Meztli, księżyc, i nie można jej było dotknąć jako rozpalonego ciała Mictlanteuctli, pana piekła.

Tego dowiedział się Boots, kiedy patrzył z wielką ciekawością na dom boga. Była to pierwsza, jaką widział, „pogańska świątynia”, w której kult był czymś żywym, a nie jedynie mglistym wspomnieniem przeszłości.

Tonathiutl, najmniejsza z wysp, znajdowała się najbliżej brzegu, który niedawno opuścili. W przeciwieństwie do innych była nizinna i płaska, a okrągła budowla, która zajmowała prawie całą jej powierzchnię, wyrastała zaledwie na trzy metry.

Powyżej murów nie było niczego i Boots, który zauważył ją wcześniej z urwiska, przypomniał sobie, że jej dach był płaski jak naleśnik.

Cała była zbudowana z czegoś, co wziął za mosiądz, ale gdyby tutaj był Kennedy, dokładniej oceniłby wartość metalu.

Nie było żadnych drzwi ani okien oprócz jednego niskiego, łukowatego otworu i całość w najmniejszym stopniu nie pasowała do wyobrażenia Bootsa o świątyni.

- Ona schodzi w dół - wyjaśniła dziewczyna. - To, co widzisz, to jedynie wierzchołek. Schodzi głęboko w dół i tam, na dnie, Tonathiuśpi pośrodku kręgu swych kapłanów. Gdyby jeden,

choćby jeden z jego synów spał w ciągu tych godzin, Tonathiu nigdy nie wspiąłby się z powrotem na niebo. Umarłby. I wtedy Tlapallan i cały Anahuac (Meksyk) pogrążyłby się w ciemności bez końca. Czy to nie przerażające? Jeśli zostaniesz synem Tonathiu, nie powinienes nigdy spać w nocy. Czy zdarza ci się spać, kiedy nie powinienes?

- Bardzo często - zapewnił ją pośpiesznie. Jakakolwiek moc kryła się w tych wodach, nawet ze swoją elementarną znajomością astronomii wyczuwał sprzeczność między jej wersją zwyczajów „Tonathiu” a rzeczywistymi faktami. Ale nie widział żadnego pożytku ze spierania się z nią w tej sprawie i po prostu wstrzymał się od wszelkich obietnic, mogących wplątać go w dziwne religie, był zadowolony, że przyjął jej twierdzenia za dobrą monetę.

- Tam płynie Topiltzen, główny kapłan Nacoc-Yaotla - oznajmiła nagle, wskazując na dwudziestowiosłową galeryę, która w tym momencie majestatycznie ich mijała. - Spójrz! Stoi tam, na dziobie, a wszyscy inni płaszcą się wokół niego. Powiedz mi, czy to nie tłusty, brzydki, nieprzyjemny starzec?

Osobnik, o którym mówiła, stojący napuszenie na nadbudówce, pośrodku kręgu adorujących go osób, z biało-czarnym emblematem na tłustym brzuchu, odziany w płaszcz z białych, czarnych i zielonych piór, mógł usłyszeć uwagę dziewczyny.

Odwrócił się ostro i spojrzał w stronę ich czółna ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi ustami.

- Nie boisz się mówić o swoich kapłanach z takim brakiem szacunku? - zapytał Boots.

Wzruszyła ramionami z najwyższą pogardą.

- Jestem córką Quetzalcoatla. Nie muszę skłaniać głowy przed tamtymi z pomniejszych bractw. Czy widziałeś, jak patrzył na ciebie? Poznał, że jesteś obcy. Gdyby był odważny, mógłby cię wziąć na misteria. Ale nie obawiaj się. Jesteś ze mną, a Quetzalcoatl strzeże swoich dzieci. Nawet Nacoc-Yaotl nie może cię zabrać ode mnie, a przynajmniej tak sędzę!

Spojrzała w kierunku urwiska, które opuścili, a oczy Bootsa podążyły za jej oczami. Teraz dopiero zobaczył to, czego nie mógł widzieć z bliska. Na czubku czarnej skały widniał długi, równy mur z białego kamienia. Ponad nim na dużą wysokość wyrastał zdumiewający budynek.

W tym budynku był uwięziony razem ze swoim towarzyszem i wydawało się teraz Bootsowi dziwne, że to było... tak, było prawie niemożliwe, żeby przez dziewięć dni przebywali w tak ogromnym miejscu i pozostawali nieświadomi jego ogromu, jak koralowce są nieświadome potężnej rafy, którą zamieszkują.

Była to budowla tak wielka, tak surowa i masywna, że przywodziła na myśl jeden z tych naturalnych, skalnych zamków, choć była jak na to zbyt regularna. Podobnie jak świątynia słońca, pozbawiona była okien, ale w przeciwieństwie do mniejszej od niej budowli, nie była okrągła i nie miała płaskiego dachu. Zwieńczało ją sto wieżyczek, a pośrodku nich wyrastała tytaniczna biała kopuła.

Kształt kopuły jest jednym z najwspanialszych w architekturze, ale tej wyraźnie brakowało piękna. Była przysadzista, brzydka. Wyglądała tak, jakby spomiędzy wieżyczek wystawał okrągły kapelusz niewiarygodnie wielkiego białego grzyba, pozostawionego tam z powodu jego masy i niedostępności.

Cała budowla była w jakiś nieokreślony sposób przytłaczająca.

Wcale nie ze strachu Boots odwrócił od niej wzrok i skierował go na jezioro, ale teraz, nie wiadomo dlaczego, nabrał pewności, że jego wybór był mądrzejszy, a zarazem bardziej szalony niż wybór Kennedy'ego.

Kennedy wrócił do tajemniczych białych czeluści. Na tę myśl obudził się w Bootsie jego głupi instynkt opiekuńczy. Nieważne, jaki był Kennedy, był jednak biedną, słabą istotą... i towarzyszem Bootsa. Czy powinien pójść za nim? Lepiej będzie dowiedzieć się najpierw czegoś więcej.

Spytał o przeznaczenie budynku.

- To siedziba Nacoc-Yaotla. - Wesoła twarz dziewczyny spochmurniała. - Nacoc-Yaotla, czarnego stwórcy nienawiści, który

zniszczyłby ludzkość, gdyby mógł. Powiadają, że pewnego dnia zniszczy Tlapallan, ale nie wierzę w to. Nasz pan powietrza, Quetzalcoatl, który kiedyś był człowiekiem i jest najszlachetniejszym z bogów, posiada moc większą od niego. Jak muszą się nienawidzić nawzajem ci wielcy, silni bogowie! Nie chciałbyś zobaczyć walki między bogami?

- To byłby niszczycielski spektakl. Uważaj! Popatrz... tam!

Jego ostrzegawczy okrzyk rozległ się w samą porę. Dwoma zręcznymi pociągnięciami wiosła dziewczyna uchroniła ich od zderzenia z dwudziestowiosłową galerą, która prześliznęła się obok. Z dziobu patrzył na nich główny kapłan Nacoc-Yaotla, a każdy rys tłustej, złośliwej twarzy świadczył o wściekłości z powodu niepowodzenia.

- Słyszał cię! - krzyknął Boots. - Ten stary diabeł próbował nas zatopić!

Twarz dziewczyny była surowa i opanowana, ale oczy płonęły furją jeszcze większą niż oczy kapłana.

- Chciałam, żeby mnie usłyszał - powiedziała spokojnie. - Topiltzen jest śmiertelnym ojcem Xolotla, którym pogardzam!

Galera zawróciła i znowu płynęła prosto na nich.

- Wiosło! - popędzał Boots rozpaczliwie. - Wiosło... albo daj je mi!

Wyciągnął rękę, ale dziewczyna tylko potrząsnęła głową i spojrzała na zbliżającą się galerę ze spokojną pogardą.

- Zaraz usłyszysz, jak mnie przeprosza - powiedziała. - To był wypadek, za który ucierpi biedny sternik. Jestem córką Quetzalcoatla, który strzeże swoich dzieci, i nawet Topiltzen nie odważy się przyznać, że atak był zamierzony. Ale gdyby czółno zostało rozcięte na pół, a miało się tak stać, ty byś zginął, a mnie pozwolono by przez dłuższy czas znosić ból zadawany przez ducha Tonathiu, zanimby mnie wyciągnięto. Och, nienawidzę

Xolotla i całego okrutnego bractwa czarnego boga! Synu O'Hary, wolałabym, żebyś zabił Xolotla!

- Na Boga, zaczynam myśleć, że masz powód, by tego chcieć. Spójrz, tłusty stary łajdak kłania się!

Wioślarze na galerze odpoczywali przy swoich wiosłach. Wszystkie twarze na pokładzie były zwrócone w ich stronę, a główny kapłan przeszedł przez nadbudówkę i skłonił głowę z szacunkiem raczej szyderczym w tych okolicznościach.

Boots po raz pierwszy ujrzał mieszkańców Tlapallan z tak bliskiej odległości. Wszyscy byli biali - prawdę mówiąc, bielsi od niego - a jednak pewna subtelna różnica upewniła Bootsa, że to nie są „biali ludzie” w ogólnie przyjętym znaczeniu tego określenia. Czy Kennedy miał rację, nazywając ich „Indianami”, czy też nie, byli z pewnością innej rasy niż kaukaska!

Proste czarne włosy opadały im na ramiona spod różnych fantastycznych nakryć głowy, przedstawiających jaskrawe ptaki i zwierzęta. Ubrania, które nosili, były uszyte z ufarbowanej na jaskrawe kolory tkaniny bawełnianej lub z tego samego puszystego, ozdobionego piórami materiału, jaki miała na sobie dziewczyna od ciem. Pierzaste płaszcze jak ten, który pożyczył Boots, nosili wszyscy oprócz wioślarzy. Ich strój ograniczał się do szerokiej przepaski czy też krótkiej spódniczki.

Z czarnymi brwiami, prostymi nosami, szerocy w ramionach i dobrze umięśnieni, tworzyli najlepiej wyglądający zespół, jaki Boots kiedykolwiek widział, i nie bardziej dający się porównać do zwykłych indiańskich plemion Meksyku niż Japończycy z kasty „samurajów” do pospolitszych Kolarian.

Jeśli jednak chodzi o atletyczną budowę, Topiltzen był wyjątkiem. Niski, tłusty, puciołowaty człowieczek o ponurej, nachmurzonej minie, która nie dodawała mu urody.

Kiedy odezwał się, zrobił to takim samym przyciszonym tonem, którego używali wszyscy w Tlapallan, jak gdyby to był jakiś ogromny szpital, gdzie pod żadnym pozorem nie należało budzić pacjentów.

- Mów po angielsku - przerwała krótko dziewczyna. - Mój przyjaciel, syn wielkiego i potężnego boga O'Hary, nie zna naszego języka.

Kapłan wyprostował się i popatrzył nieszczęśliwie na „syna O'Hary” i jeszcze bardziej nieszczęśliwie na dziewczynę. Jego angielski był

słaby, a i ona wiedziała o tym. Kłopot, który zamierzała sprawić swojemu przyszłemu teściowi, był drobny, ale na wojnie wszystko się liczy.

- Gdzie - powiedział kapłan wolno i z trudem. - Xolotl... jego głowa... jego płaszcz... widzę... nie Xolotl...

Urwawszy z rozpaczą, zamachał rękami w stronę Bootsa.

- Jak przypuszczam - ton dziewczyny był wyniosły, pełen wyższości - chciałeś rozbić czołno, żeby zobaczyć, czy mój przyjaciel to Xolotl. Tak, to jest hełm Xolotla. To jest płaszcz Xolotla. Ale mój przyjaciel nie jest Xolotlem. Jest znacznie silniejszy, znacznie odważniejszy i dlatego właśnie nosi płaszcz Xolotla. Przyjrzyj mu się bardzo dokładnie. Widzisz dobrze, prawda?

To zuchwalstwo było już zbyt duże dla ojca Xolotla; rozumiał angielski lepiej, niż się nim posługiwał. Sapnął z wściekłości, odwrócił się i wydał przyciszony rozkaz komuś, kto stał za nim. Człowiek ten natychmiast skoczył w stronę burty.

Dziewczyna pośpiesznie zanurzyła wiosło, ale zbyt późno, by uniknąć małego bosaka, którym złapano dziób czołna.

Metr po metrze przyciągano ich haniebnie do galery, podczas gdy Topiltzen, już nie uniżony, szczerzył się do nich triumfalnie.

Bootsowi przyszło do głowy, że siła jego ramion bardziej się może teraz przydać niż opieka Quetzalcoatla lub innego z licznych tlapallańskich bogów, którą zdawali się chętnie roztaczać nad ludźmi.

Rozdział VIII. Przed Czarną Kaplicą.

Archer Kennedy był, jak Boots kiedyś zauważył, „człowiekiem znacznie bardziej wykształconym” niż irlandzki chłopak. Co więcej, miał bystry, chłonny umysł, który chwycił wszystko, z czym się zetknął, i gromadził jak sroka ukradzione rzeczy, w nadziei, że pewnego dnia mogą okazać się przydatne. Wśród wielu takich powierzchownych wiadomości była również spora wiedza o azteckiej cywilizacji, zdobyta częściowo za czasów studenckich, a częściowo na Yukatanie i w Campeche.

Kiedy Biornson powiedział: „Jesteście uwięzieni w siedzibie Nacoc-Yaotla”, słowa te nie były dla niego całkiem pozbawione znaczenia.

W zagmatwanym labiryncie azteckiej teologii wielu bogów posiadało nie tylko dwa imiona lub więcej, lecz również wiele osobowości, w tym niektóre tak różniące się od siebie, jak białe od czarnego.

I tak, Tezcatlipoca, „błyszczące lustro”, który opuszczał się z nieba na końcu pajęczej nici, był istotą cnotliwą o chwalebnych cechach. Rozdziałał sprawiedliwość i łaskę, i jeśli czasami jego posągi umieszczano w kaplicach na sędziowskich krzesłach wykonanych z ludzkich kości, było to zgodne z dość ponurymi wyobrażeniami ponurego i krwawego ludu.

Ale podobnie jak dobrze znany doktor Jekyll, Tezcatlipoca miał podwójną naturę, i to taką naturę, której druga, ciemniejsza strona mogłaby nawet zasługującego na potępienie pana Hyde'a przyprawić o zazdrość i wstyd.

Jako Nacoc-Yaotl, Siewca Nienawiści, szlachetny Tezcatlipoca miał zwyczaj ukradkiem, niewidzialny, przemykać się ulicami i w każdym azteckim mieście były dla niego przygotowane miejsca do siedzenia, miejsca, na których żaden śmiertelnik nie miał prawa szukać wytchnienia. Wydaje się nieprawdopodobne, żeby jakiś człowiek miał na to ochotę, zważywszy, kto mógł być jego towarzyszem.

Świątynia poświęcona Nacoc-Yaotłowi, jako osobnemu bóstwu, była nowością, o której Kennedy nigdy nie słyszał.

Natknąwszy się na ciemną twarz w jeszcze ciemniejszej niszy, nie skomentował tego natychmiast: „Jest tu dokładnie to, czego powinienem się spodziewać - wyrzeźbiony, czarny wizerunek Nacoc-Yaotła, bożka, którego ci jasnoskórzy i dziecinnie przesądni Indianie czczą w swojej głupocie.”

Zamiast dojść do tego rozsądnego wniosku, nie tylko nie zidentyfikował twarzy, ale nieświadomie oddał jej cześć, bardziej szczerą i płynącą z głębi serca, niż prawdopodobnie zdarzyło się to w ciągu wielu wieków.

Jego wysoko oceniana zdolność rozumowania zawiodła, jak gdyby to, co Kennedy miał w miejsce duszy, pławiło się w pełnej oczarowania kontemplacji ideału, którego sobie do tej pory nie uświadomił. Czujna, skryta, pożądliva, bezwzględna - jakiegokolwiek mogły być cechy tej tajemniczej duszy, miała je twarz i to wielokrotnie spotęgowane.

Ale na tym zdecydowanie niedoskonałym świecie uniesienie trwa krótko.

Młodszy kapłani i nowicjusze Nacoc-Yaotła, wchodząc do rotundy uroczystym krokiem, nie mogli wiedzieć, że ich bóstwo odbiera właśnie cześć od prawdziwego, oddanego wyznawcy. Sami raczej unikali okazywania takiego uwielbienia. W rzeczywistości ostrożni „synowie” Nacoc-Yaotła rzadko patrzyli na jego posąg czy też raczej eidolona.

Ale podobnie jak inni ludzie, mieli pewne obowiązki, których nie mogli uniknąć. Sprawa, którą musieli teraz załatwić, należała do mniej ważnych - jeniec był tylko nędznym Indianinem Yaqui, który zabłąkał się na północ, na wzgórze, ledwo żywy ze strachu - niemniej jednak trzeba rzecz doprowadzić do końca.

Topiltzen, szef bractwa i główny kapłan misterii, nie raczył się zjawić. Dzięki temu można było zrezygnować z pewnych bardziej wymyślnych fragmentów ceremonii i Marcazuma, celebryjczy ją w zastępstwie Topiltzena, miał nadzieję, że upora

się z obowiązkami na czas, by zdążyć na bankiet wydawany tej nocy przez synów Tlapotlazenany, matki lekarzy.

Podobnie jak członkowie tego bractwa na całym świecie, medycy byli sympatyczni, znali mnóstwo zabawnych dowcipów i historyjek. Marcazuma półgłosem przeklinał swojego zwierzchnika za to, iż całą niewdzięczną robotę składał na jego barki, tak że niewiele czasu pozostawało na przyjemności.

Zaklął znowu, jeszcze dobitniej, kiedy drzewce podobnego do sztandaru insygnium, które trzymał, zahaczyło o nogę tronu, w kształcie łapy z pazurami, i wręcz wyrwało mu sztandar z ręki.

Taki incydent w samym sanktuarium świątyni był złym znakiem. Kiedy sztandar upadł na posadzkę, przez całą długość stojącego za nim szeregu ludzi przebiegło drżenie i pomruk, a białe psy, do tej pory ciche, jak gdyby solidaryzując się z ludźmi, wydały niskie, zgodne wycie.

Rzuciwszy na nie nerwowe spojrzenie, Marcazuma podniósł sztandar. Ku jego coraz większej konsternacji, białe i czarne pióra na czubku, który upadł w bagno, mocno się ubłocily.

Były to poświęcone pióra i nie mogły ich dotykać ludzkie palce, więc musiał je zostawić tak, jak były, ociekające czarnymi kroplami, które spływały mu po dłoni i ramieniu.

Dostojnym krokiem ruszył ponownie w stronę kaplicy, ale wydarzenie skutecznie odwróciło mu myśli od bankietu. Był bardzo młodym człowiekiem jak na stanowisko, do którego doszedł, i Topiltzen ostatnio brał mu to wyraźnie za złe, podobnie jak pewną wadę wymowy swojego pomocnika, którym to dwóm defektom Marcazuma nie mógł, oczywiście, zaradzić.

Ale domyślał się, co będzie, kiedy przełożony usłyszy o jego niezręczności. Znowu spojrzął w bok na psy... i zadrżał.

Upadek sztandaru przeraził nie tylko jego.

Kennedy'ego wyrwał jakby ze snu. Drgnął, obejrzał się za siebie i poprzez mgłę ujrzał w przelocie kiwające się pióra. Raptownie powrócił strach, rozum zaczął pracować, a krótka chwila zadowolenia minęła bezpowrotnie.

Nie dość, że idący byli prawie tuż obok, zdał sobie też sprawę z tego, że widzi bez światła. Ściany jego wszechświata zatrzęsły się znowu na tę myśl i chociaż twarz nadal go pociągała, bał się jej jednocześnie niewypowiedzianie.

Poważnie zastanawiał się, czy nie zanurkować w trzciny i nie schować się tam, zamiast w niszy. Ale spomiędzy dwóch kęp krzaków wysunęła się wilcza głowa, wróżąc natychmiastowe nieszczęście, więc wybrał drugie wyjście z kiepskiej alternatywy, zamknął oczy i zdecydowanie wszedł do niszy.

Jeden krok... drugi... trzeci... i wyciągnięte ręce zetknęły się z innymi rękami. Tamte nie cofnęły się ani nie chwyciły go. Były zimne, gładkie, wypolerowane jak marmurowe ściany na zewnątrz. Zaciskały się wokół dwóch okrągłych, wypolerowanych kolan.

Posąg. Istota z niszy była tylko posągiem. Otworzył oczy i stwierdził, że widzi - oczami, nie duszą. Po prostu widzi!

Nisza nie była nawet w połowie tak ciemna, jak sądził. Jakim był głupcem, kiedy dopuścił, by opanowała go myśl o widzeniu bez światła! To był posąg - bożek, oczywiście - i choć mocno wypolerowana powierzchnia była czarna, odbijała światło dochodzące od strony bagna.

To prawda, że twarz nie była teraz nawet w jednej dziesiątej tak wyraźna, jak przedtem, ale bez wątpienia przyczyna leżała w jego zmianie położenia względem posągu.

Na zewnątrz kroki nadal zbliżały się, powolne, złowieszcze, nieuniknione jak Przeznaczenie, ale Kennedy stwierdził, że uśmiecha się. Czuł ulgę jak ktoś, kto zmienił klęskę w zwycięstwo. Zwiodła go myśl, że zobaczył diabła, dzięki czarnemu światłu tego ostatniego, więc dlaczego inne, najwyraźniej nie dające się ze sobą pogodzić wyobrażenia, jakie miał o tym miejscu i tych ludziach, nie miałyby okazać się równie złudne?

Znalazłszy wąski kawałek przestrzeni za posągiem, wśliznął się tam pośpiesznie i przykucnął.

- Stary, dobry bożek! - mruknął i poklepał twarde, gładkie plecy Nacoc-Yaotla.

W jego pole widzenia wolno kroczyła wysoka postać, a zrobione z piór nakrycie głowy chwiało się przy każdym kroku. Płaszcz z piór był długi i wspaniały. Człowiek niósł drzewce zakończone ludzką czaszką, a ze znajdujących się nad nią ubłoconych piór skapywała do jej oczodołów bagienna woda.

Twarz człowieka niosącego sztandar, bardziej odrażająca niż czaszka, była nieludzka i pomalowana w białe, czarne i złote pasy. Ale ukryty mężczyzna uśmiechnął się znowu. Widział już kiedyś podobne, diabelskie maski. Były czymś zwyczajnym podczas każdej indiańskiej ceremonii. Z łatwością umieścił tę postać na właściwym miejscu - kapłan składający ofiarę. Indiański kapłan. Musi o tym pamiętać i nigdy więcej nie pozwolić, by wyobraźnia płatała figle jego przenikliwej inteligencji.

Teraz kapłan zatrzymał się i umieścił proporzec w specjalnie do tego celu przeznaczonym wydrążeniu w posadzce obok środkowej chrzcielnicy. Kennedy, zerkając zza pleców bożka, zauważył, że mężczyzna ani razu nie rzucił nawet okiem na niszę, lecz przez cały czas stał odwrócony do niej plecami.

Jako następni ukazali się dwaj ludzie niosący pochodnie, ubrani podobnie jak pierwszy, ale nieco mniej okazałe. Oni również zaprezentowali kaplicy swoje plecy i zapaliwszy przed nią dziesięć świec, zniknęli z widoku. Marcazuma wiedział, czego nie mógł wiedzieć Kennedy, że poszli zająć swoje miejsca na dwóch tronach. Wszystkie trony musiały być zajęte, aby ceremonia mogła się potoczyć dalej, ale Marcazuma przestał już niecierpliwie się.

Podeszła kolejna para, prowadząc jeńca. Nieszczęśnika, którego naga, brązową skórę znaczyły ledwo wyleczone rany, bardzo podobne do odniesionych przez towarzysza Kennedy'ego. Podniesiono go, włożono do misy środkowej chrzcielnicy i przywiązano sznurami z włókna agawy.

Marcazuma patrzył przez otwory w swojej drewnianej masce. Kiedy Yaqui wykręcając ciało to w tę, to w drugą stronę, jęknął

przez knebel, młody kapłan zadrżał ze współczucia. Było to współczucie dla siebie samego, nie dla Yaqui. Proroczym okiem ujrzał własne ciało, leżące w tej samej chrzcielnicy. Topiltzen nie jest tolerancyjnym zwierzchnikiem, a kiedy dowie się o tym jakże złowieszczym omenie...

Eskorta zostawiła jeńca i odeszła. Kilka par uroczystym krokiem przeszło obok niszy, nie zatrzymując się. Następnie samotny akolita, sądząc z postury chłopiec, ubrany na biało i noszący białą maskę, podszedł i stanął naprzeciwko kapłana celebrującego obrządek. Na tym procesja zakończyła się, ponieważ wszyscy, którzy ją tworzyli, usiedli na tronach, i kiedy krąg zamknął się, Marcazuma mógł przystąpić do wypełnienia swoich obowiązków.

Ze wszystkich ceremonii, których Kennedy był kiedykolwiek świadkiem, a widział ich wiele, ta była najdziwniejsza. Po pierwsze, ponieważ trony były poza polem widzenia Kennedy'ego, jedyną widownię, którą obejmował wzrokiem, stanowiły bagienne psy. Razem było może dwanaście wielkich, białych psów, które wyszły aż na sam skraj swojej świecącej dżungli. Z oczami utkwionymi w głównej chrzcielnicy, przycupnęły w niecierpliwości, która wydawała się Kennedy'emu całkiem zrozumiała.

Teraz, pomyślał, dowiemy się, jak karmione są tlapallańskie psy, i był bardzo zadowolony, że ukrył się bezpiecznie za starym czarnym bożkiem.

Mimo wszystko, uznał, dobrze wytresowane bestie z tych psów. Ludożercze bestie, był teraz tego pewien. Pozwoliły, żeby uciekł im sprzed nosa obiad w jego osobie. Mając bez wątpienia od swoich panów rozkaz, by pozostać w granicach bagna, zostały tam, głodne czy też nie.

Ciało młodego Yaqui z ledwością starczyłoby dla dwunastki, wyglądającej na zgłodniałą. Zastanawiał się, czy rzucą go im żywego, czy najpierw zabiją. Przypomniał sobie, że w czasach świetności Azteków, kiedy tysiącami składano ofiary z ludzi,

zawsze wycinano im żywe serce obsydianowym nożem i składano w darze bogu.

Jak to tej pory jednakże, oprócz strojów, nic z obecnej ceremonii nie odpowiadało tamtym dawnym zwyczajom. Same chrzcielnice w najmniejszym stopniu nie przypominały zaokrąglonych kamieni ofiarnych, o które opierano ofiarę plecami, wystawiając jej pierś pod nóż.

Odstawszy bez ruchu co najmniej pięć minut, kapłan i jego nowicjusz poruszyli się w końcu. Mniejsza postać ruszyła tyłem w stronę siedzącego posągu. Z powodu świece nisza nie była już wcale tak ciemna, jak przedtem, i Kennedy szybko schował się. Przez kilka minut nie śmiał wyjrzeć. Słyszał cichy, mamroczący głos, który zacierał śpiewne akcenty swego ojczystego języka, jak gdyby mówca nie miał zębów. Mamrotał i mamrotał, aż w końcu Kennedy zerknął ostrożnie zza wystających marmurowych żeber Nacoc-Yaotla.

Nie musiał się chować. Akolita, który ledwo przekroczył linię rozdzielającą czarną podłogę i biały występ, nadal odwrócony był plecami i stał z rękami wyciągniętymi w bok, jak gdyby postawiono go tam na straży - na straży, by nie pozwolić nikomu na wyjście z niszy.

Ale czarny bóg nie poruszył się - jak kamień może poruszyć się z własnej woli? - i mężczyzna ukryty za nim uśmiechnął się szyderczo. Nie bał się starego czarnego przedmiotu. Poklepał go po żebrach. Ich gładkość odczuł prawie jak żywą skórę, która lekko poruszyła się pod jego palcami, ale nie dał się znowu zwieść. Kamień to kamień.

Spoglądając spod wyciągniętego w bok ramienia nowicjusza, mógł dostrzec celebrującego obrządek kapłana, który stał przed chrzcielnicą z leżącym w niej jeńcem i mówił coś nad nim. Jego mamrotanie mogłoby być skierowane do uważnej psiej widowni na bagnie, ale prawdopodobnie nie mówił do nikogo w szczególności, po prostu odprawiał jakiś głupi, czczy rytuał.

Skończywszy wreszcie, pochylił się nad wielkim złotym naczyniem i wyjął z jego czeluści kilka mniejszych naczyń,

również ze złota. Jedno z nich miało kształt butelki, pokryte było wyrzeźbionymi wijącymi się, jaszczurzymi formami i zamknięte te kryształowym korkiem. Pozostałe były małymi złotymi słoikami. Główny kapłan postawił je na czymś w rodzaju występu za misą chrzcielnicą. Następnie stanął bez ruchu, z rękami wyciągniętymi nad jeńcem, jakby w błogosławieństwie lub poświęceniu.

W rotundzie zapadła cisza, tak że Kennedy mógł słyszeć bicie własnego serca, a także słaby odgłos sapania, dobiegający od zakneblowanej ofiary.

Następnie kapłan raptownie opuścił ręce, odwrócił się w stronę niszy... przyklęknął na chwilę krótką jak mgnienie i znowu odwrócił się do niej plecami, zanim Kennedy zdołał pomyśleć o ukryciu się.

Kiedy miała skończyć się ta maskarada?

Okazało się, że już wkrótce. Ruchem człowieka, który zabiera się w końcu do pracy, kapłan włożył rękawice zatknięte do tej pory za pas - rękawice połyskujące żółto jak miękkie, giętkie złoto - otworzył jeden ze złotych słoików, powąchał uważnie jego zawartość, zanurzył bezpiecznie palce w czymś, co było w środku i zaczął szybko namaszczać nagie ciało Yaqui. Człowiek wykręcał się w swoich więzach, ale Kennedy w żaden sposób nie mógł wiedzieć, czy z bólu, czy ze strachu... i prawdę mówiąc, nie obchodziło go to szczególnie.

Kapłan pracował szybko. Może i był zbyt młody, do czego Topiltzen robił aluzje; może miał wadę wymowy i niezbyt miłą powierzchowność, ale nikt nie mógł mu odmówić zręczności, w której nie dorównywał mu żaden inny członek bractwa. Czy Topiltzen weźmie to pod uwagę? Odstawił pusty słoik i sięgnął po butelkę.

Jak na jakiś sygnał psy, które mu się przyglądały, zaczęły węszyć, a pod wysadzaną opalami kopułę ponownie wzbiło się długie, żalosne wycie i wróciło stłumionym echem.

Marcazuma drgnął nerwowo. Już drugi raz zawyły białe psy, białe, spokojne psy, które zwykle tylko cicho warczały i to tylko

w wirze walki. Naprawdę pechowa była ta noc! Stojąc z butelką w ręku, zawahał się. Zastanawiał się, czy Topiltzen bardziej winiłby go za kontynuowanie ceremonii, czy za przerwanie jej w środku. Następnie wzruszył ramionami. W obu wypadkach, jak sądził, jego los był przypieczętowany. Dwa takie znaki jednej nocy!

Pociągnął korek, który stawiał opór; ale tak było zawsze, nie miał więc do czynienia z trzecim znakiem. Wyjął go w końcu i nie robiąc już żadnych przerw, połyskującym strumieniem wylał zawartość butelki na wijący się kształt, który leżał w chrzcielnicy.

Był to płyn o fioletowym zabarwieniu i o silnym zapachu, jakby gorzkich migdałów, a kiedy zetknął się z drżącą skórą Yaqui, rozlał się po niej cienką warstwą. Rozlał się niczym oliwa na wodzie, szybko, prawie inteligentnie, można by powiedzieć, tak że w ciągu niecałej minuty brązowa skóra Indianina cała była pokryta cienką sinawą powłoką.

Wyglądało to na osobliwy sposób przygotowania człowieka do rozszarpania przez zwierzęta. Kennedy patrzył z przejęciem.

Ceremonia trwała.

Znaki czy nie, Marcazuma był przede wszystkim mistrzem i wykonywał swoje zadanie pewnie, od początku do końca bez żadnego potknięcia.

Ale tuż przed zakończeniem ceremonii doszło do skandalicznego zakłócenia obrządku, gdyż z niszy, w której ukryty był bóg, wyskoczył raptownie jakiś człowiek - dyszący ciężko, blady, chory ze strachu wrak człowieka - odepchnął akolitę i chwiejnym krokiem biegł wzdłuż zaokrąglonej linii brzegowej bagna.

Złapał go i przytrzymał osłupiały człowiek zajmujący pierwszy tron, którego tamten próbował wyminąć, podczas gdy białe psy po raz trzeci tej nocy zawyły żałobnie. Ale Marcazuma, mimo że przerażony ponad miarę, zaniósł cichą modlitwę wdzięczności.

Nic dziwnego, że były znaki i złe wróżby w tej świątyni!

Nawet Topiltzen nie mógłby go teraz winić. Odkryto największą tajemnicę, zbeszczeszczono kaplicę i... teraz Marcazumę niemal rozsadzały wieści, które miał dla Topiltzena!

Ale Archer Kennedy, który po raz pierwszy wyświadczył przysługę pokrewnej istocie, i tak nie doceniłby tego, gdyby wiedział.

Znaki omen były w rzeczywistości przeznaczone dla niego tej nocy!

Biornson mówił, że podczas pierwszych dni swojej niewoli modlił się do Boga, by nie stało się to, co teraz zobaczył Kennedy, lub żeby przynajmniej pozwolił mu o tym zapomnieć.

Kennedy nie modlił się, ale gdyby ci, którzy go schwytali, zabili go natychmiast, z wdzięcznością przyjąłby cios.

Mury jego świata zawaliły się w końcu i kiedy wśród razów i przekleństw wywleczono go z rotundy, zupełnie nie dbał o to, dokąd go zabierają, żeby tylko jak najdalej od tego, co drżąc, leżało teraz w chrzcielnicy przed mroczną kryjówką Nacoc-Yaotla.

Rozdział IX. Mówi Maxatla.

Choć nie zauważone przez Bootsa, jednocześnie miały miejsce dwa wydarzenia w czasie, gdy schwywane czółno zbliżało się do burty galery.

Daleko, na końcu czarnego urwiska, od jakiejś niewidocznej przystani odbiła łódź z sześcioma wioślarzami o takich mięśniach, że mimo swego ciężaru wydawała się wręcz wyskakiwać z wody przy każdym ruchu wiosła.

Nieco bliżej inna galera, płynąca leniwie na Tonathiutl, zmieniła nagle kurs i pomknęła w stronę statku głównego kapłana. Na dziobie tej drugiej galery znajdowała się dziwna rzeźba - wzniesione ciało gigantycznego węża z kępką piór na czubku głowy, jak u czapli, i krezą z piór wokół złotej szyi.

Boots patrzył na wykrzywioną złośliwie twarz Topiltzena. Młodszy kapłani porzucili swoje pełne adoracji postawy i stłoczyli się przy burcie, wystawiając ręce, żeby wciągnąć na pokład tych, którzy obrazili ich zwierzchnika.

Irlandczyk nie czekał, aż go wciągną. Trudno jest z pozycji klęczącej podnieść się w lekkim czółnie, ale Boots złapał ręką jakąś masywną rzeźbę pod parapetem galery. To wystarczyło. Przeskoczył przez burtę zwinnie jak marynarz, zostawiając dziewczynę we wściekle kołyszącym się, ale nie grożącym wywróceniem się czółnie.

Topiltzen znalazłszy się nieoczekiwanie twarzą w twarz z agresywnym wrogiem, próbował cofnąć się, potknął się o własny, powiewający płaszcz i chwilę później Boots przyciskał go mocno do siebie. Wszystko

stało się zbyt szybko, żeby ktoś zdążył temu zapobiec. Lecz młodszy kapłani już zbliżali się, a na dole statku wioślarze rzucili wiosła i, popychając się, nadbiegali teraz tłumnie w stronę dziobu.

Boots odwrócił się z tłustym, szamocącym mu się w ramionach człowieczkiem w kierunku burty. Chwycił za mocny pas,

przytrzymujący biało-czarny emblemat, który Topiltzen nosił na sobie.

Główny kapłan Nacoc-Yaotla znalazł się nagle w powietrzu, wisząc nad srebrzystą taflą, a potężny głos zakłócił ciszę i spokój Tlapallan:

- Cofnijcie się! Cofnijcie się wszyscy... albo wyrzucę go za burtę!

Nawet dla tych, którzy nie rozumieli słów Bootsa, jego zamiar był oczywisty. Zmusiło ich to do zatrzymania się.

Topiltzen zapiszczał jak mysz. Chociaż pas wrzynał mu się w ciało, modlił się, aby go utrzymał. Pływanie jest na nic, gdyż Tonathiu wypełnił wody zimnym ogniem.

- Odczepcie to żelastwo! - Boots wskazał na czołno gestem swojej papuziej głowy. Człowiek, który trzymał lekką linkę, przyczepioną do bosaka, zawahał się i spojrzał na kapłanów w oczekiwaniu na rozkazy. Jeden z nich nieznacznie potrząsnął głową.

- Odczepcie to! - ryknął Boots i opuścił swego jeńca trochę niżej nad wodę.

Groźba powinna była poskutkować, ale tak się nie stało. Żaden człowiek nie poruszył się ani nie odezwał i Boots przez chwilę podejrzewał, że krzyczy do zjaw.

Wszystkie cienie były poodwracane - niebo znajdowało się pod nim - stał naprzeciwko niesamowitych, milczących, wystrojonych w pióra duchów i straszyl je, że wrzuci ich przywódcę do nieba! Nie, ten w jego rękach nie był duchem - był na to zbyt ciężki. Ale dlaczego nikt nie ruszył się ani nie odpowiedział mu? Boots zamrugał i rzucił dzikie spojrzenie w inną stronę, szukając wzrokiem solidności wzgórz, by odzyskać równowagę umysłu.

Nagle na głowę i ramiona spadła mu pętla z liny.

Właśnie na to tamci czekali. Żadne bezcielesne zjawy nie spadają na ofiarę z takim ciężarem i siłą.

Jednakże, niefortunnie dla Topiltzena, człowiek, który rzucił linę, przeliczył się. Zamierzał tak gwałtownie szarpnąć obcego,

aby jego pan upadł razem z nim na pokład. Człowiek może być szybki, ale łatwiej jest rozluźnić mięśnie niż je napiąć.

Kiedy lina dotknęła Bootsa, ten puścił kapłana, który wpadł do wody i z urwanym w połowie okrzykiem zniknął w głębinie.

A na nadbudówce biedny Boots toczył beznadziejną walkę. Z ramionami skrępowanymi liną, z przeważającą liczbą wrogów nie miał cienia szansy i po krótkiej szamotaninie podniósł się, związany i sponiewierany; z obu stron trzymali go rośli członkowie załogi.

Co gorsza, kiedy wokół niego rozluźniło się, ujrzał, jak kilkanaście troskliwych rąk wciąga przez poręcz przemoczoną postać. To był Topiltzen i chociaż natychmiast osunął się na pokład, był niewątpliwie żywy.

Mimo porażki Boots wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wiedział z własnego doświadczenia, że główny kapłan poniósł przynajmniej karę, której prędko nie zapomni.

I właśnie w tym momencie, kiedy uwaga wszystkich skupiona była na jeńcu i na osłabionym i wściekłym Topiltzenie, rozległ się jeden długi trzask.

Wszystkie wiosła na prawej burcie rozleciały się w drzazgi, kiedy galera z Upierzonym Wężem rozorała ją bezlitośnie.

Wyznawcy Nacoc-Yaotla odwrócili się i spotkali z atakiem milczących napastników, którzy przeskoczyli przez poręcz, zostawiając swój statek, by dryfował czy też stał na kotwicy, i spadli na przerażonych obrońców tak nagle, że przyparli ich niemal do burty. Dwóch lub trzech ludzi wypadło za nią, ale nikt nie zatroszczył się, by ich ratować.

Bitwa toczyła się na pokładzie galery i na dole, między siedzeniami wioślarzy, w odstępach między dwoma ich rzędami; jedno wielkie kłębowisko kończyn, fruujących piór i dzikich białych twarzy.

Dwaj strażnicy Bootsa skoncentrowali się na bijatyce, a on sam jak szalony próbował rozerwać więzy. Choć nie był w stanie

odróżnić atakujących i zaatakowanych, była to wspaniała awantura i miał ochotę skoczyć w jej wir.

Ale po raz pierwszy w życiu stwierdził, że musi przyglądać się walce, nie mogąc brać w niej udziału. Straciwszy nadzieję na odzyskanie wolności, zrezygnowany, zaczął patrzeć z niemym podziwem.

Niemym! Nagle uderzyło go, że była to najosobliwsza walka, jaką widział. Wszyscy milczeli. Nie było żadnych innych dźwięków oprócz głuchych odgłosów uderzeń, trzasku łamanych siedzeń oraz sporadycznych plusków, kiedy jakiś pechowiec wpadał w objęcia ducha Tonathiu.

Żadnych wrzasków, jęków, okrzyków bojowych. I także żadnej broni. Walczono gołymi rękami, nie widać było mieczy ani włóczy.

A jednak Tlapallanie byli prawdziwymi mężczyznami! Nie zamierzali poddawać się. Walczyli, dopóki jakiś cios nie pozbawił ich przytomności lub nie wyrzucono ich za burtę, a ponieważ obie galery miały załogi o podobnej liczebności, podobnej sile i odwadze, zanosiło się, że bitwa będzie trwać jeszcze długo.

I tak by było, gdyby nie nieoczekiwana interwencja z zewnątrz.

Zjawili się od strony rufy, biali, silni, straszni. Nie nosili piór, cała szóstka. Nie potrzebowali nakrywać głów, by się wydawać większymi. O głowę przewyższali najwyższych walczących, którzy wyglądali przy nich jak dzieci.

Kilku, zaślepionych furją, próbowało stawić czoła potężnym napastnikom, ale większość była rozsądniejsza. Kiedy gigantyczni Strażnicy Wzgórz wkraczali do akcji, zwykli ludzie schodzili im z drogi albo ginęli.

Krótko rozprawiali się z opornymi. Uderzony człowiek osuwał się na ziemię, tam gdzie stał, i w ciągu kilku minut na galerze Nacoc-Yaotla zapanował spokój.

Wtedy, dopiero wtedy Boots przypomniał sobie o dziewczynie. W wirze emocjonujących wydarzeń zniknęła z jego myśli i kiedy

odwrócił się, by poszukać jej wzrokiem, okazało się, że czółno odpłynęło.

Co więcej, przekonał się, że bitwa nie odbywała się bez widzów. Podobnie jak w mniej niezwykłych miastach gromadzą się gapie, by przyjrzeć się bójce, tak tutaj zaroilo się od statków, które niemal całkowicie otoczyły walczące ze sobą galery.

Zachowywały się jednak bardzo spokojnie. Było coś tajemniczego w milczącej, nienasyconej ciekawości tych niezliczonych twarzy, które spoglądały z pokładów i wszelkich dogodnych punktów obserwacyjnych.

Na tej nieruchomej wodzie galera z węzem odpłynęła zaledwie o parę metrów od swojej ofiary i zanim Boots znowu się zainteresował napastnikami, większość załogi, jeszcze do tego zdolna, przeskoczyła lekko na pokład swojego statku.

Sześciu gigantycznych rozjemców zbliżało się do nadbudówki, a za nimi grupa kulejących, poturbowanych osób, wśród których Boots natychmiast rozpoznał trzy postacie.

Tłumek, który zebrał się teraz wokół Irlandczyka, był dziwnie dobrany.

Był tam Topiltzen, cały pokaleczony i podrapany, pozbawiony wszelkich ozdobnych elementów swego stroju, z wyjątkiem białoczarne emblematu.

Było sześciu białych olbrzymów o proporcjach, które Boots mógł tylko z zazdrością podziwiać.

Była dziewczyna od ciem, która razem z dwiema innymi osobami weszła na pokład w ślad za rozjemcami. Zgrabnie wyszukiwała drogę wśród pobojuwiska i wkrótce rozpromieniła się na widok swojego rudowłosego protegowanego. Obok niej szedł wysoki, surowy, młody mężczyzna, którego nakrycie głowy w kształcie węza ozdobionego piórami świadczyło, że jest jednym z napastników.

Był tam również Svend Biornson, a jego gustowne, nowoczesne ubranie nadawało wszystkim pozostałym nieco teatralny wygląd. I był wreszcie džentelmen, który wrócił do świątyni Nacoc-Yaotla

ze strachu przed białym jeziorem. Bez marynarki, w porozrywanej koszuli i ze związanymi z tyłu rękami, Archer Kennedy wyglądał, jak gdyby sam dopiero co wyszedł z walki.

Wyglądało jednak na to, że jego duch ucierpiał bardziej. Wargi stale wykrzywiały się, całym ciałem wstrząsały drgawki jak u nerwowego konia, a na wpół rozbawione, na wpół zrezygnowane słowa Bootsa: „Pan też, panie Kennedy!” odpowiedział pustym, zgaszonym spojrzeniem.

- Cóż - zaczął Biornson, a jego zeszpecona twarz była ponura i zła. - Widzę, że wyleczyłeś się już ze swoich ran, O'Hara.

- To był najwspanialszy wieczór w moim życiu! Znaleźliście Xolotla?

- Tak - brzmiała surowa odpowiedź.

Ale zanim Biornson zdążył powiedzieć coś więcej, wrak, który był kiedyś Topiltzenem, wtrącił się z całym potokiem wypowiedzianych cichym głosem oskarżeń. Boots przynajmniej sądził, że to oskarżenia, chociaż były równie niezrozumiałe, jak gderanie rozzłoszczonego wróbla.

Właśnie powiedział coś, co wyraźnie nie spodobało się dziewczynie. Z pałającymi policzkami i płonącymi oczami przerwała ten potok kilkoma uwagami; młody mężczyzna obok niej włączył się do rozmowy i wszyscy mówili jednocześnie, z werwą i lekceważeniem zasad dobrego wychowania, charakterystycznym dla bardzo rozgniewanych ludzi na całym świecie.

Jedyne słowo, które Boots rozumiał, to „Xolotl”. Przerzucano się nim z wielką częstotliwością.

Biornson próbował uspokoić ich, ale jedynym skutkiem było skierowanie na siebie dużej części oburzenia. W końcu, kiedy podniósł ręce w rozpacz, jeden z sześciu gigantów, którzy stali z tyłu, uśmiechając się z wyraźnym rozbawieniem, wysunął się do przodu i wymówił krótkie zdanie.

Argument zadziałał. Nawet Topiltzen, który czerwony z wściekłości, potrząsał pięściami tuż przed nosem Biornsona,

uspokoił się natychmiast. Boots pomyślał, że jako rozjemca gigant jest niezwykle skuteczny, ale Biornson nie wydawał się podzielać tej opinii. Odwrócił się z wyrazem zniechęcenia na twarzy, które zmieniło się w rozgoryczenie, kiedy podszedł do Irlandczyka.

- Ty jesteś odpowiedzialny za to! - oskarżył go. - W ciągu dwóch godzin, O'Hara, przekreśliłeś osiągnięcia pięciu lat ogromnych wysiłków!

- Dlaczego, panie Biornson, co złego zrobiłem? - zaprotestował Boots. - Nie zraniłem strażnika tak, by warto o tym mówić, oprócz, być może, jego uczuć, a jeśli chodzi o panienkę, zrobiliśmy sobie tylko małą przejażdżkę po jeziorze. Może pan ją spytać...

- Nie muszę jej pytać. Jeśli wypadkiem dzisiejszej nocy spowodują wojnę domową, będziesz głównym winowajcą. Quetzalcoatl rządzi jeziorem, Nacoc-Yaotl - otaczającymi je brzegami. Zawsze istniała ukryta rywalizacja i urazy. Przecież w przeszłości strażnicy, których wybiera się spośród wszystkich bractw i którzy są neutralni na mocy przysięgi, więcej krwi rozlewali, utrzymując porządek w Tlapallan, niż chroniąc wzgórze przed najazdem. Przez całe lata próbowałem łagodzić waśnie. Myślałem, że udało mi się, kiedy Bractwo Quetzalcoatla zgodziło się, żeby córka ich głównego kapłana poślubiła syna Topiltzena, kapłana Nacoc-Yaotla. Ale naturalnie, kiedy pojawiła się na jeziorze z obcym, mającym na sobie strój Xolotla, Topiltzen wpadł w szal. Nie wystarczyło ci, że omal nie zabiłeś chłopca; musiałeś go jeszcze zhańbić? On przysięga, że nigdy już nie pokaże się na jeziorze! I dla ukoronowania hańby wyrzuciłeś jego ojca za burtę, a młoda dama z sobie tylko znanych powodów zasygnalizowała galerze Quetzalcoatla, żeby przybyła wam na pomoc. Teraz twierdzi, że ma zamiar poślubić lorda Maxatle, kapitana tamtej galery, a Topiltzen chętnie się na to zgadza. Mówi, że Xolotl został okryty hańbą i że żadne jego, Topiltzena, dziecko nigdy nie połączy się z córką Upierzonego Węża. Mówi, że pojednanie jest niemożliwe i mocno obawiam się, że ma rację.

Oto podsumowanie twoich dzisiejszych przyjemności, młody człowieku, i mam nadzieję, że jesteś z tego zadowolony!

Boots, który starał się wyglądać na zupełnie pokonanego, pochwycił spojrzenie dziewczyny. Mrugnęła okiem, tak że nie mógł się temu oprzeć.

- Tak, uśmiechaj się! - Irytacja Biornsona sięgnęła zenitu. - Pomyśleć, że Irlandczyk uważa wojnę domową za rzecz zabawną! Niech to diabli wezmą! Powinienem był to wiedzieć na podstawie koloru twoich włosów...

- Ależ panie Biornson...

Boots urwał. Pewna urocza mała intrygantka wykorzystała go bezwzględnie do swoich własnych celów, ale on nie był taki głupi, żeby tego nie zauważyć. Podejrzywał nawet, że nagła sprawa z „lordem Maxatla” nie była wcale taka nagła. Jej niedbała sugestia, że może wyjdzie za Bootsa, była zwykłą przynętą, żeby podtrzymać zainteresowanie tego, którego uznała za wspaniały casus belli z całym bractwem znienawidzonego narzeczonego.

Tak, zdobyła to, co chciała... i miłość również, gdyż Maxatla nie wyglądał na człowieka, który łatwo zrezygnuje z ukochanej, jeśli już mu ją obiecano.

Ale Boots nie mógł się tutaj bronić. Nie pozwalała mu na to wrodzona rycerskość.

- Uratowałeś mi życie - powiedział Biornson oschle, jakby to był kolejny zarzut. - Ja z kolei próbowałem pomóc tobie, ale to, co się stało tej nocy, to już zbyt wiele. Ty i Kennedy tworzycie dobraną parę. Będziecie obaj zadośćuczynieniem dla Nacoc-Yaotla: on, ponieważ schwytano go na podpatrywaniu najbardziej uświęconego misterium, ty - za przemoc wobec Topiltzena. Niech was zabierają! Moja interwencja jest zakończona.

W małych oczkach głównego kapłana pojawił się błysk satysfakcji, ale dziewczyna szepnęła coś do swego młodego kapitana. Ten skinął głową, a następnie lekko ukłoniwszy się strażnikom, wystąpił do przodu i położył dłoń na skrępowanych ramionach Irlandczyka.

- Lordzie Svend - zwrócił się z surowym dostojeństwem do Biornsona - wierzę, że Upierzony Wąż jest nadal największy w Tlapallan. Wstawiam się za tym człowiekiem. Niesprawiedliwie uwięziono go, kiedy bronił córki Quetzalcoatla przed zniewagami i gwałtownością

tych, którym tylko dzięki tolerancji przysługuje prawo korzystania z tych wód. Przez wzgląd na przysięgę o przestrzeganiu prawa wzywam strażników, żeby poparli moje żądanie. Ten człowiek należy do Quetzalcoatla. Niech tylko jakiś syn Nacoc-Yaotla tknie go palcem!

Biornson zmarszczył się, ale niepokój wziął górę nad gniewem. Boots nie wiedział dokładnie, jaką pozycję zajmuje ten człowiek w niezwyklej społeczności, gdzie najbardziej powszechne namiętności i rywalizacje, wspólne całej ludzkiej rasie, dochodziły do głosu w otoczeniu tak niesamowitym i dziwnym, że wydawało się, iż można to wytłumaczyć jedynie ingerencją sił nadprzyrodzonych. Ale jakiegokolwiek były jego wpływy, wystarczyły w tym wypadku, by nie dopuścić do wrogich działań, których wznowieniem groziło wyzwanie Maxatli.

- Lordzie Maxatla - odpowiedział. - Żaden człowiek nie żywi takiego szacunku do Upierzonego Węża, jak ja. W gniewie powiedziałem zbyt wiele, ale nie jest to sprawa, którą można tutaj rozstrzygnąć. Czy będziesz usatysfakcjonowany, jeśli obaj zostaną więźniami, a ich uczynki osądzi rada bractw, jak to pierwotnie zamierzano?

- Więźniami Nacoc-Yaotla? - spytał tamten pogardliwie. - Nie!

- Będą ich osobiście strzegli Strażnicy - nalegał Biornson cierpliwie. - Zrobią to, jak sądzę, dla dobra pokoju w Tlapallan.

- Ma pan rację, lordzie Svend. - Gigant, który to powiedział, lekko, ale zdecydowanie odsunął Maxatle na bok i położył ogromną dłoń na ramieniu Bootsa. - Powinna zadecydować rada. My, Strażnicy Wzgórz i Stróże Pokoju w Tlapallan, bierzemy tych dwóch więźniów pod naszą ochronę. Czy dobrze mówię, bracia?

- Dobrze mówisz - potwierdziło jego pięciu towarzyszy, a w ich głosach, miękkih i szemrzącymi jak nocny wiatr, było

zdecydowanie, którego żaden człowiek nie odważył się zakwestionować.

* * *

W zagłębieniu między wzgórzami, w mrocznej, uśpionej kotlinie, gdzie zieleń skąpo i marnie rosła między rozrzuconymi głazami, zatrzymała się grupa mężczyzn.

Mimo czarnego nieba w kotlinie było szarawo, co wyglądało jak nigdy nie kończący się świt. To światła niewidocznego Tlapallan odbijały się i rozpraszały na skałach u wlotu kotliny.

Zaledwie godzina minęła od chwili, kiedy więźniowie przeszli pod opiekę Strażników. Przewieziono ich na brzeg niską czarną łodzią tych ostatnich i zamiast odeskortować do innego więzienia, przyprowadzono tutaj. Po wyjściu na przystań cała grupa skierowała się w stronę wzgórz i zatrzymała dopiero wtedy, kiedy od lśniącego jeziora odgradziły ją ściany tej odludnej kotliny.

W zachowaniu ich dozorców była jakby zapowiedź niewiadomego zła.

Po pierwszych słowach Biornsona podejrzania przestały być bezpodstawne.

- Uratowałeś mi życie, O'Hara, ale wolałbym raczej umrzeć niż ujrzeć rozpętaną na nowo walkę między bractwami. Myślicie, że to błaża sprawa. Może paru zabitych, parę rozbitych głów... coś w rodzaju rozruchów, w których tak lubujecie się wy, Irlandczycy. Ale Donnybrook Fair nie jest tak odległy od Tlapallan, jak tradycje tego ludu od waszych. Nacoc-Yaotl włada rzeczami tak strasznymi, że nie może ich sobie wyobrazić człowiek, który nie zna jego potęgi. Upierzony Wąż będzie z nim walczył jak ogień z ogniem. Nawet mniejsze bractwa panują nad siłami, które wypuszczone na wolność, mogłyby zniszczyć niemal całą cywilizację. Jedyne delikatna równowaga potęg i pewne tradycje religijne od dawna chronią Tlapallan przed samozagładą. Wiem jednak, że Nacoc-Yaotl staje się coraz bardziej niespokojny...

Nacoc-Yaotl - mówił dalej Biornson zmienionym głosem - mógłby żyć w pokoju z innymi bogami i doprowadzanie go do gniewu byłoby szaleństwem. Dlatego musisz opuścić Tlapallan, O'Hara. Quetzalcoatl nie ma prawa do twojego towarzysza i rada odda go kapłanom, których misteria podglądał. Ale o ciebie z pewnością walczone by. Młody Maxatla wiele znaczy w naszym bractwie i raz zażądawszy twojej osoby, nigdy nie zrezygnuje. Musisz więc... uciec dzisiaj w nocy, przyjacielu O'Hara. Czy uwierzysz mi, kiedy powiem, że dla uratowania mojego przybranego ludu... i zapobieżenia jeszcze czemuś, o czym nie mogę mówić, poświęciłbym siebie równie ochoczo, jak ciebie? Zostaniesz z zawiązanymi oczami wyprowadzony daleko na pustynię i pozostawiony tam w więzach, z których przy pewnym wysiłku będziesz mógł się uwolnić, a reszta rozegra się między tobą a ruchomymi piaskami.

- Jedzenie i picie?

- Jeśli je znajdziesz. Żegnaj, O'Hara, i chociaż w to nie uwierzysz... przykro mi.

- Żegnaj - powiedział Boots krótko i kiedy poczuł, że chwytają go dwaj strażnicy, odwrócił się bez dalszych słów pożegnania.

Ale wtedy Kennedy ocknął się i próbował nagłym skokiem wyrwać się z rąk, które go natychmiast powstrzymały. Walcząc rozpaczliwie, zawołał do swojego towarzysza, jak wołał na pustyni, a jego głos był jak płaczliwe zawołanie.

- Nie zostawiaj mnie, Boots! Nie zostawiaj mnie z tymi diabłami! Jeśli mnie zostawisz, to będzie gorsze niż morderstwo... gorsze, rozumiesz? Powiem ci, co widziałem... powiem ci...

Krzyk zamarł, kiedy ciężkie dłonie zamknęły Kennedy'emu usta i mógł tylko patrzeć umęczonymi oczami, jak zabierają jego bezradnego towarzysza.

Rozdział X. Pierwsza wizyta.

- Cliono, kochanie, ten prezent, który ci przyniosłem, wygląda osobliwie, ale mówią, że wart jest mnóstwo pieniędzy, ze względu na swoją rzadkość. Ale dla mnie ma on wartość zupełnie innego rodzaju. Wiąże się z nim historia tak fantastyczna, że nie opowiedziałbym jej nawet tobie, siostrzyczko, ponieważ nazwała byś mnie wierutnym kłamcą.

Colin O'Hara w zamyśleniu przesunął palcami po wypolerowanym kawałku kolorowej porcelany, który trzymał w ręce. Piętnaście lat minęło, odkąd ujrzał go po raz pierwszy, gdy jego towarzysz ze szlaku zdjął figurkę z półki w hacjendzie Biornsona.

Te lata nie pozostawiły żadnego śladu na porcelanowym bożku, ale dokonały nieuniknionych zmian w człowieku. Twarz, która w wieku lat dwudziestu była wesoła i dobrodusza, nadal była dobrodusza. Ale łagodne rysy młodzieńca nabrały ostrości, wargi potrafiły być zarówno uśmiechnięte, jak i surowe, a jasniebieskie dobre oczy były zdolne zapalać się nieopanowanym gniewem, którego zapowiedzią była strzecha rudych włosów. Zarówno pod względem wzrostu, jak i wyglądu kontrast między mężczyzną a dziewczyną, do której się zwracał, był tak uderzający, że aż absurdalny.

Colinowi zaledwie paru centymetrów brakowało do dwóch metrów wzrostu, podczas gdy Cliona O'Hara Rhodes, jego młoda zamężna siostra, mierzyła nie więcej jak sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Miała kruczoczarne włosy i cudownie niebieskie oczy, proste, cienkie brwi i długie, gęste, wywinięte rzęsy, a jej skóra miała barwę jednej z tych małych muszelek, będących jak gładka, młoda kość słoniowa, przechodzącą w kolor, którego nazwanie różowym byłoby niemal profanacją, powiedzmy raczej, w kolor anielski.

A jednak podobieństwo do brata dawało się zauważyć we wspaniałym czole, sposobie trzymania głowy oraz w pewnych gestach i sposobie mówienia.

Od śmierci rodziców, kiedy Cliona była małym dzieckiem, ten ogromny, szorstki mężczyzna stał się całą jej rodziną i jedynym opiekunem. Wiele z tamtych lat spędził na wędrówkach po świecie; mimo to zawsze utrzymywał kontakt z małą siostrzyczką, dał jej odpowiednie wykształcenie i aż do tej pory cała miłość jego wielkiego, tkliwego serca należała do niej.

Siedzieli teraz razem na kamiennej ławeczce w ogrodzie, który otaczał jej bungalow¹ w Carpentier, małej miejscowości na dalekich przedmieściach pewnego miasta we wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

Kiedy umilkł, niecierpliwie tupnęła nogą w żwirową ścieżkę.

- Gdybym domyśliła się, dokąd jedziesz, kiedy mnie zostawiłeś sześć miesięcy temu, Colinie, zatrzymałabym cię tutaj albo pojechała za tobą!

- No i co - powiedział. - Czy nie wróciłem cały i zdrowy? Oto przyczyna, dla której nic ci o tym nie mówiłem. Wysłaś dopiero co za mąż i miałbym ci zepsuć miodowy miesiąc troską o mnie? Nie dlatego, żeby niebezpieczeństwo było tak duże, ale wiedziałem, jak niepokoilibyś się. A ta podróż przez wiele lat chodziła mi po głowie. Zawsze przeszkadzało mi raz to, raz coś innego. Wydawało się, jakby los sprzysiął się przeciwko mnie, żebym nigdy nie dowiedział się prawdy, a teraz... teraz jestem jeszcze mniej pewny niż przed wyjazdem, czy to wszystko było snem i gorączkowym majakiem, czy rzeczywistością!

- Opowiedz mi tę historię. - Cliona wzięła do ręki porcelanowego Quetzalcoatla i obejrzała go z ciekawością. Chociaż w trudny do określenia sposób, wyglądał na bardzo starą rzecz; zamiast glazury jego powierzchnię pokrywała wypolerowana emalia, która mogłaby wyjść spod rąk garncarza nawet wczoraj. Od subtelnie pokazanych haftów tuniki aż po drobiazgowo wykonaną laskę zakończoną głową węża było to znakomite świadectwo kunsztu jej twórcy. Płaska, życzliwa twarz

¹ Bungalow - tutaj: parterowy dom (przyp. tłum.)

patrzyła na nią z czymś w rodzaju cierpliwego stoicyzmu, który przywołał uśmiech na wargi Cliony.

- Biedny mały bożek! - powiedziała egzaltowanie. - Czy wszyscy twoi wyznawcy umarli lub odeszli? Opowiedz mi tę historię, Colinie.

- A jeśli to zrobię, nigdy nie powtórzysz jej nikomu ani nie pomyślisz, że jest zmyślona?

- Colin!

- Wiem, ale kiedy skończę, być może powiesz „Colin” zupełnie innym tonem, kochanie! Kiedy o tym myślę, samemu trudno mi w to uwierzyć i nie jestem pewien... wróciłem tam i nie znalazłem nic oprócz jeziora tak głębokiego, że nawet go nie sondowałem; oprócz ruin hacjendy tak zarośniętych, że ledwo je można było rozpoznać, i tylko blizny, które mam do dzisiaj, i ten posążek w twoich rękach świadczą, że nie wszystko było złudzeniem! One i nazwisko Svend Biornson. Żył kiedyś ktoś taki, sprawdziłem to. Czasami myślę, że miałem malarię, kiedy dotarliśmy do tej kotliny; biedny Kennedy zmarł na nią w domu Norwega, a ja uciekłem spod opieki Biornsona i zablądziłem z powrotem na pustynię, nagi i majaczący. W takim stanie znaleźli mnie jacyś przyjaźni Majowie i zabrali do swojej wioski. Minęło wiele tygodni, zanim doszedłem do siebie, a wtedy znajdowałem się już w szpitalu w Vera Cruz.

Nigdy nie dowiedziałbym się, jak się tam znalazłem, gdyby Richards, amerykański ornitolog, który zawiózł mnie tam ze swoją wyprawą, nie zostawił wiadomości w dyrekcji szpitala, zanim wsiadł na statek i odpłynął do domu. Nie miałem pieniędzy ani przyjaciół. Sprzątałem ulice, pracowałem w różnych miejscach, żeby utrzymać się przy życiu, i tak bardzo martwiłem się o ciebie, że omal nie oszalałem, zanim znalazłem dobrze płatną pracę. Byłaś przecież małym dzieckiem, a ja nie mogłem posłać twoim opiekunom nic oprócz błogosławieństwa. Pytam cię, czy mogłem wtedy wrócić? Nigdy przedtem nie zostawiłem towarzysza w potrzebie, ale biedny Kennedy, niech święci mają go w swojej opiece, musiał być martwy na długo przedtem, zanim

stanąłem na nogi! To znaczy musiał, o ile to wszystko w ogóle się zdarzyło. Było to dla mnie jak sen... a jednak różniło się od majaków. Było tak wyraźne i jasne, i... i jak żywe. Człowieczek w twoich rękach nie jest dla ciebie bardziej rzeczywisty niż dla mnie Tlapallan.

- Tlapallan?

- Tlapallan! Ach, to dziwne, świetliste miasto, czy naprawdę jego ruiny spoczywają na dnie czarnego jeziora, czy było tylko gorączkowym przywidzeniem?

- Colinie, tak nie można opowiadać! Zaczynij od początku, nie od końca. Kto to był ten Svend Biornson... i kto to był Kennedy?

- Co do tego ostatniego, spotkałem go w Campeche, nad Zatoką. Obaj szukaliśmy złota. A przynajmniej sądziłem, że jestem do tego przygotowany, chociaż tak naprawdę to byłem wtedy niedoświadczonym młokosem... musisz pamiętać, że wszystko zdarzyło się piętnaście lat temu. Niewiele wiedziałem wtedy o poszukiwaniach, a połowa z tego, co wiedziałem, była nieprawdziwa. Ale ten pan Kennedy to był wykształcony człowiek i jakieś dwanaście lat ode mnie starszy wiekiem i doświadczeniem. Szukał partnera na bardzo ciężką wyprawę. Mówił, że na końcu czeka nas ziemia nafaszerowana żółtym metalem... uciekaj, Snookums! Znowu rozwiązałeś mi sznurowadło!

Przerwał i delikatnie szturchnął nogą małego buldoga, który zemścił się, rzucając z wielkim entuzjazmem na drugi but. Cliona wzięła szczeniaka na rękę i dała mu lekkiego klapsa.

Kiedy postawiła go z powrotem na ziemi, szczeniak pognął ścieżką i na oślep skoczył pod nogi młodego mężczyzny, który właśnie nadchodził. Nowo przybyły wziął Clionę w ramiona, nie zważając na obecność O'Hary, co spowodowało, że ten zmarszczył brwi z dezaprobatą.

- Tony, mój chłopcze, widzę, że masz nie większe pojęcie o tym, jak powinien zachowywać się pełen godności mąż, niż miałeś, kiedy was opuszczałem!

Anthony Rhodes puścił żonę i z rozradowaną twarzą odwrócił się do jej brata.

- Kiedy Cliona do mnie zatelefonowała, rzuciłem wszystko i wsiadłem do pociągu. - Ich ręce spotkały się w długim, przyjacielskim uścisku. - Myśleliśmy, że wyniosłeś się z tego świata, mój drogi, dopóki nie dostaliśmy pocztówki z Teksasu.

Tego czerwcowego popołudnia obiad podano na oszklonej werandzie, pomieszczeniu pełnym żółtego światła i wielu wygodnych krzeseł. Można stąd było podziwiać zielone trawniki, kwitnące krzewy, a między drzewami i dalej, za strumieniem Llewellyn, rozkoszne widoki lasu i łąk.

Sam domek stał na wzgórzu i był tak otoczony drzewami, że tylko zimą można było mieć nadzieję na obejrzenie w całości jego zewnętrznej architektury.

- Cliono - powiedział Rhodes, kiedy siedzieli nad filiżankami kawy - I ty, Colinie, co byście powiedzieli na jutrzejszą wycieczkę do stolicy?

Zrezygnował już z prób wyciągnięcia ze swego szwagra jakiejś zadowalającej relacji z jego ostatnich podróży i przypuszczając, że może istnieć jakiś ważny powód tej małomówności, porzucił temat.

- Jestem umówiony z senatorem Dobsonem, w związku z nowym prawem ubezpieczeniowym, które ma być omawiane na specjalnej sesji. Obiecał mi rozmowę, jako przedstawicielowi mojej firmy i kilku innych. To oczywiście praca, ale kiedy usłyszałem o powrocie Colina, pomyślałem, że możemy wszyscy troje wsiąść w samochód i zrobić sobie przy okazji małą wycieczkę.

Jego żona zawahała się, a potem potrząsnęła głową.

- Jedź z Colinem. Później pojedę z wami wszędzie, gdzie zechcecie, ale jak na razie miałam dosyć próżnowania, a i dom jeszcze nie jest całkiem urządzony.

Wyruszyli następnego ranka. Przyniesiono ze stacji bagaże Colina i kiedy Cliona uparła się, że osobiście zapakuje torby

swoich dwóch mężczyzn, mężczyźni, o których mowa, poszli zrobić gruntowny przegląd samochodu, czemu z powątpiewaniem przyglądał się David, człowiek do wszystkiego.

I tak, Colin nie opowiedział swojej historii, a popołudnie, które Cliona planowała ze swym odzyskanym wędrowcem wypić do dna jak kielich słonecznego, letniego wina, zostało zmarnowane ze zwykłą dla ludzkiego rodzaju krótkowzrocznością.

Skąd mogła wiedzieć, że był to ostatni taki kielich, jaki ofiarowało jej to miejsce, lub jak miała domyślić się, że ciemne, dziwne chmury wkrótce przesłonią jej miły domek?

Była trzecia po południu, kiedy Mary, schludna i uprzejma pokojówka, którą Cliona słusznie uważała za skarb, podeszła do młodej pani domu z ławką do rozpoznania miną osoby zamierzającej o coś poprosić.

- Czy będzie miała pani dzisiaj wieczorem jakichś gości, pani Rhodes?

- Nie spodziewam się nikogo. Dlaczego pytasz?

- Obiecała mi pani, że któregoś dnia w tym tygodniu będę mogła pójść na noc do mojej siostry w Chester, proszę pani, i kiedy zobaczyłam, jak pan Rhodes i pan O'Hara wyjeżdżają, a pani nie urządza żadnego przyjęcia, pomyślałam...

- Że to dobra pora na wizytę? Możesz iść, Mary, ale postaraj się wrócić jutro po południu. Będę cię potrzebowała przy pracy, którą zaplanowałam.

- Tak, proszę pani. Na pewno wrócę przed obiadem... i dziękuję, proszę pani.

Cliona uśmiechnęła się do odchodzącej pokojówki. Dziewczyna pracowała u nich, odkąd sprowadzili się do tego domu, a to była jej pierwsza prośba.

Rhodes i Colin wyjechali wcześniej rano, ale Cliona, która dobrowolnie została w domu, była zbyt zajęta, by wiele myśleć o tym, jak bardzo będzie samotna, właściwie po raz pierwszy od dnia ślubu. To prawda, że mogła zatelefonować do miasta i

namówić którąś z przyjaciółek, żeby do niej przyjechała na noc, ale nie zamierzała tego robić.

Sądziła, że wieczór z książkami i robótką minie całkiem przyjemnie.

Jednakże godzinę po wyjściu pokojówki bieg domowych spraw zakłóciło znacznie poważniejsze wydarzenie. Zadzwoił telefon i kobiecy głos zapytał o pana Davida Kinga. Cliona wysłała kucharkę, by poszukała Davida, który będąc ogrodnikiem i mechanikiem, był poza tym, ex officio, mężem kucharki. Kilka minut później zjawił się przy telefonie, od którego odwrócił się ze zbielełą twarzą.

- O co chodzi, Davidzie? Co się stało?

- Pani Rhodes... - Urwał, wziął głęboki oddech i mówił dalej. - Chodzi o mojego syna, George'a. Ta... ta kobieta przy telefonie to pielęgniarka z miejskiego szpitala, proszę pani. Spadł ze słupa i... jest ciężko ranny, tak powiedziała.

Przerwał mu krzyk, i Marjory, kucharka, wręcz odepchnęła męża i chwyciła słuchawkę; ale po drugiej stronie panowała cisza.

Cliona wzięła sprawę w swoje ręce.

- Mniejsza o telefon. Davidzie, weź kapelusz. Masz trzy minuty, by złapać pociąg, który odchodzi o czwartej piętnaście... właśnie słyhać gwizd! Biegnij, Davidzie! Marjory, możesz pojechać następnym pociągiem, jeśli chcesz.

Dobrze wiedziała, jak drogi był dla tej pary syn, który pracował jako elektryk u przedsiębiorcy budowlanego.

David pobiegł i złapał pociąg, gdyż stacja Carpentier znajdowała się o krok od wzgórza, na szczycie którego stał dom. Cliona natomiast była całkiem pochłonięta pocieszeniem wstrząśniętej kucharki.

Następny pociąg miał być o szóstej, wcześniej zadzwonił David, nalegając, by żona nim przyjechała. Nie powiedział nic konkretnego, ale fakt, iż władze szpitalne zasugerowały, by posłać po matkę chłopca, mówił sam za siebie.

Marjory King, dobra dusza, zdolna nawet w nieszczęściu myśleć o innych, namawiała swoją młodą panią, by jej towarzyszyła i spędziła noc w mieście. Dom był zbyt pusty. Cliona jednak popędzała ją, zapewniając, że gdyby poczuła się choć trochę przestraszona, zawsze może pójść i poprosić sąsiadów o gościnę. Prawdę mówiąc, ponieważ słabo jeszcze знаła miejscowych ludzi, niczego takiego nie zamierzała robić.

Kiedy została sama, przez jakiś czas rozmyślała o tym, jak smutno jest tracić jedynego syna, w niewinnym egoizmie podziękowała swojej gwiazdzie, że ranny człowiek nie jest jej mężem ani bratem, i poszła zrobić sobie kolację.

Zanim zjadła i umyła naczynia, było już po ósmej i zrobiło się ciemno. Zapaliwszy najpierw wszystkie światła we frontowej części domu, Cliona usiadła w salonie na ulubionym miejscu Rhodesa, przy stoliku, na którym stała brązowa lampa do czytania, i wzięła rozpoczętą robótkę.

Salon miał przytulny i dodający otuchy wygląd. Nawet kiedy Cliona była w nim sama, czuła, że jego ściany otaczają ją świadomą opieką.

Nie żeby była naprawdę zdenerwowana, ale po raz pierwszy doświadczała tego dziwnego uczucia pustki, które przenika w nocy dom opuszczony przez wszystkich domowników oprócz jednego. A bungalow był praktycznie całkowicie osamotniony, jako że stał wśród drzew na szczycie sporego wzgórza. Nie można było go nawet dostrzec, dopóki nie podeszło się zupełnie blisko.

Okolo dziesiątej wstała, odłożyła robótkę i przeszła przez dom, by sprawdzić, czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte i czy prawidłowo włączony jest system alarmowy.

Na zewnątrz noc była bardzo spokojna, oszroniona na biało jasnym księżycowym blaskiem.

Pod wpływem impulsu przeszła przez werandę, otworzyła drzwi i wyszła do ogrodu. Powietrze było przyjemne, ani ciepłe, ani zimne, przesycone zapachem kwiatów.

Wolno obeszła dookoła cały dom. Snookums, jej buldog, skakał i kręcił się przed nią. W czarnym cieniu drzew pies był białym cieniem, ale w odkrytych miejscach, które księżyc oświetlał pełnym blaskiem, zdawał się niemal znikać. Rzeczywiście było tak, jak gdyby tylko atramentowoczarne cienie chroniły świat przed rozpląnięciem się w niewidzialność. Rozległe łąki, widoczne ze wzgórza, były bladymi, dużymi sadzawkami światła.

Zerkający przez listowie księżyc wyrysował na ścieżce pod stopami Cliony czarne i białe hafty, bardziej zawile, niż gdyby wykonała je igła.

Noc była cicha, tak cicha, że do uszu Cliony docierał delikatny szmer strumienia przepływającego u stóp wzgórza.

Właśnie zerwał się lekki wietrzyk i potrząsnął gałęziami nad głową Cliony; wydały odgłos tak dziwnie przerażający i tajemniczy, jak stopy biegnące gdzieś w oddali przez noc.

To prawda, że dookoła panował wielki spokój, ale dla samotnej Cliony był to spokój pomalowany zbyt zimnymi kolorami. Nie było w nim nic ludzkiego. Kiedy wreszcie wróciła do domu, była zadowolona z jego przyjaznych ścian i przytulnych pokoi.

Zostawiła Snookumsa w kuchni, niechętnie zgasła światła i poszła do swojej sypialni, do której, podobnie jak do trzech innych, wchodziło się bezpośrednio z salonu. Puste pokoje służby mieściły się w małym skrzydle, od którego do kuchni prowadził korytarz.

Zamknęła drzwi na klucz i zaczęła szczotkować włosy. I wtedy wreszcie samotność, którą coraz bardziej odczuwała, przeprowadziła swój ostateczny atak. Cliona zamarła nagle z na wpół uniesioną szczotką. A co jeśli... co jeśli...

- No dobrze, co jeśli co? - zapytała na głos, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze, jak gdyby oczekiwała na odpowiedź. Cliono O'Hara Rhodes, wstydź się, jesteś małym, pochlipującym tchórzem! Czego tak się boisz? Powiedz mi zaraz.

Odbicie spojrzało na nią wielkimi, oburzonymi oczami. Ale oburzenie było pozorem, który miał ukryć mniej przyjemne uczucie, i ona dobrze o tym wiedziała.

Otworzyła drzwi, poszła do kuchni i zawołała Snookumsa, który radośnie wyskoczył ze swojego koszyka w kącie i popędził przed nią. Wracając przez salon, Cliona zabrała ze sobą mały, jaskrawo kolorowy przedmiot i z uśmiechem postawiła go na stoliku przy łóżku, obok automatycznego pistoletu Rhodesa. Niech zastąpi tego, który jej go dał i w którego opiekuńczą siłę tak bezgranicznie wierzyła.

Tak więc oczy małego „pogańskiego bożka”, Quetzalcoatla, władcy powietrza, patrzyły życzliwie na Clionę, kiedy odmawiała modlitwy przed kapliczką swojego Boga.

Snookums „poszedł do łóżka” na dywanik, zaczekał, aż jego pani położy się, i wskoczył na łóżko zwijając się w kłębek przy jej nogach. Dwukrotnie spychała go, ale potem uległa tej szczególnej formie nieustępliwości buldoga i pozwoliła mu zostać.

Dom był pusty - czuła to nawet przez zamknięte drzwi - i ciepło małego, żywego ciała, które grzało ją przez prześcieradło, dodawało jej otuchy. Ponieważ wiedziała, że jej niepokój to zwykły wymysł, w końcu udało jej się zasnąć.

Na zewnątrz wszystko zanurzone było w bladej, księżycowej poświacie.

U stóp wzgórza po Llewellyn Creek płynęły hebanowoczarne falki i białe ogniki, a połąć szerokiego zbocza, pozbawiona drzew, wyglądała tak, jak gdyby ziemia była tam przyprószone śniegiem.

Zwykły szmer strumienia zaczął mieszać się z odległym popluskowaniem. Ten drugi dźwięk stawał się coraz głośniejszy... bliższy. Wkrótce ze strumyka coś wyszło i ruszyło pod górę... coś niemal niewidzialnego w tej zwodniczej jasności księżycowego światła.

Kiedy przechodziło przez nie zacienioną darń, było niewyraźnym wielkim kształtem, niezdarnie sunącym pod górę. W czarnym cieniu drzew było białym cieniem... białym,

przerażającym cieniem, zbyt strasznym, by mieć prawo do istnienia, nawet w złych snach.

Snu Cliony nie zakłócały marzenia senne, dobre czy złe, ale wyrwało ją z niego oszalałe szczekanie i zdała sobie sprawę, że Snookums skacze po łóżku, jakby zwariował. Szarpał prześcieradło zębami i robił taki hałas, jak dwa razy większy od niego pies.

Z rozbudzoną czujnością, która następuje po nagłym wyrwaniu ze snu, Cliona usiadła. Miała niejasne wrażenie, że ujadanie szczeniaka poprzedził jakiś zupełnie inny dźwięk.

Kiedy jego pani obudziła się, Snookums wyskoczył z łóżka, popędził do drzwi i wściekle zaczął je drapać u dołu, jak gdyby próbował przekopać się pod nimi przez podłogę. Clonie przyszło do głowy tylko jedno wyjaśnienie. Ktoś włamał się do domu i jak na swoje dziesięć miesięcy Snookums okazał się czujnym psem.

Cliona włączyła światło, wzięła do ręki pistolet i... zawahała się. Nie była tchórzem, ale też nie była nierozważna. Otworzyć drzwi, które szczeniak nadal drapał pazurami, oznaczało znaleźć się na łasce intruza, kimkolwiek był.

Jeśli ujadanie psa nie wystraszyło domniemanego złodzieja, mógł to być zatem człowiek, który miał się na baczności i do tego prawdopodobnie co najmniej tak samo dobrze uzbrojony, jak ona.

Wszystkie ich srebra i większość biżuterii Cliony były zabezpieczone w mieście. Czy to było warto, czy Tony podziękowałby jej, gdyby narażała się na nieznane niebezpieczeństwo, żeby bronić kosztowności, które znajdowały się w domu.

Przekonała się, że intruz naprawdę wtargnął do domu i że wcale nie jest wystarczająco przestraszony, by go opuścić.

Jak już powiedziano, cztery pokoje łączyły się z salonem, a między nim a jadalnią znajdowało się sklepione przejście zawieszane kotarami. Po sprzątnięciu naczyń z kolacji Cliona nakryła stół do śniadania.

Usłyszała wielki łoskot i brzęk, jak gdyby ktoś umyślnie podniósł z jednej strony ciężki stół i zrzucił całą zastawę na podłogę. Przypuszczenie to potwierdził huk opuszczonych z powrotem na podłogę mahoniowych nóg.

Cliona z całego serca zapragnęła, żeby w jej sypialni znajdował się dodatkowy aparat telefoniczny. Żeby zatelefonować, musiałyby wyjść z pokoju.

Wydawało się jej, że ktoś gwałtownie przesuwa wszystkie meble z jednego końca jadalni w drugi. Później intruz zajął się salonem. Usłyszała, jak coś upadło i zabrzęczało; brązowa lampa do czytania, którą tak lubił jej mąż.

Drżała, nie tyle jednak ze strachu, ile z bezradności. Słuch mówił jej, że wewnątrz domu ktoś dosłownie rujnuje. Mimo to nadal wahała się przed otwarciem drzwi i próbą przeciwdziałania zniszczeniu.

Nagle Cliona uświadomiła sobie nową rzecz. Zapach, który z każdą chwilą stawał się coraz mocniejszy - przenikliwy, niemal przytłaczający zapach piżma..

Coś zaskomlało u jej stóp. Spojrzała w dół i zobaczyła, jak Snookums skręca się w szczenięcym błaganiu. Nie był już dzielnym stróżem, gdyż nos poinformował go o okropności, do zmierzania się z którą był jeszcze zbyt niedojrzały.

Hałaśliwe działania intruza w końcu ustały. Cliona miała chwilę dzikiej nadziei, że być może roztrzaskawszy wszystko po drodze, uciekł, ale ta nadzieja szybko rozwiała się. Coś ciągnęło lub coś wlokło się przez podłogę w salonie. Dotarło do drzwi i zatrzymało się.

Wśliznęła się do łóżka, podciągnęła kołdrę pod szyję i usiadła z oczami utkwionymi w drzwi w męce oczekiwania. Dał się słyszeć odgłos wachania, podobny do tego, który wydawał Snookums, tylko głośniejszy. Później coś uniosło się i zazgrzytało od góry do dołu przez całą długość drzwi, i usłyszała, jak drewno odchodzi wielkimi drzazgami.

Snookums zakwicział jak prosiak i czmychnął nikczemnie pod łóżko.

- Precz od drzwi albo strzelam!

Głos Cliony był tak ochrypły, że ledwo go rozpoznała.

Chwyciła pistolet.

Jedyną odpowiedzią było coś w rodzaju parsknięcia przez dziurkę od klucza i gwałtowne szarpanie gałki u drzwi. Towarzyszyło temu ciche warczenie zwierzęcej wściekłości, jak gdyby coś gryzło gałkę i oburzone było jej twardością, i tym, że nie dawała się wyrwać.

Zapach piżma stał się wręcz mdlący. Chwilę później pazury raz jeszcze z ogromną siłą przeorały powierzchnię drzwi. Tym razem Cliona nie miała żadnych wątpliwości, że to były pazury.

W pewnym miejscu, gdzie drzwi były najcieńsze, wypadł kawałek drewna i na krótką chwilę ukazał się jeden wielki, białawy pazur, zakrzywiony, ostry, przerażający i niebezpieczny.

Na ten widok Cliona po raz pierwszy naprawdę straciła głowę. Powinna była wtedy wyskoczyć przez okno, co zapewne okazałoby się łatwe, zważywszy, że znajdowało się ono półtora metra nad ziemią, pobiec wzgórzem w dół i zaalarmować mieszkańców Carpentier. I tak prawdopodobnie by zrobiła, gdyby intruzem okazał się włamywacz.

Ale to... ta istota, która warczała, waliła w drzwi i rozłupywała je białą, olbrzymią łapą... pozbawiła ją zdolności myślenia i rozumowania.

Krzyknęła, wyskoczyła z łóżka i uniosła pistolet Rhodesa.

Nie celując, wystrzeliła całe dziesięć naboju w kierunku drzwi.

Trzask automatycznej broni utonął w hałasie, który dobiegł z zewnątrz. Krzyki przypominające rzenie oszalałego ogiera, wściekłe uderzenia o nadwerżone drzwi pomieszały się z odgłosami rozłupywania drewna przez mocne jak dłuta pazury.

Magazynek był pusty. Cliona zobaczyła, jak drzwi wybrzuszą się do środka, i zrobiła to, co wiele kobiet zrobiłoby znacznie wcześniej - zemdlała i osunęła się na podłogę; wzruszający stosik

jedwabiu i miękkich czarnych włosów, z którego wystawała biała ręka z rozprostowanymi palcami, jak gdyby szukającymi bezużytecznego już pistoletu, który właśnie wypuściły.

Rozdział XI. Czerwono-czarny ślad.

Głębokie omdlenie jest środkiem, który Matka Natura podaje swoim dzieciom, kiedy strach lub ból stają się nie do zniesienia. Utrata przytomności przeszła u Cliony w naturalny sen i kiedy dziewczyna w końcu otworzyła oczy sprzyjający goblinom księżyc ustąpił miejsca przyjaznemu słońcu i pokój zalewało żółte światło, odzwierciedlające całą radość i blask poranka.

Poczuła, że mały jęczyczek liże jej twarz i usłyszała, jak ktoś mocno wali w zamknięte drzwi. Przez chwilę rozum nie znajdował wyjaśnienia, dlaczego leży skulona na dywaniku, a wesoly szczeniak kręci się obok niej.

- Pani Rhodes! Pani Rhodes, proszę pani! O mój Boże, żyje pani?

Zasłona okrywająca pamięć podniosła się i Cliona, odsunawszy Snookumsa, próbowała wstać. W trakcie tego jedną ręką natrafiła na jakiś twardy przedmiot o nieregularnym kształcie i spojrzawszy zobaczyła kolorowy posążek, który przywieziono jej z Meksyku. Upadając, musiała go strącić ze stolika.

Płaska twarz bożka uśmiechała się równie życzliwie jak zawsze, ale zniknęła zakończona głową węża laska, którą trzymał w ręce. Pozostał jedynie cienki fragment porcelany wystający z obu stron zaciśniętej pięści, który wskazywał, gdzie się odłamała.

W jakiś przytępiony, obojętny sposób Cliona pożałowała, że prezent od Colina został uszkodzony. Pomyślała nawet o tym, by poszukać odłamanych części i skleić je później.

Ale łomotanie do drzwi było zbyt natarczywe. Słaniając się, poszła je otworzyć.

Sądząc po ich stanie, wydarzenia tej nocy nie były snem. Drzwi, zamknięte na klucz, trzymały się tylko na jednym zawiasie. Górny był całkiem wyrwany, a framuga została rozłupana na znacznej długości. Same drzwi były rozdarte w środkowej części i... tak, w tym miejscu przebił je biały pazur, a obok widniały okrągłe, równe otworki zrobione przez jej kule.

Cliona miała trochę czasu, by dokonać tych obserwacji, gdyż w pierwszej chwili nie mogła przekręcić klucza. W końcu jednak nadwerżony zamek poddał się i z pewnym trudem otworzyła drzwi.

Stała tam Marjory King, z trudem chwytając powietrze, przerażona i pełna niepokoju. Gdy tylko Cliona zdołała uwolnić się z uścisku, odsunęła się, rzuciła spojrzenie na salon i usiadła z wrażenia na krawędzi przewróconego krzesła.

Jak należało się spodziewać, miejsce przedstawiało sobą ruinę przytulnego pokoju, który zostawiła poprzedniego wieczora. Ale nieporządek i zniszczenie bynajmniej nie były wszystkim.

Na podłodze tuż za drzwiami jej pokoju widniała wielka kałuża czarnej, na wpół zaschniętej krwi, a od tej kałuży aż do łukowatego wejścia do jadalni ciągnął się rząd ciemnych plam.

Cliona nie miała pojęcia, w jaki sposób stworzenie, które krwawiło tak mocno, mogło jeszcze dokądś się powlec.

Futryna była dosłownie w drzazgach, a całe drzwi tak rozplątane i potrzaskane, jak gdyby pracował nad nimi jakiś szalony stolarz. Wszystkie meble były powywracane i w większości beznadziejnie porozbijane.

- Pani Rhodes - zapytała Marjory - kto był tutaj zeszłej nocy?

Cliona potrząsnęła głową. Bolała ją; cała czuła się otepiała. Zapach piżma, choć słabszy, nadal unosił się w powietrzu.

- Nie wiem. Snookums, chodź tutaj!

Szczeniak przebiegł z sypialni i ostrożnie obwąchał straszną czerniejącą na podłodze kałużę. Jego zachowanie było dziwnie potulne, całkiem odmienne od jego zwykłej beztrudnej pewności siebie. Cliona wzięła go na ręce i spojrzała w zadumie na kucharkę.

- Szkoda, że się nie zgodziłam i nie pojechałam z tobą do miasta, Marjory. Powiedz mi, rozejrzałaś się po domu?

- Właściwie nie, pani Rhodes. Miałam klucz, który mi pani dała, i weszłam frontowymi drzwiami na werandę. Wszystko było tam w porządku, ale kiedy zobaczyłam ten pokój i kiedy zobaczyłam

tę krew i te drzwi, pomyślałam sobie: Zamordowano panią Rhodes!

- To łaska niebios, że tak się nie stało - stwierdziła Cliona. - Gdzie jest David?

- Na stacji. Mają tam wielką pakę. To pewnie ten zegar słoneczny, który zamawiał pan Rhodes. A naszego chłopca operowali zeszłej nocy, proszę pani, i mówią, że wyjdzie z tego, mimo wszystko. Ale, och, proszę pani, gdyby go pani zobaczyła, to by się pani rozpląkała! Taki blady i... i... poznał mnie, proszę pani... i...

Wycierała oczy czarnymi, bawełnianymi rękawiczkami, które miała na rękach, i Cliona zdała sobie sprawę, że również inni mieli poprzedniej nocy ciężkie przeżycia, chociaż innego rodzaju.

- Biedna, biedna Marjory! - wykrzyknęła impulsywnie. - Wybacz mi, moja droga. Jestem tak samolubna i niedobra, że nawet nie zapytałam cię o twojego syna! Nie chciałabyś wrócić do miasta, żeby być bliżej biednego chłopca?

- Nie, naprawdę, nie, proszę pani! - Marjory heroicznie opanowała szloch. - Tak z ręką na sercu, to źle, że panią zostawiłam samą zeszłej nocy, choć Bóg wie, co się tutaj stało. Jeszcze nic mi pani nie opowiedziała. Ale teraz będę tkwiła przy pani, dopóki nie wróci pan Rhodes i pani brat. Boże mój, będą wściekli, kiedy się dowiedzą!

Cliona narzuciła szlafrok i poszła do jadalni, a za nią kucharka. Obie kobiety ostrożnie stawiały stopy, żeby nie nadepnąć na krew.

Jadalnia była w jeszcze gorszym stanie niż salon, a ślad prowadził dalej, przez spiżarnię, kuchnię, letnią kuchnię i na zewnątrz przez tylne drzwi. Te były również rozorane pazurami, podobnie jak drzwi sypialni, z tym że leżały na ziemi, zupełnie wyrwane z futryny. Uzmysłowiła sobie, że to właśnie łoskot upadających drzwi musiał być tym odgłosem, który dźwięczał jej w mózgu, kiedy pies obudził ją w nocy.

Najwyraźniej stworzenie, nadal krwawiąc niewiarygodnie mocno, tędy wyszło na podwórze, minęło garaż i powlokło się

dalej przez zielone trawniki, w dół zbocza. Cliona wciąż widziała upiorny ślad.

Zapomniała, że ma na sobie tylko koszulę nocną, szlafrok i pantofle. Nie była świadoma niczego oprócz straszliwej, rosnącej ciekawości, co to za bestia może leżeć na końcu tego śladu.

To, że była martwa, wydawało się pewne. Żadne znane stworzenie nie mogłoby utracić tylu litrów krwi i przeżyć.

Sam fakt, że żadne znane stworzenie nie mogło utracić tylu litrów krwi, niezależnie od tego, czy przeżyło czy też nie, jeszcze nie dotarł do jej świadomości. Zwykle bystry umysł był teraz otumaniony przerażeniem i napięciem nerwowym, których pełne skutki Cliona miała jeszcze odczuć.

Marjory wiedziała o tym. Ta pewność natychmiast skierowała jej umysł ku wszystkim okropnościom nie z tego świata. Ale jej wysiłki, by nakłonić swoją panią do pójścia do domu, były daremne. Cliona powiedziała kucharce, żeby sama wróciła, jeśli ma ochotę. Co do niej zaś, to zamierzała pójść teraz śladem, dopóki nie znajdzie... tego. W końcu obie kobiety doszły razem do stóp wzgórza i do linii odgraniczającej posiadłość Rhodesów od Llewellyn Creek.

Tam ślad urywał się na pokrytym czerwonymi smugami mule, jak gdyby stworzenie potoczyło się i wpadło do wody w ostatnich, śmiertelnych drgawkach.

Samego stworzenia nie było nigdzie widać.

Drugi brzeg był zielony, spokojny, pusty. Ślad kończył się w łożysku strumienia, który płynął sobie radośnie, skrząc się i chichocząc - pewnie mógłby opowiedzieć parę zadziwiających historii, gdyby tylko miał na to ochotę.

Clonie przyszło nagle do głowy, że już bardzo długo tak stoi, patrząc bezmyślnie na szkarłatny szlam. Skierowała na Marjory tępe, udręczone spojrzenie.

- Wyślij...

Urwała. Gardło miała dziwnie ściśnięte, jakby smutkiem, którego nie czuła. Nie uświadamiała sobie żadnych emocji, ale

doświadczała tego uczucia, które ogarnia chorych z gorączką; jakby ciało i umysł były całkiem od siebie oddzielone lub połączone jedynie nićmi cienkimi jak pajęczyna i nici te szybko się rwały. Znowu próbowała coś powiedzieć.

- Wyślij... Toniemu...

Zielony i złoty świat zawirował, zamieniony w czerń i gdyby Marjory nie złapała jej, wpadłaby do strumyka. Ale kucharka była dużą, silną kobietą. Wziąwszy Clionę na ręce jak dziecko, zaniósła nieprzytomną do domu.

Był tam David, w osłupieniu patrzący na pobożowisko.

- Nie gap się! - krzyknęła na niego ostro. - Idź jak najszybciej na dół. Sprowadź tutaj doktora i zadzwoń do pana Rhodesa. Znajdziesz go w hotelu Metropol. Słyszałam, jak mówił to wczoraj temu biednemu dziecku. Powiedz mu, żeby przyjechał do domu najprędzej, jak będzie mógł. No, rusz się!

David, chociaż płonął z ciekawości, uznał, że najmądrzej będzie posłuchać ostrego, naglącego głosu żony. Wiedział, że jest mądrą kobietą i lepiej niż on radzi sobie w nagłych wypadkach, i kiedy Marjory położyła delikatnie Clionę na łóżku, usłyszała, że mąż wybiega z domu i dwoma długimi susami pokonuje schody.

- Bóg wie, jak to się wszystko skończy - mruknęła do siebie, zdejmując Clionie pantofle - co powie albo co zrobi pan Rhodes, kiedy przyjedzie. Sam diabeł był tutaj zeszłej nocy, mogłabym przysiąc. Nie mogła to być istota stworzona przez Boga... o, nie! Biedne dziecko! Była tutaj zupełnie sama!

„Wracajcie natychmiast,” brzmiał telefonogram, „Pani Rhodes chora. Prawdopodobnie włamywacze. David B. King.”

David nie był taktownym człowiekiem. Wiadomość nie przekraczała dziesięciu słów, gdyż wiedział, że taka powinna być długość telegramu, i przedstawiała sytuację zgodnie z jego wiedzą. Ale nieszczęsnych odbiorców naraziła na męki strasznych domysłów.

Telegram wręczono panu Rhodesowi w hotelu Metropol w dwie godziny po otrzymaniu go, kiedy dwaj mężczyźni wrócili do

hotelu na obiad. Nie zawracając sobie głowy samochodem, złapali pierwszy ekspres do domu.

W Carpentier wyskoczyli w biegu z pociągu i ruszyli prosto na wzgórze.

Gdy szli pod górę krętą, ocienioną drzewami drogą, ku swemu zdumieniu zaczęli mijać ludzi, mężczyzn, kobiety, dzieci. Droga była prywatna i jej właściciel nie mógł pojąć, co oni tam robią. Większość twarzy wydawała się nieznaną, a poza tym ludzi było zbyt wielu, by wszyscy mogli być mieszkańcami Carpentier.

Rhodes nie zatrzymał się, żeby dowiedzieć się czegoś, lecz gdyby on i Colin nie byli tak zdenerwowani, kupiliby gazetę do pociągu, a nagłówki podsunęłyby im wyjaśnienie.

Było późne popołudnie. David zawiadomił policję wcześniej rano i reporterzy nie tracili czasu ani nie czekali na szczegóły. Nagła historia, tak jak się wtedy przedstawiała, wystarczyła, żeby przyciągnąć wszystkich beczynnych, kochających okropności śmiertelników, którzy mogli pozwolić sobie na półgodzinną podróż pociągiem do Carpentier.

Obejrawszy się do tyłu, Rhodes i O'Hara zauważyli, że większość gadatliwego, ciekawskiego tłumu, który przyjechał tym samym pociągiem, co oni, idzie za nimi.

Ale nie zadawali żadnych pytań, nawet sobie nawzajem. Przepychając się przez zbiegowisko, dotarli w końcu do domu, gdzie zagroziła im drogę umundurowana na niebiesko postać policjanta, stojącego przed drzwiami na straży.

- Wynoście się! - Jego ton był zniecierpliwiony. - Czy wy, reporterzy, nie możecie zdobyć dość materiałów bez dobijania się do domu? Pani Rhodes nie może widzieć się z nikim.

- Może widzieć się ze mną - powiedział Rhodes przez zaciśnięte zęby. - Jestem jej mężem. Co się tutaj stało?

- Mniejsza o to, co się stało! - ryknął O'Hara. - Mamy mnóstwo czasu, by się tego dowiedzieć, a... Cliona może nas potrzebować!

Rhodes bez słowa go posłuchał. Poczł się nagle bardzo źle i kiedy przechodził przez werandę, musiał przytrzymywał się krzesel.

Colin poszedł za nim do salonu, zobaczył tam zniszczone meble, przywrócone do jakiego takiego porządku lub zsunięte w kąć i zarzucone stosem poplamionych krwią dywaników.

Ale całą swoją uwagę skupili na obcej damie w białym uniformie, która przywitała ich uniesieniem brwi i pytającym, wrogim spojrzeniem. Gdzieś na dnie świadomości Rhodessa kryła się myśl, że to wszystko nie ma z nim nic wspólnego. Znajdował się w domu jakiegoś innego człowieka. Jego dom był przecież takim spokojnym, miłym miejscem, gdzie Cliona z uśmiechem czekała na jego powrót; bez tłumów obcych ludzi deptających mu trawniki, bez policjantów przed drzwiami i bez obcych, ubranych na biało kobiet, które witały go w zrujnowanym, poplamionym krwią pokoju.

Przez te myśli przebił się jego własny głos, pytający:

- Na litość boską, co się stało mojej żonie?

Rozdział XII. Opinia pana MacClellana.

Wrogość zniknęła z oczu kobiety w białym uniformie, a jej twarz rozjaśniła się.

- Och, pan Rhodes? I pani brat? Tak się cieszę, że panowie przyjechali! Doktor Glynn jest teraz u niej, ale jestem pewna, że od razu pozwoli panom zobaczyć ją, ponieważ nadal jest nieprzytomna.

Cliona znajdowała się w stanie głębokiej śpiączki, w którym mogła pozostawać przez wiele godzin, a wyrwanie jej z tego stanu za pomocą silnie działających środków groziłoby prawdopodobnie pomieszaniem zmysłów, a nawet śmiercią. Tak brzmiała diagnoza doktora Glynn, którą potwierdził tego wieczora specjalista wezwany przez niego na konsultację.

Przez ten czas Rhodes i Colin dowiedzieli się wszystkiego, co na razie było wiadomo, dopóki Cliona nie opowie swojej historii, o ile to w ogóle miało nastąpić. Rozmawiali z Marjory i Davidem; podążyli tym samym ponurym śladem, którym szła Cliona, nieco teraz zdeptanym ku głębokiemu niezadowoleniu dwóch detektywów i ich samych. Do tego czasu tłum zniknął i posiadłość znowu opustoszała.

Mężczyźni wrócili, żeby porozmawiać o porozbijanych meblach, wyłamanych drzwiach i o podłodze. Otwory po kulach i pusty pistolet składały się na niemą opowieść, którą Blake i MacClellan, dwaj detektywi, rozwinęli, na ile się tylko dało.

MacClellan, starszy z dwóch mężczyzn, był dużym, powolnym, praktycznym człowiekiem i wygłosił opinię tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

- A zatem, mamy następujące możliwości - zaznaczał je na palcach owłosionej lewej ręki. - Numer jeden, włamywacze. Nic nie ukradziono, ale to nie wyklucza zamiaru kradzieży. Mogła to być banda włóczęgów; mogli wdać się w bójkę, zdemolować dom, poranić się nożami, a na koniec uciekli, wystraszeni przez pistolet.

Numer dwa, lunatyk. Mówię lunatyk, ponieważ tacy na ogół nie chodzą parami.

Numer trzy - i mogę wam powiedzieć, że stawiam na numer trzy jako najbardziej prawdopodobny i najlepiej zgadzający się z faktami - cała ta sprawa to szczególnie makabryczny i złośliwy żart, zrobiony rozmyślnie i skierowany nie przeciwko pani Rhodes, gdyż nikt nie mógł się spodziewać, że będzie sama...

- Żart? - warknął O'Hara, patrząc na flegmatycznego detektywa z głębokim oburzeniem. - To byłby świetny żart; stracić całe wiadro krwi i następnie rozpląnąć się w powietrzu! Czy pan jest szalony?

MacClellan rozzłościł się.

- Nie, nie oszalałem. A jeśli chodzi o krew, skąd pan wie, że to rzeczywiście krew, a nie czerwona farba lub coś w tym rodzaju?

Detektyw mówił dalej:

- Wysłałem próbkę do analizy, ale nie sądzę, żeby to była krew. Szalony? A jak pan myśli, jaki człowiek lub zwierzę mogłoby stracić tyle krwi, co? To musiałby być słoń ze skrzydłami, żeby się później stąd wydostać. Przed chwilą sugerował pan, panie O'Hara, że jakiś tygrys lub inne dzikie zwierzę mogło uciec z ogrodu zoologicznego i wedrzeć się tutaj. Nic za tym nie przemawia, oprócz śladów pazurów czy też raczej domniemanych śladów pazurów. A poza tym zwierzę, które mogło tak krwawić, byłoby zbyt wielkie, by zmieścić się w zwykłych drzwiach.

- Tu ma pan rację - przyznał O'Hara z żalem, gdyż czuł instynktowną niechęć do tego człowieka i jego zarozumiałego sposobu bycia. Sam jego wygląd świadczył, że jest to ktoś pozbawiony wyobraźni, a ludzie tego typu nie podobali się Colinowi.

- Mówi pan - sprzeciwił się Rhodes - że bestia potrzebowałaby skrzydeł, żeby stąd zniknąć. A czy nie mogła pójść w górę lub w dół łożyska strumienia?

- Blake i ja poszliśmy wzdłuż strumienia dobrą milę w obu kierunkach. Nie było żadnych śladów na brzegach. Jak daleko,

według pana, mogło zająć tak mocno krwawiące zwierzę? Nie warto nawet puszczać psów, chociaż, oczywiście, jeśli panowie sobie tego życzą, możemy spróbować. Ale to i tak nic nie da. Ktokolwiek to zrobił, jest człowiekiem, a jeszcze nie narodziły się takie ogary, które złapałyby trop przy tych wszystkich śladach, zostawionych tutaj dookoła. Powiem wam, to zrobił jakiś szaleniec lub szaleńcy, którzy mieli na pieńku z panem Rhodesem. Dlaczego nie zadziałał system alarmowy?

- Nie wiem - odpowiedział Rhodes. - To musi stwierdzić firma, która go zainstalowała.

- Wiem. A wtedy przekona się pan, że ktoś wyłączył go w cholernie sprytny sposób. Żadne zwierzę nie mogłoby tego zrobić, nieprawdaż? A zresztą, nie ma tutaj innych śladów oprócz ludzkich. Co prawda, ten pański głupi ogrodnik pozwolił, żeby tłum wszystko zdeptał, zanim tutaj dotarliśmy, chociaż szef ostrzegł go przez telefon, by do tego nie dopuścił. Kiedy przyszliśmy, rozmawiał właśnie w domu z paroma reporterami. Paplał jak dziecko, co wiedział o całej rodzinie i pokazywał im chiński posążek, który, jak powiedział, znajdował się w pokoju pani Rhodes, kiedy działo się to wszystko, i pękł, kiedy pani upadła... jakby to była niezwykle cenna informacja! Ten człowiek to głupiec! Gdyby zrobił to, co należało, zamiast pozwolić się ugłaskiwać tym reporterom, Blake i ja mielibyśmy większe pole do popisu. Ale jeśli to było zwierzę, mimo wszystko powinien zostać jakiś jednoznaczny ślad.

- Jest - wtrącił Rhodes spokojnie. - Jest szeroki trop, wprawdzie zatarty, jak pan stwierdził, lecz nadal widoczny.

- Gdzie?

- Przed panem. - Rhodes pokazał na ziemię.

Czterej mężczyźni stali tam, gdzie trop opuszczał drogę o tłuczniowej nawierzchni i biegł dalej przez trawę w dół zbocza.

Blake pochylił się i uważnie przyjrzał miejscu, które pokazał Rhodes. Następnie wyprostował się i potrząsnął głową.

- Nic nie widzę.

- Nie? Przecież jest tu cały długi pas zgniecionej trawy.

- Ach, to. Nie wiedziałem, o co panu chodzi. To nie są ślady. Ktoś ciągnął coś ciężkiego po ziemi.

- Jasne - powiedział MacClellan pogardliwie. - Widziałem to już wcześniej. Właśnie to miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że mamy do czynienia z robotą jakiegoś złośliwego dowcipnisia. W czymkolwiek trzymał tę czerwoną farbę, w kubie, w puszcze czy innym pojemniku, ciągnął to za sobą, kiedy tutaj szedł.

- A ślady na drzwiach?

MacClellan wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Może dłuto? Ten typek to zwykła pluskwa, tyle że piekielnie sprytny i z diabelskim poczuciem humoru, jakie mają niektórzy lunatycy. Albo jest to część jakiegoś planu, zmierzającego do czegoś, o czym nie mam pojęcia.

Z błyskiem podejrzenia w oczach popatrzył przenikliwie na Rhodesa, a potem na O'Harę. Nie była to pierwsza aluzja, jaką zrobił, sugerując, że coś przed nim ukrywają.

- No, no, niech pan znowu nie zaczyna - warknął Colin. - Zadał już nam pan wszystkie pytania świata, człowieku. Co pan sobie myśli? Że Tony i ja przyjechaliśmy wczoraj w nocy ze stolicy i narozrabialiśmy tutaj po to, by zniszczyć jego dom i szczęście nas obu?

- Oczywiście, że nie! To, czego szukam i czego nie pomogliście mi znaleźć, to motyw, który się kryje za tym wszystkim. W naszej pracy, nawet wy to musicie wiedzieć, w połowie przypadków znaleźć motyw to znaczy znaleźć przestępcę. Powinien pan to rozumieć jako prawnik, panie Rhodes.

- Gdybym był prokuratorem okręgowym - zauważył młody mężczyzna w zamyśleniu - może warto byłoby przejrzeć rejestry w poszukiwaniu jakiegoś zdesperowanego przestępcy, który poprzysiągł mi zemstę. Ale ponieważ moje jedyne sprawy odbywały się w sądach cywilnych i muszę przyznać, że były to sprawy nieznane i mało ważne, sprawdzenie tego wydaje się nie warte zachodu.

Popatrzył na nich z nieśmiałym, chłopięcym uśmiechem.

- O ile wiem, nie mam żadnego osobistego wroga.

- No dobrze - powiedział detektyw posepnie. - Analiza wykaże, czy to krew, czy też nie, i jeśli nie możecie mi panowie powiedzieć niczego więcej... nie mówcie. To wszystko. Blake i ja musimy wracać do miasta.

- Przykro nam, że nie możemy panom pomóc - powiedział Rhodes sztywno.

- Mnie również. Cóż, zawiadomię panów o wynikach analizy tego paskudztwa, które tutaj rozlano, a my będziemy zajmować się tą sprawą, aż ją wyjaśnimy do końca. A przy okazji, czy chcą panowie, żeby przysłał na noc innego człowieka, żeby zastąpił Morgana?

Morgan to był ten funkcjonariusz, który nadal stał na straży przed frontowym wejściem. Rhodes potrząsnął głową, a O'Hara powiedział przygnębiony:

- Nie ma potrzeby. Krzywda już się stała. Nie wrócą już, kimkolwiek są... chociaż jedynym moim pragnieniem jest, żeby właśnie to zrobili!

Rozdział XIII. Sprzedaż domu.

- Panie O'Hara, czy to rzeczywiście prawda, że wyjeżdża pan do Ameryki Południowej, aby szukać złóż złota?

Siostra mówiącej, wysoka, dystyngowana dziewczyna, zmarszczyła lekko brwi i pożałowała znowu, że nie zostawiła Alberty, znanej lepiej jako „Berta”, w domu. Berta miała prawie piętnaście lat, a jej szczerą ciekawość była cechą, na poskromienie której zasmucona rodzina musiała znaleźć jakiś sposób.

Ale Colin lubił Bertę Fanning i uśmiechnął się do niej miło.

- Taki mam zamiar, chociaż - dodał przekornie - jeśli go nie znajdę, nie będzie to pierwsze złóż, w które wsadziłem złoto, zamiast je wydobyć.

- Jak mógłby pan je tam włożyć, gdyby go pan nie znalazł? - zapytała Berta praktycznie.

- Ach, złoto, którego nigdy się nie znajdzie, to irlandzkie złoto... odrobina spekulacji na giełdzie nie zaszkodzi mu wcale.

Wszyscy roześmiali się, a O'Hara rozpromienił, widząc ten przejaw uznania.

Znowu siedział na kamiennej ławce w ogrodzie Cliony. Bujne pędy pnącej róży oplatające altankę nie miały kwiatów, a liście poczerwieniały, gdyż minęła właśnie połowa września.

Nie był to również ogród na wzgórzu w Carpentier.

Tuż obok wznosiły się ściany i omszałe dachy Green Gables, nowego domu, który Rhodes kupił, kiedy stało się oczywiste, że jego żonę należy przenieść w inne otoczenie, z dala od poprzedniego, pełnego przykrych wspomnień.

Zanim stan Cliony pozwolił na przeprowadzkę, kupił ten dom, także w podmiejskim osiedlu, wiele mil od Carpentier, i pracując wspólnie, on i Colin, w miarę możliwości umeblowali go w innym stylu niż stary dom.

Tego dnia, który zwiastował jej powrót do świata, Cliona królowała w różanym ogrodzie. Jej tron, wielki inwalidzki fotel,

przydawał jej wyglądu małej dziewczynki, a ponieważ dzień był chłodny, choć słoneczny, tonęła w puszystym nieładzie niebiesko-białych, wełnianych szali.

Wygodnie zwinięty w kłębek u jej stóp, spał głęboko buldog Snookums, jedyna pamiątka straszego przeżycia, którą zażyczyła sobie mieć przy sobie.

Przez kilka minut Cliona była pogrążona w cichych rozmyślaniach. Wreszcie, włączając się w rozmowę brata z Bertą Fanning, zapytała obojętnie:

- Miałeś ostatnio jakieś wiadomości od MacClellana, Colinie?

- Nie - wzruszył ramionami nieco pogardliwie.

- Zostawił więc tę sprawę?

- Nadal się nią zajmuje.

- Ci faceci nie są zbyt bystrzy, nieprawdaż? - wtrącił się młody Stockton Replier. Był to chłopiec o miłej twarzy i inteligentnym spojrzeniu, daleki krewny starego Elberta Marcusa, kolejnego gościa. - Według mnie, po prostu zignorowali pani opowieść, pani Rhodes, i poszli złym tropem. Każda rozsądna osoba musi dojść do wniosku, że to było jakieś dzikie zwierzę, a nie...

Młody człowiek nagle urwał i rzucił wystraszone spojrzenie na panią domu. Rhodes pochwycił to spojrzenie.

Ale chora tylko roześmiała się.

- Chodź tutaj, Tony... i nie patrz tak na biednego pana Repliera! Wprawdzie doktor powiedział ci, że nie powinnam rozmawiać o tej nocy, ale naprawdę dawno wyszłam z hysterii. Przez jakiś czas zachowywałam się głupio, ale teraz już tak nie będzie. Jesteś pewien, Tony, że ten pan Brandon zamierza kupić bungalow?

- Całkowicie. Mam spotkać się z nim jutro w biurze jego adwokatów, aby zawrzeć umowę. Za kilkanaście godzin przetniemy ostania nić łączącą nas z nieszczęsnym domem kuzyna Roberta. Jesteś zadowolona, Cliono?

Zastanowiła się, jak gdyby nie była pewna swojej odpowiedzi, a później odparła wolno:

- Tak, jestem zadowolona. Wybaczcie mi, moi drodzy, że poruszyłam tak nieprzyjemny temat, ale... nie wiecie, jak ciągle o tym myślę i myślę! I kiedykolwiek pojawia się we mnie obraz tamtego miejsca, jest tak jakby na bungalowie kładł się straszny, czerwony cień. Nie śmieję się... gdybyś był tam wtedy w nocy, nie uśmiechałbyś się nawet, Tony, kochanie! Mówię ci, że wisi nad tamtym domem czerwony cień... i jest coś, co czeka tam i ukrywa się, wypatrując, kiedy my troje wrócimy. Nie zniosłabym tego, gdyby któreś z nas znowu weszło w ten czerwony cień!

Siedziała wyprostowana w swoim fotelu, oczy jej błyszczały, a jej stale ostatnio blada twarz płonęła niebezpiecznymi kolorami.

- Jestem pewien - powiedział poważnie stary pan Marcus - że byłoby znacznie lepiej, gdyby pani mogła zapomnieć o tej całej sprawie, pani Rhodes.

- Tak - zgodził się Colin z wymuszoną beztroską - dom jest sprzedany, więc Tony nie będzie musiał tam niczego szukać. A jeśli chodzi o mnie, wkrótce znajdę się w miejscu oddalonym od Carpentier o kilka tysięcy kilometrów. Nie masz więc już powodu, żeby się martwić, Cliono.

Siostra popatrzyła na niego zmartwionym wzrokiem. Rumieńce powoli zbladły i osunęła się zmęczona w fotelu, z oczami nadal utkwionymi w niego.

- Powiedziałaś, że nie opuścisz mnie, dopóki całkiem nie wyzdrowieję - przypomniała mu.

- I nie opuszczę... doktor powiedział wczoraj, że niebezpieczeństwo już minęło.

- I... i powiedziałaś, że nie wyjedziesz, dopóki nie wyjaśnisz tego, co się zdarzyło!

Wyczuwając pewne napięcie, obie Fanningówny i młody Repplier wdali się w rozmowę z Marcusem na inny temat.

- Pokazałem ci list Finna - powiedział Colin. - Dobry człowiek z tego Charleya Finna. Nauczyłem się od niego wiele w Klondike. Kiedy mówi, że jest na tropie wielkiego odkrycia, możesz wierzyć

jego słowom. Zresztą nie wygląda na to, żebyśmy teraz rozwiązali naszą zagadkę.

- Więc odjeżdżasz?!

- Ależ, Cliono, z pewnością nie chciałabyś, żebym całe życie przeżył czatując jak kot przy szczurzej norze, kiedy szczur może zdechł albo uciekł?

- Nie, och nie, Colinie. Jeśli naprawdę tak czujesz i jeśli pan Finn czeka na ciebie w Buenos Aires, proszę bardzo, jedź.

Kiedy Cliona skończyła mówić, odwróciła twarz i przygryzła drgającą dolną wargę. Była jeszcze bardzo słaba i po raz pierwszy w życiu brat odwrócił się od niej, kiedy rzeczywiście go potrzebowała.

Nieco później wszyscy goście, oprócz Marcusa, wyszli i chora, wymawiając się zmęczeniem, poprosiła pielęgniarkę, żeby zawiozła ją do domu.

- To skandal! - wybuchnął Marcus i Colin poczuł się winny. Ale kiedy starszy mężczyzna mówił dalej, zdał sobie sprawę, że ta uwaga nie odnosiła się do niego. - Gdybyśmy mieli detektywa z prawdziwego zdarzenia, łajdacy odpowiedzialni za ten napad nie umknęliby przed karą!

- Cóż możemy zrobić? - zapytał Rhodes zrezygnowany. - MacClellan jest święcie przekonany, że ukrywamy informacje, które mogłyby mu pomóc w rozwiązaniu problemu. Wydaje mi się, że to dlatego bez entuzjazmu wykonywał swoją pracę. On sądzi również, że wspomnienia Cliony pomieszały się z późniejszymi majakami i dlatego są pozbawione wartości. Co prawda, analiza wykazała, że to była prawdziwa krew i to krew zwierzęcia, a nie człowieka. Ale on twierdzi, że łatwo byłoby ją zdobyć w rzeźni. Przewody alarmowe nie były naruszone. Kłopot polegał na tym, że przeciekający dren zniszczył izolację.

Przyznaję, że to moja wina, ponieważ przez tydzień nie sprawdzałem systemu. Ale chociaż obala to jeden z zarzutów MacClellana przeciwko hipotezie o zwierzęciu, nic nie jest w stanie zmienić jego przekonania, że chodziło o zemstę i że znam

jej powód. Być może służy mu to jako usprawiedliwienie, że jeszcze nie rozwiązał zagadki. Nie wiem. Sam spędziłem nad tym trochę czasu, ale każdy trop, który znajdowałem, kończył się w pustce, jak czerwono-czarne ślady nad strumieniem.

- Cóż, jeśli prawnik i detektyw nie potrafią znaleźć odpowiedzi, to przypuszczam, że bezcelowe jest, aby próbował tego taki laik jak ja. Mam nadzieję, że poszczęści się panu w Argentynie, panie O'Hara. Ponieważ wyjeżdża pan za parę godzin, teraz powiem panu „do widzenia” - rzekł Marcus.

- Dziękuję. Niewątpliwie dostanę to, na co zasługuję. Mówią, że każdy człowiek w końcu to zdobywa. Do widzenia i życzeń powodzenia również panu.

Kiedy Marcus poszedł, Colin odezwał się trochę niepewnie.

- Powiedz mi, Tony, czy myślisz, że Cliona będzie się martwiła moim wyjazdem... mam na myśli, czy to jej nie zaszkodzi?

- Dlaczego miałyby się martwić? Nie przejmuj się, przyjacielu. Zaopiekuję się nią i kiedy wrócisz, wierz mi, spotkasz się z najcieplejszym przyjęciem, jakiego kiedykolwiek zaznał człowiek. Na miły Bóg, nie znoszę, jak wyjeżdżasz! Będę za tobą tęsknił tak, jak nigdy nie myślałem, że będę tęsknił za towarzystwem innego człowieka!

Piegowata twarz O'Hary poczerwieniała z zakłopotania.

- Jesteś bardzo miły, Tony. Nie ma innego mężczyzny, któremu z takim zaufaniem powierzyłbym Clionę. A jeśli chodzi o mój powrót, wyprawa nie potrwa długo. Nie martw się, jeśli przez dłuższy czas nie będzie ode mnie wiadomości. Nie lubię pisać listów, a zresztą, stamtąd, dokąd jadę, może nie będę mógł pisać, obawiając się, że ktoś przechwyci wiadomości. To raczej sekretna wyprawa, rozumiesz!

Jak tajna była to wyprawa i jak łatwo jakaś wiadomość mogła doprowadzić do jej wykrycia, Rhodes zrozumiałaby znacznie łatwiej, gdyby znajdował się u boku O'Hary dwa dni później.

Miejsce, w którym znajdował się Colin, w najmniejszym stopniu nie przypominało pokładu parowca pasażerskiego, na

którym miał odbywać podróż do dalekiej republiki południowoamerykańskiej. W rzeczywistości wysiadł właśnie z kapryśnego, przekonanego o swojej ważności, małego, lokalnego pociągu, a napis, który widniał na wprost niego, nad drzwiami małej stacyjki, w jednym słowie wyjaśniłby siostrze Colina całą tajemnicę jego pozornej obojętności dla stanu jej zdrowia.

Słowem tym było „Carpentier”.

Nieprawdopodobne, żeby człowiek lub zwierzę, powiedział Colin do siebie, tak śmiertelnie przstraszyło moją siostrę, muszę to wyjaśnić. Charles Finn wysłał jej z Buenos Aires listy, które mu posłałem, i nieważne, gdzie jestem, byle tylko ona myślała, że jestem w zupełnie innym miejscu. A teraz zobaczymy, czy nie można zrobić lepiej tego, co zrobił biedny głupiec MacClellan, chociaż ślad jest już tak stary i zatarty! Cliona ma szósty zmysł i czuje, że gdyby któreś z nas tutaj zamieszkało, nastąpiłaby kolejna wizyta. Jedno z rodzeństwa O'Hara zgotowało im przyjazne powitanie kilkoma kulkami.

Teraz niech przyjdą do drugiego! Może sprawi się jeszcze lepiej. To jest teraz mój dom, za który dobrze zapłaciłem Tony'emu, chociaż chłopak nie ma o tym pojęcia, i będę przyjmował tutaj, kogo zechcę, a Cliona nie dowie się o niczym i nie będzie się martwiła!

Rozdział XIV. Druga wizyta.

Pan Cosmo Stackfield pokonał ostry zakręt bez ostrzegawczego klaksonu, skręcił gwałtownie, zaklął i zatrzymawszy samochód, obrócił się na siedzeniu.

- Halo! - krzyknął do tyłu. - Wcale nie próbowałem pana przejechać, panie O'Hara!

- O! Myślałem, że tak!

- Z powrotem w domu? - zapytał Stackfield. - Mam nadzieję, że pani Rhodes już wyleczyła się ze skutków szoku.

- Tak - odpowiedział tamten lakonicznie. - Nie ma jej tutaj. Przyjechałem, żeby pobyć trochę w samotności. Kiedy człowiek przyzwyczajony jest do otwartych przestrzeni, męczy się, słuchając ludzkiego paplania. Więc mieszkam na razie samotnie. Do widzenia panu.

Szorstkosc Colina była zbyt wyraźna i w oczywisty sposób zamierzona, by Stackfield mógł ją dłużej ignorować. Na obwisłe policzki powoli wpełzł rumieniec, mężczyzna mruknął coś, co zabrzmiało niezupełnie jak „do widzenia”, lecz jak mniej uprzejmy zwrot, i szybko ruszył drogą w stronę miasta.

O'Hara uśmiechnął się pośepnie, patrząc na odchodzącego, pokonanego rozmówcę, ale incydent dał mu wiele do myślenia. Czy nie polegał zbyt na fakcie, że nie znał ludzi z sąsiedztwa? Przyjechał dopiero wczoraj, a Stackfield był już drugim człowiekiem, który pozdrowił go podczas tej porannej przechadzki. Wyglądało na to, że zachowanie tajemnicy będzie trudnym zadaniem.

W tej sprawie O'Hara musiał zdać się na przypadek, więc dał sobie spokój i zawrócił w stronę Carpentier.

Nie mając specjalnego zamiłowania do prac domowych, zatrudnił kobietę w średnim wieku, która miała przychodzić codziennie, gotować posiłki i utrzymywać dom w porządku. Obiad tego dnia udowodnił w ostateczny sposób pewien smutny fakt. Miły, opleciony winem domek, w którym Colin znalazł tę

kobietę, świadczył o jej wszelkich gospodarskich cnotach, lecz okazało się, że pani Bollinger nie umiała gotować.

Dom starannie odremontowano, położono nawet nowe deski na porysowanej podłodze salonu i, jak na potrzeby Colina, zostało jeszcze dużo nie zniszczonych mebli.

Cztery dni spędził na czytaniu, które to zajęcie zawsze bardzo lubił, i na spacerach po zaniedbanych teraz ogrodach.

O godzinie dziesiątej piątego wieczoru wykonywał właśnie zwykłe czynności przed pójściem spać. Były bardzo staranne, chociaż ich rodzaj zdumiałby panią Bollinger. Większość ludzi, spodziewając się niepożądanego gościa, nie zostawia drzwi i okien nie zamkniętych, a z pewnością - zapraszająco uchylonych. Żaden spodziewający się włamywaczy gospodarz nie dopuści, by jego dom pogrążony był w zupełnej ciemności od godziny dziesiątej przez całą noc.

Colin wyłączył system alarmowy. Przetrzęsął kuchnię i wrócił obładowany blaszanymi i aluminiowymi przedmiotami, które ułożył w wysokie, chwiejne stosy przed otwierającymi się do środka drzwiami, prowadzącymi z werandy do salonu i ze spiżarni do jadalni. Umieścił je tam, a nie przy zewnętrznych drzwiach, żeby zbyt wcześnie nie przestraszyć intruza i móc go złapać.

Kiedy przygotował tę prostą pułapkę, która miała spowodować hałas w momencie, gdy hałas powinien być najmniej pożądany, zagwizdał całkiem wesoło jak na człowieka oczekującego tak dziwnej wizyty.

Później położył się, kompletnie ubrany, w pokoju, który kiedyś należał do jego siostry.

Przez cztery dni jego lekkiego snu nic nie zakłóciło, ale tej piątej nocy obudził się nagle w zupełnej ciemności i wyteżył wszystkie zmysły.

Wiedział, że coś się zbliża. Coś dotarło do jego śpiącego mózgu. Dźwięk? Nasłuchiwał uważnie, w napięciu. Z daleka dobiegł słaby gwizd lokomotywy. Usłyszał lekki odgłos stukania w okno, a później trzepot skrzydeł, któremu towarzyszył mysi pisk. To

poruszany wiatrem pęd winorośli stukał o szybę i zapiszczał nietoperz. Te dźwięki nie powinny były go zbudzić.

O'Hara bezszelestnie wyśliznął się z łóżka i skradając się przeszedł przez pokój. Noc była bezksiężycowa, niebo zaciągnięte i oprócz niewyraźnych, prostokątnych kształtów okien ciemność wewnątrz domu była absolutna. Ale O'Hara w świetle starannie wytrenowanej pamięci widział położenie każdego mebla i nie potykał się.

Wyteżając wszystkie zmysły w oczekiwaniu, zajrzał do salonu.

Co go obudziło? Sen? Nic mu się nie śniło. Zwykle zdenerwowanie? Znał siebie zbyt dobrze, żeby przyjąć takie wytłumaczenie. Nie słyszał żadnego dźwięku, nie czuł żadnego ruchu.

Zasnął w pustym domu, w którym nie było nikogo oprócz niego. Teraz dom nie był już pusty. Wiedział to, czuł to, chociaż nie umiałby podać powodu.

Równie cicho jak przez sypialne, O'Hara przeszedł teraz przez salon. Z zasłoniętego portierami łukowatego przejścia popatrzył w milczącą ciemność. Odwracając się, uświadomił sobie, że za nim nastąpiła jakaś zmiana.

Choć mgliście, mógł teraz dostrzec ciemne kształty - stół, krzesła, a nawet dywanik, na którym stał.

Upłynęło kilka sekund, zanim zauważył źródło tego oświetlenia, które stopniowo, nieskończenie wolno stawało się coraz jaśniejsze. Między salonem a werandą znajdowała się ścianka działowa z dwoma oknami zasłoniętymi cienkimi, jasnymi zasłonami. Trzy pozostałe okna, z podobnymi zasłonami, wychodziły na trawnik za kątem utworzonym przez ścianę werandy.

W słoneczne dni tyle samo światła wpadało przez te pierwsze okna, jak i przez drugie, gdyż weranda wychodziła na południe i była wyłożona żółtym drewnem świerkowym. Teraz jednak okna od strony

trawnika były niewidoczne za zasłonami, podczas gdy okna przy werandzie stały się słabo jaśniejącymi prostokątami żółtawego światła.

Nie było to stałe światło. Pulsowało, i w długich regularnych odstępach czasu stawało się raz ciemniejsze, raz jaśniejsze.

Pierwszym odruchem O'Hary była chęć odsłonięcia zasłon.

Drugi pomysł był lepszy. Widok z okna mógł zaspokoić jego ciekawość, ale on pragnął innej satysfakcji. Nie chciał zerkaniami między zasłony ryzykować przedwczesnego alarmu.

Światło, które aż do tego momentu stawało się coraz jaśniejsze, przestało zwiększać swoje natężenie, lecz ciągle pulsowało.

Nadal żaden dźwięk nie dobiegał z za drugiej strony ścianki działowej, ani też niczego nie można było dojrzeć przez przeświecające zasłony. O'Hara stał w półmroku salonu, a dwa okna wyglądały jak żółte, prostokątne lampiony z pulsującym światłem, lecz nic nie wskazywało na czyjąś obecność za nimi.

W końcu Colin poruszył się. Pochylił się i, skradając, ruszył w stronę drzwi, zgięty wpół, gotowy w każdej chwili do skoku.

Nawet dla niego cisza zrobiła się upiorna. Jeśli wrogowie tam byli, dlaczego nie uczynili żadnego ruchu? Jakie mogło być źródło tego niesamowitego oświetlenia? Nie wiedzieli, nie mogli wiedzieć, że on jest świadomy ich obecności. Co takiego było na werandzie, że tak długo absorbowało ich uwagę?

I wtedy Colin popełnił błąd, którego nigdy sobie nie wybaczył. Tak bardzo pragnął dotrzeć do drzwi, otworzyć je raptownie i zaskoczyć niczego nie podejrzewających wrogów, że zapomniał o podjętych przez siebie środkach ostrożności, które miały uniemożliwić ich bezszelestne otwarcie. Kiedy ręką złapał za gałkę, poruszył nogą stos blaszanych naczyń znajdujących się w nietrwalej równowadze.

Brzęcząc i dzwoniąc, narobiły skutecznego alarmu... gdyby tylko to nie on był tym, który go spowodował!

Rozdział XV. Trzecia wizyta.

Hałas tak wystraszył jego sprawcę, że skoczył do tyłu, wpadł na taboret i wyrzucił go. Prostokąty światła na południowej ścianie zniknęły nagle. Dalsze skradanie się było bezcelowe i absurdalne. Colin skoczył do drzwi, otworzył je szarpnięciem i sięgnąwszy w górę, włączył główne światło na werandzie. Zrobiło się oślepiająco jasno, ale nikogo tam nie było.

Colin upewnił się co do tego, jednym szybkim spojrzeniem ogarnąwszy wszystko dokoła, łącznie z przestrzenią pod stołem i pod wiklinową otomanką, wyłączył światło - nie miał ochoty być celem dla kul - i znalazł się przy drzwiach wyjściowych.

Były uchylone, tak jak je zostawił. Na zewnątrz panowała ciemność niemal równie nieprzenikniona jak w domu, ale był na to sposób. Otworzywszy ukrytą stalową puszkę z przełącznikami, Colin pociągnął dźwignię i skoczył w dół po schodach.

Dźwignia zamknęła obwód i zapaliło się kilka silnych lamp rozmieszczonych wokół na ziemi. W ich świetle zaczął poszukiwania, choć od początku czuł, że będą bezowocne.

Mógł winić tylko siebie. Nieznany wróg wpadł w pułapkę, pomyślał, a on nieostrożnym ruchem otworzył ją.

Wściekając się, skakał z jednego cienia drzewa w drugi, ostrożny nawet w tej furii, ale trawniki, ogrody i przybudówki były puste jak weranda. Ponieważ nic nie wskazywało, że jest inaczej, tamten nikły blask w oknach mógł być wytworem jego przewrażliwionej wyobraźni.

- Tchórze, podstępni, pełzający tchórze! - mruzczał ze złością. - Przestraszyli się brzęku blaszanych rondli! Nie mam najmniejszego zamiaru zajmować się nimi więcej!

Ale kiedy opadł na fotel w salonie, wiedział, że będzie siedział tutaj do świtu, mając nadzieję, że znowu te dwa okna wolno, niesamowicie rozjaśni się. Tak się stało, ale było to zwykłe światło poranka.

Colin, rozgoryczony, uprzątnął swój nazbyt skuteczny system alarmowy, rozebrał się, wszedł do łóżka i spał mocno aż do wczesnego popołudnia.

- Jest pęknięty, ale ja tego nie zrobiłam, panie O'Hara. Leżał na podłodze, kiedy przyszłam!

- Co? Gdzie pani to znalazła?

Colin ściągnął brwi, kiedy wziął od gospodyni roztrzaskany przedmiot, który był powodem jej uroczystego zapewnienia.

- Mówiłam panu, że leżał na podłodze werandy, kiedy przyszłam. Naprawdę, nigdy przedtem go nie widziałam, panie O'Hara!

Szczupłe ręce pani Bollinger splatały się nerwowo na fartuchu. Chociaż nie była znawczynią ceramiki, osobliwe piękno zniszczonej figurki przekonywało ją o jej wartości.

- Hmm! - powiedział Colin. - Musiała tutaj zostać razem z resztą mebli, kiedy zabieraliśmy Clionę, chociaż nie przypominam sobie, żebym ją tu gdzieś widział. W porządku, pani Bollinger, prawdopodobnie sam ją straciłem zeszłej nocy.

Kiedy odeszła, stał przez kilka minut, przyglądając się posążkowi, który trzymał w rękach. Biednego, małego „Pana Powietrza” spotkał zły los w obcym kraju, do którego przywiózł go Colin.

Najpierw stracił wężową końcówkę berła, a teraz okrągłą, ozdobioną piórami tarczę, którą miał w drugiej ręce, i samą rękę. Mimo to nadal uśmiechał się życzliwie.

- To dziwne - mruknął Colin - że nigdy nie widziałem cię na werandzie, mały człowieczku. Masz zadziwiającą właściwość, że stajesz się krzywda, kiedy dzieje się coś tajemniczego! Tak, twoja laska jest uszkodzona na dobre, ale tarczę i rękę może uda się naprawić, przez wzgląd na sen, który mi zawsze będziesz przypominał. Uśmiechnij się, mały człowieczku! Dobrze spoiwo działa cuda!

Z uśmiechem postawił posążek i odłamane części na półkę i szybko o nich zapomniał. Nie przyszło mu nawet na myśl, że może być jakiś związek między Panem Powietrza a ich kłopotami. I nic dziwnego. O tamtej odległej nocy, czy była snem, czy też rzeczywistością, wiedział zbyt mało, by mogło pomóc mu to w odkryciu prawdy, koszarnej, przerażającej prawdy, za odkrycie której miał jeszcze zapłacić wysoką cenę.

Kiedy minęły pełne dwa tygodnie, których monotonii nic nie zakłóciło, cierpliwość Colina znacznie się wyczerpała. Nie podobało mu się to czekanie i czatowanie.

Nie odważył się nawiązać nowych znajomości i odrzucał wszelkie czynione mu propozycje. Popołudnia i wieczory spędzał na czytaniu lub długich wycieczkach po jesiennych lasach i przez cały czas uważnie wypatrywał jakiegokolwiek śladu, małego czy wielkiego, który mógłby ułatwić mu rozwiązanie zagadki.

Minął jednak wrzesień, październik ubarwił lasy na czerwono i złoto, a on nadal nie dowiedział się niczego. Czas zaczął ciągnąć się nieznośnie. Ludzie, których spotykał, patrzyli na niego z irytującą ciekawością, wywołaną jego niezwykłym wyglądem i samotnym życiem.

Był ostatni tydzień października. Gęste listowie, zasłaniające bungalow, zaczynało miejscami rzednąć, a trawniki szeleściły jasnymi liśćmi, kiedy zdarzyło się coś, co przywróciło Colinowi nadzieję.

Zaszło słońce, krwawoczerwona kula za purpurową, jesienną mgiełką, i Colin wyszedł przed frontowe drzwi, żeby zaczerpnąć rześkiego, nocnego powietrza. Później czekała go samotna, niesmaczna kolację, którą przed pójściem do domu przygotowała mu pani Bollinger.

Ta dobra kobieta spojrzała jeszcze za siebie przez ciemną gęstwinę zieleni, która nadal przesłaniała bungalow, i poszła, potrząsając głową

i przyśpieszając kroku. Wśród drzew panowała już noc i wisiała nad drogą.

Biedak, będzie musiał poszukać sobie kogoś innego, rozmyślała, śpiesząc się do domu. Albo będę wychodziła wcześniej. On może sobie mieszkać w tym domu nawiedzonym przez diabła, jeśli to lubi. Ach, mój Boże, pan O'Hara jest wystarczająco silny, żeby walczyć nawet z samym szatanem, ale ja już nigdy nie zostanę tam po zmroku, niezależnie od tego jak bardzo potrzebujemy pieniędzy. I powiem mu to jutro rano, od razu. Wczoraj w nocy, kiedy wracałam do domu, coś szeleściło między drzewami, i jestem głupia, że zostaję do tak późna... och!

Kobieta zadarła nagle spódnicę i popędziła przed siebie jak zreumatyzowana, lecz śmiertelnie przerażona sarna. Tuż obok drogi dał się słyszeć głośny szelest i trzaskanie opadłych liści, a jednocześnie coś zaświszczało w powietrzu i boleśnie uderzyło ją w policzek.

Pociskiem była tylko łupinka kasztana, która choć lekka, miała jednak ostre kolce. Biedna pani Bollinger dobiegła do Carpentier galopem, święcie przekonana, że postrzelono ją w twarz kulą karabinową.

Jej opowieść jednakże przyjęto sceptycznie. Kula zazwyczaj zostawia jakiś ślad, a poza tym żadni sąsiedzi nie byli tak blisko z nią zaprzyjaźnieni, by przeszukiwać lasy, które miały złą sławę. Tak więc, ranna dama odebrała dzieci od przyjaciółki i wróciła do domu, gdzie opatrzyła sobie twarz i podjęła mocne postanowienie, że nawet światło dzienne nie skłoni jej do pójścia do domu na wzgórzu.

Colin dużymi krokami chodził w tę i z powrotem po tłuczniowej drodze, pod drzewami tworzącymi nad nią łuk. Tego dnia otrzymał od Cliony pierwszy list, który przebył długą trasę od Buenos Aires i z powrotem, odesłany przez wiernego Charlesa Finna.

Wyglądało na to, że czuje się lepiej, a nawet całkiem dobrze, ale Tony rozpieszcza ją strasznie, a pierwszego grudnia wybierają się do St. Augustine. Tęsknią za nim bardzo, ale ona sądzi i ma

nadzieję, że Colin jest szczęśliwy i dobrze się bawi. Przypuszcza, że do tej pory przebył już znaczną część drogi przez pampasy. W takim razie list może nigdy do niego nie dotrzeć, ale ona ma nadzieję, że Colin go jednak dostanie i dowie się, jak jest z nią dobrze, i będzie się cieszył wyprawą, nie martwiąc się o nią. Tony przesyła uściski. Snookums złapał szczura, ale ten go ugryzł i uciekł. Ona ma nadzieję, że Colin pomyśli o niej czasem i będzie pamiętał, że zawsze jest jego kochającą siostrą, Clioną Rhodes.

- A właściwie dlaczego - powiedział Colin, stanąwszy pod rozłożystym dębem, i ze zniecierpliwieniem kopnął suche liście - dlaczego Clioną Rhodes? Po raz pierwszy jest kimś innym niż po prostu Clioną albo Cli dla swojego biednego brata-włóczęgi. I zastanawiam się, czy opuściłem już Buenos Aires, czy też nie? Jeśli nie, łatwo byłoby położyć biednego Charlesa ze złamaną nogą do łóżka i opóźnić wyprawę; albo też mogę dostać jakiejś tropikalnej gorączki wymagającej natychmiastowego powrotu i leczenia. Myślę, O'Hara, że robisz z siebie głupca. Zastanawiam się, czy będę większym głupcem, gdy tutaj zostanę, czy wtedy, gdy porzucę całą sprawę i wrócę, by pogodzić się z tą Clioną Rhodes, która stała się nagle tak oficjalna wobec swojego jedyne go, rodzone go brata?

Rozmyślał jeszcze przez dłuższą chwilę, a później zdecydowanym gestem odrzucił w tył rudą głowę. Nieistotne, jaka była ta decyzja, gdyż właśnie wtedy coś zaszeleściło w konarach nad nim, dały się słyszeć trzaski i gwałtowny ruch, a następnie dwie ogromne, owłosione ręce zacisnęły się wokół szyi Irlandczyka.

Colin prawie stracił nadzieję na ponowny atak i miał tak mało powodów, by spodziewać się, że atak ten dosięgnie go z drzewa, i to o tak wczesnej porze nocy, że omal nie został uduszony, zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje.

Ręce, które go chwyciły, były nienaturalnie długie i umięśnione. Palce zacisnięte na jego wcale nie delikatnym gardle, mogłyby owinać się dwukrotnie wokół szyi dziecka.

Zaciskały się i jednocześnie ciągnęły go w górę. Sto parę kilogramów

kości i mięśni uniosło się w powietrze, tak że tylko czubki palców dotykały ziemi.

Odczuwał to wszystko, co musi czuć człowiek nagle powieszony i podobnie jak taki człowiek chwyciłby sznur nad sobą, tak on wyrzucił ręce w górę, żeby złapać istotę, która znajdowała się nad nim.

Zacisnął palce na gęstych włosach porastających twarde jak stal mięśnie. Krew tętniła mu w uszach, a zmrok zmienił się w czerwonawą, usianą gwiazdami mgłę. Gdyby wokół szyi miał sznur, wysiłek, żeby się unieść, mógłby zmniejszyć naprężenie, ale w tym przypadku sznur był żywy i ścisnął go z morderczą wytrwałością.

Szczęśliwie dla Colina, chociaż jego kat był wystarczająco silny, by podnieść swoją ofiarę z ziemi, gałąź, na której się to wszystko odbywało, była mniej wytrzymała. Kiedy Colin walczył, rozległ się ostry, głośny trzask. Po chwili znalazł się na tłuczniowej nawierzchni drogi, w szalonej, wierzgającej płataninie nóg, rąk i suchego konara, który łamiąc się, uratował mu życie.

Upadek sprawił, że jego kat rozluźnił chwyt i spotkali się teraz obaj na równych warunkach. Tarzali się po ziemi, a Irlandczyk ciężko dysząc, starał się początkowo jedynie o to, by te straszne łapska nie chwyciły go znowu za gardło.

Diabeł, człowiek czy małpa, był to najsilniejszy, najbardziej energiczny przeciwnik, z jakim kiedykolwiek się zmierzył. Milczał przez cały czas, ale teraz zaczął warczeć, śliniąc się przy tym, aż Colinowi robiło się mdło z obrzydzenia, nawet podczas walki.

Szybko jednak odzyskał siły i jednym wielkim wysiłkiem oderwał od siebie ogromne stworzenie, odepchnął je, poderwał się i na wpół przykucnięty, wytrzymał wzrok w ciemności.

Niewyraźny kształt z wyciągniętymi ramionami skoczył na niego jednym długim susem. Z szybkością wytrenowanego

zapaśnika Colin chwycił obiema rękami jeden z nadgarstków, okręcił się i przełożywszy ramię przeciwnika przez plecy, pociągnął go w dół z całej siły.

Rozległ się trzask, podobny jak wtedy, gdy ułamała się gałąź, lecz nie tak głośny, a towarzyszyło mu warknięcie bólu.

Biały kształt przeleciał nad głową Colina i z ciężkim, głuchym odgłosem wylądował przed nim na szosie.

Puściwszy ramię, Colin rzucił się na swoją ofiarę, ale ta zrobiła unik. Wykazując zadziwiającą żywotność, zważywszy na złamaną rękę i przykry upadek, stworzenie zerwało się w jednej sekundzie, potem tupiąc i szeleszcząc pognęło przez zasłane liśćmi łąki, a Colin za nim w szaleńczym pościgu.

O'Hara był nie uzbrojony. Chociaż przywiózł ze sobą do bungalowu pistolet, którego kule mogły przebić czterocalową deskę, nawet nie wyjął go z walizki, co było dla niego dość charakterystyczne. Każdej nocy siedział na czatach, ufny we własną, ogromną siłę, ale teraz z całego serca pragnął mieć tę broń przy sobie.

Gdyby było lato, uciekinier mógłby mu z łatwością umknąć.

Pod rzadkimi drzewami było ciemno jak w piwnicy i tylko na oświetlonej przez gwiazdy otwartej przestrzeni białe stworzenie było niewyraźnie widoczne. Ale suche, jesienne liście zdradzały trasę jego ucieczki i Colinowi, choć wpadł na niejedno drzewo i musiał zatrzymywać się od czasu do czasu, żeby odróżnić odgłos tamtych kroków od swoich własnych, udawało się biec jego śladem w dół zbocza, przecinając Llewellyn Creek i dalej wśród gęściejszych drzew za strumieniem.

Tam szelest stał się głośniejszy i dołączyło do niego trzaskanie gałęzi nad głową. Colin domyślił się, że jego niedoszły morderca nie biegnie już po ziemi, lecz skacze z gałęzi na gałąź przez las.

Dalszy pościg wydawał się szaleństwem. Jednak Irlandczyk zawzięcie biegł dalej, kierując się słuchem i nie zostając nigdy daleko w tyle. Może złamane ramię utrudniało stworzeniu ucieczkę. W każdym razie, chociaż potykał się wśród pnączy,

rozrywał ubranie i ciało o kolce dzikiej róży, przeskakiwał przez płoty, przewracał przez zwalone pnie i walczył z własną słabością, ścigający przez cały czas miał ściganego w zasięgu słuchu.

Był to potworny wysiłek. Jedynie człowiek o niezwyklej sile, wytrzymałości i nieustępliwości mógł wytrzymywał go ten szalony bieg, milę za milą, jak wytrzymał Colin O'Hara.

Uciekający omijał domy i dlatego w żadnym razie nie biegli prosto. Kilka razy przecinali drogi, a raz Colin przebiegł przez skrzyżowanie tuż przed pędzącym samochodem. Kierowca zwolnił, żeby się obejrzeć, i zaklął, ale Colin nie miał czasu do stracenia. Dalej, dalej i dalej, a przed nim paźdzernikowe liście nadal znaczyły tę dziką ucieczkę z drzewa na drzewo, na zasłaną nimi polanę i znowu na gałęzie.

Colin zupełnie stracił wyczucie kierunku. Sądząc po trasie, którą biegli, napotykał jedynie od czasu do czasu jakąś drogę lub ogrodzenie, ta część przedmieść była jednym dużym, nieuczęszczanym lasem. Colin był nie byle jakim wędrowcem, ale nigdy nie przemierzał takiej dziczy, a do tego w całkowitej ciemności i w takim tempie.

Zaczął już myśleć, że ten pościg nigdy się nie skończy i że niezmordowana istota, którą gonił tak długo, ucieknie mu, kiedy hałas ucichł. Colin zatrzymał się w miejscu i zaczął uważnie nasłuchiwać. Nocną ciszę przerywały jedynie zwykłe, drobne odgłosy: cykanie spóźnionego świerszcza, głuche uderzenie łupinki dojrzałego kasztana o ziemię, daleki klakson samochodu.

Czyżby jego ofiara posłuchała nakazu rozsądku i ukryła się gdzieś na wierzchołku drzewa? Jeśli tak, to pościg rzeczywiście skończył się. W tej ciemności, bez psów lub pochodni, nie mógł mieć nadziei na znalezienie jej kryjówki.

Colin znowu ruszył naprzód tak szybko i cicho, jak to było możliwe, nadal nasłuchując jakiegoś znaczącego szelestu przed sobą lub nad sobą. Natrafił na głęboki rów, omal do niego nie wpadając, przeskoczył go i znalazł się na szerokiej, gładkiej drodze, oświetlonej w dużych odstępach przez latarnie.

Odkrył przyczynę nagłej ciszy. Na drodze praktycznie nie było zdradzieckich liści. Czy to możliwe, że uciekinier porzucił złudną ochronę, jaką dawały drzewa i wybrał szosę? Jeśli tak, to w którym kierunku pobiegł?

Z prawej strony, daleko na drodze, w świetle lampy pojawił się jasny, przysadzisty kształt, skradający się na ugiętych nogach, i zniknął znowu jak przelotna biała zjawia.

Colin wydał dziki okrzyk i puścił się w pogoń. Od czasu do czasu widział przed sobą stworzenie, kiedy przebiegało pod latarniami, i pomyślał, że w końcu je dogania. W biegu po gładkiej szosie ta nadrzewna istota spisywała się znacznie gorzej. Droga zakręciła, przecięła strumień i po lewej stronie las ustąpił miejsca wysokiemu kamiennemu murowi.

Irlandczyka dzieliła teraz od ściganego stworzenia zaledwie szerokość miejskiego placu. I wtedy zobaczył, jak półludzka postać zatrzymuje się pod samą latarnią i macha do niego długim, chudym ramieniem jak gdyby z urąganiem. Druga ręka zwisała bezwładnie u boku.

Colin znowu krzyknął i przyśpieszył. Jego stopy dudniły po twardej nawierzchni drogi, kiedy pędził gigantycznymi susami, ale stworzenie nagle wymknęło się z kręgu światła i tym razem skręciło w bok.

Colin zatrzymał się, a potem ruszył dalej znacznie wolniej, gdyż gdzieś za murem zadźwięczał dzwonek. Później dał się słyszeć jakby brzęk żelastwa i skrzypienie zawiasów. Odezwał się jakiś głos, mrużący coś niezrozumiale, i Colin dotarł do bramy z kutego żelaza, która zamknęła mu się ze złośliwym zgrzytnięciem tuż przed nosem.

Rozdział XVI. Dom.

O'Hara podszedł bliżej, chwycił kunsztowną żelazną ślimacznicę i ze złością potrząsnął bramą.

- Hej, tam! - krzyknął. - Jeśli to jest miejskie zoo, to czemu pozwalacie swoim wściekłym pawianom i gorylom włóczyć się po okolicy?

Dozorca, który otworzył małpie bramę i zamknął ją przed ścigającym, nic nie odpowiedział, chyba że za odpowiedź można uznać niezrozumiałe mruknięcie.

Był to wysoki chudy mężczyzna, z wąską, trójkątną twarzą, ubrany w grube, sztruksowe spodnie; przez roślinne spirale rzucał na Colina ciekawe, ukradkowe spojrzenia. Colin widział go bardzo dobrze w świetle ulicznej latarni i pomyślał, że jest bardzo blady, jak gdyby był bardzo przestraszony lub dopiero co wstał z łóżka po chorobie.

- Co to znaczy? - zapytał Colin, a jego oburzenie wzrosło, kiedy przypomniał sobie trudy i przykrości długiego pościgu i poprzedzającą go nieprzyjemną walkę. - Nie musisz nic mówić. Widziałem, jak to bydłę tutaj weszło, chociaż nie widzę go teraz. Ja też chcę wejść i porozmawiać z człowiekiem, który jest odpowiedzialny za to miejsce i udziela schronienia szalejącym gorylom, jak gdyby były gośćmi zaproszonymi na parafialny piknik! Wpuścisz mnie, czy mam wyłamać tę waszą wymyślną bramę?

Potrząsnął nią tak gwałtownie, że człowiek wewnątrz odskoczył.

- Przestań! - krzyknął zdenerwowany. - Natychmiast przestań! Robisz hałas... straszny hałas! Przestań!

Głos mężczyzny brzmiał tak, jakby ten nie miał zębów; było to przytłumione mamrotanie. A jednak miał zęby, kiedy Colin puścił kratę i mężczyzna znowu przytknął do niej twarz, obnażyły się w zwierzęcym warknięciu. W błyszczących oczach czerwono

odbijało się światło latarni. Zimny dreszcz przebiegł Irlandczykowi po krzyżu. Prawie bezwiednie zrobił krok w tył.

Ale Colin O'Hara nie należał do tych, których od dochodzenia swoich krzywd odwiódłby jakiś cymbał o bladej głupekowatej twarzy i czerwonych oczach, chowający się za bramą, i oświadczył to w bardzo stanowczych słowach.

- I - zakończył - pozwolisz mi teraz pomówić z dżentelmenem, który ma bardzo zły gust, trzymając tutaj ciebie i twojego brata goryla jako domowych pupilów! A jeśli nie, wejdę tak czy inaczej. Zobaczymy, czy O'Hara po to ściga dzikie małpy przez bagna i rowy, by nic nie dostać w zamian za swój trud!

Na to dozorca ruszył się nadąsany, mamrocząc przez ramię:

- Musisz poczekać, pójdę do pana.

- Zaczekam, ale nie nadużywaj mojej cierpliwości!

Postać zniknęła w ciemności, jaka panowała za murem. O'Hara, zerkając do środka, mógł jedynie dostrzec kilka metrów kwadratowych zasłanego liśćmi żwiru, na którym od lampy znajdującej się za nim kładł się cień bramy.

Dalej wznosiła się przykryta dachem sześcienna bryła czerwieniejącego bluszczu; pomyślał, że jest to jakaś zaniedbana stróżówka lub pomnik. Prawdopodobnie ten ostatni, gdyż nie było śladu drzwi ani okien. Za nim jedynie ciemne drzewa rysowały się na wygwieżdżonym niebie. Żadne światło nie przeświecało przez gałęzie, nie dobiegał żaden dźwięk, oprócz lekkiego szelestu suchych liści poruszanych nocnym powiewem.

- Dziwne miejsce - zamruczał Colin - i myślę, O'Hara, że kiedy się tam znajdziesz, będziesz chciał się zaraz wydostać.

Ciekawe, czy bestia, którą ścigałem, ma cokolwiek wspólnego z tamtymi sprawami? Czy małpa, choćby nie wiem jak mądra, mogła zrobić rzeczy, które miały miejsce w bungalowie? Nie, to najpewniej tylko zbieg okoliczności, więc dam nauczkę właścicielowi zwierzęcia i pójdę do domu.

Doszedłszy do takiego wniosku, Colin zaczął się niecierpliwie długim czekaniem. Dozorcy nie było już co najmniej od

kwadransa i sądząc po braku jakichkolwiek oznak życia, Irlandczyk mógł być jedyną ludzką istotą w promieniu kilku kilometrów. Przeszł pową z nogi na nogę i klął po cichu.

- Ten błdy głupiec zrobił mi kawał! - Mruczał do siebie. - Pewnie z jego to winy bestia wydosła się na wolność i on wcale nie ma zamiaru pójść do swego drogiego pana.

No tak, ale przy bramie był dzwonek. Słyszał go przecież wcześniej. Macając przez chwilę, znalazł przycisk i mocno wduził go kciukiem. Dzwonek zabręczał, ale zabręczał w pokrytym bluszczem kopcu obok bramy. Była to więc stróżówka. Ostry dźwięk rozległ się tak przerażająco blisko w panującej wokół ciszy, że Colin zawahał się, zanim zadzwonił znowu.

Czy to ze stróżówki dobiegł cichy szmer, czy też wiatr zaszelecił liśćmi? Ucichł po chwili. Colin zaczekał, a kiedy nikt się nie pojawił, zadzwonił ponownie. Przyciskał dzwonek przez całe pięć minut, z początku bez przerw, a później na przemian w dłuższych i krótszych odstępach czasu. Żadnej reakcji.

O'Hara odsunął się od bramy i przyjrzał murowi. Ciągnął się nieprzerwanie w jedną i drugą stronę, wysoki na trzy metry.

- Płaszcz na mur - powiedział Colin, zdejmując go - i zaraz będę po drugiej stronie.

Właśnie miał rzucić w górę płaszcz, by przykryć ostre, groźnie wyglądające szpikulce, kiedy zatrzymał się w pół ruchu i z powrotem pośpiesznie go nałożył. Zza bramy dotarł do jego uszu jakiś dźwięk. Wracal dozorca albo dzwonek wreszcie zmusił kogoś do działania.

Znowu zerknął przez bramę. Z ciemności wyłoniła się jakaś postać idąca zwawym krokiem, a obok niej połyskiwała biała twarz i czerwone oczy pierwszego znajomego, stróża. Kiedy nowo przybyły zbliżył się,

Colin zobaczył, nawet w nikłym, poprzecinanym smugami cienia świetle, że jest to brodaty mężczyzna, że nosi okrągłe okulary w szylkretowej oprawie i że ma gniewnie zmarszczone brwi.

- Czy to pan jest tym łotrem, który złamał rękę biednemu zwierzęciu? Marco, otwórz bramę i wpuść pana!

O'Hara był tak zbity z tropu uprzedzeniem jego własnej skargi, że Marco, ten z bladą twarzą, miał czas otworzyć bramę i rozsunąć jej skrzydła, zanim on zdołał wymyślić jakąś stosowną odpowiedź. Nie wahał się jednak przed wejściem. Wkroczył do środka i stanął przed mężczyzną, podczas gdy brama zamknęła się za nim ze szczękiem.

- Pańskie zwierzę o mało mnie nie udusiło - zaczął z oburzeniem. - Dlaczego pozwala mu pan biegać po nocy? Gdybym był małym i słabym człowiekiem, zabiłoby mnie przecież! Dusić mnie, kiedy stoję i rozmyślam na własnym podwórzu! A może właśnie na mordercę tresuje pan to miłe stworzenie?

Na to brodaty mężczyzna roześmiał się. Jego głos był cichy, rozbawiony i pobrzmiwała w nim leciutka drwina.

- Mój drogi panie, proszę nie doprowadzać pańskich oskarżeń do absurdu. Jeśli, jak pan sugeruje, to Dżyngis-chan zaatakował pana pierwszy, winien jestem panu przeprosiny. Może będzie najlepiej, jak pójdziemy do domu i porozmawiamy o tym w spokoju. Pozwoli pan za mną, sir?

O'Hara zawahał się, ale jedynie przez moment. Miał pewne wątpliwości, choć nie urastające do podejrzeń, czy nie mądrzej byłoby pójść dokądkolwiek, byle nie do środka. Dla O'Hary jednakże rozważa zawsze była niezbyt interesującą cnotą. Kiedy brodaty mężczyzna ruszył w kierunku czarnych cieni drzew, Colin poszedł za nim.

Nadal czuł odrazę do bladego stróża, który deptał mu po piętach i sprawiał niesamowite i przykre wrażenie. Bez wątplenia było to głupotą, gdyż żaden człowiek, nawet taki jak ten stróż, nie może nic poradzić na wygląd, z jakim się urodził. Jeśli zaś chodzi o niezgrabne monstrum, które gonił aż do tego miejsca, było najprawdopodobniej drogim pupilkiem, a jego pan mógł wiedzieć o jego dzikości lub nie.

Ledwo widząc drogę, Colin nie spostrzegł, że zbliżają się do domu, dopóki nie minęli ostrego zakrętu i nie stanęli przed wejściem. Światło padające z otwartych drzwi przysłaniał głęboki kamienny portyk i brama tworząca łuk nad drogą dojazdową.

Po ich wyglądzie ocenił, że dom należy do dużych i dostojnych, ale nie był jeszcze w stanie określić, czy to prywatna rezydencja, czy też jakiś budynek publiczny. Trzej mężczyźni wspięli się po schodach, minęli ganek i weszli do kwadratowego, staromodnego holu.

Za drzwiami pan domu odwrócił się do swego gościa. Był starszy, niż ten ostatni początkowo przypuszczał, gdyż jego starannie przyszyzoną bródkę à la van Dyck gęsto przetykała siwizna. Ale ciemne oczy za wielkimi okrągłymi szklami były bardzo żywe, patrzyły z błyskotliwą inteligencją, co w połączeniu z szybkim, energicznym sposobem chodzenia nadawało mu złudny wygląd młodego człowieka.

Wtedy też Colin zauważył, że gospodarz trzyma lewą rękę w kieszeni płaszcza. Zauważył to, ponieważ ręka znajdowała się w kieszeni od pierwszej chwili ich spotkania. Colin widywał prawe lub lewe ręce różnych ludzi schowane w kieszeni w identyczny sposób i zwykle oznaczało to tylko jedno.

On sam był nie uzbrojony.

- Zechce pan usiąść, sir? - zapytał mężczyzna dość uprzejmie. - Muszę pana na chwilę przeprosić, żeby dać Marco parę wskazówek, jak nastawić ramię Chana. Biedne zwierzę cierpi!

O'Hara zgodził się. Kiedy Marco szedł przez pokój za swoim panem, gość miał możliwość dokładnego przyjrzenia się jego twarzy i całej postaci. Wyjaśniła się wyjątkowa bledość tego człowieka: Marco był albinosem. Zdjął czapkę, odkrywając gładką, owalną czaszkę, z rzadka pokrytą sterczącymi, białymi włosami.

W jaśniejszym świetle jego oczy, które w ciemności błyszczały czerwono, były czerwonaworóżowe, i przyjrząwszy się im przez krótką chwilę, O'Hara odniósł okropne wrażenie, że te oczy

spoglądają w głąb, a nie na zewnątrz. Źrenice były jak czarne łebki szpilek.

Efekt był taki, jak gdyby mężczyzna dosłownie odwrócił spojrzeniei kontemplował nie swoje otoczenie, lecz sekrety własnej, skrytej duszy. Dziecinna i niesprawiedliwa myśl, bo cóż miał przeciwko Marco oprócz jego nieszczęśliwego wyglądu?

Pozostawiony sam w holu, O'Hara rozejrzał się wokół ciekawym, oceniającym wzrokiem. Pierwsze wrażenie było przyjemne. Pomieszczenie oświetlała wisząca lampa, której przezroczysta, kremowa kula rozsiewała łagodny blask. W głębi dużego, dostojnego, czarnego kominka żarzyła się kłoda. Meble, choć surowe i proste, były solidne. Z pewnością nie było nic tajemniczego ani groźnego w tym dobrze oświetlonym, zadbanym, pustym holu.

A jednak kiedy O'Hara tak stał, znowu wyraźnie zdał sobie sprawę z uczucia, którego doświadczył wchodząc przez bramę.

Było tak, jakby powietrze przesycalo coś przykrego, jakaś niezrozumiała groźba. Oprócz tego niewątpliwie przesycal je słaby, lecz nieprzyjemny zapach. Bardzo możliwe, że właśnie to go niepokoiło. Zastanawiał się, czy gospodarz trzyma poza Chanem jeszcze jakieś inne zwierzęta w swojej posiadłości i czy rzeczywiście tajemnica bungalowu nie jest bliska rozwiązania.

Drzwi otworzyły się i wszedł gospodarz.

- Cóż to? Nadal pan stoi? - zaczął mężczyzna, ale Colin przerwał te gościnne protesty... które może wydawałyby się bardziej przyjazne, gdyby nie lewa ręka nadal pozostająca w dwuznacznym ukryciu.

- Nie usiądę. Nie mogę usiąść na eleganckim krześle, bo cały od stóp do głów jestem w błocie i ziemi.

- I zdaje się, że to my... a raczej Chan jest temu winny. Musi pan pozwolić, żebym to naprawił, panie...

- O'Hara - podsunął tamten.

- Ja nazywam się Chester Reed. Zanim pan tu przyszedł, panie O'Hara, na podstawie relacji Marco sądziłem, że spotkał pan

Dżyngis-chana na drodze i złamał mu rękę kijem lub kulą, próbując go złapać. Teraz jestem skłonny uwierzyć, że to panu należy się wyjaśnienie. Zanim je panu podam, czy mógłby mi pan dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło?

Coś w tym człowieku, w tonie jego głosu, wydało się O'Harze w niejasny sposób znajome. Nieprzyjemnie znajome, jak gdyby ich poprzednie zetknięcie, jeśli rzeczywiście miało miejsce, było wyraźnie niemiłe. A jednak nazwisko Reeda usłyszał po raz pierwszy a twarz nie wywoływała żadnych wspomnień. Bez wątplenia było to jedynie podobieństwo do kogoś, kogo kiedyś znał.

Zaczął swoją opowieść, ale dopiero wtedy, gdy Reed zmusił go naleganiem, żeby usiadł, zabłocony czy też nie, a sam przyniósł karafkę, kieliszki i pudełko mocnych, dobrych cygar.

Przez cały czas posługiwał się tylko prawą ręką. Lewa nadal tkwiła w kieszeni. Colin zaczął sądzić, że jego podejrzenia są nieusprawiedliwione. Może mężczyzna miał w jakiś sposób zdeformowaną rękę i był to po prostu nawyk, gdyż nachmurzona mina świadczyła o niewygodzie pełnienia obowiązków gospodarza jedną ręką, a dwu- lub trzykrotnie wyraźnie zwalczył odruch, żeby ją wyjąć i pomóc drugiej.

Kiedy opowieść się skończyła, Reed ze zmartwioną miną potrząsnął głową.

- To rezultat niedbałości Marco. Jest doskonałym trenerem, ale upiera się, by uważać Dżyngis-chana za istotę ludzką, a nie za małpę. Ja osobiście nie miałem pojęcia, że Chan może być niebezpieczny. Jest tak łagodny i uległy jak dziecko, je przy stole, rano ubiera się sam, pomaga Marco przy innych zwierzętach... rzeczywiście robi wszystko to, co człowiek, z wyjątkiem czytania, pisania i mówienia. Przypuszczam, że w lesie Chan zrzucił ubranie, a wraz z nim swoją łagodność. Muszę pogratulować panu, panie O'Hara. Ja nie miałbym ochoty zmierzyć się z Dżyngis-chanem.

- Czy spotkaliśmy się już kiedyś, panie Reed?

To nie związane z tematem pytanie zaskoczyło gospodarza. Colinowi zdawało się, że powieki za okrągłymi szklami zamruły przez chwilę dziwnie, później Reed odpowiedział ze spokojem zabarwionym naturalnym zaskoczeniem:

- Jestem pewien, że nie, panie O'Hara. Nie jest pan osobą, którą się zapomina.

Colin napotkał jego kpiarski uśmiech i spojrzał ponuro na siebie.

- Może pan tak mówić... ale nie zawsze wyglądem przypominam dzikiego barbarzyńcę, tak jak teraz. Pański ulubieniec nieźle dał mi się we znaki i to cała prawda. Wspomniał pan o innych zwierzętach. Proszę mi powiedzieć, jakie zwierzęta pan tutaj trzyma i czy któreś z nich nie uciekło stąd wczesnym latem?

- Nigdy! - Reed położył silny nacisk na to słowo, czego zdaje się pożałował, gdyż natychmiast poprawił się. - To znaczy, nigdy, o ile mi wiadomo. Własnymi metodami hoduję tutaj zwierzęta, które zamierzam później sprzedawać ogrodom zoologicznym i muzeom. To moja praca. Ale przedsięwziąłem wszelkie środki ostrożności i nie ma większego niebezpieczeństwa niż w wypadku zwykłych ogrodów zoologicznych lub gospodarstw hodowlanych. Tylko że zamiast krów i owiec zajmujemy się osobliwymi zwierzętami. Jednak żadne z nich nie jest na tyle duże lub dzikie, by zagrażać komukolwiek w razie wyrwania się na wolność... a poza tym, wszystkie są zamknięte za mocnymi ogrodzeniami i kratami.

- A Dżyngis-chan? - zapytał O'Hara, unosząc rude brwi.

- Wyjaśniłem już to. Od tej pory Chan nie będzie miał takiej swobody. Któręś raz, jeśli zechce pan przyjść w dzień, chętnie oprowadzę pana. To przywilej, który przysługuje niewielu osobom, ale...

Urwawszy w połowie zdania, Reed chwycił wolną ręką za oparcie fotela i lekko uniósł się z niewyraźnym okrzykiem.

Skądś - choć trudno było określić kierunek - dobiegło dziwne zawodzenie. Podłoga zadrżała od wibracji, a Colin poczuł mdłości. Dźwięk rozlegał się może przez dziesięć sekund, a później ucichł równie nagle, jak się zaczął.

Zaraz potem w pokoju nad ich głowami dał się słyszeć tupot nóg i słaby krzyk... to był kobiecy głos. Colin zerwał się zdezorientowany, z przekonaniem, że gdzieś dzieje się coś bardzo złego. Reed jednakże powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Proszę się nie niepokoić. Ten głos... równie dobrze mogę to sampowiedzieć, gdyż i tak pewnie dowie się pan o tym z innych źródeł. Mieszkam tutaj samotnie z Marco i... moją córką. Ona jest... obłąkana. To bolesny temat i wielkie zmartwienie mojego życia, ale tak nas już doświadcza Bóg czy Opatrzność, czy też inna moc rządząca światem. Moja córka nie znosi tych biednych zwierząt i często krzyczy w ten sposób, kiedy słyszy hałas z klatek lub zagród.

Kiedy mówił, wyraz dzikiego zniecierpliwienia, który wykrzywił jego rysy, zniknął i ustąpił miejsca głębokiemu i bolesnemu smutkowi.

Colin wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Więc ten pierwszy odgłos wydało jedno z pańskich zwierząt. Dziwne to musi być zwierzę z takim głosem. Chciałbym je zobaczyć.

- Ten hałas? - Reed wyglądał dziwnie niepewnie. - Naprawdę nie potrafię tego wyjaśnić, panie O'Hara. Może to Marco ciągnął jedną z małych klatek... albo skrzynię. Tak - kontynuował z większą pewnością siebie - prawdopodobnie ciągnął jakąś ciężką skrzynię po podłodze. A moją biedną córkę przerażają najbardziej niewinne dźwięki.

O'Hara miał już na końcu języka pytanie, dlaczego Reed nie wysłał córki do sanatorium lub zakładu dla obłąkanych, skoro bliskość zwierząt tak źle na nią wpływa. Ale pohamował się.

Ostatecznie to nie była jego sprawa. Zamiast tego powiedział poważnie:

- Współczuję panu i całkowicie rozumiem pańskie uczucia. A co do zaproszenia, z przyjemnością odwiedziłbym pana któregoś dnia, w bardziej formalny sposób.

- Jeśli Dżyngis-chan zrobił panu jakąś krzywdę lub zniszczył pańską posiadłość, chętnie...

- Nic podobnego. Wyrównałem rachunki z biedną małpą. Prawdę mówiąc, mam teraz dużo wolnego czasu i lubię zwierzęta. Czy byłby to dla pana kłopot, gdybym wpadł jutro po południu?

- Ależ skąd! Proszę bardzo. - Reed mówił to z wielką serdecznością. - Niech pan przychodzi o dowolnej porze i zadzwoni przy bramie. Marco wpuści pana.

- Dziękuję zatem i już pójdę. A przy okazji... - urwał ze śmiechem, a następnie wyjaśnił: - Pański Dżyngis-chan zna okolicę lepiej ode mnie. Prowadził mnie w taki sposób, że teraz zupełnie nie mam pojęcia, w jakiej części Ameryki się znajduję.

- Ten dom jest w odległości krótkiego marszu od Undine - uśmiechnął się gospodarz. - A Carpentier, dokąd, jak przypuszczam, chciałby pan wrócić, to następna stacja na tej trasie. Nie mam samochodu, inaczej poleciłbym pana odwieźć, ale Marco może panu przynajmniej pokazać drogę do stacji. Gdyby pan chciał... ee... doprowadzić do porządku ubranie...

- I zmyć z siebie błoto i krew - wtrącił Colin. - To świetna myśl, bo wątpię, czy wpuszczono by mnie do pociągu w takim stanie. Ale proszę nie wołać Marco. Sam znajdę drogę, jeśli mi pan pokaże, i dziękuję panu.

- Jak pan sobie życzy.

Reed zaprowadził go na górę, do dobrze wyposażonej łazienki.

- Oto szczotka do ubrań, a tam mydło i czyste ręczniki. Zaczekam na pana w holu na dole. Ma pan pół godziny czasu, bo pociąg odjeżdża o dziesiątej pięć. Przepraszam, że nie mogę panu dać do pomocy lokaja, ale żyjemy tutaj bardzo skromnie, a Marco i Dżyngis-chan to moi jedyni służący.

- Dżyngis-chan już mnie obsłużył - zażartował O'Hara - i nie mam ochoty powtarzać tej przyjemności. Przyjdę za dziesięć minut, panie Reed.

Kiedy Colin został sam, czyszcząc ubranie rozmyślał nad osobliwością tego domu.

- Obląkana córka i menażeria, którą trzeba się zajmować, a on trzyma tylko jednego służącego! Może jednak to z powodu biedy? Jedyne pokój, który widziałem, jest dość dobrze umeblowany, a tutaj ma elegancką łazienkę... stopy czystych ręczników. Sam też nie jest biednie ubrany. Dziwne, że nie zatrudnił chociaż jednej kobiety do towarzystwa dla nieszczęśliwej dziewczyny. I mówi, że bestie nie mogą stąd uciec!

A ten hałas ciągniętej klatki! Musiałaby to być ciężka klatka, żeby tak zatrząść całym domem, chociaż trudno mi znaleźć jakieś inne wytłumaczenie. Niemniej jednak, gdyby MacClellan miał głowę na karku, odnalazłby to miejsce i przeszukał je. Ale nie, nie uwierzyłby, że dzika bestia, która zaatakowała Clionę, była wszystkim, tylko nie człowiekiem.

Doczyściwszy ubranie najlepiej jak się dało, zaczął myć twarz i ręce.

- Dziwna rzecz, że okoliczni ludzie siedzieli tak cicho. To blisko Carpentier, a w gazetach było głośno o tej sprawie. Dlaczego pan Chester Reed nie został w to wciągnięty, z jego farmą hodowlaną, człowiekiem-małą i tym wszystkim? To jeszcze większa zagadka niż inne. Będę uprzejmy i miły dla biedaka i może jutro natrafie na ślad całej tajemnicy. No, teraz już mogę pokazać się wśród ludzi... i zostało jeszcze trochę czasu.

Ruszył w stronę schodów. W tym momencie na końcu korytarza za nim otworzyły się drzwi i słysząc cichy trzask kłamki, obejrzał się.

Stała tam w drzwiach najsmutniejsza, a zarazem najpiękniejsza postać, jaką Colin kiedykolwiek widział. Mogła nią być jedynie obląkana córka Reeda, ale Irlandczyk zapomniał o tym, zdumiony jej urodą.

O'Hara nie mógł wiedzieć, co o nim myślała. Lekko rozchylone wargi i szeroko otwarte oczy mogły wyrażać i zdziwienie, i przestrah, i oczekiwanie. Dziwne, ale O'Hara był przekonany, zarówno wtedy, jak i później, że to ostatnie, choć trudno nawet zgadnąć, czego mogła oczekiwać od kogoś, kogo nigdy przedtem nie widziała. Był również przekonany - i to przekonanie, podobnie jak poprzednie, nie miało żadnych podstaw - że chciała mu przekazać jakąś informację, coś, o czym koniecznie musiał wiedzieć i co dotyczyło ich obojga.

Do tej pory O'Hara porównywał wszystkie kobiety do Cliony, z ujmą dla nich, ta była pierwsza, której nie mógł porównać do nikogo. Była jedyną w swoim rodzaju istotą, prawie niezemską, ale mimo to w jakiś dziwny sposób przywodziła na myśl wszelkie ziemskie cuda

natury. Czerń jej włosów i oczu przypominała powtarzającą się tajemnicę zmierzchu i blasku gwiazd.

Była wysoka i smukła, a jej wzrost i szczupłe, nagie ramiona kojarzyły się z driadami, które mieszkają w pniach wierzb i wychodzą z nich o świcie, żeby tańczyć. Włosy opadały wijącymi się, ciemnymi puklami na zieloną suknię, którą miała na sobie, a Colin widział tylko piękno tych włosów i nie zauważył, że suknia jest tak zniszczona i stara, że zwisa w strzępach wokół nagich kostek, i tak wytarta, że miejscami prześwieca przez nią białe ciało.

Twarz miała długą i owalną, a duże oczy były tak świetliste, że wydawały się przepełnione łzami. Miała w sobie czar nocy i pełne smutku piękno leśnych jezior, które przytuliły do siebie gwiazdy i drzewa.

Takie właśnie cudowne zjawisko ukazało się Colinowi O'Harze.

Ale gdyby nie był Colinem O'Hara lub gdyby kochał kiedykolwiek inną kobietę oprócz swojej siostry, wtedy być może nie ukazałby mu się ten cud. Widziałby tylko szczupłą dziewczynę w podartej, zielonej sukni; może i piękną, ale chudą i bardzo melancholijną.

Jak miało któreś z nich odgadnąć, że już się kiedyś spotkali? Piętnaście lat to bezmiar, który pochłania wspomnienia, w ciągu piętnastu lat mała dziewczynka zmienia się jak pod wpływem czarów. W pierwszym spojrzeniu oboje rozpoznali się ale nie było to rozpoznanie, które uchroniłoby ich od cierpień. Będąc bezcielesnym i nieziemskim, nie oszczędziło im późniejszego bólu.

Colin nie miał pojęcia, jak długo tak stał, wpatrując się w dziewczynę i czekając na wiadomość, którą miała dla niego.

Nie mogło to trwać dłużej niż kilka chwil, kiedy dobiegł do niego z dołu głos Reeda.

- Czy to pan, panie O'Hara? Nie ma pan za dużo czasu do odjazdu pociągu.

Colin drgnął, a dziewczyna, która, zdawało się, miała już coś powiedzieć, gestem milczenia położyła na wargach dwa szczupłe palce i wśliznęła się z powrotem do pokoju.

O'Hara zszedł po schodach jak człowiek wyrwany ze snu. Nie wiedział, co mu się przydarzyło, ale uświadamiał sobie, że wydarzyło się coś ważnego. Każdy nerw i mięsień gigantycznego ciała pulsował życiem i gdyby dziewczyna nie zrobiła gestu milczenia i ostrzeżenia, poszedłby do niej, nie do Reeda.

Ten ostatni przywitał go u stóp schodów podejrzliwym spojrzeniem.

- Słyszałem, że zatrzymał się pan tam na górze. Czy moja córka rozmawiała z panem? Biedne dziecko, gotowa jest zwracać się do obcego jak do własnego ojca!

Colin doznał wstrząsu. Więc to była obłąkana dziewczyna, córka Reeda! A on... on... Cóż, nie zrobił nic. Wydawało mu się, że po raz pierwszy jego życie stanęło na głowie.

Ale obłąkana? Czy to obłąkanie nadało jej ów wygląd elfa, uczyniło ją tak inną, tak cudownie piękną?

- Nie rozmawiałem z pańską córką - odpowiedział z powagą i smutkiem, gdyż żałował, że tego nie zrobił. - Czy pokaże mi pan drogę do stacji?

- Dotrze pan bez kłopotu. Proszę wyjść przez bramę, skrócić w prawo i iść prosto wzdłuż muru. Z miejsca, gdzie się kończy, zobaczy pan światła stacji. Dobranoc panu!

Kiedy Colin schodził po schodach, drzwi zamknęły się z niepotrzebną gwałtownością. Później otworzyły się znowu.

- Jeśli chce pan innych wskazówek - zawołał Reed, a w jego głosie pobrzmiwała dziwna nuta śmiechu - proszę zapytać dozorca!

I jeszcze raz trzasnął drzwiami.

Colin odwrócił się przy pierwszych słowach, zobaczył Reeda stojącego w oświetlonym wejściu i odniósł osobliwe wrażenie, że w wyglądzie tamtego nastąpiła jakaś drobna zmiana.

Stał na podjeździe jak wryty, wpatrując się w zamknięte drzwi. Później podrapał się w zamyśleniu po głowie.

- Proszę... zapytać... dozorca! - mruknął. - Co do diabła miał na myśli ten głupiec... i dlaczego się śmiał, kiedy to mówił? I co się w nim zmieniło teraz... ach, jego ręka!

Wyjął w końcu rękę z kieszeni i... była duża... biała... pokryta futrem.

To nic dziwnego, jeśli ktoś nosi rękawiczkę na jednej dłoni, pomyślał Colin, ale dlaczego akurat taką jak tamta, z białego futra? Panie Reed, panie Reed, jest pan człowiekiem pełnym tajemnic, małych i dużych, i nie podoba mi się pan! Ale pańska córka...

Niełatwo było odszukiwać w ciemności ścieżkę i dwukrotnie myślał, że zgubił drogę. W końcu pojawiło się przed nim światło wydobywające się z latarni gazowej stojącej na rogatce. Na tle żółtej poświaty rysowała się brama, jej kunsztowna sylweta; widział również czerwony odbłask porośniętej bluszczem stróżówki.

Kiedy podszedł bliżej, do jego uszu dotarł cichy dźwięk. Wyteżył oczy osłepione przez światło latarni i wydało mu się, że drzwi stróżówki wychodzące na posesję są otwarte. Tak, to był

prostokąt czerni, ciemniejszy niż ocieniający go bluszcz, a w środku prostokąta... biaława, owalna plama... twarz?

Zniknęła nagle i kiedy Colin dotarł do małej stróżówki, zastał tylko zamknięte drzwi i ciszę. Jeśli były tam jakieś okna, zakrywał je bluszcz.

Ponieważ brama nie była zaryglowana, nie chciał przeszkadzać odpychającemu służącemu Reeda. Pod dotknięciem brama otworzyła się i Colin poszedł w swoją stronę.

Rozdział XVII. Niespodzianka i rozczarowanie.

Następny dzień przyniósł Colinowi niespodziankę równie wielką i w pewnym sensie bardziej zaskakującą niż Dżyngis-chan, kiedy zaatakował go poprzedniego wieczora.

Do bungalowu przyjechała Cliona. Była oburzona i pełna słusznego gniewu kobiety oszukanej. Była tak zła, że zapomniała o całym strachu związanym z tym miejscem i wkroczyła nie zapowiedziana do jadalni jak mały anioł zemsty.

Colin był sam. Pani Bollinger dotrzymała swojego postanowienia i wypowiedziała służbę w napisanym zdumiewającą ortografią liściku, który jakiś mały chłopiec wsunął tego ranka pod frontowe drzwi. Tak więc Colin sam sobie przygotował śniadanie i obiad. Był dobrym kucharzem, w granicach swojej sztuki kulinarnej, która sprowadzała się głównie do smażonego boczku, jajek, naleśników i kawy. Zapowiadało to pewną monotonię diety, o ile nie uda mu się przekonać jakiejś innej pani Bollinger, by nie bała się domowych goblinów.

Rozmyślał ze smutkiem o tym, kiedy zaskoczyła go Cliona.

Chociaż jego pobyt tutaj trwał nadspodziewanie długo i chociaż z każdym dniem zachowanie tajemnicy wydawało się coraz większym cudem, to jednak najgorszym, co przewidywał, było odkrycie sekretu przez własnego szwagra, który mógł dowiedzieć się o obecności Colina tutaj z plotek zasłyszanych od znajomych mieszkańców Carpentier, z którymi stykał się w pracy. Mało prawdopodobne, żeby powiedział o tym swojej żonie, ale mógł przecież na własną rękę zbadać sprawę.

Pojawienie się Cliony było dla niego jak grom z jasnego nieba i nigdy w życiu nie czuł się bardziej zdumiony i zakłopotany. Na szczęście zakrztusił się kawą. Zanim odzyskał zdolność mówienia, miał czas, by zastanowić się, co powiedzieć.

- Cliono, kochanie - rozpromienił się, wychodząc zza stołu z wyciągniętymi ramionami. - To wspaniale ujrzeć cię taką zdrową i w ogóle!

Uciekła od niego, zastawiając się krzesłem. Patrzyła na swojego brata z pogardą.

- Okłamałeś mnie! - Dosłownie płonęła gniewem, który od czasu do czasu wybuchał w obojgu O'Harach. - Okłamałeś i wcale nie wyjechałeś!

Ponieważ był jej drogi, odkrycie jego niepojętego oszustwa zraniło ją strasznie. Jak pisała w liście, wróciła całkowicie do zdrowia i sił i zaczęła wychodzić z domu jak zawsze.

Podczas zakupów w mieście przypadkiem spotkała damę, której mąż był właścicielem rozległej posiadłości graniczącej z byłą posiadłością Rhodesów w Carpentier.

Cliona nie mogła zrozumieć, co kobieta miała na myśli, kiedy powiedziała: „Pani brat wygląda tak dobrze, pani Rhodes. Często go widuję, choć tylko z daleka.” I wtedy wszystko wyszło na jaw.

Cliona nic nie powiedziała mężowi. Była to sprawa między nią i Colinem i kiedy tylko Rhodes poszedł do swojego biura, wsiadła w pierwszy pociąg jadący do Carpentier.

- No cóż - wyznał Colin, przestając przeczesywać palcami włosy i gorączkowo myśleć. - To prawda, nie wyjechałem. Czy sądziłaś, że naprawdę wybrałbym się w podróż na drugi koniec świata i zostawił cię taką chorą i w ogóle? Ja...

W kwestii kłamstwa Colin wytłumaczył się tym, że gdyby powiedział prawdę, Rhodes upierałby się, żeby pojechać z nim albo przynajmniej od czasu do czasu towarzyszyć mu w nocnym czuwaniu. Cliona wzdrygnęła się na samą tę myśl. Usłyszała historię jego ostatniej nocnej przygody, nieco stonowaną i oenzurowaną, gdyż Colin nie miał zamiaru zwiększać jej trosk.

Powiedział o swoim podejrzeniu, że to Reed jest odpowiedzialny za jej przeżycie, i w takim wypadku, oczywiście, przebywanie w bungalowie nie było dla niego niebezpieczne.

Reed z pewnością zadba teraz, żeby żadne z jego zwierząt, bez względu na to, czym są, nie uciekło więcej.

Jednak O'Hara nie potrafił się zmusić, żeby powiedzieć, nawet jej, o córce Reeda. Obląkana czy zdrowa na umyśle, była dla niego świętością, wizją zesłaną mu przez przyjaznych bogów, i nie mógłby o niej mówić.

- Wybieram się więc tam dzisiaj znowu - zakończył. - Kiedy wrócę, może będę mieć jakieś wieści dla ciebie, a przynajmniej, jeśli jest tam stworzenie, które słyszałaś i którego białą łapę widziałas, nietrudno będzie je odszukać. Pozwól mi zatem pomieszkać tutaj jeszcze trochę, Cliono, a sama wracaj do Tony'ego. Za kilka dni do ciebie dołączę i może razem odwiedzimy St. Augustine.

Zgodziła się na to w końcu, jednak pod warunkiem, że będzie do niej telefonował codziennie, aby wiedziała, że jest bezpieczny.

- Będę dzwonić wieczorem i rano - obiecał Colin. - A teraz proszę zasiąść do stołu, pani Rhodes, i skosztować eleganckich potraw, które przygotował mój znakomity irlandzki mistrz kuchni. Nie są urozmaicone, ale za to w dużej ilości, która jest rzeczą najważniejszą.

Mimo wszystko, nie było na świecie nikogo, oprócz jej męża, tak miłego jak Colin. Zranione uczucia wyleczyła świadomość, że dokonał tego oszustwa, aby pomścić jej krzywdy, tak więc wspólnie i w bardzo wesołym nastroju zjedli posiłek, a później Colin odprowadził ją na pociąg.

Przed złożeniem wizyty O'Hara postanowił uzyskać nieco informacji o swoim nowym znajomym, Chesterze Reedzie. Wydawało się, że nie ma do tego celu odpowiedniejszej osoby niż naczelnik stacji, jako że Undine, przewyższając pod tym względem większość podobnych małych, podmiejskich osiedli, szczyliło się prawdziwym, żywym naczelnikiem. O'Hara

stwierdził, że jest to przyjemny, młody człowiek, gotowy traktować pasażerów z godną podziwu bezstronnością.

Tak, oczywiście, znał pana Reeda. Reed kupił w kwietniu zeszłego roku rezydencję starego Jerrarda. Piękną, starą posiadłość. Pamiętała jeszcze czasy wojny domowej i należała zawsze do Jerrardów aż do... tak, pan Charles Sutphen Jerrard był ostatnim z rodziny. Pięć lat temu niestety zbankrutował. Powiesił się w stróżówce.

Jego wierzyciele próbowali wynająć lub sprzedać tę nieruchomość z przyzwoitym zyskiem, ale nikt jej nie chciał, dopóki nie zjawił się ten Reed. Tego rodzaju przeszłość czyni miejsce bardzo niepopularnym. Niech pan sam powie, gdyby pan usłyszał tę historię o stróżówce, to co? No, ale Reed kupił posiadłość to tak czy inaczej i wydaje się, że zupełnie go nie obchodzą wszyscy martwi Jerrardowie, jacy tam kiedykolwiek mieszkali. Zdaje się, zresztą, że nie ma również ochoty na żadnych żywych obcych na swoim terenie. Tak, Reed sprowadził jakieś zwierzęta. Część przygnano tutaj, a część przywieziono w klatkach, w boksach, ale jeśli chodzi o niego, to nie widział, żeby były niezwykle. Po prostu owce, krowy, kury, króliki. I to wcale nie nadzwyczajne, o ile zauważył.

Na to wtrącił się mężczyzna, który opierał się o skrzynię do pakowania.

- Wie pan, ten facet, Reed, jest zabawny. Kiedy przyjechał tu pierwszy raz, powiedział, że ma zamiar zająć się, jak on to nazwał, „naukową hodowlą zwierząt”. Są tu w okolicy dwie albo trzy prawdziwe hodowle i pojechało do niego paru gości, zaproponowali mu trochę zwierząt po dobrych cenach, a on mówi nie, nie chce niczego. To, czym chce zacząć, musi być z importu... Więc postawił ogrodzenie z drutu, najmocniejsze, jakie widziałem w życiu, a później ogrodził całą ziemię Jerrarda wysokim drewnianym płotem wzdłuż Llewellyn Creek i z drugiej strony, od rogatek. Potem poprzybijał co dwa metry tablice „Nie ma przejścia”, jakby miał zamiar uruchomić fabrykę dynamitu.

- No ale przecież - powiedział naczelnik - ma chyba prawo nie wpuszczać ludzi na swój własny teren, prawda?

- Nie powiedziałem, że nie ma. Mówię tylko, jaki to zabawny facet. Wystarczy spojrzeć na ten nędzny, stary dom. Po co umieścił tę dużą, okrągłą rzecz na samym środku dachu, hę? Co ma wspólnego kopuła z hodowlą zwierząt? Później sprowadził sobie to wspaniałe stado, ha-ha! Dobrze mu się przyjrzałem, kiedy je tu przywieźli. Do licha, to było najzwyklejsze, najbardziej rogate bydło, które ktoś wygonił na szosę, żeby się go pozbyć. To były...

- W ostatnim transporcie było parę ładnych belgijskich zajęcy - przerwał mu naczelnik.

- Ma pan na myśli te brązowe króliki? Nic o nich nie wiem, ale znam się na bydło. Wychowałem się na prawdziwej farmie hodowlanej. Te jego krowy i owce nie mogłyby nawet załapać się na nagrody rozdawane o północy przez ślepego sędziego. A ten drób, och, nie mogę!

W tym momencie nie zdołał już opanować wesołości. Wręcz zgiął się wpół ze śmiechu.

Wszystko to zadziwiło O'Harę. Czyż Reed wyraźnie nie stwierdził, że na swojej farmie nie hoduje zwykłych domowych zwierząt?

- A co panowie myślą o jego upodobaniu do małp? - zapytał na próbę.

Obaj jego informatorzy przyjęli to pytanie jako świetny żart. Naczelnik robił wrażenie, jakby był skłonny bronić Reeda, ale roześmiał się również, mówiąc:

- Ten jego wyblakły służący to szczyt wszystkiego, prawda? Zawsze mówię, że on wygląda bardziej jak biały szczur niż ludzka istota, ale myślę, że małpa-albinos to jeszcze lepsze.

Colin popatrzył ze zdumieniem. Czy to możliwe, żeby Dżyngischan nie był znany w okolicy?

- Nie rozumie mnie pan - powiedział wprost. - Nie chodzi mi o Marco, ale o prawdziwą małpę, tę, która nazywa się Dżyngischan.

Naczelnik potrząsnął głową. Obaj mężczyźni mieli zakłopotane miny.

- Nie wiedzieliśmy, że ma małpę, proszę pana. Musiała przyjechać w którymś z małych boksów. Cóż, mam do sprawdzenia rachunki zabagaż. Jeśli chce pan się dostać do posiadłości Reeda, Jimmy pokaże panu drogę. Prawda, Jimmy? To znaczy, jeśli nie był pan już tam wcześniej.

- Znam drogę - kiwnął głową O'Hara. - Dziękuję, że mi panowie poświęcili trochę czasu!

Kiedy ruszył w drogę, wyrostek zawołał za nim.

- Halo, proszę pana, niech pan się nie dziwi niczemu, co pan tutaj usłyszał. Ta panna Reed, jego córka, która z nim mieszka, jest pomyłona! Nigdy jej nie widziałem, ale słyszałem, że czasami robi jakieś okropne rzeczy. I niech pan również nie kupuje żadnej z tych jego imitacji. Następnym razem mogą pana zaprowadzić do naprawdę dobrych...

O'Hara niecierpliwie machnąwszy ręką, pomaszzerował dalej.

Poczuł się mocno urażony uwagą tamtego na temat dziewczyny. I jeszcze ta jego rada dotycząca zwierząt! Czy ten głupiec nie ma wyczucia, co jest stosowne?

Choć O'Hara zdecydowanie bronił się przed spojrzeniem prawdzie w oczy, coraz bardziej zaczynała go obchodzić obłąkana dziewczyna, z którą nawet nie rozmawiał i którą widział zaledwie przez trzy minuty. Mógł sobie mówić o niej jako o „błogosławionym i cudownym wspomnieniu”, ale to nie wspomnienie, lecz nieśmiała nadzieja zobaczenia jej znowu sprawiała, że wizyta, którą zamierzał złożyć, miała być najbardziej podniecająca ze wszystkich.

Dzień wstał ładny i słoneczny, ale później zerwał się silny wiatr. Teraz, o czwartej po południu, po niebie pędziły masy ciemnych chmur, zapowiadając deszcz. Zakurzone, suche, brązowe liście wirowały wokół niego i musiał przytrzymywać kapelusz, żeby nie pofrunął razem z nimi. Gałęzie drzew gięły się miotane wiatrem, który odzierał je z ostatnich październikowych wspaniałości.

Colin szedł wolno, gdyż chciał pomyśleć o tym, czego się właśnie dowiedział.

Owce, krowy, drób, zające. Które z nich mogło wydawać głos... jak trzęsienie ziemi? Na Boga, to dopiero zagadka! Coś jęczało zeszłej nocy i to nie była klatka ciągnięta po podłodze. Wystraszyło biedną, małą Panią Zmierzchu. Ale jeśli tutejsi ludzie nic nie wiedzą o Dżyngis-chanie, dlaczego Reed nie mógłby mieć innych sekretów... dla muzeów, jak mówi, i ogrodów zoologicznych?

Tak... co to za zwierzęta? Nigdy nie słyszałem, żeby komuś udawało się hodować w niewoli duże mięsożerne... przynajmniej w tej strefie geograficznej. A zatem, potwory. Być może. A co to znowu za dziwna „nauka”? Czy przecina te biedne zwierzaki i łączy przednią część jednego z tylną drugiego?

O'Hara czytał kiedyś Wyspę doktora Moreau, wiwisekcyjne okropności poruszyły jego wyobraźnię.

Jeśli coś takiego tutaj się dzieje, myślał, to najwyższy czas położyć temu kres. Od początku nie podobał mi się ten Reed, a teraz, kiedy przemyślałem wszystko, nie podoba mi się jeszcze bardziej. Jest zbyt uprzejmy i ukrywa pod tą maską paskudny charakter. A jego okulary są za duże i śmieszne. Chciałbym zobaczyć go bez nich, a także bez brody. Człowiek mógłby równie dobrze nosić maskę, jak on te ozdoby. Może widziałem go przedtem, a może i nie, ale gdybym zobaczył go ogolonego, rozstrzygnąłbym to.

Odłożył na później dalsze rozważania, gdyż dotarł do bramy z kutego żelaza. Odszukał elektryczny dzwonek i nacisnął go. Zabrzęczał w stróżówce, jak poprzednio, ale ponieważ wydawało się nieprawdopodobne, żeby jedyny służący Reeda cały czas

spędzał w tym grobowcu, Colin doszedł do wniosku, że dzwonek ma dwa połączenia, z których jedno znajdowało się w domu.

To właśnie w tej stróżówce, jak powiedział naczelnik stacji, powiesił się ostatni właściciel. Kiedy Colin przypomniał sobie przeżycia z poprzedniej nocy, gdzieś w świadomości jak lecąca iskra rozbłysła wątpliwość. Rozwiała się w ciągu sekundy. Dała o sobie znać przesądna strona jego natury, której jednak rzadko pozwalał dojść do głosu. Błady owal w drzwiach stróżówki to twarz Marco. Duchy nie otwierają drzwi ani ich nie zamykają, a poza tym marna to zjawia, która pojawia się tylko po to, by natychmiast zniknąć. Colin uśmiechnął się do tej myśli i spojrzął poza stróżówkę.

Posiadłość wydawała się jeszcze bardziej opuszczona, choć mniej tajemnicza niż poprzedniej nocy. Przez drzewa, które straciły tak wiele liści dzisiejszego popołudnia, dostrzegł szare, granitowe ściany, a nad nimi dachy starego domu z wieloma szczytami, jeszcze wyżej zaś - dziwną, okrągłą kopułę jak reminiscencja Orientu na niewłaściwym miejscu.

Forma kopuły jest jedną z najwspanialszych w architekturze, ale ta wcale nie była piękna. W jakiś sposób kojarzyła się z białym, niewiarygodnie dużym grzybem, który wyrósł w nocy, a właściciel domu jeszcze go nie odkrył i nie usunął. Gdzieś, kiedyś... gdzie i kiedy, pomyślał Colin, odniósł już podobne wrażenie?

Przelotne wspomnienie nie dawało się uchwycić... i właśnie nadchodził Marco, z szelestem roztrzaskując liście nie odgarnięte ze ścieżki. Przywitał O'Harę tym samym przestraszonym, ukradkowym spojrzeniem, które zdawało się być dla niego naturalne, i otworzył bramę z miną konspiratora.

- Co ci dolega, człowieku? - zapytał O'Hara, kiedy wszedł. - Trzęsiesz się jak przemoczony pudel. Masz gorączkę?

Mężczyzna potrząsnął głową i odpowiedział swym mamrocącym głosem:

- Zeszłej nocy... narobił pan dużo hałasu zeszłej nocy. Za dużo hałasu! Cisza... cisza!

Colin wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Sądził, że mężczyzna, poza wyglądem, jest normalny, ale okazało się, że jest niespełna rozumu.

- W porządku, chłopcze - powiedział uspokajająco. - Jeśli hałas tak ci przeszkadza, postaram się dzisiaj zachowywać ciszej. Czy pan Reed jest w domu?

Marco znowu potrząsnął głową i włożywszy rękę do kieszeni swych zniszczonych sztruksowych spodni, wyciągnął pogniecioną kopertę.

- Proszę - mruknął podając ją O'Harze. - W środku na białym papierze są słowa!

- Liścik? Ale...

Colin rozerwał kopertę. Jak wyraził się albinos, w środku na białym papierze rzeczywiście były słowa, co więcej, słowa, które przeczytał ze znacznym rozczarowaniem. List brzmiał:

Drogi panie O'Hara!

Piszę to na wypadek, gdyby zaszczycił mnie pan wizytą dzisiaj po południu, jak zamierzał pan uczynić. Zmuszony jestem z wielkim żalem odłożyć przyjemność pokazania panu mojej małej posiadłości, ponieważ wzywają mnie naglące sprawy. Nie potrafię dokładnie określić czasu mojego powrotu, ale prawdopodobnie nastąpi on za parę dni. Zawiadomię pana wtedy i mam nadzieję, że ponownie mnie pan odwiedzi. Jeszcze raz przepraszam za niezamierzoną niegrzeczność wobec zaproszonego gościa.

Szczerze oddany

Chester T. Reed

Colin spojrzął znad listu Reeda i napotkał utkwione w swojej twarzy oczy albinosa, ale jak poprzednio, wydało mu się, że go

wcale nie widzą. Trudno było uwierzyć, że te czarne jak łebki szpilek źrenice potrafią patrzeć na zewnątrz.

- Zatem twój pan zostawił cię tu, żebyś wszystkiego dopilnował? - zapytał Colin w zamyśleniu.

- Jestem tutaj... tak.

- Ale zastanawiałem się, czy jesteś sam? Nikogo do opieki nad... panną Reed?

Marco zmarszczył brwi i wskazał palcem najpierw na liścik, a później na bramę.

- Pan powiedział... przeczytać i iść sobie!

- Na Boga, w uprzejmy sposób odprawiasz jego gości, przyjacielu Marco!

Colin zawahał się. Czy to możliwe, żeby Reed rzeczywiście wyjechał i zostawił swoją biedną, śliczną córkę pod opieką tej czerwonookiej i prawdopodobnie zwyrodniałej kreatury?

Jeśli tak, to nie jego sprawa stała się jego sprawą i każdego innego porządnego człowieka. Musi być jakieś prawo, które dotyczy takich sytuacji. Postanowił porozumieć się ze swoim szwagrem. Ten bystry prawnik z pewnością mu coś poradzi. A tymczasem...

- Marco - powiedział - spójrz mi w oczy i posłuchaj uważnie. Jeśli pannie Reed stanie się jakaś krzywda pod nieobecność jej ojca, bądź pewien, że się o tym dowiem i bądź pewien, że będziesz miał za to ze mną do czynienia. Rozumiesz? Mógłbym cię rozerwać na kawałki, chłopcze, i dobrze o tym wiesz!

- Pan powiedział... przeczytać i iść!

- Och, idę! Ale pomyśl o moich słowach i uważaj! I powiedz swojemu panu, że był O'Hara. Do widzenia, Marco!

Brama zamknęła się za nim z trzaskiem. Colin zatrzymał się z drugiej strony, żeby zapalić cygaro, z trudem osłaniając zapałkę przed porywami wiatru. Kiedy znowu spojrział przez żelazne zawiasy, Marco już nie było.

Wstyd mi za siebie, zadumał się Colin. Straszyc takiego słabego, białego robaka! Ale to było najlepsze, co mogłem

wymyślić. Nie wiem, co jest nie w porządku z tym miejscem ani z jego właścicielem, ale że coś jest nie w porządku, tego jestem pewien. A nie mogę przecież siłą wtargnąć do domu, żeby to sprawdzić. A może mógłbym?

Patrzył w zamyśleniu przez piękną bramę, którą Sutphen Jerrard sprowadził sobie z Włoch. Kiedy tak stał, pierwsze krople deszczu zakłuły go w twarz, a wiatr potargał drzewa jak oddech giganta - gwałtowny, porywisty, nie znoszący wszelkich smrodliwych wyziewów i ukrytych podłości.

Rozdział XVIII. Głos.

Colin wtargnął jednak tego popołudnia do posiadłości Reeda. Przedtem chciał jednak zasięgnąć opinii Rhodesa w tej sprawie, będąc popędliwym człowiekiem, bardziej nawykłym do surowych, prostych zwyczajów panujących na otwartych przestrzeniach niż do reguł postępowania przyjętych w cywilizowanym świecie. Bał się popełnienia jakiegoś błędu, naruszenia prawa w sposób, który mógł raczej zaszkodzić dziewczynie niż jej pomóc. Tak, musi pomówić z Rhodesem.

Wracał do swego bungalowu tak pogrążony w zadumie, że ledwo uświadamiał sobie dziką burzę, która szalała i targała jego przemoczoną postacią, kiedy wspinał się na wzgórze od strony Carpentier.

Zapadła noc - wyjąca ciemność - i nie było nikogo, kto wyszedłby mu naprzeciw i oświetlił drogę. Potykając się wszedł do domu i pozapalał światła. Ukazały się wygodne, wesołe pokoje, nadal noszące swojskie ślady obecności Cliony, ale z jakiegoś powodu ich widok tylko pogłębił jego zmartwienie.

Colin przebrał się i zatelefonował do Green Gables. Odezwała się jego siostra, więc poinformowawszy ją o negatywnym wyniku wizyty w Undine, zapytał o Tony'ego.

Okazało się, że Tony jest w mieście, gdzie zatrzymała go praca. Miał być w domu późnym wieczorem.

- Zadzwoń więc do niego później - powiedział Colin i pożegnał się z siostrą.

Przeszedł przez jadalnię, a z półki kredensu uśmiechał się do niego życzliwie mały porcelanowy posążek. Odłamana tarcza nadal leżała obok niego. Zatrzymał bożka dla „snu, który zawsze miał mu przywozić na myśl”, ale tego wieczoru myślami był bardzo daleko od tego „snu”.

Minął małą figurkę Quetzalcoatl, nie spojrzawszy nawet na nią, i poszedł do kuchni, gdzie zaczął przygotowywać sobie kolację. Zimny deszcz pobudził mu apetyt, którego nie mogła

zepsuć nawet nieokreślona troska. Zjadł wspaniały posiłek, zepchnął naczynia na jeden koniec kuchennego stołu i zapalił fajkę z głębokim westchnieniem fizycznego zadowolenia.

Zaspokojenie apetytu nie uspokoiło go jednak. Jego myśli gnały w tę i z powrotem, rozciągając niewidzialną, nieuchwytną sieć między bungalowem w Carpentier a domem w Undine, aż w końcu miał wrażenie, że jej sznurki oplatały całe jego ciało i wyciągają go z powrotem na burzę.

Czy naprawdę istniał związek między ogromną, zakrwawioną istotą, która zostawiła swój ślad na wzgórzu, a tym zgrzytliwym, wibrującym wyciem, które słyszał poprzedniego wieczora, kiedy siedział w holu Reeda? Czy istniał jakiś związek? I dlaczego Reed trzymał obłąkaną dziewczynę w otoczeniu mogącym tylko pogłębić jej chorobę? I dlaczego on, O'Hara, tak bardzo przejmował się tym, co Reed robi dla swojej córki lub czego nie robi?

Czy szaleństwo mogło wzbudzić miłość? Nie. Zdrowy rozsądek mówił mu, że bariera obłąkania jest dla niego za wysoka. Więc musi być tylko litością to, co czuje do biednej córki Chestera Reeda. W takim razie litość jest uczuciem o przerażającej mocy! Co porabia teraz Pani Zmierzchu? Jaki los ją czeka? A może to uczucie nieokreślonej obawy nie jest niczym więcej jak tylko wytworem zbyt wybujałej wyobraźni?

Przez cały czas, kiedy Colin siedział, paląc fajkę i marszcząc brwi, bungalow trząsł się i drżał niczym w objęciach jakiegoś wściekłego monstrum. Tak właśnie było, a tym monstrum był szalejący wiatr. Z dzikim wyciem ciskał deszczem w okna, krzyczał wśród gałęzi, rzucając człowiekowi wyzwanie, by zmierzył swoją siłę z jego gwałtownością.

Colin pragnął obecności Rhodesa. Potrzebne mu było upoważnienie - upoważnienie, żeby definitywnie, raz na zawsze wyrwać dziewczynę spod opieki ojca, który nie nadawał się do tego, by się nią zajmować. Gdyby Colin zabrał ją siłą i przedwcześnie, mógłby tylko skomplikować sprawę. Skąd ma to wiedzieć? A Rhodes jest dobrym prawnikiem...

Głos wiatru już go więcej nie prowokował, lecz wołał, błagał okrzykami i jękami przerażenia. Wiatr był szalonym, gwałtownym posłańcem dobijającym się do jego okien i serca w potężnych porywach niemej pasji. On siedział niewrażliwy w swoim zwierzęcym zadowoleniu, a wiatr wiedział coś, co wciągnęłoby go w burzę, ogień czy też do samego piekła, ale nie mógł podzielić się z nim swoją straszną wiadomością.

Colin odłożył fajkę i wstał z zatroskaną miną. Poszedł do salonu i przytknął zapałkę do stosu szczap i pniaków w kominku. Przez chwilę trzaskające, przyjazne płomienie stanowiły ulgę dla jego wzrastającego niezadowolenia, ale wkrótce uczucie niepokoju powróciło jak nadpływająca fala.

Wiatr... wiatr! Niewidzialną ręką szarpnął klamkę. Wcisnął się w komin i plunął pogardliwie dymem i popiołami na jego upartą bezczynność. Zawył, wyszydając jego niezdecydowanie i wątpliwości, jęczał żałośnie wokół domu, przepowiadając gorycz i żal na resztę życia.

Aż w końcu Colin nie mógł znieść tego dłużej.

- Colinie O'Hara - powiedział - jesteś głupcem, ale jeśli musisz iść, to idź, i skończ z tym!

Skoczył nagle do pokoju i znowu się przebrał, tym razem w ciężki strój do polowania i mocne, wodoodporne buty, nałożył płaszcz i nasunął czapkę na uszy. Później zawahał się. Czy powinien zabrać połyskującą broń, która nadal leżała w jego walizce?

Colin żywił pogardę dla wszelkiej broni oprócz tej bardzo skutecznej, w którą wyposażyła go natura. Uważał, że jest coś dziecinnego, a nawet tchórzliwego, w widoku pistoletu w jego wielkiej prawej ręce. W końcu wrzucił go do szuflady, znalazł i wcisnął do kieszeni płaszcz małą latarkę, zgasił ogień w salonie i wyszedł z domu z nosem na przekór własnemu szaleństwu zadartym do góry.

Wichura dosłownie zatykała mu oddech, ale opuścił głowę i ruszył w dół ze wzgórze. Wiedział, dokąd idzie, i jeśli nawet pchał

się tam, gdzie nikt go nie chciał lub nie potrzebował... cóż, trudno, niech i tak będzie.

Była ósma i zdążył akurat na czas, żeby złapać lokalny pociąg, który odchodził co dwie godziny aż do północy. Wsiadł w Undine i z zadowoleniem zauważył, że nawet towarzyski naczelnik stacji zmuszony był schować się przed burzą. Minąwszy niewielkie skupisko sklepów i domów mieszkalnych, Colin doszedł do rogatek, całym ciężarem opierając się podmuchom wiatru i zbyt oślepiiony przez deszcz, aby mieć wiele pożytku z migoczących, stojących w dużej odległości od siebie latarni.

Instynktownie kierował swoje kroki ku bramie, ale dotarwszy do niej, stwierdził, że jego plan jest niedostatecznie sprecyzowany. Czy powinien zadzwonić? A kiedy zjawi się Marco, jaki powód ma mu podać, żeby tamten go wpuścił?

Jeśli w ogóle miał dostać się do środka, to było jasne, że wejście musi być potajemne. Jeszcze raz spojrzął z zastanowieniem na najeżony kolcami mur. I wtedy przypomniał sobie, że naczelnik stacji mówił o drewnianych płotach otaczających część posiadłości. Płot może łatwiej byłoby pokonać, poza tym możliwe, że nie będzie zakończony kolcami.

Dziesięć minut później Colin stanął na drugim brzegu Llewellyn Creek, w miejscu, do którego dotarł, idąc przez most za rogatkami i skręcając w wąską dróżkę odgałęziającą się za nim w bok. Ciągnęła się około stu metrów wzdłuż brzegu i urywała przy czymś, co w świetle błyskawicy okazało się następnym mostem, zwykłym, wąskim, kamiennym łukiem, rozpadającym się i pozbawionym poręczy czy też balustrady.

Okazało się, że po drugiej stronie jest mały budynek, wznoszący się tuż nad brzegiem strumienia i wystający nieco ponad wysokie drewniane ogrodzenie.

Przeszedłszy przez most, Colin znalazł się na wprost zwykłych, drewnianych drzwi umieszczonych w pozbawionej okien granitowej ścianie.

Co ciekawe, drzwi te nie tylko nie były zamknięte, ale nawet lekko uchylone. Wszedł i światło jego latarki, tańczące po

ścianach i po podłodze, ukazało duże, puste, zakurzone pomieszczenie. Jedne na drugich stały pudła i skrzynie do pakowania, a w kącie leżało kilka zardzewiałych części jakiejś starej maszynarii. Nie było tam żywego ducha oprócz szczurów.

Być może to zawartość którejs z tych skrzyń dawała tak nieprzyjemny odór. Przez zapach stęchlizny i kurzu, normalny dla takich miejsc, przebijał ten inny, stanowczo niemiły. Colin zmarszczył się i pociągnął nosem. Nie udało mu się odnaleźć źródła zapachu, więc dał temu spokój i rozejrzał się za wewnętrznymi drzwiami.

Idąc po starej drewnianej podłodze, popękanej w wielu miejscach, odkrył podwójne drzwi, takie jak w powozowni. One również były odryglowane i lekko uchylone.

Ktoś z pewnością był nieuważny. Colin zastanawiał się, czy Dżyngis-chan znów nie znajdował się na wolności, ale doszedł do wniosku, że nie. Żadna rozsądna mała nie wybrałaby takiej nocy, jak ta, na wędrówki.

Wyszedłszy z magazynu, natrafił na wąską dróżkę z desek, która biegła wzdłuż wysokiego na trzy i pół metra ogrodzenia z drutu. Wyglądało na całkiem mocne. Ta sprężysta stalowa siatka mogłaby wytrzymać atak rozszalałego słonia. Ciekawość, stłumiona do tej pory troską o dziewczynę, obudziła się teraz i poddając się jej, Colin skierował światło latarki za ogrodzenie.

Przeszywający mroki snop ukazał obszar rozdeptanego błota i mokrej darni, a za nim małą, do połowy ogrodzoną szopę. Zatrzymał na niej światło. Deszcz, nieco mniejszy przez parę chwil, znowu zaczął padać siekącymi, ukośnymi strugami, ale Colinowi wydawało się, że dostrzegł przez moment jakąś szarą masę, która poruszyła się, kiedy natrafiło na nią światło. Wtem rozległo się płaczące, długie „beee”. Colin wyłączył z rozgoryczeniem latarkę. Zakłócił niewinny odpoczynek jakiejś nieszkodliwej owcy.

Ruszył dalej drewnianą ścieżką, brnąc z trudem w kierunku gdzie, jak czuł, musiał znajdować się dom. Co jakiś czas pozwalał sobie rzucić krótkie spojrzenie przez siatkę, ale przestrzeń za nią

wydawała się pusta. Jedna smutna krowa, która nie miała nawet tak lichego schronienia jak owca, zaryczała na niego żałośnie, kiedy chlupiąc przechodził obok.

Jednego jestem pewien, pomyślał Colin z oburzeniem. Jeśli ten Reed traktuje tak wszystkie stworzenia, wkrótce nie będzie miał żadnego stada, potrzebnego do zabawy w naukowca. To pewne, że wszystkie zdechną na zapalenie płuc!

Przeszedł już spory kawałek drogi, a nadal nie widział niczego oprócz tego absurdalnie mocnego ogrodzenia z drutu po jednej stronie, a po drugiej - zarośli i targanych wichrem drzew.

W ten sposób dotrę jedynie na drugi koniec posiadłości.

Skręciwszy więc, zanurkował w zarośla. Była to nieprzyjemna droga i gdyby nie latarka, byłaby jeszcze gorsza. Rosły tam krzaki porzeczek i jeżyn, zdziczałe, najeżone kolcami i cierniami. Gdy w końcu się z nich wydostał, po raz pierwszy dostrzegł inne światło oprócz swojego własnego, które pośpiesznie wyłączył.

To musi być dom, pomyślał i miał nadzieję, że się nie myli.

Przedzierając się w jego stronę przez mokre dzikie zielsko, które kiedyś było krótko strzyżonym trawnikiem, wszedł między drzewa i wkrótce znalazł się w odległości rzutu kamieniem od swojego celu.

Zauważył dwa światła, które pochodziły z dwóch znajdujących się blisko siebie okien na piętrze. Ostrożnie posługując się latarką, rozpoznał portyk i bramę wjazdową, które widział podczas swojej ostatniej nocnej wizyty.

I teraz, dotarłszy do celu, dla osiągnięcia którego naraził się na oskarżenie o bezprawne wdarcie się na teren prywatnej posiadłości, Colin poczuł się nieco zagubiony. Kiedy tak stał w deszczu, wydawało mu się, że wewnętrzna siła, która do tej pory nim kierowała i która stanowiła jedyne prawdziwe wytłumaczenie jego obecności tutaj, opuściła go teraz jak na ironię.

Zadrzał i spojrzał posepnie na ciemne, niegościnnie wejście. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jakim wścibskim głupcem

musiałby się wydać Reedowi, gdyby ten dżentelmen domyślał się, że on jest tutaj.

Rzucił znowu spojrzenie w stronę oświetlonych okien. Ku swemu zdziwieniu zobaczył, że skrzydło jednego z nich uniosło się. Zmoczone białe zasłony z trzepotem wpadły do środka razem z zacinającym deszczem. Kiedy tak patrzył, pojawiła się tam cofająca się wolno postać i O'Harze zaparło dech na ten upragniony, lecz nieoczekiwany widok.

Stała tam i chociaż była zwrócona do niego plecami i przesłonięta przez deszcz, nie mógł się mylić. Poznał łagodny zarys odzianych w zieloną suknię ramion, prosty biały kark i sposób trzymania głowy. Gdyby przez lata była jego najbliższą towarzyszką, a nie kimś obcym, jak podpowiadał zdrowy rozsądek, nie mógłby wyraźniej czuć, że ją rozpoznaje.

Nadal stojąc twarzą do pokoju, sięgnęła w tył jednym ramieniem i próbowała namacać parapet okienny. Mokra zasłona załopotała i owinęła się jej wokół ręki. Z szaloną energią i szybkością starała się od niej uwolnić. I wtedy pojawiło się inne ramie i Colin zrozumiał wreszcie ten cichy dramat, chociaż widział nadal tylko jednego z aktorów.

To drugie ramie nie było ani czarujące, ani łaskawe. Białe, porośnięte futrem, szorstkie jak blady, gruby pęd winorośli, zbliżało się do jej gardła, a dłoń i palce były niezwykle długie i okropne. Colin poznał tę rękę, gdyż poczuł ją kiedyś na własnym gardle. Z głośnym krzykiem skoczył przez podjazd i stanął pod oknem.

- Skacz! - wrzasnął przez padający strumieniami deszcz. - Przechyl się i skacz!

Domagał się trudnego wyczynu, a z miejsca, gdzie czekał, nie widział, co się dzieje nad nim. Jak mogłaby umknąć tej bliskiej, wyciągającej się ręce? I dlaczego miałyby posłuchać rozkazującego ryku, który dobiegł z ciemności?

Minęły trzy sekundy, cztery, pięć. To szaleństwo. Musi się tam jakoś dostać, zanim nie będzie za późno i...

Nad nim ukazała się wychylona z okna głowa i para szczupłych ramion, a cichy głos zawołał:

- Idę! Wystraszyłeś go!

Dwie białe, bose stopy zwiesiły się z parapetu. Siedząc tak, dziewczyna przemokła w jednej chwili. Wysunąć się nad szalejącą przepaść burzy i oślepiającego deszczu i skoczyć w pustkę, która mogła przyjąć ją łagodnie albo nie - to musiało wymagać odwagi albo niezwyklej lekkomyślności. A jednak usiadłszy w ten sposób, dziewczyna bez żadnego wahania odepchnęła się i skoczyła.

Colin złapał ją w ramiona i nawet nie zachwiał się od wstrząsu. Wydawało mu się, że opadła lekko jak liść płynący ku ziemi lub jak ptak z bańkami powietrza w skrzydłach. Jak zwiększyła się jego siła, skoro leżała mu w ramionach tak lekka? Zamknął je wokół niej w gwałtownym, obronnym geście. To stworzenie... ta owłosiona małpia istota... ośmieliła się ją dotknąć... jego Panią Zmierzchu!

- Jesteś ranna? - wyszeptał. - Czy to dlatego leżysz tak cicho?

Odpowiedziała mu tym samym cichym, słodkim głosem, którym mówiła do niego z okna.

- Nie, mój panie. Ale dobrze, że przyszedłeś właśnie teraz, i dobrze, że do mnie zawołałeś! Myślę, że tamten demon zabiłby mnie, gdybyś go nie wystraszył swoim grzmiącym głosem. Mój panie, zabierzesz mnie stąd?

„Mój pan” nie bardzo wiedział, co robić. Jakiejś dziwnej, ukrytej części jego istoty wydawało się naturalne, że dziewczyna zwraca się do niego w taki sposób; całkiem zrozumiałe i właściwe, że mówi z niezmaconą ufnością kogoś, kto powołuje się na starą przyjaźń - starą i wypróbowaną. Ale rozum nie był taki spokojny. Jej ojciec mówił prawdę - dziewczyna była chora!

- Oczywiście, że cię zabiorę - powiedział. - Czy nie po to czekałem pod twoim oknem? Ale najpierw pójdziemy do domu i załatwimy wszystko jak należy, tak aby nikt nie mógł powiedzieć, że cię wykradłem, mała damo.

- Co? Wrócić w te nienawistne mury? Ale po co?

- To sprawa uczciwości, moja droga. A poza tym, musisz się wysuszyć i lepiej ubrać, zanim będę cię mógł zabrać. Cała drżysz.

- To nie z zimna - zaczęła, ale właśnie wtedy tuż obok głowy Colina pojawiło się światło.

Zaskoczony odwrócił się i zobaczył, że znajduje się blisko okna holu. W jego polu widzenia ukazały się dwie biegnące postacie, a chwilę później usłyszał, jak otwierają się drzwi wyjściowe.

Niosąc dziewczynę, ruszył w kierunku schodów, gdyż nie był skradającym się tchórzem i nie czuł ani wstydu, ani potrzeby tłumaczenia swojej obecności tutaj. Był aż nadto usprawiedliwiony.

Marco wyszedł mu na spotkanie, a za nim pochylony, warczący, zwierzęcy kształt, który Colin widział tylko przez chwilę. Dżyngis-chan być może rozpoznał swojego wroga, który gonił go przez pięć mil, a jeszcze przedtem złamał mu prawe ramię, unieruchomione teraz u boku. Natychmiast cofnął się i wymknął przez drzwi z błyskawiczną szybkością gigantycznego białego karalucha. Ale Marco został na miejscu.

- Ty... ty! - wymamrotał, wskazując na niego trzęsącym się z wściekłości palcem. - Znowu przyszedłeś? Dotykasz jej... mojej pani?

- Lepiej, że ja, a nie inni, mniej godni szacunku - odparł O'Hara spokojnie. - Czy jest twój pan?

- Wiesz przecież, że nie ma! Boisz się go... wszyscy się go boją! Przychodzisz, kiedy go nie ma! Puść ją... oddaj mi moją panią!

Podszedł i wsunął rękę pod ramię dziewczyny, jak gdyby chciał ją oderwać od niego. Krzyknęła wtedy po raz pierwszy, chwytając się Colina kurczowo.

Na to Colin uderzył Marco pięścią, wspomagając cios całą swoją, rzeczywiście straszliwą, siłą.

Było to niepotrzebne, okrutne działanie i pożałował go natychmiast.

Marco nie był dla niego żadnym przeciwnikiem. Gdyby Colin zachował zimną krew, odsunąłby go, nie robiąc krzywdy. Ale widok tej odpychającej, czerwonoookiej, bladej istoty dotykającej dziewczyny oraz odraza i przestach w jej głosie podziały na niego jak mocny trunek. Uderzył bez zastanowienia, jak szkodliwego owada, pragnąc go rozgnieść, usunąć z tego świata, który plugawi swoim istnieniem.

Cios trafił Marco w sam podbródek. Głowa odskoczyła w tył z głośnym trzaśnięciem, ciało przeleciało przez cały ganek i zatrzymało się na progu. Drgnęło konwulsyjnie i znieruchomiało.

Colin stał, a dziewczyna przywarła do niego, cicha i drżąca.

Cicho wszedł po schodach, przeszedł przez ganek, delikatnie uwolnił się od jej ramion i postawił swój ciężar w holu bosymi stopami na suchej miękkości dywanu.

Później pochylił się nad Marco. Uderzył go mocno... zbyt mocno i dobrze o tym wiedział. Z kącika opadniętych ust ciekła wąska, szkarłatna strużka. Wcale nie był zaskoczony, kiedy uniósł plecy albinosa, a głowa bezwładnie opadła do tyłu na złamanym karku, trzymając się na kilku naderwanych ścięgnach. Odszukał serce Marco, zbadał palcami szyję. Następnie położył go i wstał.

Znad martwego mężczyzny spojrział na swoją obłąkaną Panią Zmierzchu. Patrzyła na niego ciemnymi, niedowierzającymi oczami. Mokra, zielona suknia przykleiła się do ciała, jak zielona kora młodego drzewa, a gęste loki połyskiwały czernią i lśniły.

Stała tam jak jakiś zasmucony duch zniszczonego przez burzę lasu i Colin poczuł wstyd. On, który przyszedł, żeby ją bronić i strzec jej, stracił panowanie nad sobą i wpędził ich w Bóg tylko wie jakie tarapaty.

- Mój panie, dlaczego jesteś taki smutny? Czy uraziłam cię?

- Ty? Biedne dziecko, nie, to ja sam zawiniłem... ale mniejsza o to. Idź do swojego pokoju, panienko, i przebierz się, żebym mógł cię zabrać w przyjemniejsze miejsce. Marco nie będzie cię już więcej niepokoił w nocy. On jest... ranny.- Ranny? Nie jest martwy?

Powiedziała to tak zwyczajnie i z tak dziecinnym rozczarowaniem, że spojrzał na nią osłupiały.

- Mniejsza o to! - powiedział niemal ostro. - Mniejsza o to! Przebierz się w suche i ciepłe ubrania, i włóż płaszcz przeciwdeszczowy, jeśli go masz.

Zmarszczywszy brwi, spojrzała w dół na swój nieodpowiedni, lecz twarzowy strój.

- Winna ci jestem posłuszeństwo, mój panie, ale ślubowałam sobie, że nigdy nie założę ubrań, które on mi dał. Czy muszę złamać tę przysięgę?

- Tak, obawiam się, że musisz. Nie wpuszczą cię w tym do pociągu.

Zastanawiała się przez chwilę. Później powiedziała:

- Włożę płaszcz, jeśli mój pan tego sobie życzy. - I poszła w stronę schodów.

Przypomniawszy sobie o Dżyngis-chanie O'Hara ruszył za nią. Zaprowadziła go prosto do drzwi na końcu korytarza na piętrze, gdzie ujrzał ją po raz pierwszy. Były otwarte i kiedy weszła, zajrzał do środka ponad jej ramieniem.

Zobaczył duży pokój, dobrze, nawet luksusowo urządzone. Najwyraźniej Reed nie żałował pieniędzy na bezpośrednie otoczenie córki, choć nie dbał o jej dobro pod innymi względami.

Upewniwszy się, że wielka mała nie czai się nigdzie w pokoju i zamknąwszy okno nad zalany przez deszcz perskim dywanem, O'Hara zostawił swoją podopieczną samą. Nie mówiła nic, tylko patrzyła na niego uważnymi oczami, które śledziły każdy jego ruch, a on sam nie miał zbytniej ochoty na rozmowę.

Zamykając drzwi, odwrócił się jednak.

- Gdzie jest telefon? - zapytał.

- Te... telefon?

- Telefon... skrzynka, przez którą się rozmawia, kiedy zadzwoni - wyjaśniał O'Hara cierpliwie.

Potrząsnęła głową z zakłopotaną, zrozpaczoną miną, która była dla niego niewypowiedzianie rozrzewniająca.

Rzeczywiście była Panią Zmierzchu, błądzącą w mroku zaćmionego umysłu!

- Znajdę sam - powiedział pośpiesznie i zamknął drzwi.

Zszedł po schodach, powoli i ciężko, przygnieciony wielkim strapieniem. Pomimo zapewnienia Reeda, O'Hara aż do ostatniej godziny, na przekór zdrowemu rozsądkowi, żywił potajemną, nie wypowiedzianą nadzieję, że dziewczyna o powierzchowności elfa, która pociągała go jak nigdy przedtem żadna kobieta, okaże się zdrowa i normalna. Ta nadzieja teraz rozwiała się... umarła jak biedny albinos, zabity przed domem swojego pana. I dla tej obłąkanej dziewczyny popełnił zbrodnię, która w jego własnych oczach sprowadzała go do poziomu zwykłego bandyty.

Na dole skręcił i podszedł do drzwi, za którymi powinno leżeć ciało jego biednej, odrażającej ofiary. Stał na progu holu i... oto... ganek był pusty!

Nie było tam ciała Marco ani żadnego śladu po nim.

Rozdział XIX. Cliona przyjmuje gościa.

- Zapłacę za przejazd, bo nie mam biletów. - Konduktor skinął głową i odliczył drobne.

- Paskudna noc, panie O'Hara - zauważył uprzejmie.

Jak każdy człowiek na tej krótkiej trasie, znał połowę swoich pasażerów z widzenia i wielu z nazwiska, i mało było powtarzanych w prowincjonalnych miejscowościach plotek, których by nie znał. O'Hara jeździł z nim zaledwie parę razy, ale konduktor wiedział o każdym fakcie dotyczącym życia Irlandczyka w Carpentier. Pamiętał, że zabrał go do Undine nieco wcześniej tego wieczora.

Teraz O'Hara jechał do miasta, dokąd, jak mówiono, nigdy nie jeździł, a towarzyszyła mu tajemnicza kobieta.

O tej porze - wpół do dwunastej - w tym lokalnym pociągu nie było innych pasażerów, więc konduktor miał wiele czasu na rozmyślanie.

Siedząc na zakurzonych czerwonych, pluszowych poduszkach obok swojej milczącej Pani Zmierzchu, O'Hara ponuro dumiał nad rezultatami swojej wyprawy.

Zniknięcie ciała Marca zaniepokoiło go, ale nie zrobił nic, żeby je znaleźć. Może w ciągu tych kilku minut, kiedy znajdował się na piętrze, Dzyngis-chan odciągnął je gdzieś; lub może oprócz dziewczyny jeszcze inny świadek widział zabójstwo Marco i bał się pokazać okrutnemu intruzowi, który wtargnął do domu Reeda?

Uczepił się jednej myśli. Cokolwiek zrobił, córka Reeda nie powinna spędzić kolejnej nocy w tym domu pełnym tajemniczych ludzkich i zwierzęcych mieszkańców.

Dziewczyna milczała i o nic nie pytała, a on był zadowolony z jej milczenia. Kiedy mówiła, jego umysł stale buntował się przeciwko dziwacznościom jej wypowiedzi. Kiedy milczała, czuł, że odnawia się nieuchwytna więź, która zdawała się istnieć pomiędzy nimi. Kiedy milczała, był w stanie zapomnieć, że między nimi jest również straszne widmo obłąkania.

- Mój panie, nadal gniewasz się na mnie?

Na dźwięk tego cichego, lekko drżącego głosu O'Hara odwrócił się niechętnie do dziewczyny siedzącej obok niego. Kiedy mówiła, czuł w stosunku do niej jedynie litość i łagodność, ale bał się tego, co może powiedzieć, jakby wstydząc się absurdalności jej słów.

- Nie gniewam się na ciebie, panienko - odpowiedział życzliwie.

- Więc jesteś niezadowolony. Czy dlatego, że nie opowiedziałam ci mojej historii? Opowiedziałam ją paru osobom, ale one nie mogły... nie mogły jej zrozumieć...

Umilkła, wahając się, a O'Hara jęknął w duszy i pomyślał: I jak miałyby zrozumieć? Biedna dziewczyna, tylko Bóg rozumie obłąd!

- Ale ty nie jesteś taki, jak inni; ty uwierzysz, bo jesteś wielki, silny i szlachetny, i co więcej, jesteś połączony ze mną Złotą Nicją.

Colin drgnął.

- Nie mów nic! - przerwał jej pośpiesznie. Następnie, widząc, że zamknęła się w sobie, lekko urażona, dodał: - Nie starczy nam teraz czasu na całą twoją opowieść. Zaczekaj, panienko, aż znajdziemy się bezpieczni w domu mojej siostry. Już za kilka minut wysiądziemy z pociągu.

- Zaczekam - odpowiedziała z uległym westchnieniem i rzeczywiście nie było już więcej czasu na rozmowę. Wjeżdżali właśnie na stację w mieście. Niedługo potem Colin prowadził swoją podopieczną do wyjścia, wdzięczny za późną porę i brzydką pogodę.

W pociągu było niewielu ludzi i w każdym razie jego obawy okazały się niepotrzebne. Kiedy szli, dziewczyna przytuliła się do jego ramienia.

Nareszcie dotarli do Green Gables. Kiedy Colin, stojąc pod osłoną bramy wjazdowej, płacił taksówkarzowi, podjechał inny

samochód i stanął tuż za taksówką. Wsiadł z niego Rhodes, bardzo spóźniony - jak na niego - ale rozpromieniony po pomyślnym dniu pracy. Kilka chwil później to zadowolenie rozpląnęło się w czystym osłupieniu.

Colin, pełen niepokoju i podniecenia w związku z wydarzeniami ostatnich kilku godzin, zupełnie zapomniał, że dla Rhodesa znajduje się kilka tysięcy kilometrów stąd i minęła chwila, zanim zrozumiał powód zdumienia swojego szwagra, który stanął jak rażony piorunem.

Zaskoczony i jednocześnie szczerze uradowany, że widzi go tutaj, Rhodes nie zauważył dziewczyny stojącej cicho u boku O'Hary, dopóki ten ostatni nie zaproponował, żeby wyjaśnienia odłożyć na później. Dopiero wtedy zwrócił uwagę na tajemniczą towarzyszkę Colina.

- Ta młoda dama - powiedział Colin, wysuwając ją przed siebie - to moja przyjaciółka i myślę, że będzie również waszą przyjaciółką. To pan Anthony Rhodes, mąż mojej siostry, Tony, panna Reed przyjechała z daleka i potrzebuje odpoczynku.

- Moja żona przyjmie panią z radością, panno Reed. Proszę do środka.

Pomimo serdecznego tonu, Rhodesa w głębi duszy ogarniało coraz większe zdziwienie. Nagły i nie zapowiedziany powrót O'Hary w towarzystwie tajemniczej i ślicznej kobiety, która wygląda na nierozgarniętą - na przywitanie i jego zaproszenie do środka odpowiedziała jedynie ledwo zauważalnym skinieniem głowy - wydał mu się nedorzecznie dziwny i całkowicie niezgodny z charakterem O'Hary.

Ledwo wyciągnął klucz z zamka i zamknął drzwi, na szczycie schodów pojawiła się Cliona. Wysłała służących do łóżka, a sama czekała na męża. Zaplanowała miłą kolacyjkę we dwoje ze swoim ukochanym Tonym i założyła dla niego najbardziej czarujący neglig - miękki, biały jedwab i szyfonowe mankiety ze złotym oblamowaniem - więc widok dwóch innych osób wchodzących za nim wprowadził ją w zakłopotanie. Później, rozpoznawszy Colina, zbiegła ze schodów jak biały, powitalny wietrzyk.

Colin roześmiał się, zatrzymując ją na odległość ramion od siebie.

- Jedwab i wstążki - powiedział - nie widzisz, że cały ociekam deszczem?

- Mamy gościa, Cliono - odezwał się Rhodes najmiłszym swoim tonem. - Panno Reed, pozwoli pani, że przedstawię swoją żonę.

- Och - mruknęła Cliona, zerkając na swojego brata, za którego potężną postacią schował się gość. - Miło mi panią poznać, panno Reed. Może wejdzie pani na górę i zdejmie płaszcz? Widzę, że jak zwykle Colin wzgardził parasolem i obawiam się, że pani ucierpiała z tego powodu.

Przerwa i cisza.

- A zresztą, jeśli o to chodzi, przypuszczam, że żaden parasol nie wytrzymałby takiego wiatru, jaki mamy dzisiaj przez cały wieczór. Za parę minut będzie mała kolacja i coś gorącego, żebyście wszyscy troje nie przeziębili się.

Żadnej odpowiedzi ani reakcji ze strony tajemniczej osoby.

- Pójdzie pani ze mną, panno Reed?

Na to również żadnej odpowiedzi.

Dość trudno jest kierować potok serdecznych powitań do ciemnej, nieruchomej, milczącej postaci, której sama obecność niesie złowieszcze przeczucia. I podczas gdy usta Cliony nie zamykały się, jej umysł zaprzątnięty był domysłami.

Kim też mogła być ta dziwna kobieta? Reed? Reed? Ależ to było nazwisko właściciela tej dziwnej farmy hodowlanej. I Colin przyjechał otwarcie do Green Gables, czego miał nie robić, dopóki nie zakończy się sprawa bungalowu.

Czyżby więc tajemnica została wyjaśniona? I co wspólnego miała z tym panna Reed? Dlaczego Colin przywiózł ją tutaj w środku nocy i bez uprzedzenia? Kiedy telefonował do niej o siódmej, nie miał nic określonego do zrelacjonowania albo tylko tak powiedział.

Cliona przestała mówić i zapanowała jedna z tych nagłych, upiornych ciszy, do jakich nigdy nie powinna dopuszczać idealna

gospodyni. Cliona chciała być idealną gospodynią; spoglądała błagalnie to na Rhodesa, to na Colina.

Ten ostatni zdał sobie sprawę, że nadeszła pora, kiedy musi wszystko wyjaśnić. Westchnął przed czekającym go zadaniem i zwrócił się do swojej Pani Zmierzchu.

- Zdejmij płaszcz, dziecko - powiedział łagodnie. - To moja siostra, o której ci mówiłem. W tym domu znajdziesz tylko dobroć.

Cliona i Tony spojrzeli na nią zafascynowani. Sytuacja była niekonwencjonalna. Było tu coś, co rozumiał tylko Colin.

Ujrzeni twarz koloru magnolii, karmazynowe usta i gwiazdziste, przestraszone oczy, ale gość nadal nie odzywał się.

- Och! - krzyknęła Cliona mimowolnie, a Rhodes zawtórował w myśli temu okrzykowi. Gdzie Colin znalazł tę dziewczynę z jej niezmierną urodą i równie niezmiernymi manierami? W Ameryce Południowej? Może to Hiszpanka? Wyglądała na jakąś Latynoskę.

- Pozwól, że wezmę twoje rzeczy - zaproponowała Cliona, uświadamiając sobie, że płaszcz dziewczyny jest równie mokry, jak płaszcz Colina.

- Mam je zdjąć tutaj?

Tajemnicza panna Reed zadała to pytanie O'Harze, jakby uważała go za sędziego swoich nawet najbliższych czynności.

- Możesz i tutaj. - Zdjął swój płaszcz i w zamyśleniu położył go na stojaku do parasoli. Był zbyt mokry, by powiesić go na znajdującym się w holu wieszaku.

Panna Reed nie miała na głowie kapelusza, jedynie kaptur płaszcza. Rozpiąwszy płaszcz, wysliznęła się z niego zręcznie, zostawiając go w rękach O'Hary.

Zaskoczona trójka wciągnęła głośno powietrze, z tym że Colin zrobił to najbardziej ekspresyjnie. Święci pańscy, był szczęśliwy, że wcześniej nie miała okazji, by zdjąć płaszcz na dworcu lub w pociągu.

Z tym wyjątkiem, że jej stopy nie były już białe, stała tam, jego Pani Zmierzchu, dokładnie tak, jak stała na dywanie w holu

Reeda, podczas gdy Colin pochylał się nad ciałem Marco. Zielona suknia, całkiem mokra, przylegała do ciała, ukazując zarysy cienkiego kostiumu kąpielowego. Ciemne włosy zwisały w tak samo pięknych, choć bezładnych lokach, i po raz pierwszy Colin z bólem zauważył przetarte miejsca w jej sukni, przez które przeświecała biała skóra.

Jej ciemne oczy przenosiły się z jednej twarzy na drugą, przestraszone, pytające. Wszyscy, nawet jej „pan”, patrzyli na nią w dziwny sposób, w jaki nie przyglądał się jej nikt od początku długiego okresu smutku. W miejscu, gdzie się urodziła, nie przywiązywano takiej ogromnej wagi do stroju, jak tutaj, w „cywilizowanym” kraju, i naprawdę niewiele miała okazji, by się tego nauczyć. W domu w Undine trzymano ją w zamknięciu i strzeżono.

Coś było nie w porządku. Ale co?

Rzucając spojrzenia na zarumienioną, zaskoczoną twarz siostry, O'Hara pragnął całym sercem, żeby nie czekało go tak wiele... tak wiele wyjaśniania. Przedstawić obłąkaną i na wpół ubraną dziewczynę i przyznać się, że jest mordercą, a wszystko to w ciągu tej samej godziny... cóż...

Z kolejnym ciężkim, znużonym westchnieniem Colin zabrał się do tego zadania.

Był ranek. Wiatr i deszcz szalały przez całą noc, a teraz wspaniałe słońce późnego października robiło wszystko, co w jego mocy, by rzucić ostatni blask lata na drżące, ogołoczone przez burzę drzewa i pozłocić rozmokły, liściasty dywan, który okrywał trawniki i ogródki. Odniosło jednak większy sukces, kiedy zajrzało w okna jadalni Cliony, i tak już wystarczająco wesołego pokoju.

Chociaż było już blisko południa, Cliona i Rhodes zjawili się przy stole jako pierwsi. Cliona z zamyśloną miną wkładała kromki

chleba do elektrycznego opiekacza, podczas gdy jej mąż przeglądał mechanicznie poranną gazetę.

Odłożywszy ją, wziął do ręki pierwsze wydanie tak zwanego dziennika popołudniowego, który miał paradoksalny zwyczaj ukazywania się o jedenastej rano. Natrafił w nim na pewien artykuł i jego powierzchowna uwaga zmieniła się w żywe zainteresowanie i sprawiła, że przeczytał go dwukrotnie, złożył gazetę i z bardzo zmienioną miną schował ją do kieszeni.

Cliona skupiała uwagę na tostach, ale podniósłszy głowę zauważyła, że coś jest nie w porządku.

- Nie czujesz się dobrze? - zapytała szybko. - Co się stało, Tony?

Uśmiechnął się uspokajająco.

- Nic, czemu by nie mogła zaradzić kawa. Lekki ból głowy. Rewelacje z zeszłej nocy były nieco denerwujące, chociaż ty nie byłaś zdenerwowana, prawda?

Spojrzał na nią z podziwem. Wyglądała delikatnie i świeżo w prostej, domowej sukience z niebieskiego lnu i nic nie świadczyło o bezsennej nocy, którą miała za sobą.

- Myślę, że jesteś jedyną kobietą na świecie, która potrafi znosić podobne napięcie w taki sposób, jak ty to robisz. Szczerze mówiąc, sądzę, że Colin zwariował przychodząc tutaj z dziewczyną i tą całą historią, dopiero co po twojej chorobie. Ale widzę, że zna cię lepiej niż ja!

- Nie lepiej... inaczej - uśmiechnęła się do niego, a później nagle spoważniała.

- Tony, czy pozwolimy mu to zrobić?

- Co? Zgłosić się samemu? Ależ Cliono, nie wiem, co innego mógłby zrobić. Gdyby zostawił dziewczynę tam, gdzie ją znalazł, poszedł spokojnie do domu i zachował później milczenie, to wątpię, czy połączono by go z tym mor... ze śmiercią tego człowieka, Marco. Nikt nie przywiązałby żadnej wagi do jej historii, nawet gdyby była w stanie ją opowiedzieć. Ale w takiej sytuacji, kiedy zabrał dziewczynę z domu jej ojca i został

rozpoznany przez konduktora, i prawdopodobnie przez parę innych osób, jest niemożliwe, by nie powiązano go z tą sprawą. Ktoś, kto zna Colina, nigdy nie uwierzy, że zamierzał zabić tamtego człowieka; poza tym, prowokacja była pewnie większa, niż mówi. Przywiezienie dziewczyny tutaj jest wystarczającym dowodem jego dobrych intencji i teraz, kiedy sprawa zaszła tak daleko, jedyne wyjście dla niego to zgłosić policji usprawiedliwione lub nieumyślne zabójstwo. Nie jestem specjalistą od spraw kryminalnych, ale myślę, że po przeszukaniu rezydencji Reeda, wyjaśnieniu wszystkiego i przełożeniu dowodów bezstronnemu sądowi, Colin wyjdzie z tego bez szwanku. Ta piękna, chora umysłowo dziewczyna, zostawiona na łasce ogromnej małpy i najprawdopodobniej degenerata, na pewno w zdumiewający sposób zaskarbi sobie ogólną sympatię. Ale ty i ja musimy poradzić sobie z niesfornym sumieniem Colina. On mówi, że zamierzał zabić tego człowieka i że chce ponieść karę. Jeśli powtórzy to samo w sądzie i kiedy zacznie się porównywać posturę Colina i Marco, sąd będzie skłonny mu uwierzyć! Nie próbuję cię straszyć, kochanie, ale chciałbym, abyś zdała sobie sprawę, że trzeba przekonać Colina!

Cliona spojrzała na niego całkiem spokojnie.

- Należy go przekonać do czegoś więcej... trzeba go przekonać, że to nie on, lecz ta wielka małpa, Dzyngis-chan, zabiła Marco!

Rhodes otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a później zamknął je. Sumienie kobiety to delikatna rzecz, odmienna od sumienia mężczyzny. Cliona, najniewinniejsza z kobiet, uważała, że krzywoprzysięstwo jest niską ceną za wolność i życie brata. A jednak nie było to większe krzywoprzysięstwo niż to, które proponował jej mąż.

Rhodes żywił głęboką i szczerą przyjaźń dla brata swojej żony. Znał jednak również gwałtowność i porywczosć tego mężczyzny. W głębi serca wierzył, że Colin przez jedną szaloną chwilę, jak sam twierdził, chciał śmierci Marco. Jednakże dla jego męskiego umysłu istniała różnica między przedstawionym w czasie obrony sądowej kłamstwem o nieumyślnym zabójstwie a śmielszym

kłamstwem, które przesuwano cały ciężar winy na inne barki, nawet jeśli były to barki zwierzęcia.

I w tym momencie zjawił się Colin.

Jeśli to możliwe, wyglądał na jeszcze bardziej przybitego niż zeszłej nocy. Wczoraj wstydził się przed nimi dwojgiem, a teraz musiał iść i wstydzić się przed mniej przychylnym audytorium. A dziewczyna, którą kochał, była obłąkana! Świat, pomimo słońca, wydawał się Colinowi O'Harze bardzo zimny i ponury tego ranka.

- Gdzie jest moja... panna Reed? - zapytał siadając.

- Twoja panna Reed jest jeszcze w łóżku - odparła Cliona, siłąc się na niefrasobliwość. - Poleciłam, żeby zaniecono jej śniadanie na górę.

- O! W porządku.

Colin rzucił się na śniadanie podane przez pełnego godności lokaja, którego Rhodes przejął razem z tym dużym domem. Stwierdził jednak, że ma zadziwiająco mały apetyt. Kiedy zostali sami, odłożył łyżkę, odchylił się na oparcie krzesła i włożył ręce do kieszeni.

- Jadę teraz do miasta.

- Tak - powiedziała Cliona spokojnie. - A my jedziemy z tobą.

- Nie.

- Zanim ktokolwiek pojedzie - wtrącił się Rhodes z wielką stanowczością - będziemy musieli omówić pewne rzeczy trochę dokładniej.

- Nie ma nic do omawiania - zaczął Colin w swój najbardziej uparty sposób, ale właśnie wtedy drzwi otworzyły się i w szparze ukazała się nieśmiała, piękna twarz.

- Czy mogę... czy wypada, żebym weszła?

- Oczywiście... wejź, kochanie. Poczujesz się samotna w swoim pokoju?

Cliona, choć miała powód, żeby nie lubić dziewczyny, która przyniosła im wszystkim smutek, nie potrafiła traktować jej

inaczej niż uprzejmie. Wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je przed pięknym, niezwykłym gościem.

Nie miała na sobie zielonej sukni, chociaż Colin niejasno podejrzewał, że kryje się gdzieś pod lawendowym peniuarem, który teraz zdobił jej osobę. Cliona wiedziała jednak. Niefortunny strój własnoręcznie wyrzuciła o trzeciej nad ranem, po zabiegach dyplomatycznych podobnych do tych, które mogłyby stanowić o losie narodów, ale ledwo wystarczających, by przekonać gościa do zdjęcia go i przebrania się w jedną z jej własnych wykwintnych koszul nocnych.

Prowadzona przez Clionę, dziewczyna weszła i usiadła na czwartym krześle przy małym, kwadratowym stole, naprzeciwko Colina. Każdy ruch, każde spojrzenie świetlistych, smutnych oczu wyrażało bojaźliwość pełnej wdzięku dzikiej istoty pragnącej uwierzyć w szczerłość tych, którzy ją otaczali i przypodobać się im, ale głęboko świadomej obcości otoczenia.

Nie dano jej okazji do opowiedzenia swojej historii. Zeszłej nocy wszyscy wydawali się bardzo przejęci zabójstwem tego, który, jak dobrze wiedziała, zasłużył na śmierć... tak przejęci, że nie poświęcili jej uwagi i wszelkie próby odezwania się... w jakiś sposób wypadły źle.

Patrzyli na nią wtedy uprzejmie, z litością... i bardzo grzecznie dawali do zrozumienia, że byłoby najlepiej, gdyby milczała. Nie ośmieliła się nawet zacząć najważniejszej części swojej historii. Ta przeznaczona była tylko dla uszu jej „pana”. Z pewnością on, który jest tak nieodwołalnie z nią związany, musi zrozumieć i uwierzyć.

Dziwne, jak wypowiedzenie jednego słowa lub powstrzymanie się przed nim może czasami wpłynąć na czyjeś losy! Jedno słowo... jedno z kilku imion, które miała na końcu języka... i zasłona niezrozumienia opadłaby.

Ale sądziła, że jej „pan” nie ma pojęcia o tych imionach, podobnie jak te kilka osób, z którymi pozwolono się jej spotkać w tym zwariowanym świecie, leżącym za rodzinnymi wzgórzami.

Znała go i on ją, a nie znali się zupełnie... paradoks, który miał ich jeszcze wiele kosztować.

Dziewczyna była naprawdę piękna... pomyślał, że jest piękniejsza w blasku słonecznym niż przy nocnym oświetleniu. Jej włosy były teraz suche i tworzyły wokół twarzy delikatny cień, który sprawił, że od pierwszego wejrzenia O'Hara nazwał ją Panią Zmierzchu. Gładka skóra była perłowo, przezroczyście biała, niemal jak alabaster z lekko różowym odcieniem, a oczy błagalne i łudząco inteligentne. Rhodes czuł, że teraz sam Colin jest wystarczającym problemem i że obecność jego pomyłonej protegowanej jest niepotrzebna.

- Czy dobrze pani spała, panno Reed? - zapytał.

A ona odpowiedziała z godną podziwu prostotą:

- Spałam.

- A dlaczego by nie? - spytał Colin z wymuszoną wesołością. - Jesteś z dala od tamtego domu i nawet twój ojciec nie zabierze cię tam z powrotem, panienko.

- Mój ojciec? Och! Masz na myśli tego człowieka, który nazywa się Chester Reed? On nie jest moim ojcem.

- Nie? - Rhodes próbował wyglądać na zainteresowanego. - Więc pani nie nazywa się Reed?

Dziewczyna wyprostowała się w zabawnym geście wyższości i odpowiedziała zaskakująco:

- Ja nie mam nazwiska.

Przez wyrazistą twarz O'Hary przemknął wyraz bólu. Znowu opanowały go dwa uczucia - wstyd z powodu jej żalonych wypowiedzi i głębsza od niego sympatia, która nie liczyła się z obłąkaniem.

Zauważyła ból w jego oczach, chwilowe zdziwienie na dwóch innych twarzach i natychmiastowe ukrycie go za uprzejmą, nieźnośną tolerancją, z jaką dobrze wychowane, zdrowe na umyśle osoby odnoszą się do obłąkanych. Zauważyła to, gdyż skuliła się na krześle, a ciemne oczy zabłyśły.

- Wiesz, drogie dziecko - powiedziała Cliona łagodnie - ponieważ my wszyscy mamy nazwiska, przypuszczamy, że inni ludzie również je mają. Ale naprawdę, jeśli chcesz, żeby tak było, możesz nie mieć nazwiska, kiedy jesteś z nami.

Zmarszczywszy brwi, dziewczyna patrzyła kolejno na wszystkich, jak gdyby próbowała ustalić, co naprawdę znaczy ich zaskoczenie i zbyt uspokajające zapewnienie Cliony. Później powiedziała bardzo cichym głosem, jakby mówiła tylko do siebie:

- Wszystkie te zwyczaje są takie dziwne!

- Takie właśnie są - przyznał O'Hara z przesadną serdecznością.
- Ale teraz przestań, proszę, zajmować się tą sprawą. Co nas obchodzą nazwiska... całą naszą czwórkę? Na Boga, przecież byłoby nam wszystko jedno, gdyby na całym świecie nie było nazwisk... nie potrzebujesz żadnego, panienko, ani twoja matka, ani twój ojciec...

- Och! - krzyknęła dziewczyna, rozpromieniając się nieoczekiwanie. - Mój ojciec oczywiście miał nazwisko i dał je również mojej matce, lecz jeśli chodzi o mnie, nie brałam ślubu. Więc u was panny mają nazwiska?

- Zazwyczaj - westchnął Rhodes. Sądził, że muszą ustąpić biednej dziewczynie. - Gdyby pani powiedziała nam nazwisko swojego ojca, moglibyśmy tak się do pani zwracać... to znaczy, jeśli nie podoba się pani „panna Reed”.

Po raz pierwszy roześmiała się.

- Nazywać mnie, jakbym była moim ojcem! Jak dziwne są wasze zwyczaje!

Następnie spojrzała niespokojnie na obecnych przy stole.

- Słyszałam, jak mówił, że coś zaszkodziło jego nazwisku... nie wiem, co... i że przyniosłoby mu ono kłopoty w kraju jego narodzin. Ale wy jesteście moimi przyjaciółmi... nie powiecie nikomu. Jesteście przyjaciółmi, prawda?

Colin skinął głową i uśmiechnął się, chociaż jęknął w duszy.

Rhodes zaśmiał się w uprzejmy, dodający otuchy sposób, a Cliona, przepelniona litością, pochyliła się nad stołem i pocałowała biedną, chorą dziewczynę w piękne czoło.

- Jesteśmy przyjaciółmi - odpowiedziała miękko. A później: - Och, o co chodzi, Masters?

Lokaj, który właśnie wszedł, wyprostował się z obojętną twarzą.

- W holu jest dwóch mężczyzn. Prosim cię, żebyś powiedział panu Rhodesowi, że są z policji i chcą natychmiast zobaczyć się z panem O'Hara. Jeden z nich mówi, że nazywa się MacClellan, sir.

Masters zjawił się w Green Gables tuż po „wyjeździe” O'Hary do Ameryki Południowej i dlatego nie znał MacClellana, chociaż ten kilkakrotnie już składał wizyty w tym domu. Ale Masters wiedział, że nie podoba mu się dom, w którym rudzi olbrzymi przychodzą na śniadanie ubrani w zniszczone, wodoodporne khaki, a później wzywani są przez ludzi w prochowcach. Jednakże wewnętrzne rozterki Mastersa były niczym w porównaniu z konsternacją, jaką wywołały jego słowa u trojga słuchających.

Nikt się nie odezwał, ale spojrzenia krzyżujące się nad stołem były bardzo wymowne. Potem Rhodes zwrócił się do swego majestatycznego służącego ze spokojem, na jaki tylko mógł zdobyć się w tej chwili.

- W porządku, Masters. Powiedz im, żeby poczekać parę minut... tam w holu.

- Dobrze, sir.

Kiedy krępujący swoją obecnością Masters zniknął, O'Hara przystąpił od razu do sedna sprawy.

- Szybko mnie znaleźli! Naprawdę, nigdy nie myślałem, że ten MacClellan jest taki inteligentny. Cóż, przykro mi, Tony, że to się musi stać w twoim domu.

Kiedy Colin zaczął wstawać od stołu, Rhodes zatrzymał go.

- Zaczekaj chwilę! Nie sądzę, żeby przyszli po ciebie, i nie chcę, abyś się z nimi widział. Mam ci coś do powiedzenia...

- Zaczekaj z tym! - Colin odsunął rękę szwagra i wstał. Jego twarz pokrywał ciemny rumieniec, ale oczy świeciły ponurą

determinacją. Górował nad nimi jak olbrzym na przyjęciu u Pigmejów. - Nie zobaczyć się z nimi? Chcesz więc, żebym wymknął się tylnymi drzwiami? Bądź pewien, że zobaczą się ze mną, jeśli już jestem w tym domu... i nie ucieknę. Zostańcie tutaj.

Dużymi krokami ruszył do drzwi, ale nie posłuchano jego ostatniego polecenia. Gdy wszedł do holu, Rhodes stanął za nim, ciągle protestując, Cliona i dziwna dziewczyna zamykały pochód.

- A, pan O'Hara! - Nieco pospolite oblicze MacClellana rozjaśniło się na widok zbliżającego się Irlandczyka w sposób niezwykle serdeczny jak na powitanie podejrzanego o morderstwo. - Tak myślałem, że znajdę pana tutaj. Szybka robota, co? Przypuszczam, że czytał pan już o wszystkim w popołudniówkach?

- Nie. - Colin obdarzył go posępnym spojrzeniem. - Nie miałem pojęcia, że odkryją to... tak wcześnie.

- O, dowiedzieli się o tym od policji. Próbowaliśmy telefonować tutaj do pana Rhodessa, ale powiedziano, że nikt nie odpowiada. Linia jest zepsuta?

- Nic mi o tym nie wiadomo - Rhodes był zdenerwowany. Rosło w nim przekonanie, że MacClellan nie wie nic, co byłoby niebezpieczne dla O'Hary, ale jednocześnie istniało niebezpieczeństwo, że otrzyma taką informację w ciągu kilku następnych minut. Colina nie można dopuścić do głosu aż do chwili, kiedy nie odbędzie dalszej narady.

- Bardziej prawdopodobne, że coś jest nie w porządku z telefonistką - kontynuował. - Ale czytałem gazety, MacClellan, i właśnie zamierzałem pokazać je innym, kiedy pan przyjechał.

- A ja właśnie wybierałem się... - zaczął O'Hara, ale Rhodes ubiegł go, mówiąc bardzo głośno i szybko:

- Znowu bungalow, Colinie. Zeszłej nocy ktoś złożył tam kolejną wizytę!

I wyciągnąwszy z kieszeni złożoną gazetę, wcisnął ją O'Harze do ręki, pokazując fragment, o który chodziło, i przynajmniej na razie skutecznie odwrócił jego uwagę.

Cliona, nastawiona na gorsze nieszczęście, roześmiała się i wykrzyknęła mimowolnie.

- To wszystko?

- A to nie wystarczy? - MacClellan wyglądał na lekko urażonego. Nikt nie lubi przynosić wielkich wieści i słyszeć, że robi widły z igły. - Powiem pani, pani Rhodes, że to wystarczyło, żeby wysłać mnie i Forestera do Carpentier dziesięć minut po otrzymaniu informacji. Zatelefonował mleczarz, nazwiskiem Walker... i powiedział, że kiedy wszedł na górę, aby dostarczyć mleko, nie było już miejsca, jak to wyraził, gdzie miał je dostarczyć. Powiedział, że mieszkał pan tam sam, panie O'Hara, i z tego, co mówił, doszliśmy do wniosku, że został pan zamordowany i leży w ruinach. Więc Forester i ja popędziliśmy tam i rzeczywiście dom był dość dokładnie zdemolowany, ale nawet śladu pana czy też kogoś innego. Wsiadliśmy do pociągu i rozmawiamy z konduktorem - my z agencji zbieramy wiele cennych informacji, rozmawiając po prostu tu i tam - i on mówi, że kolega z nocnej zmiany opowiedział mu, jak pan i jakaś dama jechaliście do miasta gdzieś koło wpół do dwunastej w nocy. Koniecznie więc chcieliśmy porozumieć się z panem, by pana powiadomić, że zajmujemy się tą sprawą, i próbowaliśmy dodzwonić się do pana Rhodesa. Kiedy ja próbowałem, Forester dzwonił po hotelach, ale nie miał szczęścia, więc powiedziałem, że najlepiej będzie, jak przyjedziemy tutaj, i zrobiliśmy tak, no i jest pan O'Hara, tak jak myślałem.

MacClellan był tak zachwycony własną przenikliwością, że wydawał się całkiem dobroduszny. Ale dla Colina był to dziecinnie prosty wyczyn... szczególnie w porównaniu z tym, o który podejrzewał MacClellana.

Miał zamiar wyznać zadowolonemu z siebie detektywowi wszystko, co zrobił zeszłej nocy, ale teraz nie mógł znieść nawet tej myśli. W jakiś dziwny sposób MacClellan przypisywał sobie taką zasługę, jakby schwytał zdesperowanego mordercę na gorącym uczynku. Poza tym, był bungalow. Przez sześć tygodni

czekał na tę wizytę i ten ktoś odwiedził go akurat tej nocy, kiedy był nieobecny.

- Więc dom jest zburzony? - zapytał wolno, przeglądając nagłówki.

- Och, nie. Walker trochę przesadził. Ale jest dość mocno zniszczony, to prawda... bardziej niż za pierwszym razem. A Walker powiedział, że kiedy przyszedł, wszędzie wokół czuć było okropny zapach. Jakiś środek chemiczny, jak sądzę, choć może to tylko jego wymysł. Nie wyglądało mi to na żaden wybuch.

- Sam poczułem coś dziwnego, kiedy weszliśmy do środka - odezwał się Forester, inteligentnie wyglądający, bardzo młody człowiek. - Nie pamięta pan, że zwróciłem na to pańską uwagę?

- Tak, a ja powiedziałem, że ci się śni - warknął jego zwierzchnik. - Jeśli był tam jakiś zapach, to ulotnił się przez okna, zanim przyszedliśmy.

Forester wzruszył ramionami i umilkł. Ale rozmowa o tajemniczym zapachu przypomniła o czymś O'Harze. Duże, puste, zakurzone pomieszczenie, oświetlone jedynie skaczącym światłem latarki. Na Boga, odór, który wypełniał tamto miejsce, był bardzo nieprzyjemny! Frontowe i tylne drzwi magazynu były otwarte... otwarte! I to właśnie z posiadłości Reeda uciekł Dżyngis-chan i zabłądził aż do Carpentier... i próbował go udusić! Czy Chan „zabłądził”?

- Wracam do bungalowu - oznajmił.

- Och, nie! - Carpentier i jego okolice zaczęły wzbudzać w Clionie jeszcze większy strach. - Colin, kochanie, obiecaj mi, że nigdy więcej tam nie pojedziesz!

- Muszę. Przecież wszystkie ubrania, oprócz tych na sobie, mam tam. Nie chciałabyś chyba, żebym poświęcił całą swoją garderobę, Cliono?

- Możesz posłać po nią... a zresztą, to nie jest twój główny powód! - dodała podejrzliwie.

- A jeśli nie, to co? W biały dzień! Wstydz się, siostrzyczko, to do ciebie niepodobne, żebyś była tak niemądra!

- Nie zamierzam być - stwierdziła Cliona, a MacClellan, który odwrócił się, żeby popatrzeć na jakiś obraz, wyszczerzył zęby.

Instynktownie nie lubił władczego Irlandczyka, podobnie jak O'Hara pogardzał nim, i z satysfakcją słuchał, jak broni się przed babskimi rządami, tak słabo, jak ostatni z jego ludzi.

- Możesz jechać - zarządziła w końcu Cliona - jeśli zabierzesz ze sobą tych panów.

Rhodes roześmiał się.

- Ja też jadę, więc będziesz miał niezłą obstawę, Colinie.

Ku jego zdumieniu Cliona nie miała nic przeciwko temu. Może uważała, że w kilka osób jest bezpiecznie, a w każdym razie, że wyprawa do bungalowu w dzień nie jest taka straszna. Wszędzie tam pewnie kręcą się ludzie, jak wtedy, gdy leżała nieprzytomna. Mówiono jej później o tym.

- Gdzie jest... panna Reed?

Pytającym był Rhodes. Przez cały czas kiedy rozmawiali, dziewczyna stała obok Cliony, częściowo w cieniu, milcząca i bez ruchu, tak że praktycznie zapomnieli o niej wszyscy, oprócz Colina. Nigdy o niej całkiem nie zapominał, ale teraz odsunęły ją na dalszy plan pilniejsze sprawy.

- Myślę... może wróciła do jadalni? Mam jej poszukać? - Cliona zrobiła ruch w kierunku drzwi, ale brat zatrzymał ją i odciągnął na bok.

- Lepiej - powiedział przyciszonym głosem - żeby MacClellan jej nie widział. Kto wie, co przyniesie dzień? Nie pożegnam się z nią, bo biedna dziewczyna mogłaby mnie źle zrozumieć. Powiedz jej po prostu, że wyjechałem i wkrótce wrócę, a ty spróbuj dowiedzieć się prawdy o tych interesach jej ojca. Nie byłbym zaskoczony, gdyby za tym coś się rzeczywiście kryło. Bądź dla niej dobra i miła... och, wiem, że nie ma potrzeby ci tego mówić! Czy byłaś kiedykolwiek inna, siostrzyczko? Ale naprawdę, tak się martwię...

- Colinie, MacClellan mówi, że ma tylko godzinę czasu. Jeśli mamy jechać, to lepiej ruszajmy - powiedział Rhodes.

- Zaopiekuję się nią, Colinie. - Cliona poklepała go uspokajająco po ramieniu. Popatrzyła za nim ze smutkiem w oczach.

Chociaż dużo młodsza, rozumiała Colina, jak matka rozumie ukochanego syna, i wiedziała, że nie tylko wstyd lub rozpacz z powodu wydarzeń w Undine pozbawiły jego chód całej elastyczności, odebrały jego twarzy szczęście. Widziała, jak patrzył na dziewczynę, którą tutaj przywiózł, słyszała jego głos, kiedy o niej mówił... a dziewczyna była taka śliczna... tak beznadziejnie, żałośnie śliczna!

Rozdział XX. Czwarta wizyta.

O'Hara stał na drodze pod tym samym drzewem, na którym dwie noce wcześniej ukrył się Dzyngis-chan i gdzie chciał go pozbawić życia. Był z nim tylko MacClellan, gdyż w ostatniej chwili do Rhodesa zadzwonił jego wspólnik - linia była jednak w porządku - błagając, żeby natychmiast przyjechał do miasta w bardzo ważnej sprawie.

O'Hara nakłaniał go, żeby jechał, i w końcu Rhodes zdecydował się, ale obiecał, że dołączy do nich, jak tylko to będzie możliwe. Pojechali więc do miasta samochodem Rhodesa, podrzucili jego właściciela do biura, zawieźli Forestera do urzędu miejskiego - jego zwierzchnik stwierdził, że młody człowiek nie powinien próżnować w czasie godzin pracy - i ruszyli do Carpentier.

O'Hara prowadził, a MacClellan siedział z tyłu, więc przynajmniej oszczędziło to temu pierwszemu konieczności rozmowy podczas jazdy. Po przybyciu do bungalowu detektyw jednak pofolgował językowi.

Jak im już powiedział, ten nowy akt najwyraźniej bezcelowego zniszczenia bardzo przypominał wcześniejszą próbę, tym razem jednak sprawcy nie zostawili żadnych widocznych śladów.

Wszystkie pokoje w domu nawiedziła jakby mała trąba powietrzna. I to trąba, która nie wybierając, rozbiła i zmiotła wszystko bez względu na wartość.

Solidnie wykonany i pięknie rzeźbiony kredens, który ocalał po poprzedniej wizycie, został teraz roztrzaskany na kawałki z wielką starannością. Podobnie tani, drewniany stół, przy którym Colin jadł kolację poprzedniej nocy, leżał rozrzucony po całej kuchni w niemal nierozpoznawalnych fragmentach. W sypialni należącej najpierw do Cliony, a później do Colina, nie ruszono nic oprócz łóżka, które zostało zdemolowane doszczętnie, a sprężyny tworzyły poskręcaną masę drutu.

W całym domu rzeczy zwyczajne i wartościowe poniszczono lub zostawiono nietknięte, z kapryśnością, która wyróżnia troje nieożywionych niszczycieli - ogień, burzę i trzęsienie ziemi.

Nie było jednak śladów eksplozji, nie szalał tutaj ogień i chociaż była burza, musiała być dziwna, skoro porozbijała okna i drzwi, spustoszyła pokoje, a nie naruszyła dachu ani ścian.

Stwierdzenie mleczarza, że „przyszedł, żeby zostawić mleko i nie znalazł miejsca, gdzie miał je zostawić” nie było całkiem nieuzasadnione. Miał zwyczaj stawiać butelkę na frontowych schodach, a te zaś oderwano i leżały w pewnej odległości od domu. Wszystkie okna werandy były wybite, a drzwi wyważone i rozłupane na pół. Ponuro zbadawszy pozostałości domu, O'Hara stał w jadalni i z wielkim znudzeniem wysłuchiwał opinii MacClellana. Coś małego i jaskrawo kolorowego przyciągnęło jego wzrok i pochyliwszy się, wyciągnął przedmiot spomiędzy szczątków kredensu. Były to resztki nieszczęsnego azteckiego bożka - głowa bez infuły i część czerwono-niebieskiej tuniki.

Colin spojrzał posępnie na cierpliwie uśmiechającą się twarz.

- Dostali cię w końcu, człowieczku - mruknął z roztargnieniem.

Twarz dalej uśmiechała się... jak zawsze cierpliwie znosząc ślepotę ludzkości.

- Co to? - zapytał MacClellan.

- Nic. - Colin odrzucił fragment porcelany i ruszył do drzwi. - To tylko kawałek figurki, która była warta parę tysięcy, zanim zaczęliśmy przyjmować nocnych gości. Ten dom nie ma szczęścia... zupełnie nie ma szczęścia. Nie będę tutaj więcej mieszkał. Niech pan zostawi tę sprawę lub dalej się nią zajmuje, jak pan chce... przestała mnie już interesować.

Zirytowało to MacClellana. Zirytowało bardziej niż nalegania O'Hary, by rozwiązał poprzednią zagadkę. Można było wyciągnąć wniosek, że Irlandczyk stracił całą wiarę w jego zdolność rozwiązania czegokolwiek, ale mylił się. O'Hara nie mógł stracić tego, czego nigdy nie miał.

- Będziemy kontynuować śledztwo - oświadczył z niewzruszoną godnością. - Rozesłaliśmy polecenie, żeby zatrzymywać wszystkich włóczęgów w okolicy i...

- Włóczęgów! - Okrzyk zabrzmiał jak szyderstwo i MacClellan stracił resztki cierpliwości.

- Tak, włóczęgów! - warknął. - Jeśli jest pan tak pewien, że nie wiem niczego, musi pan mieć jakiś powód tej pewności! Kiedy zdecyduje się pan mi go podać, proszę mnie zawiadomić. Wracam pociągiem. Do widzenia!

Colin patrzył na oddalającą się postać rozbawionym wzrokiem.

- To jedyna naprawdę mądra rzecz, jaką kiedykolwiek powiedział. Do widzenia panu, panie MacClellan! Z pewnością pana zawiadomię... ale dopiero wtedy, gdy będę miał na to ochotę.

Podczas swojej wcześniejszej wizyty detektyw wezwał policjanta, który miał strzec posiadłości O'Hary i który stał tam nadal, gdyż MacClellan odszedł zbyt wściekły, by pamiętać o cierpliwym stróžu.

- Może pan iść lub zostać, jak pan chce - powiedział O'Hara do policjanta. - Przyślę człowieka, żeby spakował to, co warto zapakować, i zawiózł do miasta. Wątpię, czy sam tu wrócę.

- Przypilnuję pańskiego człowieka - zaofiarował się policjant.

O'Hara właśnie wsunął zielony papierek do jego ochoczej ręki, wyciągniętej w tym celu, być może z przyzwyczajenia, dyskretnie.

- Dziękuję. Proszę go przypilnować.

Kiedy Colin usiadł za kierownicą pożyczonego samochodu, rzucił ostatnie spojrzenie na opustoszałe teraz wzgórze. Tu i ówdzie błąkało się paru leniwych, amatorskich poszukiwaczy „śladów”. Reporter, bezwzględnie odprawiony przez przygnębionego Irlandczyka, nadal krążył w pobliżu wyczekująco. Kiedy Colin uruchomił samochód, podbiegł do niego jakiś osobnik. Gdyby spojrział, zobaczyłby szczupłego, zniszczonego człowieka o białych włosach i ze śladem po starej bliźnie biegnącej przez niskie czoło.

- Panie O'Hara! - zawołał. - Hej, tam! O'Hara! Niech pan zaczeka chwilę!

- Do diabła z wami! - mruknął Colin i nie obejrzawszy się nawet, odjechał.

Chciał uciec od wszystkiego. Nie stracił bynajmniej nadziei na znalezienie ostatecznego rozwiązania. W rzeczywistości był święcie przekonany, że rozwiązanie to nie da na siebie długo czekać. Nie mógł jednak znieść widoku bungalowu, nie mógł znieść wszystkiego, co się z tym miejscem wiązało.

Nieważne, czy zdemaskował Reeda jako deus ex machina tych bezprawnych wizyt; nieważne, czy demaskując go, odkrył przyczynę niechęci Reeda, jeśli była taka przyczyna. Nieważne nawet, czy z tego, czy innego powodu zabójstwo Marco zostanie publicznie uznane za usprawiedliwiony czyn - choć to ostatnie wydawało mu się dość nieprawdopodobne. Wszystko nieważne. Czyż nie był naprawdę związany „złotą nicią” z jedyną dla niego dziewczyną na świecie i czy nie była ona beznadziejnie, niezaprzeczalnie chora umysłowo?

Postanowił, że nie wróci do Green Gables. Była bezpieczna pod opieką jego siostry i postanowił, że zanim odda się w ręce policji, po raz ostatni spotka się z Reedem, to znaczy, o ile, uda mu się go odnaleźć.

Jednak zanim jeszcze wyruszył, żeby załatwić tę sprawę, zatrzymał samochód przed sklepem Bradshawa, wszedł do środka i skinąwszy głową właścicielowi, skierował się do małej kabiny telefonicznej. Ale Bradshaw zatrzymał go.

- Halo, panie O'Hara, dzwoniła przed chwilą pańska siostra. Powiedziała, że telefon w bungalowie jest zepsuty. Dowiedział się pan...

- Czy pani Rhodes czegoś ode mnie chciała? Jak dawno to było?

- Och, pierwszy raz, mniej więcej godzinę temu. Od tamtej pory telefonowała dwa razy i mówiła, żeby pan natychmiast do niej zadzwonił. Czy ten detektyw...

- Dlaczego nie posłał pan kogoś po mnie na wzgórze? - zapytał O'Hara oburzony.

- Nie miałem kogo posłać. Szukałem jakiegoś chłopaka, ale chyba wszyscy byli koło pańskiego domu. Odkrył pan...

- Nie! - O'Hara zniknął w kabinie, zatrzaskując drzwi przed dotkniętym Bradshawem. To znaczy, próbował nimi trzasnąć, ale kabina nie była przewidziana dla kogoś o jego posturze, więc próba przyniosła marny efekt.

W niewygodnej, zgiętej pozycji Colin stoczył zwykłą walkę, by połączyć się z Green Gables poprzez trzy różne centrale telefoniczne i w końcu usłyszał w nagrodę głos Cliony. Zdenerwowana, czekała na telefon i zanim zdążył zadać pytanie, przekazała mu wieść.

- Colinie, nie ma jej!

- Co? Kogo nie ma? - Wiedział jednak bardzo dobrze.

- Tej... panny Reed czy jakkolwiek się nazywa. Nie ma jej, a ja próbuję cię złapać od prawie dwóch godzin. Gdzie byłeś?

- Tutaj. - Głos Colina był nieco chrapliwy. Oczywiście znajdują ją... zabłądziła, ale on ją znajdzie...

Znowu mówiła Cliona. Okazało się, że widziała dziewczynę bezpieczną w przeznaczony dla niej sypialni, więc poszła się na krótko położyć. Kiedy wróciła, by zaproponować jej filiżankę herbaty, pokój był pusty. Nie było jej nigdzie w domu, zniknął również płaszcz. I...

- Colinie, ona znowu zabrała tę okropną zieloną suknię!

- Zabrała? Nie założyła jej na siebie?

- Obawiam się, że tak. Ubrania, które jej dałam, leżały na łóżku... ładnie poskładane. Colinie, mój drogi, musiała otrzymać bardzo dobre wychowanie...

- Nie staraj się mnie pocieszyć, Cliono. Co zrobiłaś, żeby ją odszukać?

Wysłała całą służbę na poszukiwania w sąsiedztwie i próbowała skontaktować się z nim, zanim zawiadomi policję. W związku z

bungalowem było już trzech reporterów... a służący wrócili bez żadnych wieści i ona czekała, i czekała...

- Tak, oczywiście. Ale powiedz mi jedno, kochanie. Czy ona powiedziała coś, zanim ją zostawiłaś samą? Powtórz mi słowo po słowie, co mówiła. Może zdobędę w ten sposób jakiś ślad.

- Niech pomyślę. Pytałam ją o ojca, ale nic mi nie chciała opowiedzieć. Powiedziała, że już mnie kocha, ale będzie rozmawiać tylko z tobą. Powiedziała: „Widziałam dobroć w oczach innych niż wasze, ale to było złudzenie i widmowi ludzie. Odeszli i nigdy nie wrócili. Ale między mną i moim panem jest Złota Nić i dlatego jest między nami zaufanie”. Coś w tym rodzaju. Próbuję przypomnieć sobie dokładnie, ale...

- Masz wspaniałą pamięć i robisz to świetnie. I co dalej?

- Cóż, wydawała się zaniepokojona tym, że pojechałeś do Carpentier i prosiła mnie, żebym ją zabrała i pojechała za tobą. Później powiedziała, że wyszła z holu, ponieważ nie podobał ci się tłusty mężczyzna - pan MacClellan, jak przypuszczam - tak bardzo, że sama zaczynała go nienawidzić. Nienawidziła Marco i ty... uderzyłeś go. I wydawało się jej, że uderzenie Marco zasmuciło cię i ona nie wie, dlaczego. Więc wyszła, żebyś nie uderzył tłustego mężczyzny. Wybacz, Colinie, ale chciałeś wiedzieć dokładnie.

- I nadal chcę. A później?

- To wszystko. Kiedy nie chciałam jej zabrać do ciebie, zapytała, czy może się położyć w swoim pokoju. I tak zrobiła. Była tak uprzejma i... i miła, że nigdy... nigdy nie pomyślałabym...

- A dlaczego miałabyś pomyśleć? Nie ma w tym zupełnie twojej winy, kochanie. - Uwolnienie jej od winy było kwestią nawyku, było całkiem mechaniczne, gdyż tak naprawdę nie myślał o niej.

Cały drżał z przejmującej, niesamowitej radości, która nim wstrząsnęła, ale nie dała się opanować trzeźwemu umysłowi. Wyczuła jego niechęć do MacClellana, wyczuła i podzielała ją, aż do nienawiści, tak samo jak on zapłonął morderczą, nieusprawiedliwioną pasją, dla jej dobra!

Cóż to był za ogień, w którym topniały cielesne bariery i łączyły się dwie dusze? Niebezpieczny płomień, z pewnością, jeśli wyrażał się tylko w nienawiści! Nie, to tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Czy mieli okazję, żeby połączyło ich szczęście? Och, wszystko to szaleństwo, szaleństwo!

Gdzieś w nim musiała się czaić jakaś słaba, chora skłonność, która odpowiedziała na jej obłąkanie. Zmusił się, żeby oderwać od tego myśli - zajmie się tym innym razem - i zdecydowanie nastawił umysł na obecną, nagłą sprawę.

- Nie zawiadamiaj policji... na razie. Chyba wiem, gdzie mogła pojechać. Jak sądzisz, czy miała jakieś pieniądze?

- Skąd miałabym wiedzieć? - jęknęła jego znękana siostra. - Mogła mieć trochę w płaszczu.

- Cliono, przestań myśleć o tej sprawie. Tylko ja jestem odpowiedzialny za tę biedną dziewczynę i sam ją znajdę. Jeśli będą cię jeszcze nachodzić reporterzy albo detektywi, niech Masters każe im pilnować własnego nosa. Wszystko będzie dobrze i wcale by mi nie pomogło, gdybyś zamartwianiem wpędziła się w kolejną chorobę. Zadzwoń do Tony'ego do biura i powiedz mu, że wyjeżdżam z Carpentier i najlepiej niech wróci prosto do domu, jak tylko będzie mógł, żebym wiedział, gdzie go znaleźć. Zrobisz to dla mnie, kochanie?

- Dokąd jedziesz? - W jej głosie dała się słyszeć nieokreślona trwoga.

- Cóż, stacja to dobre miejsce do szukania pierwszego śladu, nie sądzisz?

- Może tak, myślę, że masz rację, Colinie. A potem spróbuj w komisariatach policji. Oczywiście jest spokojna i w pewnym sensie dobrze wychowana, ale trudno przewidzieć, co może zrobić poza domem, sama. Później wrócisz do domu... czy ją znajdziesz, czy nie?

- Och, wrócę do domu. Do zobaczenia, Cliono, i pamiętaj o wszystkim, co ci mówiłem.

Odwiesił słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Celowo zmylił ją co do kierunku swoich poszukiwań i nie chciał już odpowiadać na żadne pytania.

Było jedno miejsce, do którego jego Pani Zmierzchu nigdy by nie wróciła, gdyby nie była obłąkana. Ponieważ była, zdaniem O'Hary, właśnie tę kryjówkę najpierw należało sprawdzić. Wyraziła przed Clioną niepokój o jego bezpieczeństwo i pragnienie, żeby za nim pojechać.

Niebezpieczeństwo i dom w Undine musiały być dla niej synonimami. Tam poznała cierpienie i przerażenie, tam ledwo uniknęła niebezpieczeństwa ucieleśnionego w Dzyngis-kanie; tam widziała, jak on, O'Hara, zabija człowieka i czuła, zamiast niego, jego własny spóźniony strach.

Jeśli pomyślała o niebezpieczeństwie, wyobraziła je sobie i ponieważ chciała jechać za Colinem, pojechała prosto do domu Reeda.

Może było to schematyczne rozumowanie, ale Colin zdobywał wiedzę w surowej szkole, z której wychodzą doskonali i rzadko mylący się psychologowie.

Wyskoczył ze sklepu Bradshawa i prawie wpadł na człowieka o białych włosach, który szedł za nim aż ze wzgórza.

- Panie O'Hara - zaczął tamten znowu, ale Colin odsunął go zdecydowanie.

- Nie mam nic do powiedzenia - rzucił za siebie.

Miał wrażenie, że natrętny dziennikarz skoczył za nim, próbował wsiąść do ruszającego samochodu i upadł. Ale jego myśli były jak rwący prąd, który wręcz unosił go ze sobą. Jego zachowanie, odepchnięcie mężczyzny i uruchomienie samochodu były równie mechaniczne, jak sam silnik.

I tak Colinowi uciekła ostatnia szansa, żeby uniknąć tego, co go czekało, zmarnowana przez jego porywczą naturę, której nie zdołały zmienić żadne doświadczenia i która miała pozostać taka aż do jego śmierci.

Droga do Undine była mu dość dobrze znana, o ile nie musiał jej pokonywać na przełaj. Duży samochód przebył te parę kilometrów z szaleńczą szybkością. Oczywiście, istniała możliwość, że zaginiona dziewczyna wracała do domu inną drogą, błędząc lub nie mając pieniędzy, żeby dotrzeć na miejsce. Ale O'Hara przypuszczał, że jest inaczej. Znany jest spryt lunatyków, poza tym, kto wie, na ile dziewczyna była obeznana z drogami i sposobami poruszania się po mieście?

Dziesięć minut po opuszczeniu Carpentier zahamował gwałtownie przed żelazną bramą, której wyszukane piękno podziwiał po raz czwarty w ciągu dwóch dni. Było po piątej, zmrok rozpostarł zasłonę tajemnicy i zamazał wszystkie kontury. Za żelaznymi ślimacznicami rysował się niewyraźny, grobowy kształt stróżówki.

O'Hara wyskoczył z samochodu, niemal zanim ten się zatrzymał, i w dwóch długich susach dotarł do bramy. Zawahał się jednak, trzymając rękę na dzwonku. Myśl o kolejnym ukradkowym wtargnięciu do tego domu była przykra. Chciał nacisnąć dzwonek i śmiało przedstawić swoje żądania każdemu, kto się zjawi. Ale czy ktokolwiek się zjawi? Dlaczego z powodu spustoszenia bungalowu ostatniej nocy przyjął za pewne, że Reed nie wyjechał dalej niż do Carpentier, że liścik przekazany mu przez Marco nie zawierał kłamstwa?

Co będzie, jeśli w tym domu, którego szare dachy rozplywały się w szarym zmroku i stawały się niewidoczne za osłoną szkieletowatych konarów, nikogo nie było, oprócz monstrualnej małpy i Marco? Marco, na zawsze głuchego na dźwięk tego czy jakiegokolwiek innego ziemskiego dzwonka?

A gdyby Reed wrócił ze swej łotrowskiej wyprawy, to czy jego własne przestępcze działania powstrzymałyby go od narobienia alarmu i wszczęcia natychmiastowych poszukiwań zabójcy swojego służącego i porywacza córki? A tak łatwo byłoby go wytropić!

Z pewnością nawet MacClellan mógłby podjąć ten trop, idąc tak oczywistym śladem, jak opowieść konduktora. Ale jeśli Reeda nie

było na „farmie”, jeśli nie było nikogo oprócz Dzyngis-chana i jeśli to on był sprawcą tak niepokojącego zniknięcia ciała Marco, mogło tam nie być również dziewczyny. Gdyby nawet przyszła, nie miałby jej kto wpuścić... ach, co za głupota! A te otwarte drzwi magazynu, przez które Colin sam pokazał jej drogę? I jeśli weszła... natknęła się na Chana, samego, bez pana?...

Pełen rosnącego przerażenia, któremu winna była jego własna wyobraźnia, O'Hara dotknął ręką bramy, potrząsnął lekko... i pod tym delikatnym naciskiem ustąpiła o cal. Głośna skarga zawiasów poraziła go jak cios. Brama nie była zaryglowana! Każdy mógł tam wejść... każdy...

Trochę niechętnie, jak człowiek, który spodziewa się straszego widoku, O'Hara pchnął mocniej bramę i stanął na rozmokłych liściach zaścielających podjazd.

Opuścił ten dom, zostawił w nim uwolnionego małpoluda i żadnego ostrzeżenia dla przypadkowych, nieproszonych gości, żeby się mieli na baczności przed jego przebiegłą, niepohamowaną brutalnością. Wiedział, jaka odплата czekała na niego, podwójnego winowajcę... wiedział tak dokładnie, jakby u jego stóp leżało rozszarpane ciało Pani Zmierzchu. Mimo to wszedł, bo musiał, i skierował się w stronę niewidocznego domu.

Tej nocy nie było wiatru, jedynie cisza, głęboka, bolesna jak zły sen, a przytłumiony odgłos kroków na mokrych liściach czynił ją jeszcze bardziej martwą. Z rozmokłej ziemi unosiła się rzadka mgiełka, tak że wokół niego nie było ani światła, ani ciemności, jedynie szarość, w której posępne drzewa wznosiły swoje szkielety ku niebu tylko trochę jaśniejszemu niż mgła poniżej.

Mimo to pobliskie przedmioty nadal były dostrzegalne. Minął porośniętą winem stróżówkę i w tym momencie, z powodu całkowitej ciszy, do jego uszu dotarł pewien dźwięk, ledwo słyszalny szelest, jakby drewna lekko trącego o drewno.

Odwróciwszy się szybko, spojrzął przez mgłę w kierunku frontowej ściany stróżówki. Stamtąd, gdzie stał, z odległości trzech metrów, jej kontury były nieco zamazane, a winorośl stanowiła jednolitą masę bez żadnych szczegółów. A mimo to był

prawie pewien, że znowu, jak pierwszej nocy, w ciemnej ścianie winorośli pojawił się ciemniejszy prostokąt.

I wtedy, po raz pierwszy w życiu O'Hara przekonał się, co to znaczy czysty, potworny strach, strach, który ściska za gardło, a potężne, silne ciało zamienia w galarete!

W środku tego niewyraźnego, czarnego prostokąta, słabo przeświecający przez mgłę swoim własnym, bladym światłem, ukazał się owalny kształt, który lekko kołysał się z boku na bok - owal ledwo widocznej twarzy dozorca. Colin rozpoznał Marco, choć przecież własnoręcznie zabił go!

Gdyby Irlandczyk miał czas na zastanowienie, czas, żeby rozum zdołał uwolnić się z kleszczy strachu, to co nastąpiło później, mogłoby przybrać inny obrót. Ale tego czasu mu nie dano. Owal zachwiał się, uniósł na pół metra i wystrzelił na zewnątrz, prosto w twarz O'Hary.

Ten krzyknął, głośno i chrapliwie, i uchylił się. Coś straszliwie uderzyło go w kark, szara mgła wokół zapłonęła czerwienią, a potem rozplynęła się w pustce nieświadomości.

Leżał na dnie morza, w największej jego głębiny, oblepiony śliskim mułem. Czuł, jak kołysze go jakiś wolny, gęsty prąd, a ogromne na tej głębokości ciśnienie przygniata mu ciało i miażdży wewnętrzne organy, wyciskając z niego życie. A jednak walczył o oddech... ależ tak, mógł oddychać, choć z trudem. Poczul powietrze w nozdrzach. Jak to możliwe? Czyżby na dnie morza było powietrze?

Tym pytaniem budzący się rozum rozproszył sen i wyrwał go z omdlenia. Ale nie zmniejszył ciśnienia, ani nie przerwał powolnego kołysania. Wielkim wysiłkiem zmusił się do otworzenia oczu. Była noc. Leżał na ziemi, gdzieś na dworze, gdyż patrząc w górę przez niezbyt gęstą mgłę, widział jaśniejsze gwiazdy. Umysł, nadal oszołomiony, wzdragał się zrazu przed powrotem do życia.

Marco? Marco? A więc coś wiązało się z Markiem? Początkowo z ociąganiem, później z większą mocą, pamięć zabrała się do swych zadań, ukazując mu cały poprzedni dzień, działanie po działaniu, scenę po scenie, aż doprowadziła go do żelaznej bramy... stróżówka... twarz zawieszona w powietrzu w drzwiach wejściowych, potworny strach w momencie, kiedy wyskoczyła stamtąd na niego, później potężny cios i... ciemność.

Ale co potem? Dlaczego leżał tutaj, otoczony jakąś dziwną, tężejącą substancją? Z trudem uniósł głowę. Zobaczył własną pierś jako niewyraźną, białawą masę, która zdawała się pełznąć. Zdał sobie teraz sprawę, że przez cały czas oprócz tego paraliżującego ucisku czuł owo leniwe pełzanie, pełzanie jakiejś istoty, która znajdowała się na nim.

W uszach mu łomotało, skronie pulsowały, a oczy zmętniały od napływu krwi. Zauważył jednak, że masa przygniatająca jego pierś zaczyna słabo świecić... w tym świetle zobaczył tuż obok swojej twarzy płaski, szeroki zwój. Wytężywszy wzrok, zauważył cienki brzeg i przeświecające, równoległe zmarszczenia jego powierzchni.

Wyglądało to jak ciało robaka, widziane przy przepuszczonym przez jakąś substancję świetle, gigantycznego, żywego, świecącego robaka, który nie miał prawa istnieć, nawet w koszmarnym śnie. Ale on istniał, owinięty wokół niego - czuł jego nagi chłód na skórze prawego nadgarstka, który odsłonił się między rękawem a grubą, skórzaną rękawicą.

Zwoje zacieśniały się i kurczyły stałym, odrażającym, celowym ruchem; zmarszczenia ścigały się i rozsuwały, za każdym razem przesuając się trochę dalej. To... stworzenie owijało się wokół niego, od piersi aż do stóp, i kołysało go współczująco i łagodnie w rytm leniwego posuwania się.

Ciało nie świeciło ze stałą jasnością. Zwiększała się ona i bladła, zwiększała i bladła, pulsując wolno, w długich odstępach czasu.

Pozwolił, by głowa opadła mu na rozmokłe liście i spróbował poruszyć kończynami, spróbował walczyć. Było tak, jakby starał

się uwolnić od mocnej, ciasnej gumy, która poddała się trochę, ale szybko przewyciężyła opór jego osłabionych mięśni i zacisnęła się mocniej.

I wtedy nastąpiło najgorsze. Spod jego lewego ramienia uniosła się głowa i wyprostowała na cienkiej, płaskiej, zwężającej się szyi. Wydawało się, że głowa to sama gęba, wielki, trójkątny otwór, rozwarty, pozbawiony języka, z miękkimi, obwisłymi wargami; po obu jej stronach znajdowały się dwie czerwone plamki, które mogły być oczami lub ich pozostałościami.

Uniosła się dobre pół metra nad twarzą Colina, który wytrzeszczając oczy, zobaczył, że spodnia część stworzenia jest ciemna i nieprzezroczysta, a światło pochodzi tylko z jego wierzchniej strony. Następnie głowa przechyliła się i opuściła, a szyja wygięła do tyłu.

Na moment ukazał się ten sam blady, połyskujący owal, który widniał w drzwiach stróżówki i o którym sądził, że to twarz nie żyjącego Marca. Opadł błyskawicznym ruchem i Colin poczuł, że sflaczałe wargi obejmują mu szyję.

W uszach zadźwięczał mu przeraźliwy, zawodzący krzyk, ale nie poznał, że to jego własny głos. Wił się w tym ciasnym uścisku, a płaskie, kurczliwe zwoje zaciskały się wokół jego piersi... aż płuca zapadły się i nie mogły już rozszerzyć... aż nie był w stanie wydobyć z siebie innego dźwięku oprócz szeptu.

Psychiczne katusze ustąpiły miejsca ostremu fizycznemu bólowi, a później po raz drugi litościwej nicości.

Rozdział XXI. Cliona spotyka się z obcym.

- Nic mnie to nie obchodzi, Tony! Dobrze ci mówić, żebym się nie martwiła, ale co mogę na to poradzić?

- Ależ kochanie, ponoszą cię nerwy. Colinowi nie grozi większe niebezpieczeństwo niż to, że go aresztują, a sam raczej się nie zgłosi, dopóki nie znajdzie dziewczyny. Chciałbym jednak, żebyś pozwoliła mi zawiadomić policję. To nie...

- Prosił, żeby tego nie robić, i nie byłoby w porządku, gdybyśmy postąpili inaczej.

- Dobrze, kochanie. Nie chcę nadużywać zaufania Colina do ciebie. Jest teraz dopiero ósma i... powiedział, że wie, gdzie jej szukać?

- Zamierzał spróbować najpierw na stacjach, a... dzwonek, Tony! Może to on!

- Mam nadzieję.

Bardziej zatroskany o Clionę niż o jej brata, który według niego umiał sobie dobrze radzić, Rhodes ubiegł służącego, sam idąc do drzwi.

Otworzył je szeroko, ale zamiast mile widzianej, zwalistej sylwetki Colina, zobaczył mniejszą postać obcego człowieka.

W świetle padającym z holu Rhodes zauważył, że mężczyzna ten ma zniszczoną, przeciętą blizną, niespokojną twarz, a włosy wystające spod kapelusza - śnieżnobiałe.

- Czy jest pan O'Hara?

- Po co chce pan go widzieć? - Rhodes zagroził mu drogę. Przez cały dzień mieli się na baczności przed reporterami.

- To niezwykle ważna sprawa, ale... pan wybaczy... zupełnie osobista. Jeśli zechce pan dać mu moją wizytówkę, myślę, że się ze mną zobaczy.

Nadal wahając się, Rhodes wziął proponowaną wizytówkę.

Nazwisko było mu obce, ale Colin miał wielu przyjaciół i jego szwagier na pewno nie znał ich wszystkich.

- Pana O'Hary nie ma - powiedział - ale jest jego siostra. Może miałby pan ochotę porozmawiać z nią?

- Muszę znaleźć O'Harę! - Głos obcego był pełen niepokonanej gwałtowności. - Na litość boską, niech mi więc pan pozwoli porozmawiać z jego siostrą! Może będzie mogła pomóc mi skontaktować się z nim!

Zaskoczony, Rhodes odsunął się, żeby wpuścić mężczyznę. Miał nadzieję, że nie wyjdzie na jaw nic nowego, co zwiększyłoby niepokój Cliony.

Z drugiej strony, kiedy sprawy Colina zaszły tak daleko, nie odważył się odprawić mężczyzny, nie wysłuchawszy go.

Wtedy też zauważył, że Cliona stoi mu za plecami.

- Kto to? - wyszeptała. - Ktoś od Colina?

- Ktoś, kto chce zobaczyć się z Colinem - odwrócił się z powrotem do obcego. - Proszę wejść. To siostra pana O'Hary, pani Rhodes. Cliono, to pan... - zerknął na kartonik w swojej ręce - pan Svend Biornson, przyjaciel twojego brata.

Po raz drugi Colinowi wróciła przytomność i życie. Równocześnie poczuł zapach i smak płynu w bolącym gardle i w pierwszym przeblysku świadomości - straszliwy ból podczas łykania.

Później kubek odsunął się od jego warg, podobnie jak coś, co podtrzymywało mu głowę, tak że opadła w tył dość gwałtownie. Ten lekki wstrząs zabołał... zabołał strasznie... ale również obudził w nim złość.

- Ty! - Głos, który wydobył się pomiędzy sztywnych warg, był ochryplym szeptem. - Co... co chcesz zrobić?

Gdzieś z góry dobiegł go cichy, rozbawiony chichot, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Leżał, a na piersiach i całym ciele nadal czuł ucisk, który jednak nie był już tak morderczy. I chociaż nad nim nadal unosiły się opary, nie przeświecały przez nie gwiazdy. W rzeczywistości

opary wydawały się w osobliwy sposób oświetlone od dołu i miał wrażenie, że oprócz nich coś trwalszego znajduje się między nim a niebem.

Wilgotne powietrze było duszące i ciężkie - ohydne powietrze, w którym odór rozkładu mieszał się z silnym zapachem piżma. Jakby obudził się w jaskini pełnej gadów, gdzie połowa mieszkańców była martwa albo... podobny zapach, tylko o wiele słabszy, wypełniał magazyn, który stanowił jednocześnie przejście do brzegów Llewellyn Creek!

Wyteżając całą swoją wolę, zmuszając mięśnie do posłuszeństwa, Colin zdołał unieść głowę na parę centymetrów, a potem opadł wyczerpany.

- Niech się pan nie śpieszy - poradził jakiś głos. - Nie powinien pan oczekiwać, że po zmierzeniu się z takim przeciwnikiem, jak mój mały dozorca, od razu odzyska pan dawne siły.

Colin poznał ten głos.

- Chester Reed! - wymówił z wielką trudnością, ale słabszy od niego człowiek nie byłby w stanie nic powiedzieć, gdyż już dawno byłby martwy. - Czy... to... jest... teraz... na... mnie?

- Nie. Zapewniam jednak, że sytuacja była krytyczna i w samą porę interweniowałem. Jeszcze trochę, a pańskie żyły byłyby puste, przyjacielu.

Z pewnością Reed jako wybawca miał dziwny sposób mówienia - szyderczy, pogardliwy sposób, który zdawał się kryć jakąś zniewagę. Żył? Colin miał spuchnięty kark, a w miejscu, gdzie szyja łączy się z ramieniem, czuł silny, tępy ból. Za pierwsze mógł być odpowiedzialny tamten silny cios w kark, ale za drugie? Przypomniał sobie dotyk miękkich, zimnych warg między szyją a ramieniem.

- Proszę wypić jeszcze. - Pochyliwszy się, Reed przystawił kubek do ust swojego pacjenta i Colin z przyjemnością posłuchał go. Pociągnąwszy łyk, od razu poczuł przyływ sił, których tak bardzo potrzebował.

- Jest pan w mojej pracowni - powiedział Reed. - Niech pan usiądzie i rozejrzy się.

Colin znów stoczył walkę ze sobą, uniósł się i dzięki pomocnemu ramieniu Reeda usiadł, dysząc ciężko.

Potwierdziło się wcześniejsze podejrzenie. Od barków aż do przedramienia był wprawnie skrępowany cienkim, mocnym sznurem. Nie zaskoczyło go to zbyt, gdyż w tonie Reeda kryła się zapowiedź nieprzyjemności, a jeśli Pani Zmierzchu wróciła do domu, mogła z całą niewinnością zrelacjonować wydarzenia ubiegłej nocy. Nie można oczekiwać dyskrecji od obłąkanej osoby.

Ale chociaż odkrycie faktu, że jest jeńcem, nie wywołało jego zdziwienia, z pewnością uczyniło to otoczenie, w jakim był uwięziony.

Znajdowali się w obszernych piwnicach domu Jerrarda, ale kolonialny architekt, który zaprojektował tę rezydencję, miałby kłopoty z rozpoznaniem własnego dzieła.

Aby mogła powstać „pracownia” Reeda, wyburzono znaczną część wnętrza domu. Znajdowała się na poziomie dawnych piwnic i zajmowała całą ich powierzchnię, która była znaczna. Cały środek tworzył coś w rodzaju kwadratowego szybu o wysokości trzech pięter o białych, ślepych ścianach, a kończył się tą ogromną „kopułą”, która tak intrygowała dworcowego łazika.

Reed wyjaśnił wykonawcom, że potrzebuje wysokiego, odizolowanego pomieszczenia ze swobodną cyrkulacją powietrza.

Odzyskawszy świadomość właśnie tutaj, Colin powiedziałby raczej, że dla cyrkulacji powietrza przydałoby się więcej miejsca... znacznie więcej miejsca. Jednakże ludzie w służbie nauki mają zwyczaj nie przejmować się osobistymi niewygodami.

Więc Reed uśmiechał się w tej nieco gęstej atmosferze, kiedy jego jeńiec siedział i zapoznawał się ze swym dziwnym otoczeniem.

Colin mógłby pomyśleć, że widzi nie pracownię, lecz inspirację dla marzenia jakiegoś szalonego poety o nocy Walpurgii lub do

namalowania nowej, bardziej wstrząsającej wizji niższych kręgów piekielnych dla takiego artysty, jak Dorè.

Zobaczył coś w rodzaju mrocznego bagna, którego przeciwległe brzegi całkowicie spowijała para. Rozciągało się z trzech stron twardego gruntu, który znajdował się jedynie pod samym szybem. Z błota wyrastały stare, granitowe słupy, które podpierały spodnie belki podłogowe wyższego piętra.

Tę ciemną przestrzeń należało nazwać moczarem lub bagnem, z braku lepszego określenia. Ale Natura nigdy nie stworzyła podobnego bagna. Między granitowymi kolumnami gęsto rosły jakieś grzyby i biaława roślinność przypominająca sitowie, ale choć bardzo osobliwe, nie same grzyby i sitowie sprawiały, że bagno Reeda było tak dziwne.

Wszędzie widać było pełzające kształty, których odrażający wygląd można było porównać jedynie do wyglądu martwych, na wpół rozłożonych, a później przywróconych do życia stworzeń.

Colin widział je w sinym świetle, które wcale nie dodawało im urody, w świetle bijącym od grzybów. Te dziwaczne rośliny rozsiewały białoszary blask, który rozproszony przez kłębiące się opary, wyraźnie kojarzył się z kotłem czarownicy.

Był to zimny, wilgotny kocioł, z płomieniami bladymi i chłodnymi jak księżycowa poświata, wydzielający wraz z kłębami pary wyziewy rozkładu i życia, które z rozkładu powstaje.

Pracownia Reeda ropiała jak jakiś potworny, ukryty wrzód, ponad którym pociemniałe belki starego domu ociekały wilgocią i gnily.

Colin nie widział rotundy z białego marmuru, nakrytej kopułą wysadzaną opalami, gdzie, otoczone złotymi tronami, świeciło dziwne bagno. Ale nawet gdyby je widział, wydałoby mu się przytulne, a białe psy miłe i przyjazne, w porównaniu z tym miejscem i jego stworzeniami.

Spomiędzy oślizłego sitowia i świecących grzybów, z unoszących się oparów wyszło Coś. Jednym susem wyskoczyło z błota i wgramoliło się na twardego grunt, gdzie siedział Colin.

Trudno było sklasyfikować to stworzenie, poza tym, że nie był to ani gad, ani płaz, których można by się spodziewać w takim miejscu. Jeśli chodzi o kolor, stwor mógłby być biały, gdyby nie błoto, w którym się wytarzał. Wysoko, nad czterema cienkimi kończynami, wyginał się chudy, kosmaty grzbiet, a pod warstwą błota i zielonego szlamu sterczały wychudzone żebra, jak kości zwierzęcia, które zdechło na pustyni z głodu. Głowa, opadająca nisko na równie wychudzonej i pofałdowanej szyi, miała koci kształt.

Ale żaden prawdziwy wielki kot nie miał nigdy takich oczu. Duże, błyszczące, zielone jak topazy, patrzyły na Colina niezwykle, rozumnym wzrokiem... ale kryło się za nimi wyłącznie zło.

Zwierzę stało cicho - nad całym tym miejscem panowała cisza, z wyjątkiem przypadkowych plusków, kapania wody lub szelestu sitowia - stało cicho i patrzyło mu prosto w oczy. Później wargi uniosły się w diabelskim warknięciu, które odsłoniło żółte kły. Na sztywnych nogach zrobiło krok do przodu, nadal wpatrując się w starannie związaną zdobycz.

Chory bardziej z obrzydzenia niż ze strachu, Colin wiedział, że zamierza skoczyć. To, pomyślał, ostateczna zemsta, którą Reed zaplanował dla zabójcy swego służącego - rozszarpanie gardła przez te szczerzące się wstrętnie kły. Ogromnym wysiłkiem, bez słowa lub błagalnego spojrzenia na stojącego obok mężczyznę, Colin uspokoił się, by spojrzeć w oczy śmierci, jak zawsze stawiał czoło niebezpieczeństwu - oko w oko, twarzą w twarz, nieustraszenie.

Rozdział XXII. Stwórca goblinów.

Colin był gotowy, ale myśląc, że czeka go śmierć w paszczy tego przerażającego stworzenia, źle ocenił swojego przeciwnika.

Wysunąwszy się do przodu, Reed stanął między bestią o płonących oczach a niedoszłą ofiarą. Wydał krótkie polecenie i odgonił zwierzę machnięciem ręki, na której nosił - Colin zobaczył to teraz wyraźnie - wielką rękawicę z białego futra.

Bestia szerzej otworzyła paszczę w bezdźwięcznym warknięciu. Później, skulona, okręciła się, skoczyła i zniknęła w bagnie jak wychudzone widmo głodu, które przypominała.

Reed odwrócił się.

- Znają pana, co, O'Hara?

- Na to wygląda. - Colin patrzył na niego surowo. - Co to za jaskinię goblinów pan tutaj ma?

- Goblinów? Pańskie celtyckie przesady pozbawiają mnie zasług! To, co pan widzi, to moje dzieło... moje dzieło, całkowicie moje! Żadna nadprzyrodzona siła, żaden bóg czy diabeł nie pomagał w stworzeniu tych zgrabnych ślicznotek! One są moje... są dziećmi moich rąk i mózgu, nie wspomaganych przez nikogo! Nie wierzy mi pan?

Zadał to pytanie z dziwną natarczywością. Colin użył określenia „jaskinia goblinów” w przenośnym sensie. Na przekór wszystkiemu, trwał w przekonaniu, że Reed jest zoologiem-eksperymentatorem zoologii i nie dopuszczał myśli o czymś ponadnaturalnym. Nawet przejścia ze świecącym, wysysającym krew dozorcą nie zmieniły tego poglądu.

W parujących dżunglach między zwrotnikami Raka i Koziorożca widział stworzenia równie dziwne i odrażające. Bez wątplenia taką właśnie istotę znalazł Reed, przywiózł tutaj i karmił odpowiednio, aż wyrosła do rozmiarów większych niż jej pobratymcy z tropików.

Przyjął za pewnik, że te straszne, wychudłe bestie, które żyły w tej jaskini, były wynaturzonymi odpowiednikami normalnych zwierząt.

Słowa Reeda odniosły jednak skutek przeciwny od zamierzonego. Jak gdyby nowym spojrzeniem ogarnął Colin cuchnącą hodowlę.

Kocie stworzenie schowało się, ale dostrzegł wiele podobnych, równie groteskowych. Wszystkie były szkaradne, zarówno to, które słańało się na pająkowatych nogach, jak i inne, tak zagrzebane w błocie, że wystawała tylko koścista głowa, jak pozóółkła końska czaszka. Ale natura sama stwarza wiele odrażających form.

Jednak nie ich brzydota poraziła Colina. Oczy. Jadowite, inteligentne, nie dające się zapomnieć. To, co z nich biło, dalekie było od niewinnej dzikości drapieźnych zwierząt. To były gobliny!

Odwróciwszy się do ich pana, zobaczył w jego spojrzeniu tę samą nagą, demoniczną nienawiść, która wyczierała z oczu stworzeń.

W Green Gables białowłosy mężczyzna niezmordowanie przemierzał bibliotekę w tę i z powrotem i kiedy tak chodził, z ust wylewał mu się potok słów - historia tak straszna, a jednocześnie tak niewiarygodna, że nie odważył się jej dotąd opowiedzieć żadnemu człowiekowi.

I miał rację, gdyż w całej Ameryce było tylko dwoje ludzi, którzy uwierzyliby mu. Anthony Rhodes nie był jednym z nich, ale to nie Rhodesowi ją opowiadał. Ów zrównoważony młody prawnik siedział przy stole, bawiąc się przyciskiem do papieru i zastanawiając się, czy istnieje ryzyko, że drugi lunatyk, którego wpuścił do domu, może stać się niebezpiecznie gwałtowny.

Ten drugi lunatyk twierdził, że jest ojcem pierwszego, a raczej pierwszej, co nie czyniło opowieści bardziej prawdopodobną.

Rhodes mógł myśleć o pięknej „pannie Reed” tylko ze współczuciem, ale nie widział powodu, dla którego miałby tolerować jej równie szalonych krewnych.

Może gdyby Rhodes słyszał fragmentaryczne zwierzenia Colina, kiedy ten wrócił w czerwcu z Meksyku, lub gdyby stał za drzwiami i widział, jak biały pazur demona przewierca się przez drewno, jego sceptycyzm byłby mniejszy.

Cliona doświadczyła tego wszystkiego. To do niej mówił białowłosa mężczyzna i mało ją teraz obchodziło, czy Tony uwierzy, czy nie. W rzeczywistości, po raz pierwszy Cliona nie myślała o Tonym. Słuchała z najwyższą uwagą opowieści Svenda Biornsona, kiedyś doradcy Rady Świętych Bractw w Tlapallan, obecnie bezdomnego wędrowca, tropiącego po świecie okropność, na którą nie ma nazwy.

I właśnie zgubił ślad, zgubił wkrótce po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych. Jedyne przypadek, który przywiódł go do tego miasta, sprawił również, że dotarł tu w samą porę, by przeczytać o ostatnich wydarzeniach w Carpentier. W czerwcu był na zachodnim wybrzeżu, dokąd nie dotarło lokalne poruszenie, wywołane wcześniejszym, tajemniczym włamaniem.

A jednak to w związku z podobnym incydentem, jak sprawa bungalowu, Biornson znowu podjął trop. Teraz mówił dalej:

- Wiedziałem, że nic nie zdoła nasycić jego ambicji, że dziwne, straszne wypadki wkrótce zdarzą się z powodu...

- Jestem pewna - odezwała się Cliona - że istota, która tamtej nocy podeszła do moich drzwi, nie jest naturalnego pochodzenia!

- Szaleństwo... czyste szaleństwo! - mruknął Rhodes, bawiąc się przyciskiem i zastanawiając się, czy dla nerwów Cliony gorzej będzie, gdy wyrzuci obcego teraz, czy poczeka, aż zacznie stawać się niebezpieczny.

- Zobaczyłem nazwisko pani brata w porannym dzienniku - kontynuował Biornson. - I wzmiankę o tym, co wydarzyło się w czerwcu. Przejrzałem w redakcyjnym archiwum stare numery i... wtedy już wiedziałem. Z tego, co wcześniej powiedziałem, może

sobie pani wyobrazić, jak usilnie starałem się ich odnaleźć... i tego stwora, którego zabrali z Tlapallan, a powinienem raczej powiedzieć, że uciekli z nim z Tlapallan. Pojechałem prosto do Carpentier. Przypuszczam, że pani brat był zbyt zdenerwowany i przejęty, by mnie rozpoznać i - zaśmiał się krótko - pan O'Hara nie należy do osób, które łatwo powstrzymać, gdy zdarza im się spieszyć! A poza tym... ja... prawdę mówiąc, kiedy pani brat mnie rozpozna, raczej nie przywita mnie z otwartymi ramionami. Jest coś... pewna sprawa, o której nie wspomniałem. Kiedy się rozstawaliśmy, wyrządziłem mu wielkie zło. To było piętnaście lat temu, ale tego rodzaju rzeczy nie zapomina się.

Biornson umilkł trochę zasepiony. Pomimo dążenia, żeby znaleźć Colina, zapewnić sobie jego pomoc i wydobyć z niego informacje, jakie tamten mógł mieć, raczej obawiał się momentu spotkania.

- Colin prawdopodobnie zapomniał o tym - powiedziała Cliona z roztargnieniem. - Nigdy długo nie żywi urazy. - Myślam wróciła do opowieści mężczyzny. - Mówię panu, panie Biornson, że nie może być żadnych wątpliwości. Ten człowiek, Reed, jego opowieści o dziwnych zwierzętach, służący-albinos, córka, która jest tak śliczna i dziwna, i twierdzi, że nie jest jego córką, cała ta trójka dokładnie pasuje do tych, których pan ściga! A jeśli chodzi o czarnego boga, o którym pan mówił, to nic nie wiem. Colin nic mi nie wspominał, że widział tam podobnego demona wyrzeźbionego w kamieniu, a ta biedna dziewczyna... obawiam się, że nie daliśmy jej okazji, by nam cokolwiek opowiedziała.

- Miała pani dobre intencje. Och, widzę z pani twarzy, zachowania i... zrozumienia, że miała pani dobre intencje. Mówi pani, że wydawała się zdrowa, tylko bardzo smutna. Smutna! Jak mogę wynagrodzić jej ten ostatni rok? Nigdy nie myślałem, że będę zadowolony ze śmierci mojej drogiej żony. Ale teraz dziękuję Bogu, że Astrid odeszła w spokoju, mając przy sobie dziecko, które kochała, oplakiwana przez wielu przyja-ciół... tak, jestem zadowolony, że odeszła, zanim zagłada spotkała Tlapallan.

Ale nasze biedne dziecko... niech ją odnajdę... żeby tylko ją odnalazł... To się nie uda!

Biornson zatrzymał się i wyprostował dumnie.

- Więzy osobiste - powiedział surowo - są nie do rozerwania, ale najpierw muszę spełnić swój obowiązek. Pani Rhodes, czy pani zdaje sobie sprawę, że musimy ocalić świat przed inwazją niewiarygodnego okrucieństwa i zła? Nie sądzę, żeby się już zaczęła. Wierzę... mam nadzieję, że zdążymy na czas, by zniszczyć tę istotę w jej niemowlęctwie. Kapłani Nacoc-Yaotla znali niebezpieczeństwo. Zawsze starali się ograniczać jej moc. Ale teraz jest na wolności... na wolności... ze swymi wybranymi sługami! Może pani myśleć, że jestem obłąkany, ale przysięgam, że w tym przerażającym, rzeźbionym, czarnym kamieniu, zwanym Nacoc-Yaotlem, istniało... istnieje życie! Życie, które jest ambitne i nikczemne, i które wybrało tych podłych ludzi na pośredników swych diabelskich ambicji! Czuje wrogość do ludzkiej rasy... wrogość silniejszą i mroczniejszą, niż potrafiłaby odczuwać ludzkość. Czy potrafi mi pani uwierzyć, że są starzy bogowie, którzy nadal żyją? Starzy bogowie i moce, które przetrwały śmierć swoich wyznawców?

- Łatwiej mi uwierzyć w pańskiego demona - powiedziała Cliona - z powodu stworzenia, które podeszło tamtej nocy pod moje drzwi. A czy naprawdę, panie Biornson, sądzi pan, że to właśnie porcelanowy posążek, który Colin przywiózł z Meksyku, sprowadził nieszczęście na nasz bungalow?

- Zapewniam, że tak!

- Więc nie wątpię, że ma pan rację. I myślę, że to w domu Reeda w Undine znajdzie pan kryjówkę złego ducha, którego pan szuka!

- Cliono Rhodes! - wybuchnął Tony, wstając w końcu, wstrząśnięty ponad miarę tą całą rozmową.

- Cliona O'Hara Rhodes - poprawiła go z błyskiem w bardzo podekscytowanych niebieskich oczach. - Istnieją rzeczy, które my, Irlandczycy, jesteśmy w stanie szybciej zrozumieć niż reszta świata. Nie mieszaj się do tego, Tony!

Rozdział XXIII. „Pan Strachu”.

- Niech się pan rozejrzy wokół siebie - powiedział Reed. - Ma pan wiele do zobaczenia i posłuchania, zanim przeprowadzę swoje zamierzenia.

Chociaż Colin sądził, widział już zbyt wiele, posłusznie obejrzał się za siebie. Po chwili odwrócił się z powrotem.

- Nic nadzwyczajnego - powiedział ze znużeniem. - To, że ten stary, czarny diabeł panuje nad tym miejscem, to najnaturalniejsza rzecz na świecie, panie Reed!

Z jakiegoś powodu szydercza twarz Reeda poczerwieniała ze złości.

- Ja tutaj panuję! - warknął. - Niech pan wstanie i odwróci się! Szybko! Albo przekona się pan, że jest we mnie diabeł, którego naprawdę należy się bać!

Ale choćby Colin był na tyle głupi, żeby wierzyć w demony, nie był człowiekiem, który łatwo dałby się zastraszyć.

- Jeśli pan chce, żebym wstał - powiedział spokojnie - będzie pan musiał rozwiązać mnie lub podnieść. Ta pańska pijawka sprawiła, że jestem w nie najlepszej kondycji.

Udawanie większego osłabienia, niż naprawdę czuł, było elementarną strategią, ale ku własnemu niezadowoleniu, nie musiał za bardzo udawać. Jedyne, co mógł zrobić, to wstać, przy raczej niechętniej pomocy Reeda, a kiedy już stał, stwierdził, że chwieje się, a kolana uginają się pod nim.

Ledwo wstał, gdy zaraz usiadł z powrotem, ale tym razem na rzeźbionym krześle, o ile mógł stwierdzić, z czystego złota.

Trudno oczekiwać, że pośród moczaru znajdzie się solidny złoty mebel. Ale równie niezwykle jest znalezienie bagna pełnego diabłów w sercu starej, kolonialnej rezydencji. Niezdolny do zdziwienia, Colin rozejrzał się wokół i przestał na tym.

Bezpośrednio pod szybem fragment podłogi, którego średnica wynosiła jakieś siedem i pół metra, wylany był cementem i leżał nieco powyżej poziomu bagna, ale jak wszystko wokół ociekał

wilgocią. Z trzech stron otaczało go bagno, a z czwartej była ściana znajdująca się w jednej płaszczyźnie z bokiem szybu. Widniały w niej pojedyncze szerokie i wysokie drzwi.

Na cementowej podłodze stały różne przedmioty, które, podobnie jak krzesło, zdawały się mieć zdumiewającą wartość i być zupełnie nie na miejscu.

Dzbany i naczynia z masywnego złota były poustawiane bezładnie. Blisko Colina stał wielki kufer lub skrzynia bez wieka. Na oko jej wartość pochłonęłaby rezerwy pieniężne całego banku, ale do środka wrzucono stos podniszczonych zwykłych rzeczy: jakieś brudne drelichy, parę starych płóciennych spodni i tym podobne. Wetknięto w nie łopatę i to tak nieostrożnie, że stalowe ostrze odłupało długi, zwinięty płat złota.

Trzy potężne złote kuguary, podtrzymujące prawie dwumetrowej długości misę, jakby chrzcielnicę, robiły duże wrażenie, ale poplamiony gumowy fartuch, zarzucony na głowę jednego z kugarów, raczej psuł efekt.

Jedyną rzeczą, którą Colin uznał za całkowicie pasującą do tego miejsca, był przysadzisty, wypolerowany, czarny posąg ustawiony na małym podium pod czarnym baldachimem. Po obu jego stronach paliło się po pięć świec w dwóch złotych świecznikach.

Ten najbrzydszy z posągów po prostu śmiał się z najnikczemniejszego nawet zła.

Głowę, szczególnie usta, można byłoby porównać do ucłowieczonej ropuchy, z tym że ropucha, pomimo braku urody, ma w swym wyglądzie pewną uczciwość. Twórca tego posągu nie poprzestał na przedstawieniu jego brzydoty. W samym rozszerzeniu nozdrzy było coś czujnego i ukradkowego. Oczy, jak szparki, były również bardzo czujne. Usta wykrzywiały się w uśmiechu, ale był to napięty, okrutny grymas, który wcale nie świadczył o poczuciu humoru.

Istota siedziała ze skrzyżowanymi nogami, naga, a długimi, zdradliwymi palcami obejmowała kolana; nie miała żadnych ozdób, które w barbarzyńskich czy też innych religiach stanowią atrybuty boskości. Przedstawiona istota miała tylko jeden cel,

jedno dążenie, a odpowiednim jego symbolem była sama jej twarz.

Kiedy Colin patrzył na nią, wezbrała w nim taka fala obrzydzenia i odrazy, że poczuł mdłości.

- Reed - powiedział - mógłbym panu wybaczyć te diabełki z pańskiego trzęsawiska i mógłbym również wybaczyć tę podłą pijawkę, którą pan na mnie nasłał przy bramie, ale nie wybaczę panu widoku tego czarnego bezeceństwa, któremu bez wątpienia oddaje pan cześć. Na Boga, będzie mnie prześladowało w snach, choćbym miał dożyć setki!

I znowu Reed wybuchnął złością.

- Dosyć tego! - warknął. - Niczemu nie oddaję czci! Rozumie pan? Niczemu! Dobry Boże! Czy naprawdę jest pan takim ślepym głupcem, że boi się kawałka rzeźbionego marmuru bardziej niż mnie? Ja jestem Panem Strachu, nie Nacoc-Yaotl!

- Co pan powiedział?

Słowo, imię ma, przynajmniej, kiedy nie przestaje się o nim myśleć, potencjalną moc. W szczególnych wypadkach może posiadać magiczną moc. Colinowi wydało się, że opadła zasłona okrywająca minione lata. Płynąc po morzu światła, podniósł oczy i spojrzął na ciemną skałę zwieńczoną monstualną budowlą pozbawioną okien, białą i przygniatającą, samym swym wyglądem.

- To siedziba Nacoc-Yaotla - powiedział dziewczęcy głos. - Nacoc-Yaotla, Pana Nienawiści, który zniszczyłby cały świat, gdyby mógł!

- Nacoc-Yaotl! - Zniecierpliwiony głos Reeda dotarł do Colina i sprowadził go znowu do terażniejszości. - Jedno z wcieleń starego azteckiego boga. O Boże! Jak głupio wyglądasz, kiedy tak się gapisz. Przez te lata twoja inteligencja nie wzrosła ani trochę... przyjacielu Boots!

Colin gwałtownie zamknął usta.

- Archer Kennedy! - wykrzyknął. - To przez tę brodę i okulary! Poza tym myślałem, że pan umarł wiele lat temu. Może więc

powie mi pan to, nad czym zastanawiam się mniej więcej od piętnastu lat! Czy Tlapallan naprawdę istniało, czy to tylko mój sen?

To nie do zniesienia, gdy ktoś próbuje przerazić innego człowieka potęgą swego zła, a tamten traktuje go wyłącznie jako źródło informacji. Dla Archera Kennedy'ego wyraźnie bezosobisty charakter pierwszego pytania Colina był irytujący i obraźliwy.

W czasach ich wcześniejszej znajomości czuł do Irlandczyka żal głównie dlatego, że tamten miał zwyczaj lekceważenia go jako człowieka. Spodziewał się jednak, że Colin okaże mu przynajmniej nienawiść jako tajemniczemu Chesterowi Reedowi. Ale kiedy tamten rozpoznał go, natychmiast zaczął traktować w dawny sposób. To oczywiście tylko ukłucie szpilki, ale natura tego człowieka nie była wyłącznie zła. Jego zło było powierzchowne; bardziej gniewały go ukłucia niż ciosy.

- Tlapallan - powiedział z zaciśniętymi zębami - istniało naprawdę, ale teraz już go nie ma! Wiesz, kto je zniszczył?

- Nacoc-Yaotl? - zapytał Colin z dużym zainteresowaniem. Ku jego zdumieniu odpowiedzią było silne uderzenie w twarz.

- Mówisz głupstwa! - z wściekłością krzyknął Kennedy. - Wspomnij jeszcze raz Nacoc-Yaotla, a każę cię zaciągnąć na środek bagna i zostawię tam związanego moim sługom na pożarcie! To ja zniszczyłem Tlapallan, ale najpierw zdobyłem wiedzę, która mnie czyni twoim panem, podobnie jak uczyni mnie panem całego świata, kiedy nadejdzie dzień mojego triumfu!

Colin nic nie powiedział. Człowieka, który go uderzył, pamiętał jako zbyt mało znaczącego i nieobliczalnego, by się na niego poważnie złościć. A jeśli chodzi o jego pompatyczną zapowiedź, Colin nie przejął się nią.

Ale Nacoc-Yaotl to była inna sprawa.

Przypomniał mu się straszny wzrok goblinów i czujne szparki oczu tego bardziej przerażającego, choć pozornie martwego,

demona, i zdał sobie sprawę, że wszystko rozegra się między nim a nimi.

Co takiego powiedział Biornson, zanim wysłał go na pustynię, by tam umarł? (Tak przynajmniej Colin sądził.) „Aby zapobiec temu, o czym nie śmiem mówić, poświęciłbym siebie z równą gotowością jak ciebie. Gdyż wiem, że Nacoc-Yaotl staje się coraz bardziej krnąbrny.”

Co miał na myśli? Czy zła moc, która kryła się w tej białej, ogromnej budowlu nad jeziorem, zapagnęła wolności większej niż ta, na którą pozwalało Tlapallan? I czy spełniło się to pragnienie?

„Istnieje przepowiednia,” powiedziała Dziewczyna z ómami, „że któregoś dnia Nacoc-Yaotl zniszczy Tlapallan, ale ja nie wierzę w nią. Quetzalcoatl, najszlachetniejszy z bogów, jest silniejszy niż on.”

Ale nie było już miasta na jeziorze światła. Sam widział ciemny staw wypełniający kotlinę wśród wzgórz, które dodawały mu tyle uroku. A Quetzalcoatl... boski rywal... posązek, który stamtąd przywiózł... dwa razy obtłuczony, a za trzecim razem całkiem roztrzaskany po napaściach mających swoją przyczynę, teraz już wiedział na pewno, w tym domu...

Umysł Colina pracował teraz intensywnie. Przywoływał na wpół zapomniane wspomnienia i łączył je we wstrząsającą całość.

A na dnie tego przerażenia kryła się radość... radość, której nie mógł początkowo uświadomić sobie wśród pędzących, poplątanych myśli.

I wtedy nagle wszystkie ułożyły się w pewien wzór. A on, siedząc między diabłem, jak sądził, a jego potomkiem o diabelskich oczach, doświadczył największej radości w życiu i poczuł najwspanialszą ulgę.

Jego Pani Zmierzchu nie była obłąkana!

Jeśli ktokolwiek był szalony, to on, i jakżeż mógł tak o niej myśleć! Przedziwna, czarodziejska uroda elfa; cichy, melodyjny głos, który brzmiał jak głos drozda, gdyby ten przemówił; wspaniałe zrównoważenie i odwaga, której nie mogło zniweczyć

grożące niebezpieczeństwo ani zabicie znenawidzonego człowieka!

Tylko jedna dziewczyna, którą w życiu spotkał, miała te cechy, i chociaż dla Colina Dziewczyna z Ómami była pięknym snem, podczas gdy Pani Zmierzchu - absorbującą rzeczywistością, podobieństwo było wystarczająco silne, by zrozumieć wszystko wcześniej, gdyby nie był takim skończonym głupcem!

Była dzieckiem Tlapallan i chociaż wątpił, czy jej rasa jest w pełni ludzka, nie miało to znaczenia. Czyż jego przodek nie ożenił się z kobietą-elfem, którą spotkał na Bri Leith?... I czy ona nie była dla niego dobrą żoną, a prababką Colina ze strony matki...

Nagle Colin zdał sobie sprawę, że Kennedy coś mówi... że w istocie mówi już od pewnego czasu.

Rozdział XXIV. Samotny wędrowiec.

Przez nierówne puste pole, trzy kilometry od Undine, potykając się i ciężko dysząc, szła pod obojętnymi gwiazdami ciemna postać. Raz czy dwa upadła między twarde rzędy starej, wyschniętej ścierni kukurydzy. Ktoś mógłby pomyśleć, że to jakieś zabłąkane dziecko, które zgubiło się w nocy, ale postać była zbyt wysoka, zbyt wysmukła i wdzięczna pod powiewającym ciemnym okryciem.

Była to zmęczona, dzielna osoba, która doszła tak daleko, całą drogę przebywszy na własnych nogach. Jasne galery Tlapallan były jedynym środkiem transportu, jakie знаła ta wysmukła postać, aż do czasu smutku, a podczas długiej, strasznej podróży przez zewnętrzny świat nauczyła się niewiele, trzymana w zamknięciu przez swych wrogów.

Ale dzieci Tlapallan miały pewne korzyści z racji pochodzenia. Żaden gołąb pocztowy nie dążyłby bardziej pewnie do celu niż ta szczupła, zmęczona postać, która potykała się na ściernisku.

Noc nie była już tak cicha jak na początku. Zerwał się wiatr. Wiał w nagłych porywach, niby oddech niewidzialnego giganta. Długi płaszcz łopotał i owijał się wokół zmęczonych nóg, tamując ruchy.

Z jednej strony, w oddali, rozbłysły światła gospodarstwa hodowlanego, którego częścią było to pole. Podobny do pałacu dom pełen był kwiatów, świateł i śmiejących się ludzi, gdyż jego właściciele przyjmowali tej nocy wielu gości.

Odziana w płaszcz postać nie była ich gościem. Z rozpaczliwym pośpiechem brnęła naprzód, równie obojętna na tłum wesołych ludzi w odległym domu, jak gwiazdy były obojętne dla niej.

Rozdział XXV. Biała zwierzęca łapa.

- I tak - mówił Kennedy - szalejąc za dziewczyną i przekonawszy się, że mój rozum zasługuje na szacunek, Marco, czy też raczej Marcazuma, by nazwać go pełnym imieniem, zdradził mi parę sekretów, które okazały się absolutnie bezcenne. Jedyne za pomoc w zdobyciu jej! Gdybym mógł zdobyć podobną władzę nad kapłanami innych bractw, cały świat byłby teraz u moich stóp, i jeszcze będzie! Wierz mi, przyjacielu Boots, że najpotężniejszy bóg Tlapallan nigdy nie miał tam swojej siedziby ani nie został rozpoznany. Nawet ja byłem ślepy przez jakiś czas.

O'Hara stwierdził, że przez swoje zamyślenie stracił wątek bardzo interesującej opowieści.

- Nie rozumiem - powiedział.

- Ani ja nie rozumiałem... na początku. Pamiętasz, w jakim stanie wołałem cię tej nocy, kiedy ciebie puszczono wolno, a mnie zatrzymano jako jeńca? Widziałem zjawisko, które przeraziłoby każdego człowieka. Widziałem przemianę... ale później opowiem o tym. Uwierz mi, że zanim skończy się ta noc, jasno zrozumiesz tę szczególną „tajemnicę”. Ale wracając do rzeczy, był taki moment, że naprawdę się bałem... bałem się ich tandetnego kamienia i złotych posągów! Ja! A stary Topiltzen... pamiętasz Topiltzena? Był głównym kapłanem tego kawałka kamienia. - Skinął pogardliwie głową w kierunku posągu Nacoc-Yaotla. - To ten, którego wyrzuciłeś za burtę, za co i ja omal nie zapłaciłem... nie życiem, lecz losem, który, jak już wspomniałem wcześniej, poznasz, zanim skończę z tobą.

W słowach tego człowieka była nieprzyjemna i wciąż powtarzana groźba, ale Colin stwierdził, że nie robi to na nim specjalnego wrażenia. Wstrętne, nienaturalne bagno, plugawe kształty i upiorne oczy były wystarczająco straszne. Wyobrażenie wszelkiego zła ukryte pod czarnym baldachimem to nic innego jak... koszmary widziane w delirium.

Samozwańczy „Pan Strachu” wcale nie był straszny. Tak nie pasował do swego otoczenia, jak poplamiony gumowy fartuch do złotego kugurara lub zbieranina zwykłych śmieci do złotej skrzyni.

Czarny bożek na podium i gobliny na bagnie były odrażające, a zarazem straszne. Kennedy był odrażający, ale wzbudzał pogardę. Był płytki, tani; był powłoką człowieka, pustą w środku z wyjątkiem drobnego egoizmu i złośliwości, które nie miały nawet rekompensującego je dostojeństwa wielkości.

Patrząc mu w oczy, Colin dziwił się, że nie tak dawno miał wrażenie, że zobaczył za tymi okrągłymi szklami prawdziwie demoniczne spojrzenie, takie jak to, które charakteryzowało bagienne bestie.

- Chciałbym - powiedział spokojnie - jeśli to dla pana wszystko jedno, panie Kennedy, żeby opowiedział mi pan całą historię i skończył z tym.

- Chciałbyś, co? Gdybyś wiedział, co cię czeka na końcu... No dobrze, więc stary Topiltzen miał we śnie „objawienie”, że jego bóg życzy sobie, abym został sługą świątynnym. Cholernie szczęśliwe dla mnie objawienie. Powiedziałem już, że początkowo dałem się ponieść wyobraźni. Zamiatałem, dźwigałem ciężary, harowałem dla nich trzęsąc się ze strachu! Ja! Dopóki nie posłużyłem się rozumem i nie przypomniałem sobie, że materialne skutki mają materialne przyczyny, i nie zobaczyłem wyraźnie prawdziwego boga kryjącego się za fałszywymi.

- A mimo to nie wywarł pan na mnie wrażenia człowieka religijnego - zauważył jeniec w zamyśleniu.

- Ty głupcze, nie miałem na myśli tego, co przypuszczasz! Bóg, o którym mówię, to jedyny bóg o prawdziwej mocy, jakiego kiedykolwiek znał świat. Mam na myśli... naukę! Ci kapłani znali mnóstwo sekretów, które przejęli od nauki i przypisali je Tonathiu, Tlalocowi, Quetzalcoatlowi i Bóg wie komu. I w końcu ponieśli karę jak wszyscy głupcy, którzy niszczą naukę przesadami i wierzą we własne puste rytuały. Oni, którzy mogliby panować nad światem, zwrócili się przeciwko sobie nawzajem. W potwornym starciu uwolnionych, ślepych sił całe Tlapallan, oni

sami i ich źle wykorzystana wiedza zniknęli po prostu z powierzchni ziemi. Ha! Pomagałem w tym... ja... biedny, pogardzany, nic nie znaczący świątynny niewolnik! Jak wszyscy dumni, przesądni głupcy byli gotowi wierzyć w plotki, które im znosiłem. Svend Biornson był w tamtych dniach dość zadufany w sobie. Wielki doradca Rady Bractw! Lekceważył mnie. Kiedyś nazwał mnie „nędznym, tchórzliwym niewolnikiem”, ale to właśnie ten niewolnik podkopał dzieło Svenda Biornsona, niewolnik spowodował zagładę Tlapallan! A ci niezdarni strażnicy! Neutralni na mocy przysięgi! Boże, doprowadziłem do tego, że walczyli ze sobą zawzięcie!

- Zyskali w panu bardzo pożądanego obywatela!

Ale Kennedy, ogarnięty triumfalnymi wspomnieniami, mówił dalej.

- Oczywiście, miałem dużo szczęścia, gdyż inaczej nie uratowałbym z ogólnej katastrofy niczego oprócz siebie i paru przyjemnych wspomnień. Marcazuma był młodszym kapłanem Nacoc-Yaotla... i jest nim nadal w rzeczywistości...

- Co? Marco?

- Tak go nazywam. Tamto drugie imię jest zbyt długie i zbyt dziwaczne. Nie chcieliśmy, żeby ludzie niepokoiili nas różnymi pytaniami. Nawet ty potrafisz to zrozumieć. Ale Marcazuma nadal jest kapłanem Nacoc-Yaotla... we własnej, głupiej opinii.

Colin nie miał powodu, żeby w to wątpić, ale jeśli Kennedy nie odkrył śmierci albinosa, nie zamierzał go oświecić.

- Jak mówiłem, Marcazuma bardzo się ze mną zaprzyjaźnił. Później był na tyle uprzejmy, że sam doznał objawienia - czy też raczej tak twierdził - w którym czarne brzydactwo wyraziło pragnienie rozszerzenia działalności i wybrało mnie na swego pośrednika.

- Hmm! I może Stwórca Nienawiści nie pomylił się tak bardzo w tym wyborze, panie Kennedy.

- Zamkniesz się czy wolisz, żeby cię zakneblować? Przynajmniej raz jesteś mądry. Milcz i słuchaj! Podczas gdy na

jeziorze toczyła się walka, Marco i paru jego ludzi, którzy uwierzyli w jego głupie objawienie, pomogli wynieść to bóstwo i świątynne sprzęty, które tutaj widzisz, poza wzgórze, a potem przytaszczyli je dla mnie w cywilizowane strony. Byli tak wielkimi głupcami, że później wrócili do tego rozszalałego piekła, które zostawiliśmy za sobą. Wszyscy oprócz Marco. On jest w równym stopniu tchórzem, jak głupcem, a poza tym była jeszcze dziewczyna.

- Co takiego?

- Dziewczyna. Dlaczego patrzysz... ach, widziałeś ją wtedy w nocy, prawda... i skłamałeś potem?

- Ma pan na myśli, że pan... że Marco...

- Och, mniejsza o dziewczynę. Ona jest nieważna. Zabrałem ją z tego samego powodu, dla którego zabrałem tamto czarne paskudztwo. Marcazuma był w niej zakochany od czasu, kiedy jeszcze była dzieckiem. Ale biedak sam nie jest urodziwy i jej ojciec nie chciał nawet słyszeć o ich związku. Zawsze przysięgała, że zabije się, jeśli oddam ją Marco, ale to, zdaje się, ani trochę nie zmniejszyło jego oddania. Dziwne! Ja nie zszedłbym ze swojej drogi dla żadnej z ciemnookich piękności, jakie kiedykolwiek by się na niej pojawiły, ale Marco jest tchórzliwym, słabym prostaczkiem. Właśnie z tego powodu nigdy nie pozwoliłem mu jej dotknąć. Z obawy, że dziewczyna zabije się i Marco pójdzie za jej przykładem, a ja do niedawna potrzebowałem głupca. On wierzy, że Nacoc-Yaotl raczył łaskawie wcielić się we mnie, w pewnym stopniu. Poza uczuciem do dziewczyny i strachem przed czarnym bogiem, jest mi całkowicie oddany. Zapanowałem nad jego ciałem i duszą, w żaden inny sposób nie mógłbym zapanować nad nim tak zupełnie. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że młoda dama przewyciężyła swój wstręt do niego i namówiła go, żeby ją stąd zabrał. Nie było mnie zeszłej nocy - opowiem o tym później - i kiedy wróciłem, okazało się, że oboje zniknęli. Ale to nic wielkiego. Są tak dziwną parą, że nikt nie uwierzy w żadną historię, którą mogliby opowiedzieć, a Marco ma przynajmniej tyle rozsądku, by nie rozgłaszać żadnych plotek o mnie. Niech

sobie idą. Nie potrzebuję żadnego z nich, podobnie jak tego posągu. Wywiózłbym go i roztrzaskał choćby jutro, ale szczerze mówiąc, mam pewną słabość do tej głupiej rzeczy. Całkiem ładna ozdoba małego saloniku, prawda? - zachichotał. - A wracając do mojej historii, od samego początku miałem szczęście. Powiem ci, że chociaż słabością Bonapartego była przesądność, jestem w stanie niemal podzielać wiarę małego Korsykanina w gwiazdę przeznaczenia. Nawet gdyby naprawdę istniała taka gwiazda, sprawy nie mogłyby lepiej się dla mnie ułożyć. Myślałbyś pewnie, że wywiezienie całego tego złota z Meksyku, szczególnie w takiej postaci, to zbyt trudna sztuka. Rząd przy najmniejszym podejrzeniu skonfiskowałby cały łup. Szkoda czasu na opowiadanie całej historii tej podróży. Ale od początku do końca przebiegła bardzo pomyślnie. Na koniec popłynęliśmy do Nowego Orleanu małym szkunerem, który również musiał mieć swoją szczęśliwą gwiazdę. Nie wiem, co innego mogło utrzymać razem jego przegniłe, stare belki. Szyper znał mnie z dawnych czasów. Pomógł mi przez wzgląd na stare dzieje... i jedną ze sztabek złota, które Marco wykradł ze świątynnych zapasów. Spodziewałem się raczej noża w plecach, ale Diego Rosalis musiał zmienić się na lepsze podczas tych lat, które spędziłem w Tlapallan. Powiedział mi, że nigdy nie przeżył takiej łatwej podróży i że nigdy nie był tak zadowolony, jak wtedy, gdy się skończyła. Poskarżył się, że przez cały czas miał koszmarne sny, a ostatnie czterdzieści osiem godzin spędził bez snu na pokładzie. Zapytałem go, dlaczego, ale wszystko, co udało mi się z niego wydobyć to: „Tengo miedo... tengo miedo malol” Nadal jest dla mnie tajemnicą, czego tak „bardzo się bał”, jeśli to nie kłopoty z trawieniem były przyczyną jego snów. Jeśli ktokolwiek miał powód do strachu, to właśnie ja. Ten rozpadający się szkuner, jego dziurawa ładownia pełna mojego złota i szesnastu najprawdziwszych piratów na pokładzie. I co dziwniejsze - gdybyś go znał - Rosalis wziął sztabkę złota, którą mu dałem, i rozmyślnie wyrzucił ją za burtę, tuż po tym jak zarzuciliśmy kotwicę. Ci jego piraci patrzyli na to z kamiennymi twarzami... a pamiętaj, że to było również ich złoto! Wróciłem tej nocy na pokład, kiedy już wszystko wylądowaliśmy, i niech zginę

marnie, jeśli zmyślam. Wydostali skądś relikwie Świętej Marii, umieścili je na dziobie i cała banda padła przed nimi na kolana! Żeby „oczyścić statek po pasażerach”, powiedział Rosalis. Mógłbym poczuć się osobiście dotknięty, gdyby nie było nas troje, w tym jeden tak dziwacznie wyglądający gość jak Marco. Może to jego czerwone oczy tak ich zirytowały...

- Czwooro - poprawił cicho Colin O'Hara.

- Nie, troje. Dziewczyna, Marco i ja. Ale nie robiłem sobie zbyt wiele kłopotu, by odkryć, co tak dręczyło Rosalisa. Stary kontrabandista wyładował na łódź moje skarby, tak że celnicy do nich nie zajrzeli, i to mi wystarczyło. Zapakowane były w jutowe worki i owinięte słomą. Dopiero w magazynie przepakowałem je w drewniane skrzynie i stamtąd przetransportowałem do innego składu jako „próbki minerałów”. Wysłałem je frachtem na północ... najzwyklejszym frachtem i nie straciłem ani jednej sztuki! Ryzyko? Oczywiście ryzykowałem. Ale różnica między głupim a mądrym człowiekiem polega na rodzaju ryzyka, jakie podejmuje, i sądzę, że ostatecznym kryterium jest powodzenie. Nawet gdyby w Rosalisie nastąpiła jakaś przemiana i zaczął opowiadać o mnie po drugiej stronie Zatoki, to istniał niewielki związek między byłym Archerem Kennedym z Campeche a panem Chesterem T. Reedem, który podpisał rachunki za transport kilku skrzyń z bezwartościowymi kamieniami.

Kennedy umilkł. Po chwili kopnął w zamyśleniu jedną ze złotych urn.

- Boże! - powiedział. - Był czas, kiedy samo posiadanie tyłu złotych wspaniałości zawróciłoby mi w głowie. A spójrz, jak tego teraz używam! Jest to dla mnie tylko nie ulegający korozji metal, niezbędny do pewnych procesów, i którego używanie w tradycyjnych formach, nadanych mu w Tlapallan, bawi mnie. Ale gdybym kiedykolwiek potrzebował pieniędzy, przekonałbyś się, jak święte są dla mnie świątynne naczynia! Nie żebym spodziewał się, że taka potrzeba kiedykolwiek zajdzie. Zanim wykorzystam całe złoto, które przywieźliśmy, będę miał większą moc niż ta, jaką zapewnia posiadanie złota! Rzeczy nadprzyrodzone są tylko

wtedy niebezpieczne - kontynuował Kennedy - kiedy się w nie wierzy. Kapłani popełnili ten błąd. Ja nie. Dzięki jednej małej „tajemnicy”, którą udało mi się wykraść z Tlapallan, zdobędę władzę, jakiej świat nigdy nie widział. Ludzie skłaniają głowę przed dwiema potęgami - złotem i strachem! W dniu, kiedy będę gotowy, pokłonią tylko przed jedną, a ta będzie w moim władaniu. Złoto! Czym jest złoto wobec strachu?

Znowu kopnął pogardliwie urnę. Później przestał nagle mówić, a na jego twarzy pojawił się dziwny, nieprzytomny wyraz.

Przesunął ręką po czole.

- Dziwne - mruknął bardziej do siebie niż do Colina. - Mógłbym wiele dokonać z tym bogactwem. Panowanie nad światem! Cóż więcej zdobyłbym oprócz tego, co można kupić za złoto?

- Bardzo rozsądne pytanie! - pochwalił Colin. - Ale co mają wspólnego tamte straszyska, które pan tak uparcie uważa za swoje dzieło, z panowaniem nad światem?

- One? One to dopiero początek. - Ton Kennedy'ego był niemal płaczliwy. Wyglądał jak człowiek na wpół śpiący, który zaczyna wątpić w swoje sny. Po chwili wyraz oszołomienia zniknął z jego twarzy, a wrócił namiętny sposób zachowania. - Dopiero początek. Musiałem wypróbować metodę. Marco wiele mnie nauczył, a kapłani nawet w połowie nie zdawali sobie sprawy, czego mogliby dokonać. Bali się własnej mocy, głupcy! Dzięki swojej nieustraszonej inteligencji osiągnąłem wspaniałe wyniki; bestie rosną teraz w zdumiewającym tempie... i rozmnażają się! A jak jedzą! Nie uwierzyłbyś, że te zwierzęta wyglądające na zagłodzone pożerają taką ilość mięsa, która wystarczyłaby, żeby całe stado tygrysów było tłuste i szczęśliwe. Jak przypuszczam, to dlatego, że tak szybko rosną. W pierwszym miesiącu, kiedy wszystko tutaj urządziłem, osiągnąłem tylko dwa sukcesy - ślicznotkę, która zabłądziła do Carpentier w czerwcu, i Dżyngischana. A przy okazji, pomimo że próbowałeś go skrzywdzić, nadal jest silny. Przyciągnął cię od bramy aż tutaj jedną zdrową ręką. A jeśli chodzi o tamto drugie, moje pierworodne, że tak powiem, twoja siostra zabiła je, zanim dorosło. Zabłąkało się

pewnej nocy i wyobrażam sobie, że domyślasz się odpowiedzi na słynną „tajemnicę bungalowu”. Biedne zwierzę dopłynęło strumieniem do domu i zdechło przed świtem! Mój Boże, ale byłem zły! A później w ciągu zaledwie paru tygodni pojawiły się one wszystkie!

Zrobił gest lewą ręką w wielkiej, białej rękawicy.

- Jak to się pojawiły? - zapytał Colin. - Słyszałem opowieść o człowieku, który zstąpił do piekła i targował się o kozła z samym diabłem, ale nigdy nie dawałem wiary tej historii. Jeśli jednak pan zrobił coś takiego, panie Kennedy, radziłbym...

- Och, milcz! Słyszysz? Milcz! Twoja przesądna gadanina może człowieka doprowadzić do szału! Mówię ci, te bestie ja sam stworzyłem... sam! Czy też raczej, powtórnie stworzyłem ze zwyczajnych, głupich, bezużytecznych postaci, w jakich początkowo rosły. Jak mogę sprawić, żeby zrozumiał to taki tuman, jak ty?

- Nie wiem, chyba że wytłumaczy mi to pan prostym językiem.

- To dosyć trudne - drwił Pan Strachu - wyjaśnić komuś takiemu, jak ty, techniczne szczegóły procesu bardzo skomplikowanego nawet dla...

- Rozumiem wszystkie te słowa - powiedział Colin łagodnie.

- Dla wytrawnego badacza - dokończył tamten. - Czy będziesz tak dobry i przestaniesz mi przerywać? Jak już mówiłem, wyjaśnienie ci szczegółów jest nie tylko niemożliwe, ale również zbędne. Nie poruszałbym w ogóle tej sprawy, gdyby nie to, że chciałbym, aby w twoim tak zwanym rozumie nie powstała myśl, że niedługo masz stać się ofiarą nadprzyrodzonego zjawiska. Czy wiesz, co dzieje się, kiedy substancja organiczna ulega temu, co znane jest jako rozkład?

- Gnije - usłyszał dość znudzoną odpowiedź.

- Takiej odpowiedzi powinienem się spodziewać. Ale gdy sięgnąć nieco głębiej w prawdziwą naturę tego „gnicia”...

- Struktura komórkowa - wtrącił się jego słuchacz - rozpada się pod wpływem tlenu atmosferycznego i innych podobnych

okropności. Panie Kennedy, jak pan mówi, jestem człowiekiem prostym. Jednak od momentu, kiedy zostałem uderzony w kark i straciłem trochę krwi, a potem miałem pierwszorzędną przejażdżkę od grobowca przy bramie do tego oddziału czyścica, tylko siłą woli powstrzymuję się, by nie mdleć co chwilę. Jeśli ma mi pan do przekazania jakąś informację, niech pan ograniczy się do jednosylabowych słów, i to do jak najmniejszej ich ilości, albo nie będę starał się zachować przytomności, by tego słuchać!

Być może w jego twarzy było coś, co potwierdzało to oświadczenie i domagało się pośpiechu. W każdym razie niedoszły wykładowca stwierdził ponuro:

- Nie potrafię wyjaśnić tego w taki sposób, by coś zostało ci w głowie, ale powiem najważniejsze. W żywym stworzeniu życie pojedynczych, mikroskopijnych komórek, które tworzą tkanki, i życie organizacji tych komórek, innymi słowy, stworzenia in toto, jest całkowicie od siebie oddzielone. Zwierzę może umrzeć, w potocznym znaczeniu tego słowa, ale jeśli jego ciało przechowuje się w miejscu sterylnym o umiarkowanej temperaturze, życie komórkowe może trwać przez dłuższy czas. W rzeczywistości, ciało tego „martwego” zwierzęcia jest wystarczająco żywe, żeby jakąś jego cząstkę można wszczepić innemu, „żywemu” zwierzęciu i cząstka ta podejmie swoje normalne funkcje, jak gdyby nie była przejściowo „martwa”. Innymi słowy, ciało, tkanki, krew, mięśnie i materia organiczna kości nie umiera, dopóki nie nastąpi rozkład. Jednak - co tylko brzmi paradoksalnie - rozkład zawsze następuje dopiero po śmierci; nie po śmierci zwierzęcia, ale po śmierci komórki. A rozkład oznacza zniszczenie, rozpad struktury komórkowej, zmianę jędrnego ciała w półpłynną, gnijącą masę. Jest to naturalny bieg rzeczy. Istnieje jednak pewna substancja, pochodna jakiegoś nieokreślonego minerału, którą znali kapłani Nacoc-Yaotla i której sekret zabrałem ze sobą, podobnie jak znaczną ilość samej substancji. Nałożenie cienkiej warstwy tej substancji na żywą tkankę powoduje zniszczenie organizacji komórek. Przenika ona do nich natychmiast, nie niszcząc jednak struktury komórkowej, życia komórki i życia organizacji. Tę część procesu można by nazwać

pseudogniciem, fałszywym rozkładem. Kiedy rozleje się ją po całym ciele, organizm jak gdyby topi się, tworząc jednorodną, galaretowatą masę, a mimo to nadal pozostaje żywy w pełnym tego słowa znaczeniu.

Kennedy efektownie zawiesił głos. Colin uświadomił sobie, że po raz pierwszy czeka na komentarz.

- Byłoby bardziej ekscytujące - zaryzykował - gdyby pan jakoś nazwał ten swój organizm. Może kapusta albo rzepa. Wtedy biedna istota nie wywoływałaby takiego współczucia, jakie...

- Dość! - krzyknął Kennedy. - Czy nie istnieje na ziemi moc, która zmieniałaby twoją idiotyczną nonszalancję w powagę? Wyraźnie zaznaczyłem, że mówię o życiu zwierzęcym, a nie roślinnym. Nie możesz zrozumieć, że to krew, mięśnie, kości, żywe, świadome, czujące ciało rozpuszcza się w tę...

- Wystarczy! - wybuchnął Colin. - Doprowadza mnie pan do mdłości! Człowiek, który mógłby zrobić coś takiego choćby szczerowi, nie ma prawa w ogóle żyć na tym świecie, a tym bardziej zmuszać innych do słuchania siebie.

- Więc tak to odczuwasz, co?

- Właśnie tak to odczuwam!

Kennedy wydawał się raczej zadowolony niż rozgniewany. Był to pierwszy objaw innego niż obojętna pogarda uczucia, które udało mu się wzbudzić w swym jeńcu.

- Więc nie chcesz słuchać - mówił dalej - jak w tej żywej galarecie przebiegają nowe impulsy, następuje reorganizacja komórek, tworzenie nowej postaci, zniekształconej, dziwnej. Ale nie decyduje o tym przypadek ani dziedziczność, lecz wyłącznie wola...

- Idioty, który się tym zajmuje! Nie, nie mam ochoty tego więcej słuchać.

- Idioty! - wybuchnął Kennedy z oburzeniem.

- Właśnie. Człowiek tak głupi, by igrzać z diabelskimi procesami, które pan opisał, by próbować wyjaśnić je „naukowym” bajdurzeniem, by nie zauważyć ciemnych mocy

kryjących się za własną potęgą, taki człowiek nie jest nikim innym, jak idiotą, powtarzam jeszcze raz! Co mnie obchodzą pańskie metody! Niech pan spojrzy na rezultaty! Niech pan spojrzy w oczy tym rezultatom, panie Kennedy, a później niech mi pan powie, że ta, jeszcze gorsza, bestia na podium nie przyłożyła ręki do ich stworzenia!

- Głupiec, głupiec, głupiec! - Pan Strachu dosłownie szalał, biegnąc w tę i z powrotem. - Ja ci pokażę! Zobaczysz to na własne oczy! Zanim postradasz zmysły, zobaczysz żywe stworzenie - królika, kota, ptaka, nieważne jakie stworzenie, jak głupie i niewinne - zobaczysz, jak leży w misie ze złota! Zobaczysz, jak namaszczam je własnymi rękami, zobaczysz, jak myję je później innym roztworem i - głos mu uspokoił się, ucichł i dał się w nim niemal słyszeć szacunek - zobaczysz, jak to stworzenie rozpuszcza się w drgającą, żywą masę, prawie przezroczystą, pulsującą dziwnymi, nietrwałymi barwami, z jedną stałą, karmazynowa plamką w środku, stanowiącą jej jądro. I zobaczysz, jak od tego jądra rozszerza się i formuje nowa struktura. Dla wykształconego umysłu jest to piękny i bardzo niezwykły widok. Jest tak, jakby się patrzyło na cudowne jajo, którego skorupka jest przezroczysta, i widziało, jak rośnie nowa istota. To jeszcze więcej. To jakby się było Bogiem - prawdziwym Bogiem - i oglądało, jak bezkształtna protoplazma pod wpływem samej siły woli przyjmuje określoną postać. Tak, podobnie jak nauka o materii, istnieje również nauka o woli. Trzeba poznać jej tajniki, a to nie przychodzi łatwo, zapewniam cię. Jest taki moment w tym procesie, kiedy bardzo ostrożnie trzeba położyć gołe ręce na swym dziele. Jeśli przeoczy się ten moment, wszystko rozplywa się w cuchnącą masę, którą należy spalić. Sam zapach jest trujący. Jeśli zadziała się zbyt wcześnie, grozi jeszcze większe niebezpieczeństwo. Zdarzył się wypadek, który nauczył mnie... ale mniejsza o to teraz. Wtedy, w krytycznym momencie, całą posiadaną siłę należy skupić na jednej myśli, można niemal czuć ją w koniuszkach palców. Następnie patrzy się. Najpierw pojawiają się cienkie, szkarłatne żyły, uporządkowane sploty włókien, wysuwające się z tej czerwonej plamki w środku

galarety. Rozrastają się i tworzą arterie; zarysowują się kości, kruche, półprzezroczyste jak przydymione szkło. Teraz daje się zauważyć słabe pulsowanie. Cały środek jest zmętniały... i pod bezkształtną, połyskującą powierzchnią zaczyna ukazywać się kształt. Kształt, który wymyśliłem. Zerkają na mnie dwa niewyraźne, płomienne krążki i wiem, że to są oczy, dzikie, a mimo to posłuszne oczy nowo stworzonej przeze mnie istoty. Galareta już prawie wchłonęła się, stężała, uformowała w błony, w skórę... Ale dlaczego miałbym ci opowiadać więcej? Zobaczysz to, a potem, jeśli będziesz mógł, powątpiewaj dalej, że jestem stwórcą. Ale nie uważaj mnie za zarozumiałego egoistę! Nie! Nie udaję, że rozumiem wszystko, co dzieje się w moim laboratorium. Co robi prawdziwy naukowiec? Nawet teraz istnieją jeszcze pewne zagadkowe fazy, trudne do wyjaśnienia, na przykład, zdumiewająco szybki wzrost. Urządziłem tutaj dla nich bagno, ponieważ w takim otoczeniu szybciej rosną, są większe i silniejsze. Biorę małe zwierzę, nagie, drżące i warczące ze złości, biorę je i dobrze karmię - je od pierwszej chwili - kładę w tym zimnym błocie wśród białego sitowia i grzybów, których zarodniki przywiozłem z Tlapallan. Pełźnie i znika, a kiedy godzinę później zwołuję moje zwierzęta na brzeg i rzucam im żywe jedzenie, małe zjawia się razem z tamtymi... i już jest większe! Ale to bynajmniej nie wszystko. Te bestie mają pewną zdolność, której nie mają żadne inne stworzenia, oprócz najprostszych organizmów. Nie rozmnażają się powoli, lecz dzielą przez podział tak łatwo, jak...

- Panie Kennedy! Czy zdaje sobie pan sprawę, że to, o czym pan mówi, to koszmar, a nie nauka?!

- Mówię ci, że się dzieli! Muszą! Przyznaję, że jeszcze nie zaobserwowałem tej fazy eksperymentu, ale w żaden inny sposób nie mogłyby tak nadzwyczajnie szybko się rozmnażać. A co najdziwniejsze, nie dzielą się na dwie takie same części. Weźmy dozorcę - świecąca pijawkę. Nie stworzyłem jej. Była okręcona wokół szyi tamtego posągu, kiedy zszedłem tu któregoś ranka. Od razu wiedziałem, że wypelzła z bagna w poszukiwaniu pożywienia, ale przyznam się, że nawet mnie przestraszyło to

stworzenie. Było tak różne od wszystkiego, co kiedykolwiek wymyśliłem! Ale testem jest posłuszeństwo. Kiedy przekonałem się, że słucha mnie bardziej i inteligentniej niż reszta, uznałem ją za dziecko moich dzieci. Nazwałem ją „dozorca” i ukryłem w stróżówce. Ostatni właściciel powiesił się tam i krąży na ten temat kilka wyjątkowo głupich opowieści. Teraz zwykle zostawiam bramę nie zamkniętą na noc. Każdy, kto wkradnie się przez nią, natknie się na „dozorcę”, od którego usłyszy prawdziwą historię, o ile przeżyje. Czy to nie zabawny pomysł? Pierwszej nocy, kiedy przyszedłeś tutaj, spodziewałem się, że cię złapie, gdy będziesz wychodził. Widocznie jednak, zobaczywszy, że cię wpuściłem, uznał cię za osobę chronioną.

- Bardzo prawdopodobne - zgodził się Colin sucho.

Było znamienne dla obu mężczyzn, że żaden z nich nie napomknął nawet o powodach, dla których Kennedy miałyby powstrzymać się od wykorzystania przeciwko Colinowi okropności, które trzymał dla reszty świata. Dług życia, jaki jeden z nich winien był drugiemu, Kennedy skreślił na rzecz wymyślonej krzywdy. Jeśli chodzi o Colina, co się stało, to się stało. Gdyby nie raz, lecz dwa razy poświęcał życie, by uratować tak godną pogardy kreaturę, cóż... tym gorzej dla niego.

- Przypuszczam - mówił dalej Colin - że to pański pupil, „dozorca”, przywędrował na moją werandę parę tygodni temu... i uciekł, biedny, tchórzliwy robak, z powodu hałasu spowodowanego przez parę rondli i misek!

Pan Strachu drgnął i zmarszczył brwi.

- Nie - powiedział krótko. - Nigdy nie wysyłałem go do bungalowu.

- Więc musiał „zabłąkać się” jak inni. Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności, że Dżyngis-chan, który nie dostał się do mojego domu, był też jedynym, któremu nie udało się uszkodzić pewnego małego posążka będącego w moim posiadaniu? To Quetzalcoatl... ten sam, którego mi pan pokazał, kiedy byliśmy razem w hacjendzie Biornsona.

Popatrzywszy uważnie, Colin zauważył, że na twarzy tamtego pojawił się ślad dziwnego zmieszania. Później mężczyzna otrząsnął się i spojrzął spode łba.

- Nic o tym nie wiem. Jeśli coś takiego się wydarzyło, to zbieg okoliczności i nie widzę w tym nic szczególnie dziwnego. Aż do ostatniej nocy nie wysyłałem żadnego z moich zwierząt poza posiadłość. Mówię ci, że jeszcze nie jestem gotowy. Gdybyś nie zakradł się tu, prawdopodobnie wcale bym się tobą nie zajmował. Sądzisz, że jestem człowiekiem, który zejdzie z wytyczonej drogi dla kogoś tak trywialnego, jak ty... o ile nie zostanie do tego zmuszony? Wracając do posążka. Wyczytałem w gazecie, że przywozłeś go z Meksyku. Naprawdę znalazłeś czas i odwagę, żeby tam wrócić? Czekałem na ciebie dość długo, mając wbrew wszystkiemu nadzieję, że uda ci się jakoś przejść przez pustynię i wrócisz mi pomóc!

- Zatem - powiedział Colin poważnie - winien jestem panu przeprosiny, panie Kennedy. Gdybym przypuszczał, że pan jeszcze żyje, wróciłbym wcześniej... ale teraz to i tak nie ma znaczenia.

- Podobnie jak wiele innych rzeczy, łącznie z Tlapallan... i tobą! - zaśmiał się. - Wkrótce zrozumiesz wszystko. A wracając do „dozorcy”, nie wierzę, żeby znalazł się kiedykolwiek w pobliżu bungalowu. Mówiłem ci, że jest inteligentniejszy i bardziej posłuszny niż reszta. A jeśli już o to chodzi, poza paroma drobnymi wyjątkami wszystkie są bardzo posłuszne. Kiedy podrosną, być może przydadzą się bramy i ogrodzenia, które, jak przypuszczałem, będą potrzebne, ale teraz... cóż, sam się przekonaj. Spójrz w ich oczy! Widzisz w nich głód? A jednak żadne z nich nie przekroczy granicy, po niepowodzeniu pierwszej bestii. A „dozorca”... pomyśl o nim! Swobodny w stróżówce i wypełniający swoje obowiązki staranniej niż jakikolwiek człowiek. Mówię ci, że istnieje nauka o woli, tak jak nauka o materii. Stworzyłem je, tchnąłem w nie swoją wolę, a ich potomkowie rozpoznają we mnie pana. Wyobraź sobie całą horde takich bestii szalejących nocami po okolicy - kiedy już będą

gotowy - zabijających tych, których będę chciał zabić! Coraz liczniejsze i stale rozmnażające się. Ludzie nie nadążą ich zabijać! A niełatwo będzie je zabić. W najgorszym razie, drogo będą sprzedawać swoje życie, a poza tym człowiek jest panem zwierząt tylko dlatego, że jest bardziej inteligentny. Te przewyższą intelektem człowieka. Gdybym pokierował w czerwcu tym biednym zwierzęciem, nie byłoby żadnego krwawego śladu, na który gapili się ludzie. Widziałeś dzisiaj bungalów? To nawet dobrze, że nie było cię tam zeszłej nocy, gdyż po namyśle postanowiłem nie zabijać cię, ale wykorzystać w znacznie lepszy sposób. Dostrzegłem niebezpieczeństwo w tej twojej wiecznej ciekawości i początkowo pomyślałem, że lepiej się pozbyć ciebie szybko i raczej w twoim własnym domu niż tutaj. Ale kiedy mam ciebie żywego, nie mogę oprzeć się pewnej pokusie. Gdybyś był w bungalowie... niezłe pobożowisko, prawda? Moi nowi słudzy są bardzo silni i łatwo dają sobą kierować. Dziwisz się, że nazywam siebie Panem Strachu i mówię, że któregoś dnia będę rządził światem?

- Będzie pan rządził w celi skazańca - powiedział zimno Colin. - Nie wierzę, żeby pan dokonał czegoś więcej niż odgrywanie roli czarownika, i żaden szanujący się człowiek nie będzie się pana bał. Nie jest pan pierwszym, który zaprzedał duszę diabłu za obietnicę panowania nad światem, ale z nich wszystkich pan wygląda na najgłupszego! Niech pan przyjmie moją radę, człowieku. Niech pan zniszczy ten czarny posąg, zanim nie jest za późno, oczyści bagno za pomocą strzelby i zacznie wszystko od nowa! Niech pan mi tylko rozwiąże ręce, a znajdę siły, żeby panu w tym pomóc. Zgoda?

Samozwańczy Pan Strachu rzucił rozdrażnione spojrzenie.

- Pomożesz mi - warknął - ale nie w ten sposób! Widzisz moją rękę?

Podstawił ją Colinowi pod nos.

- Widzę niezwykle brzydką rękawicę. Z łapy jednego z pańskich pupilków.

- Rękawicę! - Mężczyzna podciągnął rękaw i odsłonił nadgarstek. - Przyjrzyj się uważnie, głupcze! To był wypadek... moment nieuwagi, kiedy wykonywałem swój pierwszy eksperyment. Pamiętasz te białe ogary, z którymi walczyłeś na wzgórzach? Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy odkryłem ich pochodzenie! Pomożesz mi, mówię ci, a to twoje wielkie, zwaliste cielsko nareszcie na coś się przyda! Rozpuszczę to ciało i przekształcę je w taki sposób, że przestraszy nawet twoich braci z bagna! A później będziesz zabijał i niszczył na mój rozkaz! Tak, wyślę cię przeciwko przyjaciołom, przeciwko rodzinie, będziesz nienawidził, rozrywał, zabijał... i umrzesz w czasie jakiejś nocnej bitwy, którą stoczysz dla mojej chwały!

- Nie - powiedział Colin. Gdyby ta zwierzęca łapa zacisnęła się na jego sercu, nie mógłby być bardziej wstrząśnięty i chory z obrzydzenia. W jakiś sposób ostatnie uwagi Kennedy'ego i niejasne groźby nie docierały do niego aż do tego momentu.

Rozmawiali o przemianie zwierząt w inne zwierzęta, o istotach niższego rodzaju, do których nawet najlepszy człowiek odczuwa sympatię zabarwioną wyższością. Colin spodziewał się, że zostanie zabity... i być może pożarty przez bagienne monstra - dość marny koniec. Ale coś takiego! Mimo to głos Colina, choć nieco chrapliwy, brzmiał spokojnie i chłodno.

- Nie. Nie może mi pan tego zrobić, panie Kennedy.

- Dlaczego nie, co? Żaden z królików, które posłużyły mi do stworzenia tamtych chodzących koszmarów, nie mógłby być bardziej w mojej mocy niż ty teraz!

- Nie - powtórzył Colin. - Królik, może. Pan, nie wątpię. Niewiele trzeba, żeby zrobić z pana zwierzę. Ale prawdziwy człowiek - nie!

- Pochlebiasz sobie! Powtarzam, dlaczego nie?

- Bo to niedopuszczalne, to wszystko. Gdyby pan naprawdę był sprytnym diabłem, za jakiego się pan uważa, wiedziałby pan to! Niech pan spyta Nacoc-Yaotla! Widać po jego oczach, że ma większe doświadczenie niż pan i wie, dlaczego nie!

Zanim Kennedy zdołał odpowiedzieć, na zewnątrz piwnicy rozległo się powolne szuranie. Po chwili ucichło i otworzyły się jedyne drzwi. Coś - trudno było dostrzec, co - zamajaczyło jaśniejszą plamą na tle ciemności za drzwiami.

Następnie, szurając, weszło do środka. Przeszło przez pomieszczenie i położyło ciężar, który na pół ciągnęło, na pół niosło, między Kennedym a jego jeńcem.

Ze wszystkich okropności, z którymi Colin zetknął się od chwili, kiedy wszedł o zmierzchu przez bramę, tylko jedna naprawdę wstrząsnęła nim do głębi. Nie tyle straszny był „dozorca” owinięty wokół jego ciała, ile ten pierwszy moment, kiedy pomyślał, że bładny owal jego głowy to twarz Marco.

Podobnie i teraz ani widok goblinów, ani czarny, siedzący na podwyższeniu bóg goblinów, ani też nawet zwierzęca łapa, którą Kennedy miał zamiast ręki, nie poruszyły go tak bardzo, jak widok ciała Marco, przyciągniętego i położonego uroczyście u jego stóp przez Dżyngis-chana.

Jeśli nawet Chan nie był prawdziwą małpą, to przynajmniej tak wyglądał. Miał krótkie, pałkowate, małpie nogi, chude ramiona, potężną klatkę piersiową i szczątkową szyję, a ponadto bezgraniczny, małpi smutek na twarzy.

Żaden oskarżyciel nie mógłby dorównać powagą zachowaniu Chana, który wykonał tę czynność jak ktoś, kto spełnia ostatni, smutny obowiązek wobec zmarłego przyjaciela.

Później z zaskakującą raptownością wykonał salto w tył, wylądował na świętym podium Nacoc-Yaotla i przycupnął tam, skrzecząc i gładząc złamane ramię, o którym prawdopodobnie zapomniał, kiedy wykonywał tę akrobatyczną sztuczkę.

Groteskowość tej sytuacji była dla Colina ostatecznym ciosem. Marco wystarczająco ciążył mu na sumieniu. Dowiedziawszy się wszystkiego i uświadomiwszy sobie potworne zbrodnie, ku którym zmierzała „praca” Kennedy'ego, wspomagana przez Marco, Colin powinien odczuć ten ciężar jako nieco lżejszy. Ale na razie nie dotarło to jeszcze do niego. Przez dwadzieścia cztery

godziny dręczył się z powodu zabicia tego słabeusza i te godziny zostawiły w nim swój ślad.

Zobaczyć ciało swojej ofiary przyniesione przez białą małą istotę, która na koniec wykonuje salto, to zbyt silne przeżycie. Cała siła, jaka w nim jeszcze pozostała, odpłynęła jak fala. Niewyraźnie usłyszał głos:

- Marco... nieżywy! A ja myślałem, że on i dziewczyna uciekli razem! Ciekawe więc, co się z nią stało?

Dalsze pytania Kennedy'ego nie zostały wysłuchane, gdyż jego jeniec zemdlął.

Rozdział XXVI. Do Undine.

W kierunku centrum miasta pędził cicho samochód z bardzo wzburzonym młodym mężczyzną za kierownicą. Samochód należał do Cliony, ta późna wyprawa również była jej pomysłem, a ona sama znajdowała się w środku.

Zanim ona i Svend Biornson skończyli wymieniać uwagi i wyciągać wypowiedziane z całkowitą powagą najbardziej szalone wnioski, jakie Rhodes kiedykolwiek słyszał, młody człowiek był na wpół przytomny. Jak tylko wrócił do jako takiej równowagi duchowej, protestował, kiedy Cliona poleciła mu wyprowadzić samochód, włożyć do niego dubeltówkę i wszelką broń palną, jaka była w domu, i przygotować się do akcji skierowanej przeciwko człowiekowi, o którym nawet nie słyszał jeszcze parę godzin temu.

Jego wzmianka o policji spotkała się z taką pogardą, że aż zaparło mu dech w piersiach. Ale w tym momencie, dowiedziawszy się, że człowiek z agencji detektywistycznej zajmuje się tą sprawą, Biornson poparł żądanie Rhodesa, by wezwać na pomoc prawo.

- Nie musi pan wyjaśniać wszystkiego - zapewnił. - Niech się pan postara, by cała historia była zrozumiała. Sprawa bungalowu jest dźwignią, która ich ruszy, a której nie mógłbym wykorzystać, działając sam. Niech pan zadzwoni do tego MacClellana i powie, że O'Hara ma powód, by podejrzewać właściciela posiadłości w Undine o trzymanie dzikich zwierząt bez należytego zabezpieczenia i że pojechał tam dzisiaj po południu lub wieczorem, sam. Niech mu pan powie, że O'Hara nie wrócił do domu, chociaż obiecał, i że pewien mężczyzna - oczywiście, ja - przyniósł panu informację o Kennedy'ym alias Reedzie, według której jest on niebezpiecznym przestępcą. Niech mu pan powie, że pan i ja jedziemy do miasta i wpadniemy do niego, a wtedy ja podam mu fakty usprawiedliwiające natychmiastowe aresztowanie Kennedy'ego i żeby na wszelki wypadek miał pod ręką ludzi gotowych do wyruszenia razem z nami. Sądzę, że

porwanie mojej córki przez Kennedy'ego jest wystarczająco poważnym zarzutem. Nie będziemy musieli ryzykować bardziej... hm... nieprawdopodobną częścią historii. Myślę, że to, co z pewnością znajdziemy w tamtym domu, przemówi samo za siebie. Uzasadnienie oskarżenia o porwanie mogłoby opóźnić wszystko, więc w rozmowie telefonicznej niech pan położy nacisk na fakt, że według naszych przypuszczeń życie O'Hary znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie.

Rhodes podjął się narzuconego mu zadania niechętnie. Jego brak wiary w historię Biornsona nie wynikał ze złej woli. Po prostu nie mógł w to uwierzyć. Ale z drugiej strony, ta historia w połączeniu z dziwną przygodą Colina z olbrzymią małpą wprowadziła jego umysł w stan niepokoju i niedowierzania, a nakłonienie władz do przeszukania posiadłości przecięłoby w bardzo zadowalający sposób węzeł wątpliwości.

Zadzwoił do Biura Detektywistycznego w Urzędzie Miasta i szczęśliwie złapał MacClellana w chwili, gdy ten zamierzał się właśnie „urwać” i wrócić wcześniej do domu. Życie detektywa miejskiego jest nie uregulowane czasowo i pełne napięcia, więc dopuszczał się tego występku nie częściej niż raz na trzydzieści dni, bo będąc również człowiekiem, bywał czasami zmęczony. Tej nocy był zmęczony.

Rhodes oczywiście nie mógł tego wiedzieć. Nie mógł również wiedzieć, że w stosunku MacClellana do Colina O'Hary nie było, po ich ostatnim rozstaniu, miejsca na współczucie i troskę o jego życie czy zdrowie.

Rhodes wyczuł, że dalsza rozmowa przybrałaby bardzo niezadowolający obrót, więc nagle odwiesił słuchawkę i odwrócił zaczerwienioną, oburzoną twarz w stronę tamtych dwojga.

- Mówi, że Colin kazał mu zostawić sprawę bungalowu i kiedy o tym zameldował, szef odebrał mu ją. Mówi, że jeśli pan przyjedzie i osobiście złoży skargę, panie Biornson, zajmą się sprawą Reeda, ale nie mogą dokonać nocnego najazdu na szanowanego właściciela domu, dopóki osoba domagająca się tego nie przedstawi przekonywującego dowodu. Zdaje się

ignorować fakt, że ja sam jestem szanowanym właścicielem nieruchomości. Powiedział... był bardzo bezczelny! - warknął młody prawnik z oburzeniem. - Zasługuje na to, by powiadomić o tym jego szefa. I myślę, że to zrobię.

Sięgnął znowu po słuchawkę, ale Cliona chwyciła go za rękę i wręcz odciągnęła od telefonu.

- Tony, mój Colin pojechał do Undine, a ty tracisz czas na kłótnie z policją! Wiem, że tam pojechał. Czyż pan Biornson nie widział go w Carpentier i czy nie widział, jak rusza z przerażającą szybkością w stronę Undine? Wiedziałam to przez cały wieczór. Pojechał tam szukać jej, a z tego, co mówiła, jest jasne jak słońce, że pojechała tam również, żeby go szukać... i właśnie tam znajdziemy ich oboje i oby tylko nie zostali przedtem zamordowani!

I tak, zanim Rhodes zorientował się, znalazł się w samochodzie z żoną i nieznaną mężczyzną, szykując się w oczywisty sposób do napaści z bronią w ręku na rezydencję zupełnie obcego człowieka.

- Szybciej! - usłyszał głos żony.

- I tak jedziemy z szybkością, która będzie mnie kosztowała fortunę, jeśli każdy mijany przez nas policjant zapisze nasze numery!

- Jakie ma to znaczenie wobec życia lub śmierci! Panie Biornson, ma pan jakiś plan?

- Nie - odpowiedział tamten po prostu. - Jeśli to, co wiem, jest prawdą, nasza wyprawa jest samobójstwem. A jednak... postawa tego detektywa dowiodła pewnej rzeczy. Nie mamy czasu do stracenia. Jak moglibyśmy w porę przekonać policję albo gdzie możemy zorganizować w nocy jakąś pomoc?

Rozdział XXVII. Dziwna ofiara i jeszcze dziwniejszy zwycięzca.

Choć niewidoczny od strony drogi, „dozorca” nadal pulsował w stróżówce słabą poświatą podniecenia. Leżał zwinięty, a głowa z oczami jak plamki spoczywała na progu.

Nagle głowa poruszyła się. Chwiejnym ruchem uniosła się na jakieś półtora metra, przechyliła i zatrzymała w powietrzu - świecący owal, jak wtedy, gdy Colin na swoje nieszczęście ujrzał ją po raz pierwszy. W jakiś sposób, czy to usłyszawszy, czy też poczuwszy wibrację, stwór zorientował się, że brama cicho otworzyła się, że ktoś wszedł i zbliża się podjazdem.

W polu widzenia „dozorcy” - jeśli widział, a nie kierował nim jakiś inny, nieznany zmysł - pojawiła się ciemna postać. Porywisty nocny wiatr rozwiął mgłę, która wczesnym wieczorem przesłaniała wszystko. Gdyby postać odwróciła się, wyraźniej niż Colin zobaczyłaby w drzwiach stróżówki ten uniesiony, groźny owal. Ale nie odwróciła się. Kiedy dozorca rzucił się za nią w pościg, szelest rozprostowujących się zwojów zginął w skrzypieniu i trzaskach targanych wiatrem nagich konarów.

Nieświadoma niczego ciemna postać szła pośpiesznie podjazdem, a za nią, jak wijący się biały płomień, podążał „dozorca”. W jednej chwili znalazł się tuż za plecami swej drugiej ofiary.

Wtedy nadszedł jeden z tych kapryśnych porywów, jak oddech niewidzialnego olbrzyma. Z trzaskiem przeleciał przez gałęzie i rozwiął jak żagiel czarny płaszcz.

Coś ze świstem przemknęło przez powietrze z szybkością rzuconej włóczni.

Niedoszła ofiara „dozorcy” szła szybko dalej, ale samego „dozorcy” już za nią nie było. Skręcał się, zwił jak wściekły, pulsujący płomień, całym ciałem smagał wroga, który przyszpilił go do ścieżki. Tym wrogiem była stara, sucha gałąź, odłamana przez wiatr i ciśnięta pionowo na ziemię. Przebite nią stworzenie

mogło sobie walczyć; suchej gałęzi nie da się sterroryzować ani zabić.

W oszalałej gmatwaninie świecących zwojów i trzaskających, odpryskujących gałązek „dozorca” całkowicie zajął się swoim zwyciężcą.

Rozdział XXVIII. Rywale.

Colin O'Hara miał wizję.

Wydawało mu się, że leży na podłodze pracowni. Chociaż oczy miał zamknięte, miał wrażenie, iż powieki stały się przezroczyste i dzięki temu fenomenowi uzyskał zdolność widzenia i to taką, że wszystko było trzykrotnie wyraźniejsze niż zwykle i nie poruszając żadnym mięśniem, mógł widzieć całe swoje otoczenie.

On i Marco leżeli obok siebie, sztywni i wyprostowani. Choć nieprzyjemne, było to sprawiedliwe. Później przyszedł Kennedy z Dzyngis-chanem, żeby go gdzieś zaciągnąć i gdyby mógł mówić, zaprotestowałby. Nie mieli żadnego wyczucia tego, co stosowne! A może nie wiedzieli, kto zabił biednego słabeusza?

Chan próbował go podnieść jednym zdrowym ramieniem. Zaciągnęli go do złotej chrzcielnicy i wtedy bez szczególnego zainteresowania zauważył, że zaplamiony fartuch nie przykrywa już głowy trzeciego kuguara. Później spostrzegł, że ma go na sobie Kennedy, który próbuje wciągnąć na prawą rękę rękawicę - żółtą i błyszczącą jak miękkie, elastyczne złoto - ale zakończona pazurami łapa na miejscu lewej ręki nie była zbyt sprawna.

W końcu Kennedy skinął na wielką małpę. Ręka Chana była wystarczająco zręczna, pomimo futra porastającego wierzch dłoni. A jeśli bestia przewyższa swojego stwórcę? Colin zastanawiał się nad tym głęboko, ale zanim zdołał dojść do zadowalającego wniosku, podeszli do niego.

Kennedy zaczął rozplątywać jego więzy, ale nagle przestał.

- Nie - mruknął. - Dla bezpieczeństwa będę musiał go najpierw znieczulić. Może to omdlenie jest tylko udawane. Niech na razie jeszcze będzie związany.

Rozbawiło to Colina, który wiedział, że jest martwy. Ależ ostrożny był ten człowieczek!

Chan znowu próbował go podnieść. Tym razem pomógł mu jego pan i chociaż był stosunkowo słaby, we dwóch udało się im dźwignąć Colina na wysokość chrzcielnicy. Przerzucili go przez

jej brzeg, a on zsunął się na dno. Leżał w niewygodnej pozycji. Chrzcielnica była zbyt krótka. Szyję miał boleśnie wygiętą. Ciało Marco pasowałoby tu znacznie lepiej. Jeśli potrzebny im był nieboszczyk, dlaczego nie wybrali Marco?

Później zauważył - chociaż twarz miał poniżej brzegu misy, widział bardzo dobrze, co się dzieje - że Kennedy z czeluści złotych naczyń stojących pod ścianą wyjmuje jakieś słoiki, jakieś puszki i małą buteleczkę, a potem podchodzi i ustawia je na czymś w rodzaju półki wystającej z chrzcielnicy.

Wziął buteleczkę do ręki. Była ze złota, bardzo drogocenna i cała rzeźbiona w wijące się, jaszczurze kształty. Korek, szklany lub kryształowy, siedział mocno i Kennedy miał trochę kłopotu z wyciągnięciem go. W końcu jednak udało mu się to.

Kennedy powąchał zawartość buteleczki, jak gdyby sprawdzał jej świeżość, uśmiechnął się z niemłą satysfakcją, włożył z powrotem korek i odstawił buteleczkę. Później pochylił się i z podłogi za chrzcielnicą wziął bardziej banalne naczynie: dużą, szklaną butelkę, do połowy napełnioną jakąś bezbarwną cieczą.

Potem wykonał jeszcze parę czynności, ale Colin nie był pewien jakich, ponieważ na jakiś czas stracił swoją dziwną zdolność widzenia i wszystko wydawało się zamazane, niewyraźne, pogmatwane. Pomyślał, że położono mu coś na twarz, a po pewnym czasie zdjęto. Przytłaczał go mdlący, słodki zapach, po całym ciele przesuwaly się jakieś ręce, a gdzieś, bardzo daleko, przez cały czas brzęczał dzwonek.

Później odzyskał wzrok i o ile to możliwe, widział jeszcze wyraźniej niż przedtem.

Kennedy nadal tam był, ale odstawił już butelkę i teraz otwierał jeden z małych złotych słoiczków. Kiedy go otworzył, spojrzał na Colina, a cienkie wargi rozciągnęły się w uśmiechu tak brzydkim, jak uśmiech ropuchy, lecz pozbawionym jego uczciwości.

Nagle, bez najmniejszej wątpliwości Colin zrozumiał znaczenie i cel tych przygotowań. Zrozumiał, że nie jest martwy, lecz tylko nieprzytomny i że wąskie jak szparki, czujne oczy za okrągłymi

szkłami to nie oczy Kennedy'ego, lecz Nacoc-Yaotla, twórcy goblinów!

Osobnik, który był Archerem Kennedy, zniknął, a na jego miejscu stał nagi demon, który wcześniej siedział na podium.

Pochylił się z uśmiechem i przesunął zdradliwymi, pieścizotliwymi palcami po twarzy ofiary.

Colin zadrzał w duchu, ale jednocześnie poczuł, że wzbiera w nim dziki bunt. Nigdy! Nigdy! Nigdy! Jakie prawo miała do niego ta mroczna niegodziwość? Nie mógł jednak zaprotestować, gdyż jego ciało było uśpione.

Wtem rozległ się cichy, wyraźny głos.

- Zaczekaj! - powiedział miękko. - Nacoc-Yaotlu, który byłeś kiedyś moim bratem, zaczekaj! Obyś nie złamał prawa, którego nie wolno łamać, i nie zniszczył siebie razem z całym światem!

Colin pomyślał, że to głos jego Pani Zmierzchu, ale z pewnością Demon nigdy nie był jej bratem.

Wyteżył uwagę skupioną na tym, co znajdowało się nad nim. Przekonał się, że mówiący to wysoki, bardzo szczupły młodzieniec. Stał przed chrzcielnicą, patrząc ponad ciałem Colina na Nacoc-Yaotla. W jednej ręce trzymał laskę zakończoną głową węża wystającą z obręczy z przepiórczych piór. Z cętkowanych przepiórczych piór był też jego płaszcz; ozdabiały również okrągłą tarczę, którą trzymał w lewej ręce.

Jego twarz była bardzo jasna i piękna. Dobra, uśmiechnięta twarz. Ale w oczach czaiło się coś, co sprawiało, że rozwarta paszcza węża obok wydawała się mniej niestosowna.

Wszystkie pióra drgały i chwiały się, jak gdyby poruszane podmuchem wiejącym tylko na przybysza, gdyż powietrze wokół było nieruchome.

Spojrząwszy poza niego Colin zauważył, że podłoga pod szybem wypełniła się ludźmi.

Byli to dziwni ludzie, jednocześnie niezwykle znajomi. Poznawał ich kolejno jak starych przyjaciół w maskaradowych

strojach i przypominał sobie imiona nadawane im w różnych krajach.

Był tam mężczyzna, którego powiewające szaty utkane zostały z szarych kropel deszczu. Biała piana stanowiła jego brodę, a oczy były jak niebieskie lodowe jaskinie. To Tlaloc, Neptun, Mananan, syn tego, który, niewidzialny, zamieszkuje Slieve Fuad.

Jego szaty nie były całe szare. Z jednej strony zabarwiały je na tęcze kolory ktoś, kto stał za nim. To Lugh, jaśniejący; Tonathiu, ognisty; Amen-Ra Egipcjan; Apollo Greków.

Był tam również Meztli ze swoim bladym ogniem; Centeotl lub Ceres, równocześnie Dana, matka bogów; Tlapotlazenana z flakonami leków i Tezatzoncatl o wesołej twarzy i z wieńcem na głowie jak Bachus.

Wszyscy oni, i wielu innych o przyjaznym wyglądzie, stali za mówiącym. Ale demon łypał złośliwie na ciało Colina, a jego usta były szerokie i okrutne.

- Czy mam czekać? - zapytał Nacoc-Yaotl.

- Tak, ponieważ ten człowiek jest mój! Zaledwie wczoraj przyznano mi go w Tlapallan!

- Zaledwie wczoraj również mnie przyznano go w Tlapallan... ale Tlapallan zginęło. Uratowałeś swoje sługi?

- Czas Tlapallan skończył się i nie mogłem ich uratować. Ale śmierć jest nieważna. Walczyłem z tobą o życie tego człowieka, bo go kocham, ale zabij go, jeśli chcesz, gdyż moje dzieci nie boją się śmierci. Zabij go, ale nie rób tego, co jest zakazane!

- Czy zabroniłeś moim białym ogarom przemierzać wzgórze?

- Twoje ogary służyły uświęconemu celowi - strzegły Tlapallan. Co więcej, kiedy je tworzyłeś, tchnąłeś w nie tylko swoją moc, a nie swojego ducha! Ich gwałtowność była czysta; one walczyły, lecz bez okrucieństwa i złośliwości. Ze względu na swoje pochodzenie te ogary stały na równi z potężnymi strażnikami. Ale psy, które teraz tworzysz, są podłe. Służą złu, ich natura jest nieskończenie nikczemna!

- Są takie, jak chciałem.

- Więc upadlaj tylko zwierzęta lub takie zwierzęta, które mają jedynie ludzką postać. Wymagaj posłuszeństwa od własnych sług, ale to jest moje dziecko! Podążałem za nim przez wiele krajów i znam go dobrze. Tchnąłem odwagę w jego ducha. Śpiewałem mu na równinach, kołysałem do snu w lasach. Jest jednym z moich dzieci o czystych sercach i ty nie możesz go zepsuć.

- Przemierzał moje wody - zamruczał nowy głos, głęboki i grząbiący jak fala przyływu. - W naszej grze miotaliśmy wielkie bałwany, Pan Powietrza i ja. Miotaliśmy je na niego, a on się nie bał!

- Zostawiłem na nim swój płonący ślad - przemówił Tonathiu syczącym szeptem. - Wypróbowałem go i płomień mojego ducha nie był bardziej nieugięty niż jego!

- Strzeż się nas, o mój wrogu! - Oblicze upierzonego boga zajaśniało i zapłonęło jak chwała Tonathiu. Dziko zachwiały się niesforne pióra. Podniósłszy węzową laskę, potrząsnął nią jak włócznią. - Strzeż się nas, gdyż nasza cierpliwość kończy się! Tlapallan zginęło, ale i jego czas skończył się. Nie myśl, że będziemy stać bezczynnie, podczas gdy ty niszczysz nasze dzieci! Pan Powietrza strzeże swego!

- Jest na wzgórzu dom - zadrwił demon - którego nie ustrzegłeś.

- Wiesz, że jest inaczej. Nie przeciwko mnie wysłałeś swoich emisariuszy, lecz przeciwko człowiekowi, którego mi ofiarowano, i przeciwko kochanej przez niego osobie. Wiedząc, że twoje roszczenia do niego są bezpodstawne...

- Nie bardziej bezpodstawne niż wtedy! - mruknął Nacoc-Yaotl.

- Powtarzam - kontynuował tamten surowo. - Wiedząc, że nie mógłbyś go zniszczyć, wybrałeś mniejszą satysfakcję, zabicie go. Nie przeciwko mnie wysłałeś swoich emisariuszy; ale czyż to nie moja laska, moja mała, złamana laska odesłała z powrotem pierwszego, zbrogzonego krwią? Czyż to nie moja tarcza, moja mała, złamana tarcza zatrzymała drugiego, świecącego robaka, dopóki nie obudziło się moje dziecko? Co do trzeciego, moja ochrona nie była potrzebna. Ale czwarty... czyż to nie mój

potężny głos wołający wśród drzew uchronił moje dziecko od siły zbyt potężnej dla niego?

- Nie ma wątpliwości - odparł Nacoc-Yaotl szyderczym tonem, bardzo podobnym do tonu Kennedy'ego. - Nie może być wątpliwości, że zanim zostałeś Panem Powietrza, byłeś człowiekiem! W taki sposób ludzie chwalą się swoimi najbliższymi czynami. A koniec jest taki - twoje dziecko czy też raczej ten, który był twoim dzieckiem, leży tutaj. Jaką dasz mu teraz ochronę, najpotężniejszy ze wszystkich?

Nastąpiła cisza. Bogowie poruszyli się niespokojnie, jakby w gniewie, ale na twarzy Quetzalcoatl'a pojawił się znowu wyraz cierpliwości i kiedy odezwał się, jego głos był proszący i łagodny jak wiosenny wietrzyk.

- On nie jest twój! Och, Nacoc-Yaotlu, kiedyś nazywano cię Telpuctli Młody i Tezcatlipoca, Błyszczące Lustro! Nagradzałeś sprawiedliwych, a dla krzywdzicieli byłeś litościwy. Przypomnij sobie młodość, Telpuctli, i miej litość!

Ale Bóg Zła tylko uśmiechnął się szerzej.

- Ludzie uczynili mnie takim, jaki jestem, i za to ich nienawidzę! W całym Anahuac nie było litości. Od krzyków krwawych ofiar, od płaczu dzieci mordowanych na moich ołtarzach, od pary, która unosiła się nad ucztami, lustro Tezcatlipoki zmętniało i zabrudziło się. Telpuctli stał się czarny, stary i okrutny! Jestem Nacoc-Yaotlem, stwórcą nienawiści, i dlaczego jako jedyny z bogów miałbym chodzić nie rozpoznawany? Dla Tlaloca są deszcze, powodzie, chmury i bałwany. Wszystkie są jego sługami. Wszyscy widzą Tonathiu. A ciebie, Panie Powietrza, słyszą w lasach. W dni, kiedy się gniewasz, ludzie poznają cię i kłaniają ci się ze strachem. A ja, który jestem silniejszy od innych, muszę działać w sekrecie! Moje własne sługi wypierają się mnie. Przez wiele wieków siedziałem cierpliwie w Tlapallan, pracując w tajemnicy, ograniczany przez tych samych kapłanów, którzy mi służyli. Aż przybył na nasze wzgórza człowiek, który od dnia narodzin był mój. Nawet jego, jako człowieka, muszę oszukiwać, żeby nie roztrzaskał kruchego

naczynia, dowiedziawszy się do czego służy. Nazwał to miejsce „Fortecą Strachu”, ale istnieje sekretna, właściwsza nazwa - „Miejsce Narodzin Zepsucia”! Mimo wszystko był przydatnym narzędziem. Rozejrzyjcie się i zobaczcie, jaką siedzibę przygotował dla mnie bezwiednie. Nieprzymuszenie wypełnia dzisiaj moją wolę i jeszcze chętniej będzie ją wypełniać jutro. Nienawiść rodzi nienawiść, demon tworzy demony. Jak szybko wzrasta ich liczba! On jest zachwycony jak dziecko i wierzy, że będzie rządził światem! On! To tylko narzędzie, przy pomocy którego przeprowadzam swoją wolę! Ale mimo jego tchórzliwej duszy, przeprowadziłem mojego niewolnika przez wszystko, by odważył się na to, na co czekałem całe wieki! Dokonamy nareszcie ostatecznego zepsucia człowieka! Tu leży pierwszy, który będzie nosił moją liberię, ponieważ kiedyś podarł ją w swoim sercu. Ale on nie jest ostatni. Powiedziałaś, że czynem, który właśnie ma się dokonać, łamię odwieczne prawo. Znam prawo, które masz na myśli. To prawo duszy, której nie można do końca zniszczyć bez jej zgody. Sprawdźmy to prawo. Tu, w osobie tego mężczyzny, leży los całej ludzkości... której nienawidzę! Jeśli mi się powiedzie... kiedy mi się powiedzie... wtedy zniknie bariera, która tak długo powstrzymywała mnie przed tym, co chciałem zrobić. Nie będę już dłużej potrzebować mojego głupiego i ślepego narzędzia, które myślało, że wykorzysta moją moc, by zaspokoić swoje małe, błahe ambicje. Od tej chwili jestem naprawdę wolny. Zażądam dla siebie tego, którego serce mogę oznaczyć swoją pieczęcią. Zażądam wszystkiego... wszystkiego... ciała i duszy... domagam się tego człowieka! Zabił na mój rozkaz, ten twój doskonały. Broń go, jeśli możesz! A kiedy przegrasz, a musisz, bo wszyscy jesteście słabi i tchórzliwi, boicie się przekroczyć granice i stracić swoje boskie głowy - kiedy przegrasz, zastanów się mocno nad tym: jak myślisz, kto będzie najbardziej wielbionym z bogów, kiedy nastąpi ogólne zepsucie i kiedy każdy, kto nienawidzi, będzie mógł przybrać postać tego, którego nienawidzi?

Nastała cisza. Potem znowu rozległ się głuchy, daleki ryk.

- Jestem Tlaloc! Noszę statki człowieka... moje deszcze nawadniają jego pola. Czy będę służył rasie demonów?

- Tak nie może być! - Tonathiu zaczerwienił się, jak gdyby spoglądał przez burzowe chmury. - Czy będę patrzył tylko na diabły, kiedy świat będzie obracał się pode mną?

- Tak nie może być! Tak nie może być! - okrzyk powtórzyli pomniejsi bogowie, aż wreszcie ponad pozostałe wybił się wyraźnie jeden śpiewny głos - głos wiatru śpiewającego wiecznie po świecie:

- Tak nie będzie! Strzeż się mnie, o mój wrogu! Jestem Panem Powietrza, bez którego nikt nie może żyć. Ogień, który oczyszcza, jest moim towarzyszem zabaw, a wszystko pochłaniająca powódź - moją przyjaciółką. Ale zanim zostałem bogiem, byłem człowiekiem! Człowiek jest moim bratem! Kocham go ponad wszystko! Jestem pieśnią jego serca i siłą jego ducha! Jestem odwagą i nadzieją, i oddechem dzikich, słodkich miejsc! To ty rzuciłeś wyzwanie! Ja jestem tym, który je podejmuje! Strzeż się mnie, o mój wrogu, gdyż skończyła się moja cierpliwość.

Śpiew nagle ucichł, a twarz boga, jasna i płomienna jak twarz Tonathiu, pociemniała i przygasła.

Wokół niego i pozostałych utworzyła się mgła przesłaniająca Colinowi widok. Ciemna mgła pojawiła się i zgęstniała jak zapowiedź zła. Kiedy Upierzony odezwał się znowu, był to zaledwie szept. Colin nie był pewien, czy słyszy to naprawdę, czy zarówno szept, jak i słaby, odpowiadający mu głos są tylko wytworem jego wyobraźni.

- Domagaj się swego, Nacoc-Yaotlu, ale nie tego człowieka! To zabronione. Nie możesz tego zrobić!

- Dlaczego nie? Żaden z królików, które posłużyły mi do stworzenia tych chodzących okropności, nie mógłby być bardziej w mojej mocy niż on!

- Nie - odparł niewyraźny głos. - Królik, może. Ty, z pewnością. Ale prawdziwy człowiek, nie!

- Pochlebiasz mu! Powtarzam, dlaczego nie?

- Bo to niedopuszczalne i koniec. Gdybyś naprawdę był takim sprytnym diabłem, za jakiego się masz, wiedziałbyś to!

Rozmowa coś Colinowi przypominała. Zdziwiła go, a jednocześnie głęboko zmartwiła. Miał również wrażenie, że ktoś powinien teraz wejść i... tak, chwiejnym krokiem, środkiem szpaleru utworzonego między ledwo teraz widocznymi szeregami bogów nadchodził Dżyngis-chan. Znowu ciągnął te nieszczęsne zwłoki. Położywszy je uroczyście przed chrzcielnicą, zrobił salto w tył, jakby czarną gwiazdę, i zniknął we mgle.

- Marco... nieżywy - powiedział Nacoc-Yaotl.

Na te słowa we mgle dał się słyszeć cichy, szemrzący dźwięk, jakby wiatru lamentującego w lesie.

- Zabity - mówił dalej demon - gniewną ręką mojego sługi!

- Moją sprawiedliwą ręką! - zamruczał obrońca Colina.

- Nie, ponieważ nie miał powodu, by zabijać. Nagle pojawiłem się w jego sercu... i oto posłuchał mnie! Posłuszeństwo to test. Dlaczego nie miałbym nadać mojemu słudze takiej postaci, jaką sobie wybiorę?

Znowu zapanowała cisza. Colin pomyślał, że na to ostatnie pytanie nikt nie raczy udzielić odpowiedzi i jego przygnębienie wzrosło. Chciałby usłyszeć odpowiedź... jakąś jasną, zadowalającą odpowiedź, która przekonałaby zarówno jego, jak i demona.

Ale wyziewy przesłoniły teraz wszystkich przyjaznych bogów, oprócz Pana Powietrza, którego twarz zmieniła się jeszcze bardziej... zmieniła się i stała się bardziej ludzka, aż raptem Colin rozpoznał w niej twarz Maxatli, młodego kapitana, wybrańca Dziewczyny z Ómami z jeziora Tlapallan.

Zrobiwszy parę kroków do przodu, położył rękę na ramieniu Colina.

- Domagam się tego człowieka - krzyknął surowym głosem, który bez wątplenia był ludzki. - Domagam się go w imieniu Upierzonego Węża! Niech żaden sługa Nacoc-Yaotla nie waży się go dotknąć!

A Nacoc-Yaotl odpowiedział:

- Ty głuptasku! Jeśli nie chcesz znaleźć się na jego miejscu, odejź stąd! Nie życzę sobie, by głupia, przesądna dziewczyna wtrącała się do mojej pracy. A teraz, na miły Bóg, jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre, zmykaj i trzymaj się z dala od tego miejsca!

Rozdział XXIX. Złota butelka.

Odpowiedź, jaką Czarny Bóg dał Maxatli, wydała się Colinowi nedorzeczna. Zastanawiał się, co młody kapitan na to odpowie i zastanawiając się nad tym, otworzył oczy.

Z raptownością ciosu boki misy, która była oczywiście równie przezroczysta jak powieki, zamknęły się wokół niego. Twarz demona znowu stała się twarzą Kennedy'ego, z jej szyderczym uśmiechem i ogromnymi okularami.

Colinowi przyszło na myśl, że śnił; ale naprawdę leżał w złotej chrzcielnicy, a na jego ramieniu rzeczywiście spoczywała czyjaś ręka. Wykręciwszy zdrętwiałą szyję, zdołał ją zobaczyć. Jeśli jednak należała do Maxatli, to młody wojownik miał zdumiewająco delikatne palce.

Pragnąc za wszelką cenę zidentyfikować właściciela ręki, Colin spróbował unieść się. Sznury, którymi był skrepowany, zniknęły, nie miał na sobie płaszcza, a flanelowa koszula była do połowy rozpięta. Ale choć uwolniony z więzów, był tak słaby, że Pan Strachu z łatwością pchnął go z powrotem i przytrzymał.

- Środek znieczulający przestaje działać - usłyszał mruknięcie Kennedy'ego, a później znowu głos Maxatli.

- Nie odejdę... bez mojego pana. Między nami jest Złota Nić, której nie można zerwać...

- O czym ty u licha teraz bredzisz?

- Jesteś bardzo nieuprzejmy - odparła spokojnie. - Gdy po raz pierwszy zobaczyłam mojego pana tej nocy, kiedy przyszedł do twojej żalösnej Fortecy Strachu i poznałam, że jej los jest przesądzony - kiedy po raz pierwszy zobaczyłam go przy schodach, wielkiego, dobrego i szlachetnego - wtedy dostrzegłam to, co błyszczało między nami. Centeotl, która prędkie na swoich krosnach sady owocowe, snuje również Złotą Nić jako znak dla ludzi przeznaczonych dla siebie. Nie wszystkim ją daje, ale ci, którzy ją dostaną, nie mogą jej zerwać. Przez całą drogę tutaj czułam, że mnie potrzebuje i przyzywa...

- Całą drogę! - drwiąco powiedział Kennedy. - Nie mogłaś w tym stroju odejść daleko!

- Byłam daleko - brzmiała odpowiedź pełna spokojnej godności, której nic nie mogło zachwiać. - Jeśli chodzi o moją suknię, to utkała ją dla mnie lady Astrid, moja droga matka, zanim zabrali ją do siebie bogowie. Wplotła w nią wiele zaklęć miłości i dzięki tym zaklęciom nie może mnie spotkać żadna krzywda, kiedy ją mam na sobie.

- Och, to dlatego tak się jej uczepliłaś i wyglądasz przez cały czas jak śmierć? Boże, kiedy dowiaduję się czegokolwiek o tobie, nie zdarza się, żebym nie odkrył nowego przesądu! Byłabyś ciekawym obiektem studiów, gdybym miał na nie czas. Zanim jednak stąd znikniesz, powiedz mi w trzech słowach, gdzie byłaś i... na Jowisza! Wiesz, kto zabił Marco! A może zrobiłaś to sama?

- Nie potrzebowałam. Powiedziałam mu, co myślę o nim i nędznej namiętności, którą nazywał miłością, a także ostrzegłam, że prędzej umrę, niż wyjdę za niego, i dlatego zawołał tego diabła. A zabił go ten, którego sprowadziły na pomoc moje modlitwy.

Spokojne, cicho wypowiedziane oświadczenie spotkało się ze zniecierpliwionym chrząknięciem Kennedy'ego, ale jeśli chodzi o Colina, to zniknął wreszcie leżący mu na sumieniu ciężar. Żałować, że zabił Marco? Był do tego wystarczający powód! Nie przypuszczał, że Marco nie tylko pozwolił Dżyngis-chanowi zaatakować dziewczynę, ale wręcz kazał mu to zrobić! Że był słaby? Słaby jest również grzechotnik i skorpion, a mimo to ludzie nie wahają się przed zmiążdżeniem ich!

Colin znowu poruszył się, zwracając uwagę Kennedy'ego.

- Odejdź! - powiedział Kennedy do intruza. - Później zajmę się tobą. Idź... albo przysięgam, że zrobię coś, przed czym nie uchronią cię modlitwy!

- Nie odejdę - powtórzyła. - Czy nie istnieje ostrzeżenie, którym byś się przejął? Zapomniałeś, jak podczas pierwszej wizyty mojego pana Forteca Strachu zatrzęsła się, jak jęknęły wszystkie kamienie i belki? Dla kogoś mniej ślepego niż ty byłby to wystarczający znak, że jego przyjscie zapowiedziało koniec.

- Ty głuptasie, ten dom jest bardzo stary. Budynek tak stary, jak ten, jeszcze nie raz zatrzęsie się i będzie osiadał pod własnym ciężarem.

- Zrobiłeś z niego siedzibę Nacoc-Yaotla i tylko Bóg może nią zatrzęść! Pan Powietrza jest cierpliwy, ale myślę, że dzisiejszej nocy postawi w końcu stopę na karku swojego wroga. Wielki wiatr wieje bez... wielki i straszny wiatr! Mówię ci, Upierzony Wąż nawet teraz szarpie dach tej świątyni zła. Koniec jest bliski i... och!

Nawet Kennedy drgnął, odsunął się od chrzcielnicy i niespokojnym spojrzeniem obrzucił swoją „pracownię”.

Jak w dniu pierwszej wizyty Colina, przeciągły, zgrzytliwy jęk wstrząsnął murami; dziwny, złowieszczy, wibrujący dźwięk, który zdawał się dochodzić jednocześnie ze wszystkich stron i wywoływał mdłości i nieokreślony strach. Odpowiedziało mu przerażające, zgodne wycie bagiennych potworów. Za plecami swego pana pojawił się Dzyngis-chan, który kulił się i pokrzykiwał coś.

Puszczony na chwilę, Colin usiadł. Nie wiedział, skąd wziął na to siłę, chyba spłynęła nań z delikatnych palców spoczywających na jego ramieniu.

Stała tam jego Pani Zmierzchu. Płaszcz zsunął się z jej pięknej, zniszczonej, zielonej sukni. Jedną ręką nadal dotykała swojego „pana” i wyglądała jak blada, młoda prorokini.

- To ostrzeżenie! - krzyknęła. - Ostrzeżenie! Twórczo Nienawiści, nadchodzi twój koniec!

Pani Zmierzchu stała jak blada, młoda prorokini, ale jej głos zadźwięczał w ciszy, gdyż zawodzący dźwięk ucichł, a wraz z jego ustaniem błotne stworzenia uspokoiły się.

Wszystko wydawało się takie, jak przedtem. Jak przedtem, tylko że poziom bagna jakby dziwnie się podniósł i z jednej jego strony wyłoniła się głowa węża. Przepelźnął niewielki kawałek i znieruchomiał. W przeciwieństwie do dozorca, wąż był czarny -

czarny i połyskujący - czarny jak teotetl, święty marmur, z którego wyrzeźbiono posąg Stwórcy Nienawiści.

Kiedy dźwięk i wibracja ustały, Kennedy rzucił wkoło pośpieszne spojrzenie i stwierdziwszy, że nie spowodowały żadnych następstw, odwrócił się gniewnie w stronę dziewczyny.

Później zaklął i rzucił się, by przytrzymać swego jeńca, który powrócił do życia. Nie wiadomo skąd Colin znalazł w sobie tyle energii, by stawiać opór. Kennedy wydał swojemu małpiemu pomocnikowi ostre polecenie. Ale Chan, skulony, cofnął się w stronę podium, a na koniec wskoczył na nie i przycupnął za bóstwem.

Colin przełożył jedną nogę przez brzeg misy. Ogromny ciężar chrzcielnicy zapobiegł jej przewróceniu się, ale parę złotych pojemników stojących na półce spadło i poturlało się po podłodze.

Dziewczyna, chcąc pomóc swemu „panu”, próbowała najpierw bezskutecznie odciągnąć Kennedy'ego, a później schyliła się po jeden z tych pojemników. W pośpiechu podniosła któryś, nie wybierając. Wszystko, co o nich wiedziała, to to, że zawierają substancję o diabelskiej mocy, a zdesperowana kobieta nie przebiera w środkach.

Wyprostowała się ze złotą butelką w ręce. Butelka musiała mieć pojemność około pół litra i cała wyrzeźbiona była w wijące się, jaszczurze kształty. Zamykał ją kryształowy korek, który zaklinował się, ale można go było wykręcić. Dziewczyna przekonała się o tym.

Tymczasem Pan Strachu przypomniał sobie, że ma również inne służki oprócz Chana, więc podniósł głowę i otworzył usta, żeby wydać rozkaz.

Na szczęście w tym samym momencie Colinowi udało się oswobodzić. Mimo pozornego spokoju, jego Pani Zmierzchu okazała się zdolna do takiej popędliwości i nierozwagi, jaka już nieraz wpędziła jej „pana” w kłopoty. Chluśnięcie zawartości butelki na dwóch walczących ze sobą mężczyzn i przekonanie, że trafi się tylko w jednego, wymaga albo wielkiej lekkomyślności, albo niezwykłego zaufania do własnej celności.

Ale przynajmniej tym razem popędliwość była usprawiedliwiona. Ponieważ Colin uwolnił się nagłym ruchem, tylko kilka drobnych kropel spadło mu na rękę. Chociaż pośpiesznie wytarł rękę o spodnie, bolała go później przez wiele dni.

Kennedy miał mniej szczęścia. Puścił swego jeńca, zachwiał się i wydał krótki zduszony okrzyk - to była przedostatnia rzecz, jaką od niego usłyszano. Obiema rękami, ludzką ręką i zwierzęcą łapą, chwycił się za twarz, ale jeszcze wcześniej Colin zdążył ją zobaczyć - ociekającą, ciemniejszą, purpurową maskę, której rysy w tym ułamku sekundy zupełnie się rozmasowały, nadając jej niesamowity wygląd. Powietrze wypełnił silny zapach, jakby gorzkich migdałów.

Prawdopodobnie płyn zawarty w butelce był tym „drugim roztworem”, o którym mówił Kennedy. Najwyraźniej zastosowanie go w zupełnie nienaukowy sposób nie przynosiło „pięknych” rezultatów, tak podziwianych przez niego.

Jednakże kwestia ta jest czysto teoretyczna, gdyż proces, któremu poddany został Kennedy, nie trwał wystarczająco długo, by eksperyment uznać za rozstrzygający.

Kiedy zatoczył się do tyłu, powtórnie nastąpiła potężna, niewytłumaczalna wibracja i wydawało się, że wraz z jej rozpoczęciem przerażających mieszkańców bagna ogarnęła dzika wściekłość.

Przekształcone czy też nie, posiadały zwierzęcy instynkt pozwalający wyczuwać nieszczęście i jeśli miały choć odrobinę „ludzkiego intelektu”, okazały ją teraz, zachowując się jak ludzie - wpadły w panikę. Furia, która je ogarnęła, wynikała nie ze złości, lecz ze strachu.

Archer Kennedy, z głową w ramionach, nogami uginającymi się jak u ożywionego stracha na wróble, zataczając się po omacku, dotarł do samego skraju podłogi i Colin instynktownie krzyknął ostrzeżenie. Ale ta trzecia próba uratowania bezwartościowego życia była daremna.

Ponad trzciny uniosła się oślizła masa, wyciągając tuzin mackowatych jak u ośmiornicy ramion. Trudno sobie wyobrazić, jak ta pozbawiona mózgu masa z wijącymi się mackami mogła kiedykolwiek poznawać swego pana, ale teraz nawyk posłuszeństwa ustąpił miejsca bardziej naturalnemu instynktowi. Panika nie dyskryminuje.

Macki owinęły się wokół Pana Strachu i zacisnęły, i wtedy z tego, co zostało mu z ust, wydobył się ostatni dźwięk.

Colin usłyszał je - słowo wypowiedziane tak niskim tonem, że wyróżniło się spośród innych odgłosów: „Boże!”

Może była to modlitwa, ale bardziej prawdopodobne, że przyzwyczajenie, odruchowy okrzyk.

Colin, który nie będąc Bogiem, nie mógł mu pomóc, odwrócił wzrok i kiedy spojrzał ponownie, na brzegu walczyło kilkadziesiąt bezimiennych stworzeń, a gdzieś pod nimi Archer Kennedy zanurzył się w bagno.

Jak żył, tak umarł - nic nie rozumiejąc. Ale był pustą, nic nie znaczącą istotą i zostawił za sobą prawdziwego pana - czarną, bezcielesną nienawiść, której był ślepym narzędziem.

Rozdział XXX. Ponownie stróżówka.

- MacClellan! Słowo daję!

Rhodes wysiadł z samochodu i ruszył naprzód, nie bardzo wiedząc, czy ma być rozbawiony, czy oburzony.

Przejechali przez Undine parę minut wcześniej i dotarli do rogatek, odnaleźli bez trudności posiadłość Reeda. Nie byli tam jednak pierwsi. Przed bramą Jerrarda stały dwa samochody, jeden przy samym murze, drugi w poprzek drogi.

Kiedy samochód Rhodesa zatrzymał się, od pierwszego samochodu odwrócił się człowiek i w świetle ulicznej latarni Rhodes nie miał kłopotu z rozpoznaniem go. Tęgi detektyw drgnął, jakby zmieszany, ale natychmiast opanował się.

- Czy to nie pański samochód, panie Rhodes? - zapytał tak niedbale, jak gdyby ich spotkanie było najbardziej naturalną rzeczą.

Pozostałych dwoje pasażerów wysiadło teraz z samochodu Rhodesa.

- Colin przyjechał tutaj! - wykrzyknęła Cliona z napięciem. - To nasz samochód tam zostawił!

- Wiedziałem! - MacClellan wydawał się triumfować. - Forester - wskazał na drugiego mężczyznę, który wyłonił się z cienia samochodu - mówi, że nie, ale ja nie mogę pomylić się co do samochodu, którym choć raz jechałem. Ja...

- Panie MacClellan, proszę mi wybaczyć, ale czy przyjechał pan, żeby szukać mojego samochodu, czy też dlatego, że zmienił pan zdanie na temat niebezpieczeństwa, które może kryć się za tą bramą?

- Ależ proszę, niech pan nie będzie uszczypliwy. Jestem sumiennym człowiekiem i pomyślałem, że skoro pan tak się tym przejął, możemy pojechać i rozejrzeć się trochę. Ale widzę, że zabrał pan żonę, więc przypuszczam, że trochę pan przesadził z tym niebezpieczeństwem, o którym mówił mi pan przez telefon, co?

- Tony! - Cliona pociągnęła go za rękaw. - Mój Colin tam jest, a my stoimy i rozmawiamy!

- Brama jest otwarta - zawołał Biornson przez ramię. - Zostawiłem dla pana dubeltówkę, Rhodes, a sam wziąłem strzelbę. Idziemy?

Już wchodził przez bramę.

- Strzelba! - warknął MacClellan. - Halo, proszę pana. Nie wiem, kim pan jest, ale nie ma pan prawa wchodzić z bronią na teren posiadłości tego człowieka! Niech pan wraca!

- Panie MacClellan, proszę, proszę! - W swym strapieniu Cliona złapała grubego detektywa za rękę. - Niech pan nas nie zatrzymuje! Mówię panu, tam może być to stworzenie, które zostawiło ten okropny, krwawy ślad na wzgórzu... chce pan mieć na sumieniu śmierć mojego brata?

- Gdyby pani brat uznał za stosowne powiedzieć mi o swoich podejrzeniach - zaczął MacClellan, ale przerwała mu seria ostrych, szybkich wystrzałów. - Ten głupiec! - wybuchnął i skoczył do bramy.

Ale kiedy znalazł się w środku, jego zamiar schwywania Biornsona i odebrania mu strzelby uległ nagłej zmianie.

Za stróżówką rozgrywała się osobliwa scena.

Stał tam kawalerzysta, ciężką kolbą strzelby tłukąc coś, co wyglądało jak płatanina wijących się, białych płomieni.

- Nie można zabić... tego stworzenia... kulami! - krzyknął pod wiatr. - Ma pan tę dubeltówkę, Rhodes? Szybko! Och, popatrzcie! Popatrzcie tam!

Ognisty kłęb wręcz odtoczył się od niego w kierunku podjazdu. Broń w ręku MacClellana szczęknęła zjadliwie. Detektyw nie wiedział, do czego strzela, ale nawet mimo swego konserwatyizmu stwierdził, że należy strzelać.

Rhodes odwrócił się, a wzburzona mała postać, która w czasie gdy mężczyźni zastanawiali się, pognąła do samochodu i z powrotem, wcisnęła mu w rękę dubeltówkę.

Sekundę później huk dziesięciomilimetrowej strzelby na kaczki rozdarł nocną ciszę. Rhodes, który wystrzelił z obu luf naraz, zatoczył się do tyłu, ale podwójna dawka śrutu okazała się z tej niewielkiej odległości bardzo skuteczna.

Wijący się płomień wręcz rozpadł się na dwie części i drgając, zgasł niemal natychmiast.

- Co to takiego? - Głos MacClellana drżał podejrzenie. - Na litość boską, co to takiego?

Młody Forester, który choć nie uzbrojony, trwał na posterunku, pochylił się.

- Coś jakby wielki biały wąż - powiedział - poopatany cały wokół gałęzi. Nadal rusza się. Dołóży mu pan jeszcze, panie Rhodes?

Dżentelmen ten pośpiesznie wpychał nowe naboje do opróżnionych komór.

- Nie ma potrzeby. - Biornson nachylił się i dokładniej niż Forester zbadał sytuację. - Jest rozerwany na trzy części. Kiedy minąłem stróżówkę - mówił dalej - usłyszałem szelest, a później to... to stworzenie wytoczyło się z środka. Dziwna sprawa z tą gałęzią... spójrzcie! Jej koniec przebił na wylot ciało stworzenia, tuż za głową. Hmm! Zastanawiam się, kto to zrobił? O'Hara? Jak myślicie?

- On dokończyłby dzieła, nie zostawiłby stworzenia żywego i niebezpiecznego - zawyrokował Rhodes.

- Żywe, ale nie niebezpieczne. Myślę, że to sprawa O'Hary.

Nad nimi zaskrzypiały nagie konary, jak gdyby poruszone gwałtownym śmiechem jakiegoś niewidzialnego giganta. Dogorywające, rozerwane na części ciało „dozorcy” wiło się słabo, ale już nie świeciło.

- O rany! Spójrzcie, jak krwawi! - powiedział Forester.

Ochoczo posłuchał własnego nieeleganckiego polecenia, pozostali odwrócili się, ogarnięci mdłościami.

- Odejdź, Cliono - błagał Rhodes. - Niech Forester zostanie z tobą w samochodzie, a my pójdziemy dalej. Myślę - zwrócił się do MacClellana - że w końcu pan się przekonał?

- Sądzę, że jest tu coś nie w porządku - przyznał detektyw. - Trzeba przyjrzeć się człowiekowi, który trzyma w stróżówce takiego świecącego boa-dusiciela.

I właśnie wtedy ponad zawodzenie wiatru wybił się potężny huk - długi, głuchy, grzmiący dźwięk, po którym nastąpił rozdzierający łoskot.

Oba odgłosy dobiegły spod ziemi i zanim Rhodes zdołał temu przeszkodzić, Cliona była już na podjeździe. Nie miała nawet pistoletu dla samoobrony, ale nie obchodziło ją własne bezpieczeństwo. Pędząc na ratunek, nie zastanawiała się, co zrobi, kiedy dotrze na miejsce, podobnie jak nie pomyślała o tym Pani Zmierzchu, wracając tutaj po swego pana. Najważniejsze dla niej było znaleźć się tam jak najszybciej.

Ale w przeciwieństwie do dziewczyny z Tlapallan, za Clioną podążyły posiłki.

To, co kiedy indziej byłoby zrozumiałym w tych okolicznościach ostrożnym posuwaniem się naprzód, zmieniło się teraz w szaleńczy bieg, który zakończył się w cieniu portyku, gdzie zdążyła już dotrzeć jego sprawczyni.

Rozdział XXXI. Dziwna bitwa.

Colin wydostał się jakoś z chrzcielnicy i stanął na nogi. Czy podłoga naprawdę uniosła się pod nim, czy to był tylko zawrót głowy?

- Drzwi... drzwi! - krzyknęła Pani Zmierzchu i złapała go za ramię, ciągnąc w ich kierunku.

Ale Colin patrzył na bagno. Czy jego mieszkańcy będą uważali rozkaz swego pana za świętszy od jego osoby? Znajdowali się już na zakazanej linii granicznej i tylko fakt, że walczyli ze sobą zażarcie, powstrzymywał ich przed przekroczeniem jej.

Myśl o ucieczce bez broni, z depczącymi po piętach prześladowcami, wydała się Colinowi niemiła. Zatrzymał wzrok na łopacie leżącej w złotej skrzyni. Była zaostrzona i wyglądała na ciężką.

Dość chwiejnym krokiem ruszył w stronę jedynej broni w zasięgu wzroku i w tym momencie zauważył nowy ruch.

Na twardą posadzkę wypełzał z bagna nie jeden czarny wąż, lecz tuzin.

Wiły się, pełzły, posuwały się do przodu... zwały się w jedno i nagle w wyniku tej złowrogiej inwazji część podłogi zapadła się i zniknęła.

Colin krzyknął dziko:

- Bagno! To diabelskie bagno porusza się!

Mylił się jednak. To nie bagno, lecz to, co zalało bagno, przesunęło po podłodze szlam, który nie przybierał już kształtu węży, lecz zbliżał się długimi falami, jak woda zalewająca popękany lód. Ucierpiała nie tylko podłoga. Stare, granitowe kolumny osuwały się i rozpadały, a podtrzymywane przez nie przegniłe belki wygięły się i wybrzuszyły do dołu.

Tej nocy szalał jeszcze inny żywioł.

Jak cios gigantycznej pięści coś uderzyło w kopułę na dachu. Świece palące się obok podium Nacoc-Yaotla zamigotały

gwałtownie. Colin poczuł na policzku silny podmuch i spojrzawszy w górę, zobaczył na końcu szybu nocne niebo - gwiazdy przesłaniane przez pędzące chmury.

Wiatr dosłownie uniósł kopułę, porwał ją i roztrzaskał, a jego podmuch wdarł się w głąb szybu jak przejmująca zapowiedź wolności. Cuchnące opary zawirowały i rozwiały się.

Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że Colin pochylający się po jedyną broń w zasięgu ręki, ledwo zdążył ją podnieść, gdy pierwszy goblin przekroczył linię.

Walka na otwartej przestrzeni byłaby szaleństwem, toteż Irlandczyk, zgarniając Panią Zmierzchu, pobiegł do wyjścia. Pod ich stopami podłoga sprężynowała jak cienki, mocny lód. Dotarli do drzwi i Colin zamknąłby je, ale zabrakło mu czasu. W samym progu odwrócił się i zmierzył z pierwszym napastnikiem, stworzeniem o niezliczonej ilości nóg, podobnym do olbrzymiej stonogi, choć jego głowa miała wielkość odpowiednią raczej dla ssaków.

Była to fantastyczna hybryda, warta przyjrzenia się, ale Colin pozostał obojętny. Był bardzo osłabiony, a łopata wydawała się ciężka, ciężka jak ołów. Kiedy wielonoga bestia rzuciła się na niego, uderzył słabo.

Odkoczyła błyskawicznie, zaatakowała go z innej strony i zdawało się, że nadchodzi koniec.

Ale podłoga, pokryta już teraz kilkucentymetrową warstwą wody, wybrała właśnie ten moment, by zapaść się całkiem z przeciągłym, bulgoczącym dźwiękiem!

Colin wypchnął Panią Zmierzchu przez drzwi, a sam stanął w nich. Grunt pod stopami był jeszcze dość twardy, ale stworzenie o zbyt wielu nogach ugrzęzło w rzadkim błocie i straciło impet. Podłoga rozpadła się pod nim na kawałki jak kra.

Colin cisnął łopatę i tym razem miał tyle szczęścia, że trafił stworzenie w oko. Zawyło potwornie i zanurzyło krwawiącą głowę w płynnym błocie.

Colin rozejrzał się za jego towarzyszami, ale ujrzał widok tak dziwny, że niemal zapomniał o niebezpieczeństwie.

Zniknęła nie tylko podłoga. Zapadła się również chrzcielnica i wszystkie złote przedmioty; ale podium Nacoc-Yaotla z czarnym baldachimem nie zatonęło. Leżało jak posępna wysepka na pomarszczonej hebanowej powierzchni. Nie unosiło się, lecz najwyraźniej stało nieruchomo na swoim miejscu, jak gdyby podtrzymywane przez kamienną kolumnę.

Siedziało na nim bez ruchu Czarne Bóstwo, a za nim nadal kulił się Dżyngis-chan. Nie było nic dziwnego w tym pierwszym fakcie, bo jak marmur, choćby nie wiadomo jak święty, mógłby poruszyć się z własnej woli?

Dziwne było to, co znajdowało się nad podium... nad baldachimem.

Chociaż zatonął świecznik, chociaż zniknęły sine grzyby, rozgniecione przez mieszkańców bagna, miejsce bynajmniej nie pogrążyło się w ciemności.

Coś wisiało teraz w powietrzu, coś kulistego jak diabelskie grzyby, przezroczystego, bladego jak duch księżyca na dziennym niebie, co jednak stawało się z każdą chwilą coraz jaśniejsze. Zawisło w powietrzu, gdzie była tylko pustka. Pojawiło się nie wiadomo skąd i oświetliło wszystko przyjemnym światłem, łagodnym jak wieczorna zorza. Było jasne jak zimowy księżyc na ciemnym niebie... jaśniejsze... i wcale nie przezroczyste.

Silny podmuch wpadł przez szyb, otoczył podium powietrznym wirem.

Wyssał oddech z płuc Colina i tchnął go z powrotem. Colin wyprostował się. Było to czyste powietrze... powietrze, którym można było oddychać i które przywracało siły, ale... ale gorące jak pustylny wiatr!

Ta ognista kula, która tak tajemniczo pojawiła się, dawała nie tylko światło. W ciągu kilku sekund zmieniła się z bladego cienia w oślepiający blask i wisiała w powietrzu nie tyle jak księżyc, co

ognista replika starego, pocziwego Słońca. Gorący wiatr krążył wokół szybu.

- Mój panie... mój panie! - zabrzmiał w uszach Colina słodki, podniecony głos. - Myślę, że dzisiejszej nocy toczy się bitwa bogów! Bogowie! Widziałam, jak budzi się Tonathiu w sercu swojej świątyni! Nadleciały gwałtowne wiatry Upierzonego Węża! Tlaloc, pan powodzi, jest z nami! Ale Czarny Bóg jest silny... silny! Spójrz, jak siedzi nieporuszony! Woda może nie podniesie się już wyżej ani ogień nie zniży się... a w wodzie nadal żyją jego słudzy... och, mój panie...

- Cofnij się! Uciekaj!

Colin oderwał wzrok od źródła oślepiającego światła, które wisiało nad Nacoc-Yaotlem. Czy Pani Zmierzchu miała rację, czy też nie, sądząc, że to bitwa bogów, wiedział na pewno, że walkę będzie toczył również człowiek, i że tym człowiekiem jest on sam.

Płynna czerń przed nim nagle zapełniła się płynącymi potworami. Z każdej strony zbliżały się do niego uniesione nad wodą głowy. Stwory nie skakały już sobie do gardeł, ale jednomyślnie dążyły do celu, zmuszając go do bezzwłocznej obrony.

Pani Zmierzchu pochodziła z ludu wojowników. Na jego szorstkie polecenie usunęła mu się z drogi i rozpoczęła się walka.

Ognista kula jarzyła się coraz mocniej, gorący, czysty wiatr krążył wokół szybu, a Colin jakimś dziwnym sposobem zapomniał, że był osłabiony. Ciężka łopata w jego rękach była jak piórko... jak żywe, ogniste pióro... jak ognisty miecz!

Ogarnęła go wielka radość i uniesienie. Radośnie ciął i uderzał. Była w nim siła dziesięciu ludzi i nieskończona, niespożyta energia.

Silny wiatr okręzał szyb... a z drugiej strony wody, pod baldachimem Nacoc-Yaotla szeroko otworzyły się dwie szparki oczu i spojrzały z furią bardziej przerażającą niż gniew śmiertelnika!

Rozdział XXXII. Walka w drzwiach.

- Wszędzie czarno jak w grobie - narzekał MacClellan - a ta latarka nie działa. Bateria się wyczerpała. Hej, Forester, daj mi swoją latarkę.

- On jest na zewnątrz z moją żoną - powiedział głos w ciemności za nim.

- Nie - dołączył się inny, wesoly głos. - Proszę, Mac. Przykro mi, panie Rhodes, ale pańska żona chciała tu przyjść.

Pojawił się biały snop światła, ukazując cichy, porządnie wyglądający hol. Weszli z ganku przez zapraszająco otwarte drzwi i chociaż Rhodes błagał Clionę, by została na zewnątrz, i pośpiesznie poprosił młodszego detektywa o dopilnowanie żony, okazało się, że żadna z próśb nie została wysłuchana.

Oboje podeszli do idących z przodu mężczyzn i teraz cała grupka zatrzymała się w środku holu.

- Nie sędzę, by ten hałas dobiegł stąd - zaczął MacClellan.

- Cicho! - powiedziała Cliona. - Słuchajcie!

- Brzmi, jakby gdzieś daleko krzyczał tłum ludzi - skomentował Forester po chwili.

- To gdzieś pod nami - poprawił go Biornson surowo. - I to nie są ludzkie głosy.

- Hej! Czujecie dym? I... podłoga się trze...

Okrzyk MacClellana utonął w wibrującym ryku, takim jak ten, który słyszeli wcześniej, tylko że teraz znajdowali się dokładnie nad jego źródłem. Ponad głuchy odgłos wybił się przeciągły łoskot.

Coś działo się z pokojem, w którym się znajdowali. Nie tracili jednak czasu, by się dowiedzieć, co. Zdali sobie jedynie niejasno sprawę, że pokój w jakiś sposób znacznie się powiększył i że to powiększenie oraz drganie podłogi oznaczają niebezpieczeństwo. Rhodes chwycił Clionę i niemal wywlókł na ganek.

Ledwo zdążyli. Kiedy Forester, jako ostatni, przekroczył próg, rozległ się straszliwy trzask pękających belek, który zabrzmiał prawie jak eksplozja. Jego towarzysze nie zatrzymali się na ganku, ale Forester należał do tych młodych ludzi, których opanowanie wynika z pewnej lekkomyślności i którzy, nawet uciekając przed niebezpieczeństwem, potrafią się jeszcze obejrzeć. Ganek wydawał mu się solidnym miejscem. Przystanął na nim na chwilę i wetknął głowę przez drzwi.

Hol, czy też raczej przestrzeń, którą zajmował, nie była już ciemna.

Forester dostrzegł w przelocie ogromne pomieszczenie z kłębiącymi się chmurami wapiennego pyłu i czarnego dymu, poprzecinanymi czerwonymi płomieniami. Podłoga najwyraźniej zapadła się i nie była już płaszczyzną, lecz stromą, nierówną pochyłością wznoszącą się ku... czemu?

Przez kotłujące się chmury ostre, białe źródło światła wysyłało oślepiające promienie. Ód gryzącego dymu oczy napełniły mu się łzami i kiedy podniósł rękę, by je wytrzeć, gdzieś w górze usłyszał trzask.

Koniec spadającej belki niemal musnął mu twarz, więc cofnął się pośpiesznie.

- Do licha - wykrzyknął. - Ten cholerny dom zapada się! - Znowu wsadził głowę do środka, żeby zobaczyć, co się dzieje.

I wtedy ciężka ręka odciągnęła go od drzwi.

- Uciekaj stąd, głupcze! - wrzasnął mu MacClellan do ucha. - Ta ściana zaraz runie. Nie starcza ci rozumu, by wiedzieć, że nie wolno stać pod domem, który się wali? A teraz pędź do Undine i włącz alarm pożarowy. Zadzwoń do Deering... nie, zadzwoń do Lillybank, to bliżej. Powiedz im, żeby natychmiast przysłali tutaj patrol. Nie czekaj na nich ani na straż. Zbierz wszystkich ludzi, jakich spotkasz w Undine... i siekiery... i wracaj tutaj pędem. Zrozumiałeś?

- Jasne! - usłyszał nieformalne potwierdzenie od młodego mężczyzny, który zaraz zniknął w ciemności. Forester miał zamiar

skrócić jak najbardziej swoją nieobecność w miejscu, gdzie działały się takie fascynujące rzeczy.

MacClellan odwrócił się do swoich towarzyszy i stwierdził, że jest sam. W czerwonym, posępnym blasku, który nagle się pojawił, rozejrzał się wkoło, ale nie zobaczył nikogo z tamtej trójki. Ściana znajdująca się przed nim nie runęła, ale przez otwarte drzwi wydostawał się dym, natychmiast rozwiewany przez wiatr. Wnętrze domu jarzyło się czerwono jak sam środek piekła.

Tylko raz w życiu widział ogień rozprzestrzeniający się z taką szybkością. Tamten pożar jednak miał miejsce w fabryce mebli, a podsycił go wybuch dwustulitrowego zbiornika z lakierem. Trudno oczekiwać, że dom mieszkalny z kamienia zapalił się tak łatwo. Huk spadającego gruzu ostrzegł go, że inne ściany okazały się mniej wytrzymałe niż ta, przed którą stał, ale dom zaczął się walić zbyt wcześnie, by mógł to spowodować ogień.

Cała katastrofa była równie niezrozumiała, jak nagła.

MacClellan rzucił się pędem na poszukiwanie trzech lekkomyślnych osób, które przyjechały samochodem. Uważał się za sumiennego człowieka i tak się składało, że to była prawda. Gruby detektyw czuł się osobiście odpowiedzialny za to, żeby „towarzystwo” nie zrobiło nic pochoptego, próbując uratować tego dzikiego Irlandczyka, O'Harę, który najprawdopodobniej leżał teraz martwy pod płonącymi zgliszczami.

Do połowy okrążył dom, zanim znalazł ślad tych, których szukał. Ku jego jeszcze większemu zdumieniu żadna z zewnętrznych ścian nie runęła, choć okna, popękane od żaru i buchające dymem, świadczyły o szalejącym ogniu, uwięzionym w kamiennych murach.

Nic nie wiedział o przebudowie, która w tak dziwny sposób przekształciła wnętrze szacownej rezydencji Jerrarda. W rzeczywistości tylne ściany holu i dwa pokoje po obu jego stronach przylegały do wewnętrznego boku szybu i kiedy znajdujące się pod nimi kolumny w końcu osunęły się, całe to

skrzydło domu, łącznie z szybem, zawaliło się, a utrzymała się jedynie zewnętrzna ściana.

Dwa pozostałe boki szybu wiszące nad bagnem już nie istniały, ale czwarta, solidna ściana z drzwiami, w których walczył Colin, nadal stała. Stykała się ona z jednopiętrowym, dobudowanym skrzydłem, którego żaden fragment nie znajdował się nad piwnicą. Za drzwiami zaczynał się korytarz, który biegł do kamiennych schodów prowadzących do pokoiów zarezerwowanych przez Pana Strachu do własnego użytku.

Kiedy MacClellan dotarł do wystającego skrzydła, którego okna były ciemne i chłodne, a niska weranda zapraszała do wejścia, nie miał powodu, by podejrzewać, że czai się tam znacznie większe niebezpieczeństwo, choć inne niż to, przed którym tak stanowczo uchronił Forester.

Kiedy zobaczył znikającą właśnie w cieniu werandy postać mężczyzny, popędził za nią, nadal zdecydowany chronić tamtych. Nie było sensu krzyczeć. Jego głos zginąłby w tym huk. Wpadłszy do środka, włączył pożyczoną latarkę w tym samym momencie, kiedy ktoś inny zapalił zapałkę.

Jeden koniec długiego, wąskiego pokoju, w którym się znalazł, przesłaniał rzadki dym, ale MacClellan zobaczył tuż przed sobą dwie postacie, z których jedna trzymała nad głową zapałkę i rozglądała się niespokojnie.

Cliona znowu odegrała rolę prowodyra i to tak skutecznie, że całkowicie wyrwała się spod kontroli swych zdenerwowanych „opiekunów”.

W chwili gdy MacClellan dotarł do nich, światło jego latarki padło na jeszcze jedne drzwi, szeroko otwarte, w przeciwległej ścianie pokoju.

Biornson i prawnik jednocześnie rzucili się w stronę czarnego otworu i znowu sumienny człowiek zmuszony był albo pójść za nimi, albo zrezygnować ze swojej misji. Pierwsi dwaj skoczyli w dół, a goniący ich detektyw niechętny pomagał im snopem światła z latarki, ale przy ślepej ścianie skręcili w lewo i nagle zniknęli.

Na schodach prawie nie było dymu, ale biła od nich fala gorąca. MacClellanowi przyszło do głowy, że prawdopodobnie niewiele brakuje, by stał się ofiarą na ołtarzu lekkomyślności innych ludzi. Zawahał się.

Powietrzem wstrząsnął głośny huk. Dobiegł z dołu schodów i zabrzmiał jak wybuch bomby.

Cała trójka była pewnie tam na dole.

MacClellan zaklął i zbiegał po schodach po trzy stopnie naraz. Nie spodziewał się, że ich jeszcze zobaczy. Cały dom groził zawaleniem się w ciągu minuty i lekkomyślność ludzi, ryzykujących życiem dla beznadziejnej próby ratunku, była mu naprawdę nieznośna!

Kiedy jakąś minutę później Rhodes i Biornson znaleźli się u stóp schodów, zauważyli, że jest tam szeroki korytarz, a parę metrów dalej duży prostokątny otwór w ścianie, przez który wydostawało się światło tak białe i ostre, że nawet same reflektory były oślepiające. Na jego tle poruszały się ciemne kształty.

Nowo przybyli nie liczyli na nic więcej, jak tylko na odciążenie Cliony w bezpieczne miejsce. Ale pokonawszy biegiem cały korytarz, znaleźli na jego końcu nie jedną, lecz dwie kobiety, a pośrodku tego jaśniejącego prostokąta olbrzymią, dziką postać mężczyzny, który desperacko rozdzielał ciosy i pchnięcia.

Nie mogli jednak dostrzec, z kim walczył, dopóki nie dotarli do samych jarzących się drzwi. Otwór był szeroki i jeden człowiek, choćby nie wiadomo jak silny, nie mógł ich obronić przed tego rodzaju napastnikami, jacy je oblegali. Kiedy Rhodes przybiegł jako pierwszy, obok Colina wysunęła się jakaś głowa.

Była to przerażająca głowa, oślizła i ociekająca, wielka jak u lwa i odrażająca jak u gargulca. Wysunęła się wijącym ruchem na końcu niewyobrażalnie długiej, węzowatej szyi.

Zwykle sceptyczny, prawnik nie tracił czasu na rozważania, czy to, co widzi, jest możliwe. Znowu odezwały się obydwie lufy dubeltówki jednocześnie. Właśnie ten huk, odbity od ścian korytarza, oznaczający wieczny spokój dla przynajmniej jednego

z „tworów” Kennedy'ego, usłyszał MacClellan. Bez wątpienia były żywotne, ale ładunek dubeltówki z odległości paru centymetrów okazał się potężnym środkiem uspokajającym.

Szyja, wraz z tym, co na niej zostało, osunęła się miękko w tył.

Colin pomyślał, że korytarz za nim wali się, i odwrócił się, ale kiedy Biornson krzyknął: „W porządku! Jesteśmy z tobą!”, rzucił się do walki, zadowolony z posiłków, nie interesując się nawet, skąd się wzięły.

Biornson przyskoczył do niego z jednej strony, a Rhodes z drugiej. Ramię przy ramieniu stanęli w drzwiach.

Światło było oślepiające, a żar straszliwy. Niewiele widząc, strzelali i cięli podpływających wrogów, których obrzydliwy wygląd równał się ich wściekłej determinacji, by przejść przez drzwi.

Za sześciometrowej szerokości obszarem gorącej czarnej wody, pełnej tych stworzeń, widniał stos palącego się gruzu, z którego huczące płomienie i dym wzbijały się aż pod sam szczyt „fortecy”, wsysane przez szalejący wiatr. Pośrodku stosu znajdowało się ostre źródło białego światła, które zauważył Forester i którego, jak zdawało się, nie mógł przesłonić dym.

Chociaż trudno było cokolwiek dojrzeć, Rhodesowi wydawało się, że poniżej jest ciemność, jak gdyby spadające belki i ściany utworzyły coś w rodzaju wnęki.

W wirze walki młody prawnik stopniowo uświadamiał sobie strach znacznie gorszy niż ten, który odczuwał na widok atakujących bestii.

Wyobraził sobie, że coś kryje się w ciemnym wgłębieniu, coś żywego, lecz nie mającego prawa żyć, coś niewyraźnego jak chmura dymu, ale równie strasznego jak „upiory” z dzieciństwa.

Biornson odniósł podobne wrażenie, choć istniała pewna różnica. Wiedział, że ta ciemność to otchłań, a ta otchłań to legowisko i że to, co z niego wyglądało, pozbawione było ciała i kości, które sprawiają, że można znieść myśl nawet o najbardziej

zniekształconych stworzeniach. Tam było bezcielesne zło. Ale istniała również odwaga. Wiedząc o tym, Biornson walczył dalej.

Amunicja szybko wyczerpała się i wkrótce broń sojuszników Colina stała się mniej użyteczna niż jego łopata. Niewiele było miejsca, by zamachnąć się kolbą strzelby, ale wydawało się, że siła ataku zmniejszyła się. Z czarnej wody unosiły się gorące opary. Dwa czy trzy monstra, nie trafione kulą ani nie uderzone, zniknęły pod wodą i już nie wypłynęły.

Mimo poparzonej twarzy Rhodes dziękował Bogu za żar, który bardziej osłabiał wrogów niż jego. Działo się tak prawdopodobnie dlatego, że bestie znajdowały się w wodzie, a drzwi były nieco wyżej. Nie, przecież to absurd. Gorąco unosiło się w górę.

Kolba wylądowała prosto na czole pozbawionego szyi potwora o płaskim pysku, z kłami odyńca i pancerzem, który wyglądał na niezniszczalny.

Dał się zmiążyć ze śmieszną łatwością, a kolba rozpadła się na kilkanaście kawałków.

Rhodes roześmiał się. Wcale nie uderzył mocno. Upał był straszliwy; bez wątpienia zmiękczył czaszkę bestii i kolbę jego strzelby, wykonaną z drzewa orzechowego.

Lufami udaremnił wysiłki sprytnego monstrum o małych ramionach, które próbowało złapać Colina za kostki i ściągnąć w dół. Lufy wygięły się, roztrzaskując to ramię.

Upał, oczywiście. Jakie to szczęście, że sam nie czuł się ani trochę osłabiony; jego towarzysze również.

Skądś wiał wspaniały wiatr - gorący wiatr, lecz tchnący rzeźkością. Rhodes czuł w sobie ogromną energię, jak gdyby był większy niż w rzeczywistości, znacznie większy i silniejszy. W głowie mu się kręciło, ale jego moc była straszliwa... nieskończona. Ogień, wszędzie ogień, a on w samym jego środku... jako cząstka żywiołu, nieśmiertelnego ognia. Pływały w nim demony, tonęły, a on uderzał je radośnie ognistym mieczem...

W tym momencie, co przykro stwierdzić, świadectwo Anthony'ego Rhodesa staje się bezwartościowe, gdyż później nie był sobie w stanie przypomnieć, co wydarzyło się dalej.

W istocie, ponieważ potrzebna jest dokładna relacja, najlepiej zdać się na bezstronnego, choć oszołomionego świadka, detektywa MacClellana. Pojawił się na scenie zaledwie parę chwil po Rhodesie i Biornsonie, i był obecny przy ostatecznym ataku, a ponieważ składając następnego dnia swemu szefowi sprawozdanie z całej sprawy, trzymał się faktów, przynosi mu to chlubę. Ktoś mniej sumienny broniłby swojej reputacji człowieka prawdomównego, kłamiąc.

- Była to bójka, która mnie zadziwiła, szefie. Nie wiedziałem, co się dzieje ani co się stało, ani też co się wydarzy. Ci trzej stali w drzwiach, bijąc i strzelając do czegoś, co znajdowało się za nimi. Było goręcej niż w kotłowni rzecznego holownika i strasznie jasno. Próbowałem wcisnąć się w drzwi, ale zabrakło miejsca, a poza tym były jeszcze te dwie kobiety i nie mogłem ich zmusić, by odeszły stamtąd. Wróciłem potem, ale chciałem je najpierw zabrać z tego domu, gdzie i tak nie było z nich żadnego pożytku. Nic z tego. Mógłbym równie dobrze być gramofonem odtwarzającym pięć mil dalej Koniec wspaniałego dnia. Wtedy nagle coś jak cień przeleciało na tle jasnych drzwi i w następnej chwili ten facet, O'Hara, upadł pod ciężarem dużego, czarnego stworzenia, które wyglądało według mnie jak wielka małpa. Potem mówił, że to żywy, marmurowy posąg. Może jest wariatem i może ja również nim jestem, nie wiem. Równie dobrze mogą istnieć żywe posągi, jak parę innych koszmarów, które zobaczyłem później. Tak czy inaczej, pan Rhodes mówił kiedyś przez telefon o wielkiej małpie, więc pomyślałem, że to ona. No więc stwór i O'Hara tarzali się po całej, podłodze, a ja skakałem wokół nich, starając się ochronić kobiety, i chciałem strzelać, ale bałem się, że źle trafię. Wtedy Rhodes i ten Biornson odwrócili się, by zobaczyć, co się dzieje, i od razu przez drzwi zaczęła przelazć masa... tych... tych... no właśnie, czego... ośmionożnych, czworonożnych, trzynożnych i w ogóle pozbawionych nóg... Kiedy o nich myślę, nie jestem w stanie zmusić się do

rozpamiętywania szczegółów, szefie. Ale naprawdę, bracia Ringling zapłaciliby milion dolarów, żeby móc porozwieszać na ścianach ich zdjęcia. O'Hara mówi, że były białe i że małpa również była biała, więc to, co na niego skoczyło, nie mogło być tą małpą, ponieważ, bez wątpienia miało kolor czarny. Ale cała ta banda była tak wytarzana w błocie, że równie dobrze mogły być różowe albo błękitne pod spodem. Przekroczyły próg i Rhodes wraz z Biornsonem znaleźli się pod nimi. Ja byłem w korytarzu, rozumie pan, próbowałem trzymać z dala te dwie kobiety, i o włos uniknęliśmy stratowania. Prawdę mówiąc, bestie nie zwróciły na nas żadnej uwagi. Nie były ogarnięte żądzą walki, lecz oszalałe ze strachu przed ogniem. Nie wiem, ile ich było. Może kilkanaście, a może więcej. Ostatnia - coś w rodzaju pająkowego kota wielkiego jak tygrys - przeskoczyła nad tymi dwoma, którzy leżeli na podłodze, i już było po wszystkim, ale słyszałem jeszcze, pomimo wszystkich innych hałasów, jak bestie wyją i szarpia się nawzajem na schodach. Kiedy biegły, opróżniłem cały magazynek, ale równie dobrze mógłbym strzelać z procy. Nie przypuszczałem, że ujrzę żywego któregoś z tych trzech stratowanych facetów. Ale kiedy spojrzałem, niech to licho, Irlandczyk i jego przeciwnik tarzali się po podłodze jak przedtem. Sądzę, że byli zbyt zajęci, by zauważyć bandę, która po nich przebiegła. A ten Biornson, który, muszę powiedzieć, jest jednym z najbardziej dziarskich starszych gości, jakich kiedykolwiek spotkałem, właśnie gramolił się do góry. Rhodes nie podniósł się jednak, bo miał złamaną nogę. Biornson, z twarzą zalaną krwią, rozejrzał się wokół dzikim wzrokiem i niech mnie licho, włączył się do walki między O'Harą a tym... cokolwiek to było. Załadowałbym na nowo broń, bo naprawdę chciałem strzelić, ale mówię panu, szefie, gdyby pan widział tę bójkę, wiedziałby pan, dlaczego nie chciałem się do niej mieszać. Gdybym widział człowieka walczącego z wyrośniętym gorylem - a może właśnie to był goryl - zastrzeliłbym go, gdybym zdołał, ale, do diabła, nigdy nie zrobiłbym tego, co Biornson. Jak już powiedziałem, skoczył i złapał zwierzę za szyję, próbując odgiąć mu głowę do tyłu. Mocował się przez pięć sekund, aż wreszcie udało mu się.

Nie potrafię powiedzieć, co się dokładnie wtedy wydarzyło, ale zdaje się, że bestia wpiła się zębami w ramię O'Hary i nie przyjęła miło interwencji z zewnątrz. Poddała się i pozwoliła sobie odgiąć głowę do tyłu, ale w tej samej chwili wymierzyła Biornsonowi taki lewy sierpowy, że biedak wylądował na ziemi kilka metrów dalej. I znowu wzięła się do dzieła, ale te kilka sekund dało O'Harze szansę. Chcę panu powiedzieć, szefie, że odwołuję wszystko, cokolwiek mówiłem przeciwko temu dużemu Irlandczykowi. Walka! Chciałbym, żeby pan widział tę bójkę! Kiedy bestia podniosła głowę, O'Hara chwycił ją jedną ręką za gardło, a potem drugą. I kiedy tak się nad tym zastanowić, szefie, to ciężko jest udusić kamienny posąg, nawet gdyby był żywy, co?

- Mac - powiedział szef bardzo poważnie. - Słucham historii, do której komentarz byłby... hm... okrutny. Mów dalej.

- W porządku, niech mi pan nie wierzy. - W tonie MacClellana dał się słyszeć raczej upór niż uraza. - I tak wiedziałem, że mi pan nie uwierzy, ale muszę złożyć raport, a wszystko odbyło się dokładnie tak, jak mówię. Czyż nie powiedziałem, że na początku myślałem, że to goryl? Chociaż niech mnie licho, jeśli ktokolwiek widział w życiu goryla z taką twarzą... cóż, tak czy inaczej, można go było udusić, gdyż O'Hara zrobił to. I wtedy po raz pierwszy dobrze przyjrzałem się temu stworowi i... naprawdę, nie lubię o tym myśleć nawet teraz. Robi mi się niedobrze. Co z tego? Musiałby pan zobaczyć, żeby zrozumieć. Mógłbym łatwo nafaszerować go kulami. Ale daję panu słowo, zapomniałem o broni, którą trzymałem w ręce. Stałem po prostu i gapilem się. Chciałem uciekać, ale nie mogłem. Były tam przecież za mną te dwie kobiety. Miałem wyciągnięte ramiona, aby trzymać je z dala od tego stwora. Czy kobiety nie są dziwne? Kiedy mężczyzna bije się, a one myślą, że przegrywa, gotowe są rzucić się mu na pomoc i nie pomyślą nawet, że może je spotkać krzywda...

- Wróć do tego swojego ożywionego posągu, Mac. Zbaczasz z tematu.

- No cóż, obie przestały wyrywać się do przodu. Były wstrząśnięte, tak jak ja. O'Hara... udusił to coś... własnymi

rękami... i... wystarczy. Jeśli owo stworzenie było straszne za życia, jeszcze gorsze było po śmierci. Widziałem już parę krwawych bójek, ale ta była inna. Nie potrafię panu opowiedzieć. Robi mi się niedobrze, kiedy o tym myślę. Nigdy w życiu nie byłem nikomu tak wdzięczny, jak O'Harze, kiedy nagle wyprostował się, odciągnął... truchło i wyrzucił przez drzwi. I to jak rzucił. Było prawie tak wielkie jak on, ale wziął je po prostu za kark i za nogi, rozhuśtał i cisnął nad wodą jakieś parę metrów, prosto w ogień. Daję panu słowo, płomienie buchnęły, jakby rzucił w nie worek prochu. I wtedy O'Hara oparł się plecami o ścianę i zaczął się śmiać, jakby zwariował. „Rościł sobie prawo do mnie!” wysapał. „Rościł sobie, co? Zażądał i dostał to, na co zasłużył! Myślę, że żaden demon nie będzie już więcej rościł sobie praw do żadnego człowieka!” Powtarzam panu dokładnie to, co powiedział, bo wtedy, sędzę, sam byłem bardzo podekscytowany, ale właśnie wtedy wydawało się, że dokonał czegoś wielkiego, nie czegoś zwykłego, lecz wspaniałego... jak... jak uratowanie kraju albo... czegoś cholernie ważnego, za co wszyscy powinni obwiesić go medalami.

MacClellan umilkł.

- No i co? - zapytał szef z podejrzanym spokojem.

- Później wyszliśmy stamtąd i to wszystko. Jest jeszcze kilka rzeczy, które zamierzałem panu opowiedzieć, ale niech mnie kule biją, jeśli cokolwiek powiem, kiedy patrzy pan na mnie w taki sposób! Powinien pan mnie znać na tyle dobrze...

- Zaczekaj! Pomyśl chwilę, Mac. Mniejsza o tego goryla czy posąg. Będziemy elastyczni w tej sprawie. Ale... czy kilkanaście takich wściekłych... strazydeł, które opisałeś, mogło wyrwać się na wolność zeszłej nocy i nikt, absolutnie nikt nie zgłosił nam do tej pory żadnej skargi?

- Nie powiedziałem, że uciekły - odparł MacClellan ponuro.

- O! Nie uciekły. Może sąsiedzi wzięli je za zwierzątka domowe?

- Szefie, mam już dosyć. Wiedziałem, że tak będzie, ale jestem sumiennym człowiekiem... i powinien pan wiedzieć...

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- W porządku. Kiedy wyszliśmy, na schodach było mnóstwo obrzydliwej, czerwonej galarety, jeszcze więcej w pokoju na piętrze i przed domem. Widziało ją oprócz mnie wielu ludzi. Widział ją, między innymi, Forester. Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan go zapyta...

- Och, wierzę ci, Mac. Wierzę. Ale interesują mnie straszyla. Gdzie one są?

- W porządku. Opowiem więc panu wszystko. Ogień płonął tak, jak powiedziałem, i w korytarzu nie można było wytrzymać. O'Hara, ja i te dwie dziewczyny - które z pewnością są odważne - wynieśliśmy rannych. Zabawne. Tam na dole, w ogniu, odbył się prawdziwy zjazd rodzinny, ale nikt nie miał czasu, by się nad tym rozczulać. Jak już panu powiedziałem, ten pan Biornson twierdzi, że jest ojcem dziewczyny, którą wszyscy w Undine znali jako pannę Reed i o której myśleli, że jest obłąkana. Nie jest obłąkana. Przywieziono ją z Meksyku, gdzie żyło zdaje się wielu dziwnych, białych ludzi, a jej matka była jedną z nich. Może pan dowiedzieć się tego wszystkiego od Biornsona, jeśli pan chce. Potem, kiedy doszedł do siebie, powiedział również, że kiedyś w Meksyku próbował zabić O'Hare, a ten uratował teraz jego porwaną córkę - czy też ona uratowała jego, nie wiadomo dokładnie - O'Hara zaś stwierdził, że nie dba o to, co się wydarzyło piętnaście lat temu, i teraz Biornson będzie jego teściem i...

- Bardzo romantyczna historia - wtrącił szef - ale czy nie oddaliśmy się zbyt od naszych straszylów? Zostaw księdzu udzielanie ślubów, Mac, i zajmij się swoimi zwierzątkami.

- Do diabła z tym, tylko mi pan wszystko utrudnia, zaraz panu opowiem. Wydostaliśmy się z domu w samą porę. Kiedy zbiegaliśmy po schodach, już nas lizały płomienie; osmały mi płaszcz. To skrzydło domu musiało tak się rozgrzać, że samo zapaliło się, rozumie pan, podobnie jak drzewa w płonącym lesie. Uciekliśmy stamtąd szybko, niech mi pan wierzy, i wtedy uderzyło mnie, że nie ma jeszcze żadnych wozów strażackich ani nikogo oprócz nas. Zacząłem przeklinać Forestera, ale pięć minut

później zjawił się na sygnale, a za nim niemal wszyscy ludzie z Undine. Powiedział, że nie było go jakieś dwanaście czy piętnaście minut. Miał rację, ale wydawało mi się, jakby nie było go piętnaście godzin. Oczywiście, nie mogli wiele poradzić, nawet kiedy zjawiła się straż. Zaraz na początku pękł główny przewód i nie było wody, dopóki strażacy nie podciągnęli węża aż do Undine. O'Hara był cały zabrudzony, a ramię miał w okropnym stanie. Pan Rhodes miał złamaną nogę, a biedny stary Biornson był tak wstrząśnięty, że nie mógł iść. W tłumie, który przybiegł z Undine, był lekarz. Udzielił im pierwszej pomocy, a ponieważ mieliśmy pod ręką trzy samochody, nie było problemu z zawiezieniem ich do domu. Ja mówiłem, żeby do szpitala, ale oni uparli się jechać do domu Rhodessa, więc doktor i ja oczywiście poddaliśmy się. Chciałem usłyszeć odpowiedź na kilka pytań, więc poszedłem za nimi i kiedy tylko ruszyliśmy, zaczęto wreszcie gasić pożar, ale O'Hara powiedział do mnie: „Lepiej, żeby pozwolili mu się wypalić do końca, a wtedy w ruinach byłoby pół na pół złota i diabelstwa. Życzę radości temu, który je wydobędzie.” A ja na to: „Jestem dumny, że pana poznałem, panie O'Hara, ale nie chciałbym żadnego złota z tej piwnicy.” A on odpowiedział: „Jest pan dla mnie bratnią duszą, MacClellan, bo inaczej wcale by tu pana teraz nie było. To nie złoto pana przyciągnęło i wiem, że nie kierował panem strach. A ponieważ to samo można powiedzieć o każdym z nas, myślę, że Kennedy mylił się. Osądzać samemu cały świat to dla człowieka niebezpieczna rzecz. Ale Czarny Bóg to zupełnie inna sprawa.” I potem zaczął mi opowiadać wszystko, co się wydarzyło, zanim przyjechaliśmy. To było tak...

- MacClellan - warknął szef. - Masz zamiar odpowiedzieć mi na pytanie czy nie? Co stało się ze zwierzętami, które, jak mówisz, uciekły z piwnicy?

Flegmatyczny detektyw zacisnął z rozpaczy zęby, ale nie odważył się dłużej zwlekać.

- Kiedy Biornson doszedł do siebie - mruknął - po tym, jak go wynieśliśmy, powiedział, że ta galareta, którą widzieliśmy na

schodach i przed domem, to były... te straszidła, jak pan je nazwał. O'Hara rozmawiał wcześniej z facetem, z jednym z tych dwóch, którzy zginęli, Kennedym alias Reedem, i twierdzi, że tamci zmieniali zwykłe, nieszkodliwe króliki i koty w taką właśnie galaretę, a potem przekształcali je w prawdziwe wcielone diabły. A Biornson stwierdził, że kiedy O'Hara zadusił Nakrok... Nakokyotla, czy jak tam nazwał ten posąg, bestie zamieniły się znowu w galaretę. Powiem coś panu, nie twierdzę, że to wszystko prawda, ale to, co widziałem na własne oczy...

- Jasne. Nie dziwię ci się już, Mac, że ukrywałeś przede mną smutny los straszideł. Idź więc teraz do domu i połóż się spać.

Rozdział XXXIII. Jedyny zwycięzca.

I tak kończy się ta historia, kończy się coś, co było albo bardzo osobliwym biologicznym eksperymentem, albo najbardziej niezwykłą i złowrogą inwazją, jaka kiedykolwiek zagrażała ludzkości. Reszta to same domysły, przypuszczenia wielu różnych umysłów.

Spalenie się starej posiadłości Jerrarda wraz z tym, co później znaleziono w jej ruinach, oraz dziwna opowieść świadków pożaru, wywołała w owym czasie znaczne poruszenie oraz spory, których echa jeszcze całkowicie nie ucichły.

Nieprzyjemne, czerwonawe kupki galarety, leżące przed domem, do rana rozłożyły się i wsiąkły w ziemię. Większość ludzi sądziła, że galareta - jeśli w ogóle istniała - nie miała żadnego związku z bestiami - o ile istniały - i że te ostatnie zginęły w ogniu, który strawił je aż do, równie problematycznych, kości.

Faktu, że zniknęły również dwa rzekomo martwe ludzkie ciała, nie można jednak było wyjaśnić w ten sposób. O'Hara zaświadczył, że ciała zarówno Marczumy alias Marco, jak i Archera Kennedy'ego alias Chestera Reeda, utonęły w bagnie. Ten pierwszy był martwy już wcześniej, a drugiego rozszarpały stworzone przez niego własnoręcznie bestie.

Jest rzeczą zrozumiałą, że ciała utopione w bagnie lub bagiennej wodzie uniknęłyby spopielenia. We wspomnianym bagnie znaleziono wiele przedmiotów, lecz żadnych ciał. Ergo, pan O'Hara mylił się. Nigdy nie było tam żadnych ciał.

Według jego własnych zeznań, przynajmniej przez część wieczoru znajdował się w półprzytomnym stanie. Bez wątpienia, tłumaczyło to rzeczy, które były... cóż... nieco nieprawdopodobne w opowieści irlandzkiego dżentelmena. Bez wątpienia, dama z Meksyku również myliła się w wybaczalny sposób. W momentach podniecenia łatwo o złudzenia.

Irlandzki dżentelmen, na przykład, twierdził, że złamał Marco kark dwadzieścia cztery godziny przed pożarem. Nie było jednak

tam lekarza. O'Hara we własnej nieprofesjonalnej opinii jedynie przypuszczał, że mężczyzna jest martwy. Czy nie jest bardzo prawdopodobne, że kiedy O'Hara odszedł, Marco wstał i schował się?

A Kennedy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, uciekł z płonącego domu żywy i bez szwanku. Najpewniej pan i służący ukrywają się gdzieś razem. Polecono policji, by wszczęła poszukiwania.

Svend Biornson jednak nie zgadzał się z tą opinią, chociaż swoim zdaniem podzielił się tylko z życzliwymi osobami. Opierał się na fakcie, że wszystkie słoiki, pudełka i inne złote naczynia, wyciągnięte z bagna, były otwarte. Nawet on snuł domysły, jaka siła je otworzyła, niszcząc tym samym każdą cząstkę ich diabolicznej zawartości.

Przynajmniej przez jakiś czas zalana piwnica musiała być pełna tej substancji. Wiedział na pewno, że wystawiona na działanie powietrza i innych czynników, szybko traciła moc. Ludzie znajdujący się w ruinach byli dość bezpieczni, ale Biornsonowi wcale nie wydawało się dziwne, że nie znaleziono ciał. Były tam, ale rozpuszczone tak dokładnie, jakby bagno zmieniło się na chwilę w niegaszone wapno.

Ponieważ brakowało corpus delicti, Colin uniknął procesu o zabójstwo, usprawiedliwione czy też nie, i nie można powiedzieć, żeby mu było przykro z tego powodu. On i jego Pani Zmierzchu byli naprawdę bardzo zakochani, a szkoda tracić czas w sądzie i więzieniu, kiedy ma się miodowy miesiąc.

I tak śledztwo było wystarczająco męczące. Kiedy skończyło się wreszcie, w ostatecznym rozstrzygnięciu, wśród licznych wątpliwości niewiele było jasnych punktów. Stwierdzono, że przyczyną zalania było pęknięcie przewodu wodnego. Ten fakt oraz osłabienie budynku spowodowane przebudową doprowadziło do jego nagłego zawalenia się. Ludzie z towarzystwa ubezpieczeniowego po głębokim zastanowieniu doszli do wniosku, że przyczyną pożaru była „wadliwa izolacja i poplątanie

przewodów”, ulubione wyjaśnienie niemożliwych do wyjaśnienia w inny sposób pożarów.

Jeśli chodzi o świątynne, złote naczynia, z powodu braku właściciela przekazano je skarbowi stanu. Można je dzisiaj oglądać w pewnym muzeum narodowym, chociaż ich wartość uważa się za wątpliwą. Nigdy w właściwy sposób nie potwierdzono ich autentyczności jako relikwii azteckich. Okazało się natomiast, że ich złoto to tylko cienka warstwa nałożona na litą... miedź.

Obok nich stoi przedmiot o jeszcze bardziej wątpliwej wartości - czarny kamień, w rzeczywistości bezkształtny, a jedynie sprawiający wrażenie, że kiedyś posiadał pewien kształt - jak gdyby stary, zły, marmurowy bożek stopił się w płomieniach gorętszych, niż kiedykolwiek śniło się naukowcom. Ale nie ma w nim teraz nic strasznego. To tylko czarny kamień.

Oczywiście jest możliwe, że pierwsze przypuszczenie MacClellana było prawidłowe, i że przeciwnikiem po raz drugi pokonanym przez Colina był powiększony i zniekształcony przez rozgorączkowaną wyobraźnię Dżyngis-cha. Z pewnością ta niby-mała siedziała na podium i kiedy zrobiło się zbyt gorąco, przeskoczyła kilkumetrowej szerokości pas wody, podobnie jak skakała w lesie z drzewa na drzewo.

W tamtym czasie jednak Colin uważał, że było inaczej. Cała sprawa wydawała mu się wtedy dość prosta. Diabeł zażądał jego duszy, a on osobiście go pokonał. Jeśli zaś chodzi o tajemniczy pożar i powódź, które dokonały cudów, oraz wiatr przynoszący swym oddechem siłę Tytana, cóż, nigdy nie przeczył, że Wszechmocny panuje nad dobrymi mocami, pomagającymi człowiekowi, podobnie jak istnieją siły diabelskie niszczące go.

Ponieważ nie zetknął się z niczym, co podważyłoby jego wiarę w Boga, pozostał dobrym katolikiem. Pani Zmierzchu pozwoliła się ochrzcić, gdyż kochała swego pana zbyt mocno, by spierać się z nim o religię.

Ale choć dzisiaj tak pewien jej miłości, jak wtedy, nie jest równie pewien, jaka naprawdę była ta ostatnia walka. Zasypani

setkami powątpiewających wypowiedzi i argumentów, on i jego towarzysze w końcu przestali być pewni czegokolwiek, oprócz tego, że walczył z czymś i że wrzucił to coś w ogień.

I tak, z najbardziej posępnego aktora tego dziwnego dramatu pozostał tylko bezkształtny kamień i niepewne wspomnienia, które z upływem czasu stawały się coraz bardziej nierealne.

Ale tamtej nocy owe zdarzenia wcale nie przypominały snu. Były wyraźne - „wyraźne i żywe” - jak dla Colina widok Tlapallan. I kiedy wszyscy sześcioro wydostali się z płonącej Fortecy Strachu, nie mieli żadnych wątpliwości co do groźnego charakteru swojej przygody ani co do jej realności, podobnie jak parę chwil później nie mieli ich co do ostatniego, dziwnego widoku, bardziej wspaniałego niż groźnego. Widzieli to wszyscy, począwszy od MacClellana, ruszającego ze złością na poszukiwanie Foreстера, aż po Biornsona, który bezpieczny, z córką u boku, otworzył właśnie oczy.

Znajdowali się wtedy między drzewami, w pewnej odległości od domu. Rhodes, jęcząc z bólu z powodu złamanej nogi leżał na ziemi, a Cliona trzymała na kolanach jego głowę. Colin, dręczony mdłościami i zawrotami głowy, z rozszarpanym ramieniem i licznymi ranami, opierał się o drzewo i zastanawiał się, w jaki sposób można w jednej minucie być silnym jak dziesięciu ludzi, a w następnej - słabym jak kociak.

I właśnie wtedy MacClellan zatrzymał się wydając ostry okrzyk zdumienia. Pozostali spojrzeli tam, gdzie im pokazywał. Wysoko nad Fortecę Strachu wzbijały się płomienie. W przerwie między porywami wiatru ogień zwieńczył ją płonącym, szkarłatnym jęzorem. I kiedy ten ognisty jęzor wystrzelił ku niebu, przez smagające gałęzie drzew przedarła się ogromna, widmowa postać... przedarła się przez nie i skoczyła w górę... jeszcze wyżej... i rozplynęła się w płomieniach, które hucząc pochyliły się przed nią.

Ogromna, zapalczywa, krzyżąca postać z niesfornymi piórami i wiecznie młodą twarzą. Quetzalcoatl, Pan Powietrza... Wiatr... zwycięski wiatr!

Ach, czysty i gwałtowny, łagodnie cierpliwy i dziko nietolerancyjny; oddech odludnych, słodkich miejsc, wróg wszelkich cuchnących wyziewów i ukrytych podłości! Ten, który śpiewa o wielkich czynach, o nadziei i o odwadze nie tylko cielesnej.

- Pogański bożek, ale wierny przyjaciel - mruknął Colin. - Byłbym złym przyjacielem, gdybym nie przyznał, że go lubię.

Wygiąwszy się, płomienie utworzyły jakby sztandar... i jak powiewający z tyłu sztandar ze szkarłatnych piór podążyły za krzyczącą postacią.

KONIEC